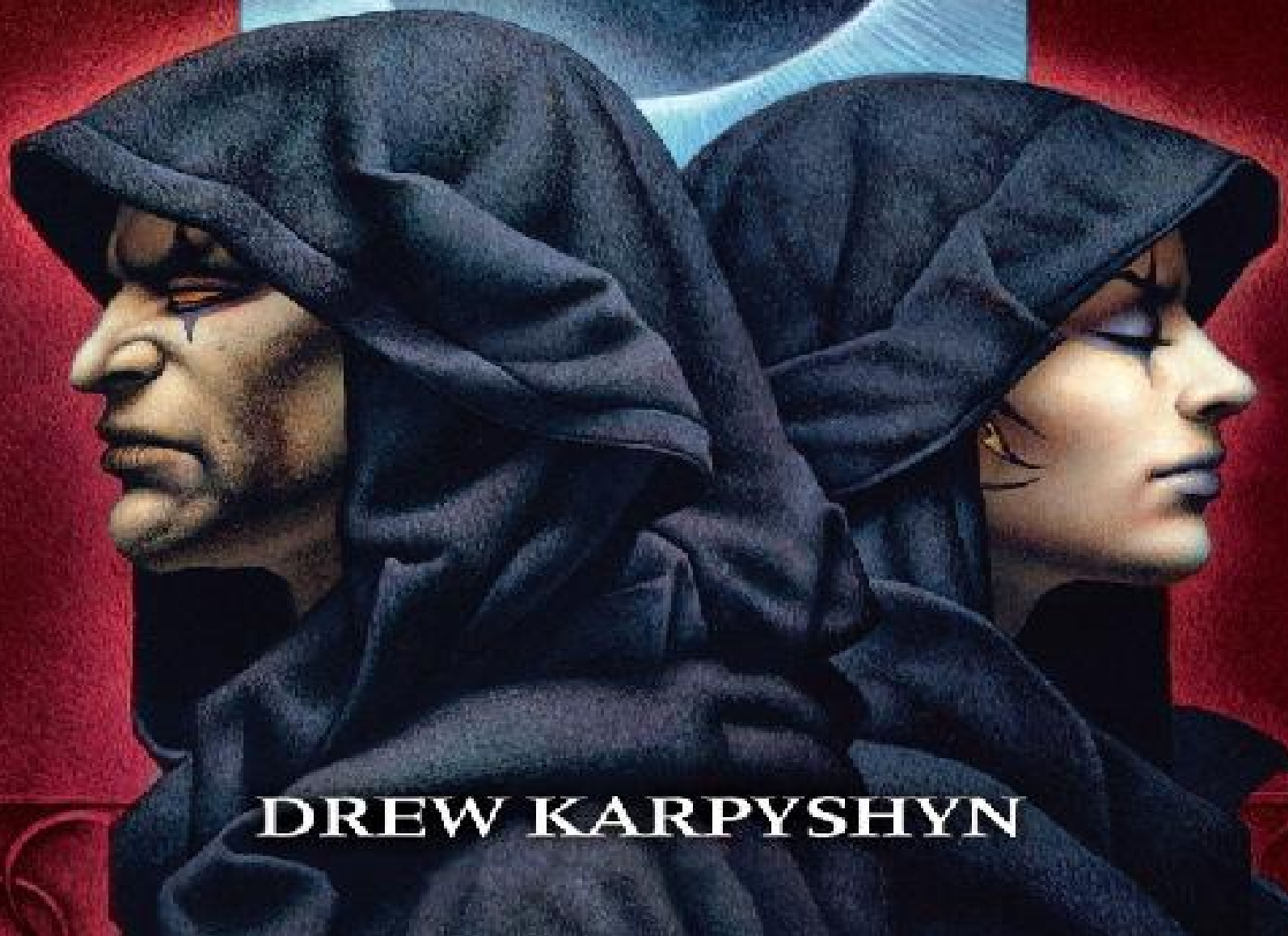


STAR WARS

DARTH BANE

DYNASTIA ZŁA



DREW KARPYSHYN

STAR WARS®

A high-contrast, black and white close-up of the character Darth Bane's face. He has a stern, intense expression with deep-set eyes and a prominent nose. The lighting is dramatic, highlighting the contours of his face against a dark background.

DARTH BANE

DYNASTIA ZŁA

DREW KARPYSHYN

Tytuł oryginału
Darth Bane: Dynasty of Evil

Copyright © 2009 by Lucasfilm, Ltd. & ™.
All Rights Reserved. Used Under Authorization.
For the Polish translation
Copyright © 2010 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Przekład
Błażej Niedziński

Redaktor serii
Zbigniew Foniok

Redakcja stylistyczna
Magdalena Stachowicz

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Jolanta Kucharska
Katarzyna Pietruszka

Projekt graficzny okładki
David Stevenson

Ilustracja na okładce
JOHN JUDE PALENCAR

ISBN 978-83-241-3655-1

Warszawa 2010. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl



*Mojej żonie Jennifer.
U progu nowego rozdziału w naszym życiu wiem,
że nie ma nikogo innego, z kim chciałbym je dzielić.*

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Darth Bane - Mroczny Lord Sithów (mężczyzna)

Darth Zannah - uczennica Sith (kobieta)

Łowczyni - zabójczyni (Iktotchi)

Lucia - strażniczka (kobieta)

Serra - księżna (kobieta)

Set Harth - Mroczny Jedi (mężczyzna)

PROLOG

Darth Bane, Mroczny Lord Sithów, zrzucił kołdrę z łóżka i postawił stopy na zimnej marmurowej posadzce. Kilka razy przechylił głowę z boku na bok, rozciągając mocne mięśnie karku i ramion.

Wreszcie chrząknął głośno i wstał. Wziął głęboki oddech i wypuścił powoli powietrze. Uniósł ręce wysoko nad głowę, wyciągając się na całe dwa metry swojego wzrostu, aż czubkami palców dotknął sufitu. W kręgosłupie poczuł wyraźny trzask rozluźniających się kręgów.

Opuścił z zadowoleniem ramiona i sięgnął po swój miecz świetlny, leżący na ozdobnej szafce przy łóżku. Dotyk zakrzywionej rękojeści w dłoni działał uspokajająco - znajomy, pewny. A jednak nie mógł powstrzymać leciutkiego dygotania wolnej ręki. Zmarszczył brwi i zacisnął lewą dłoń w pięść, wbijając paznokcie w skórę - prymitywny, ale skuteczny sposób na opanowanie drżenia.

Bezszelestnie wymknął się z sypialni na korytarz rezydencji, którą nazywał teraz swoim domem. Ściany wokół pokryte były jaskrawymi gobelinami, a podłogi wielobarwnymi, ręcznie tkanymi dywanami. Mijał kolejne pokoje, pełne robionych na zamówienie mebli, rzadkich dzieł sztuki i innych niezaprzeczalnych oznak bogactwa. Potrzebował prawie minuty, żeby przejść przez cały budynek i dotrzeć do tylnego wejścia, które prowadziło na otwarte tereny otaczające posiadłość.

Bosy i nagi od pasa w górę, drżąc z chłodu, spojrzął na abstrakcyjną mozaikę kamiennego dziedzińca, oświetlonego blaskiem bliźniaczych księżyców Ciutric IV. Na skórze pojawiła mu się gęsia skórka, ale nie zwracał na to uwagi. Zapalił miecz świetlny i zaczął ćwiczyć ofensywne techniki Djem So.

Jego mięśnie stawiały lekki opór, a stawy protestowały, kiedy wykonywał staranne sekwencje ruchów. Cięcie. Finta. Pchnięcie. Stopy uderzały miękko o kamienną powierzchnię w nieregularnym rytmie, który wyznaczały kolejne natarcia i cofanie się przed wyimaginowanym przeciwnikiem.

Resztki snu i zmęczenia nie chciały jakoś opuścić jego ciała. Cichy głos w

głowie namawiał go do przerywania treningu i powrotu do wygodnego łóżka. Bane zagłuszył go, recytując w myślach pierwszy wers Kodeksu Sithów: „Spokój to kłamstwo. Jest tylko pasja”.

Minęło dziesięć standardowych lat, odkąd stracił swoją zbroję z orbalisków. Dziesięć lat, odkąd jego ciało spaliła niemal doszczętnie destrukcyjna siła błyskawicy Mocy, którą własnoręcznie uwolnił. Dziesięć lat, odkąd uzdrowiciel Caleb zawrócił go znad krawędzi śmierci, a Zannah, uczennica Bane'a, zmasakrowała Caleba i Jedi, którzy ich ścigali.

Dzięki intrygom Zannah Jedi uwierzyli, że Sithowie wyginęli. Bane i jego uczennica poświęcili dekadę, która minęła od tamtych wydarzeń, na podtrzymywanie tego mitu: żyli w cieniu, gromadzili środki i zbierali siły na dzień, w którym uderzą w Jedi. W tym dniu chwały Sithowie się ujawnią i zetrą swoich wrogów w pył.

Bane wiedział, że może nie doczekać tego dnia. Miał teraz czterdzieści parę lat i czas zaczynał już odciskać na nim swoje piętno. Nie zważając na to, poświęcił się swojej obsesji: pewnego dnia - nawet jeśli miałyby to trwać całe wieki - Sithowie, jego Sithowie zawładną galaktyką.

Nie zważał na ból, który był nieodłącznym elementem pierwszej części nocnego treningu, a jego ruchy nabierały szybkości. Powietrze świszczało i trzeszczało, przecinane co chwila szkarłatną klingą, która stała się przedłużeniem niezłomnej woli Bane'a.

Wciąż imponował posturą. Potężne mięśnie, których dorobił się w młodości, pracując w kopalni na Apatrosie, przeżyły się pod skórą przy każdym cięciu i uderzeniu świetlnego miecza. Ale cząstka zwierzęcej siły, którą kiedyś dysponował, znikła z czasem.

Wyskoczył wysoko w górę, a jego miecz zatoczył w powietrzu łuk i opadł w dół z siłą, która mogłaby rozplątać przeciwnika na dwoje. Stopami uderzył mocno o twarde kamienie. Bane wciąż poruszał się z dziką gracją i przerażającą skutecznością. Kiedy wykonywał swoje ćwiczenia, jego miecz świetlny migał z oślepiającą szybkością, a jednak odrobinę wolniej niż niegdyś.

Proces starzenia był ledwo dostrzegalny, ale nieuchronny. Bane się z tym pogodził; ubytek siły i szybkości mógł z łatwością nadrobić mądrością, wiedzą i doświadczeniem. Ale to nie wiek był przyczyną mimowolnego drżenia, które opanowywało czasem jego lewą rękę.

Jeden z bliźniaczych księżyców przesłoniła ciemna chmura, zwiastująca gwałtowną burzę. Bane zatrzymał się; przez chwilę rozważał skrócenie stałego rytuału, aby uniknąć nadciągającej ulewy. Ale mięśnie były już

rozgrzane, a krew pulsowała wściekle w żyłach. Drobne dolegliwości minęły, wyparte przez przyływ adrenaliny od intensywnego wysiłku fizycznego. To nie był dobry moment, żeby rezygnować.

Poczuł zimny podmuch wiatru. Przykucnął i otworzył się na Moc; pozwolił, żeby przez niego przepływała. Wykorzystując ją, poszerzył swoją świadomość, by objąć nią deszcz spadający z nieba. Postanowił, że nie pozwoli ani jednej kropli dotknąć jego odsłoniętej skóry.

Czuł, jak wzbiera w nim siła Ciemnej Strony. Jak zawsze, zaczęło się od słabej iskierki, nikłego błysku światła i żaru. Napiął mięśnie w oczekiwaniu. Rozniecił iskrę, podsycając ją swoją pasją. Pozwolił, żeby furia i gniew zmieniły iskrę w płomień, a płomień w piekło.

Gdy pierwsze obfite krople rozprysnęły się na kamieniach dziedzińca, Bane ruszył do akcji. Porzucił przytłaczający styl Djem So i przeszedł na szybsze techniki Soresu. Kreślił mieczem świetlnym niewielkie kręgi nad głową, wykonując serię ruchów obliczonych na przechwytywanie blasterowych błyskawic wroga.

Wiatr przeszedł w wyjący huragan, a pojedyncze krople zmieniły się w ulewę. Ciało i umysł Bane'a stały się jednością i wtedy skierował nieskończoną potęgę Mocy na zacinający deszcz. Klinga miecza zbierała spadające krople, które zmieniały się w maleńkie obłoki pary, a Bane obracał i wyginał ciało, unikając tych nielicznych, które zdołały przedrzeć się przez jego linie obronne.

Przez kolejne dziesięć minut zmagał się z ulewą, upajając się potęgą Ciemnej Strony. Potem burza minęła, tak samo nagle, jak się zaczęła, gdy wiatr odegnał czarną chmurę. Ciężko oddychając, Bane zgasił miecz świetlny. Jego skóra lśniła od potu, ale ani jedna kropelka deszczu nie dotknęła obnażonego ciała.

Nagłe burze występowały na Ciutric niemal co noc, zwłaszcza tutaj, w gęstych lasach na obrzeżach stolicy planety, Daplony. Tę drobną niedogodność można było jednak zaakceptować, biorąc pod uwagę wszystkie atuty, jakie planeta miała do zaoferowania.

Położony na Zewnętrznych Rubieżach, z dala od ośrodków galaktycznej władzy i wścibskich spojrzeń Rady Jedi, Ciutric miał szczęście znajdować się na styku kilku szlaków handlowych przecinających nadprzestrzeń. Na planecie zatrzymywało się wiele statków, co pomogło rozwinąć się niewielkiemu, ale zamożnemu społeczeństwu, opartemu na handlu i spedycji.

Dla Bane'a jednak ważniejszy był fakt, że nieustanny przepływ

podróżnych z regionów rozrzuconych po całej galaktyce zapewniał mu łatwy dostęp do kontaktów i informacji, pozwalając zbudować siatkę informatorów i agentów, którą mógł osobiście nadzorować.

Byłoby to niemożliwe, gdyby jego ciało wciąż pokrywały orbaliski - kolonia chitynowych pasożytów, które żywiły się jego ciałem, w zamian dając mu siłę i ochronę. Ta żywa zbroja uczyniła go niemal niepokonanym w pojedynkach, ale jej odrażający wygląd zmusił go do ukrywania się przed wzrokiem mieszkańców galaktyki.

Ten fizyczny defekt zahamował jego plany gromadzenia majątku, wpływów i politycznej władzy. Zmuszony do życia w odosobnieniu, tak aby Jedi nie dowiedzieli się o jego istnieniu, mógł działać tylko poprzez wysłanników i pośredników. Zannah stała się jego oczami i uszami. Wszystkie informacje, jakie do niego trafiały, przepływały przez nią; każdy cel i zadanie realizowane były jej rękami. W konsekwencji Bane musiał działać ostrożniej i opóźnić swoje plany.

Teraz było inaczej. Wciąż budził grozę swoim wyglądem, ale nie większą niż pierwszy lepszy najemnik, łowca nagród czy emerytowany żołnierz. Ubrany w typowy dla przybranej ojczyzny strój, zwracał uwagę głównie wzrostem - rzucającym się w oczy, ale nie wyjątkowym. Mógł wmieszać się w tłum, kontaktować się z dostarczycielami informacji i nawiązywać znajomości z cennymi sojusznikami politycznymi.

Nie musiał się już dłużej ukrywać, ale i tak zatajał swoje prawdziwe ja pod płaszczkiem nowej tożsamości. W tym celu nabył niewielką posiadłość o parę minut drogi od Daplony. Jako zamożni kupcy, rodzeństwo Sepp i Allia Omek, on i Zannah perfekcyjnie odgrywali swoje role w towarzyskich, politycznych i finansowych kręgach planety.

Ich posiadłość leżała na tyle blisko miasta, by zapewnić łatwy dostęp do wszystkiego, co Ciutric miał do zaoferowania, a jednocześnie była wystarczająco odizolowana, by Zannah mogła dalej zgłębiać tajniki Zakonu Sithów. Stagnacja i samozadowolenie Jedi miały ich doprowadzić do ostatecznego upadku. Jako Mroczny Lord Bane czuwał, żeby jego własny Zakon nie wpadł w tę samą pułapkę. Musiał nie tylko wyszkolić swoją uczennicę, ale też nieustannie rozwijać własne umiejętności i wiedzę.

Chłodny wietrzyk przemknął przez dziedziniec, studząc spocone ciało Bane'a. Ćwiczenia fizyczne dobiegły końca; teraz przyszedł czas na naprawdę ważną pracę.

Ruszył naprzód i po kilkudziesięciu krokach znalazł się przed niedużym pawilonem na tyłach posiadłości. Drzwi byty zamknięte i zabezpieczone

kodek. Wstukał cyfry, pchnął delikatnie drzwi i wszedł do budynku, który służył mu jako prywatna biblioteka.

Znalazł się w kwadratowym pokoju pięć na pięć metrów, rozjaśnionym jedynie przez słabe światło z sufitu. Ściany zastawione były półkami uginającymi się pod ciężarem zwojów, tomów oraz manuskryptów, które zgromadził przez lata, zawierających nauki starożytnych Sithów. Na środku pokoju zbudowano podwyższenie, a na nim niewielki postument. Na postumencie spoczywał największy skarb Mrocznego Lorda: jego holocron.

Czworoboczna piramida, tak mała, by zmieścić się w dłoni, zawierała całą wiedzę i mądrość Bane'a. Wszystko, czego dowiedział się o naturze Ciemnej Strony - cała jego nauka, cała filozofia - zostało zamknięte w holocronie i zapisane na wieki. To było jego dziedzictwo, sposób na przekazanie doświadczeń całego życia tym, którzy zastąpią go w roli Mistrza Sithów.

Po jego śmierci holocron miała odziedziczyć Zannah, jeśli tylko pewnego dnia okaże się wystarczająco silna, żeby odebrać mu tytuł Mrocznego Lorda. Ale Bane nie był już wcale pewien, czy ten dzień nadejdzie.

Sithowie istnieli w takiej czy innej postaci od tysiący lat. Przez cały ten czas toczyli nieustającą wojnę z Jedi... i ze sobą nawzajem. Wyznawców Ciemnej Strony wyniszczały rywalizacja i wewnętrzne walki o władzę.

Ten motyw przewijał się przez całą długą historię Zakonu Sithów. Każdego wielkiego przywódcę prędzej czy później obalał sojusz jego własnych uczniów. Bez silnego wodza pomniejsi Sithowie szybko zwracali się przeciwko sobie, jeszcze bardziej osłabiając Zakon.

Ze wszystkich Sithów tylko Bane rozumiał nieuchronną jałowość tego cyklu. I tylko on był dość silny, żeby go przerwać. Pod jego przywództwem Sithowie się odrodzili. Teraz było ich tylko dwóch - jeden Mistrz i jeden uczeń; jeden, by przyjąć potęgę Ciemnej Strony, a drugi, by jej pożądać.

W ten sposób linię Sithów przedłużać będzie zawsze ten najsilniejszy, najbardziej godny. Ustanowiona przez Bane'a Zasada Dwóch gwarantowała, że potęga Mistrza i ucznia będzie rosła z pokolenia na pokolenie, aż wreszcie Sithom uda się pozbyć Jedi i zapoczątkować nową galaktyczną erę.

Dlatego właśnie Bane wybrał Zannah na swoją uczennicę: miała potencjał, by pewnego dnia go przerosnąć. Tego dnia odbierze mu tytuł Mrocznego Lorda Sithów i wybierze własnego ucznia. Bane zginie, ale Sithowie przetrwają.

Tak, do niedawna w to wierzył. Teraz jednak w jego umyśle rodziło się wątplenie. Minęły dwie dekady od czasu, kiedy spotkał dziesięcioletnią

dziewczynkę na polach bitewnych Ruusanu, ale Zannah najwyraźniej miała zamiar zadowalać się rolą uczennicy. Przyjmowała jego nauki i wykazywała niezwykłą wrażliwość na Moc. Przez lata Bane z uwagą śledził jej postępy i nie potrafił już stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, które z nich wyszłoby z konfrontacji zwycięsko. Ale widząc pasywność Zannah, zaczął się zastanawiać, czy nie brakuje jej wściekłej ambicji, koniecznej, by zostać Mrocznym Lordem Sithów.

Wszedł do biblioteki i wyciągnął lewą rękę, żeby zamknąć za sobą drzwi. W tym momencie zauważył aż nazbyt dobrze znane drżenie palców. Odruchowo cofnął dłoń, zacisnął ją w pięść i zatrzasnął drzwi kopniakiem.

Wiek zaczynał odciskać na Banie swój ślad, ale to było nic w porównaniu z piętnem, jakie odcisnęły na jego ciele długie lata korzystania z Ciemnej Strony Mocy. Mimowolnie uśmiechnął się na myśl o tej ponurej ironii losu: Ciemna Strona dawała mu niemal nieskończoną potęgę, ale ta potęga była okupiona potwornym kosztem. Jego ciało nie miało dość siły, żeby wytrzymać nieskończoną energię, którą wyzwalała Moc. Stopniowo trawił go nienasycony ogień Ciemnej Strony. Po wielu latach wysiłków związanych z opanowaniem i wykorzystaniem jej potęgi organizm Bane'a zaczął podupadać.

Jego kondycję pogarszały dodatkowo skutki noszenia zbroi z orbalisków, które powoli go zabijały, dając mu jednocześnie niewiarygodną siłę i szybkość.

Pasożyty pozwoliły mu przekroczyć naturalne ograniczenia organizmu, ale przyspieszyły proces starzenia i spotęgowały spustoszenie, jakie wywołało w nim działanie Ciemnej Strony. Orbalisków już nie było, ale szkód, które wyrządziły, nie dało się cofnąć.

Pierwsze oznaki słabnącego zdrowia nie były zbyt widoczne: oczy Bane'a były teraz lekko zapadnięte, skóra odrobinę bledsza i bardziej plamista, niż powinna w tym wieku. Jednak w ciągu ostatniego roku objawy się nasiliły, a kulminacją zmian było niekontrolowane drżenie, które coraz częściej dopadało jego lewą rękę.

I nie mógł na to nic poradzić. Jedi mogli leczyć rany i choroby, wykorzystując Jasną Stronę Mocy. Ale Ciemna Strona była wyłącznie bronią; chorzy i słabi nie zasługiwali na wyleczenie. Tylko silni byli godni przetrwania.

Bane próbował ukryć drżenie przed swoją uczennicą, ale Zannah była zbyt spostrzegawcza i zbyt przebiegła, żeby przegapić tak oczywisty przejaw słabości swojego Mistrza.

Spodziewał się, że stanie się to impulsem, którego potrzebowała Zannah, by rzucić mu wreszcie wyzwanie. Ale nawet teraz, kiedy jego ciało zdradzało niezaprzeczone symptomy postępującej niemocy, ona wydawała się zadowolona i nie zamierzała nic robić. Bane nie wiedział, czy kieruje nią strach, niezdecydowanie, a może nawet współczucie dla jej Mistrza - wszystkie te cechy były niedopuszczalne u kogoś, kto miał kontynuować jego dzieło.

Oczywiście było jeszcze jedno możliwe wytłumaczenie, najbardziej niepokojące ze wszystkich. Mogło być tak, że Zannah zauważyła jego pogarszającą się kondycję i postanowiła po prostu poczekać. Za pięć lat jego ciało będzie wyniszczoną skorupą i wtedy będzie mogła wyeliminować go praktycznie bez żadnego ryzyka.

W innych okolicznościach Bane doceniłby takie strategiczne myślenie, ale w tym wypadku było to pogwałcenie najbardziej fundamentalnego założenia Zasady Dwóch. Uczeń musiał zdobyć tytuł Mrocznego Lorda, odbierając go swojemu Mistrzowi w walce, w której i on, i Mistrz powinni wykazać się pełnią umiejętności. Jeśli Zannah miała zamiar zmierzyć się z nim dopiero wtedy, gdy będzie osłabiony chorobą, to znaczy, że nie nadaje się na jego dziedziczkę. Jednak Bane nie chciał sam prowokować konfrontacji. Gdyby bowiem poległ, Sithami musiałby rządzić Mistrz, który nie respektuje i nie rozumie zasady stanowiącej fundament nowego Zakonu. Jeśli by zaś wygrał, pozostałby bez ucznia, a jego słabnące ciało nie pozwoliłoby mu znaleźć i odpowiednio wyszkolić nowego.

Było tylko jedno wyjście: Bane musiał znaleźć sposób na przedłużenie życia. Musiał w jakiś sposób zregenerować i odmłodzić swoje ciało... lub zastąpić je innym. Jeszcze rok temu pomyślałby, że to niemożliwe. Ale teraz był mądrzejszy.

Z jednej z półek zdjął opasy tom. Jego skórzana oprawa była poplamiona, a strony postrzępione i pożółkłe ze starości. Położył księgę ostrożnie na podeście i otworzył na stronie, którą zaznaczył poprzedniej nocy.

Podobnie jak większość ksiąg stojących na półkach jego biblioteki, tę także nabył od prywatnego kolekcjonera. Galaktyka co prawda wierzyła, że Sithowie wyginęli, ale Ciemna Strona wciąż silnie działała na wyobraźnię istot wszelkich ras, a czarny rynek nielegalnych akcesoriów Sithów cieszył się dużym zainteresowaniem wśród możnych i wpływowych.

Wysiłki Jedi, próbujących namierzyć i zniszczyć wszystko, co mogło mieć jakikolwiek związek z Sithami, zaowocowały jedynie wzrostem cen i

koniecznością dokonywania transakcji przez pośredników dla zachowania anonimowości.

Bane'owi bardzo to odpowiadało. Mógł gromadzić i poszerzać swoją bibliotekę, nie zwracając na siebie uwagi: brano go po prostu za jeszcze jednego wielbiciela Sithów, kolejnego anonimowego kolekcjonera z obsesją na punkcie Ciemnej Strony, gotowego wydać małą fortunę, by wejść w posiadanie zakazanych manuskryptów i artefaktów.

Większość jego nabytków nie przedstawiała wielkiej wartości: amulety i inne świecidełka o nieznacznej energii; stare egzemplarze zawierające historyjki, których nauczył się na pamięć wiele lat wcześniej, podczas studiów na Korribanie; niekompletne dzieła spisane w martwych od dawna językach. Czasami jednak udawało mu się trafić na prawdziwy skarb.

Sfatygowana, wystrzępiona księga, która przed nim leżała, była właśnie takim skarbem. Jeden z jego agentów kupił ją parę miesięcy wcześniej - przypadek zbyt szczęśliwy, by uznać go za zrządzenie losu. Ścieżki Mocy były niezbadane i Bane wierzył, że księga miała trafić właśnie do niego, by dać odpowiedź na jego problemy.

Tak jak większość okazów w jego kolekcji, był to historyczny przekaz dotyczący jednego ze starożytnych Sithów. Zawierał głównie imiona, daty i inne informacje, które dla Bane'a były bezużyteczne. Znalazł tam jednak niewielki ustęp, traktujący o człowieku imieniem Darth Andeddu. Zgodnie z przekazem Andeddu żył setki lat, wykorzystując Ciemną Stronę Mocy, żeby przedłużyć sobie życie i zapobiec naturalnemu zużyciu organizmu.

W sposób typowy dla Sithów sprzed reformacji Bane'a rządowi Andeddu brutalny kres położyły zdrada i bunt jego podwładnych. Jego holocron jednak, skarbnica największych sekretów - w tym tajemnicy niemal wiecznego życia - nigdy nie został odnaleziony.

To wszystko - w sumie niecałe dwie strony. W tym krótkim fragmencie nie było ani słowa o tym, gdzie Andeddu żył. Ani słowa o tym, co po jego obaleniu stało się z jego zwolennikami. Ale to właśnie ten dziwny brak informacji sprawiał, że dokument był tak intrygujący.

Dlaczego tak niewiele tam było szczegółów? Dlaczego przez wszystkie lata swoich poszukiwań Bane nigdy nie natrafił na żadną wzmiankę o Darcie Andeddu?

Istniało tylko jedno sensowne wytłumaczenie: Jedi zdołali wymazać go z historii galaktyki. Przez stulecia wyszukiwali każdy datapad, holodysk i dokument pisany, w którym wymieniano imię Dartha Andeddu, i ukrywali je w Archiwach Jedi, aby te tajemnice nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Jednak pomimo ich wysiłków ta krótka wzmianka w starym, zapomnianym i mało znaczącym manuskrypcie przetrwała, by trafić ręce w Bane'a. Przez ostatnie dwa miesiące, od kiedy księga znalazła się w jego posiadaniu, Mroczny Lord kończył swój nocny trening wizytą w bibliotece, gdzie rozważał tajemnicę zaginionego holocronu Andeddu. Konfrontował leżący przed nim manuskrypt z rozległą wiedzą porozrzucaną po setkach innych woluminów z jego kolekcji, próbując dopasować do siebie elementy układanki. Wciąż bez rezultatu.

Jednak się nie poddawał. Od wyników poszukiwań zależało wszystko, co dotąd zbudował. Musiał odnaleźć holocron Andeddu. Musiał poznać tajemnicę wiecznego życia, żeby zyskać czas na znalezienie i wyszkolenie nowego ucznia.

Bez tego był skazany na powolną agonię. Zannah mogłaby przejąć tytuł Mrocznego Lorda bez walki, profanując Zasadę Dwóch, a Zakon trafiłby w ręce osoby niegodnej miana Mistrza.

Jeśli nie uda mu się odnaleźć holocronu Andeddu, los Sithów będzie przesądzony.

ROZDZIAŁ 1

– ...zgodnie z zasadami ustanowionymi na mocy procedur wyszczególnionych w poprzednim i we wszystkich dalszych paragrafach. Nasz szósty postulat zakłada, że ciało...

Medd Tandar potarł długimi palcami wydany wzgórek z przodu wysokiej, stożkowatej czaszki z nadzieją, że pozbędzie się w ten sposób bólu głowy, który narastał od dwudziestu minut.

Gelba, jego partnerka w negocjacjach, które były powodem jego wizyty na planecie Doan, przerwała czytanie petycji i zapytała:

– Czy coś nie tak, Mistrzu Jedi?

– Nie jestem Mistrzem - przypomniał samozwańczej przywódczyni buntowników Cereanin. - Jestem tylko Rycerzem Jedi. - Opuścił z westchnieniem rękę, a po chwili wykrztusił z trudem: - Nic mi nie jest. Kontynuuj.

Gelba skinęła głową i wróciła do niekończącej się listy żądań.

– Nasz szósty postulat zakłada, że ciało złożone z wybieranych przedstawicieli kasty górniczej otrzyma pełną jurysdykcję w następujących jedenastu kwestiach: jeden, ustalenie płac zgodnie z galaktycznymi normami. Dwa, ustalenie dopuszczalnego tygodniowego czasu pracy. Trzy, zatwierdzenie wykazu odzieży ochronnej, którą ma zapewnić...

Krępa, muskularna kobieta mówiła monotonnym głosem, który odbijał się echem od nieregularnych ścian podziemnej jaskini. Pozostali obecni - górnicy, trzech mężczyzn i dwie kobiety - skupieni wokół Gelby, wydawali się przykuci do miejsc jej słowami. Medd nie mógł oprzeć się wrażeniu, że gdyby ich narzędzia kiedykolwiek zawiodły, górnicy mogliby wykorzystywać głos swojej przywódczyni do kruszenia kamienia.

Oficjalnie Medd przybył tu, żeby położyć kres aktom przemocy między buntownikami i rodziną królewską. Jak wszyscy Cereanie, miał binarną strukturę mózgu, co pozwalało mu analizować równocześnie argumentację obydwu stron konfliktu. Teoretycznie był więc idealnym kandydatem na mediatora od rozwiązywania skomplikowanych politycznych sytuacji, takich jak ta, która wytworzyła się na tej małej górniczej planecie. W praktyce

jednak zaczynał dochodzić do wniosku, że rola dyplomaty jest o wiele trudniejsza, niż to sobie wyobrażał.

Położony na Zewnętrznych Rubieżach Doan był brzydką brązową, skalną kulą. Ponad osiemdziesiąt procent jego lądów zamieniono w kopalnie odkrywkowe. Nawet z kosmosu deformacja planety od razu rzucała się w oczy. Bruzdy szerokie na pięć i ciągnące się przez setki kilometrów przecinały krajobraz niczym nieusuwalne blizny. Ogromne kamieniołomy wykute w skale sięgały setki metrów w głąb, jak niezagojone wrzody na obliczu planety.

W wypełnionej smogiem atmosferze panował nieustający ruch potężnych machin. Urządzenia wydobywcze uwijały się jak przerośnięte owady, rozkopując ziemię, a strzeliste wieże wiertnicze ustawione na mechanicznych nogach drążyły tunele, odkrywając niezgłębione do tej pory warstwy. Olbrzymie poduszkowe frachtowce zasłaniały blade słońce, cierpliwie czekając, aż ich przepastne luki towarowe zapełnią się ziemią, pyłem i sproszkowanym kamieniem.

Powierzchnia planety usiana była gigantycznymi kolumnami z szorstkiego, ciemnobrązowego kamienia, o wysokości pięciu tysięcy i średnicy kilkuset metrów. Wyrastały ze zrujnowanego krajobrazu jak palce wyciągnięte ku niebu. Płaskie miejsca na szczytach tych naturalnych filarów zajmowały dworki, zamki i pałace z widokiem na resztki środowiska naturalnego w dole.

Złoża rzadkich minerałów wydobywanych w wielkiej obfitości zmieniły Doan w bardzo bogaty świat. Jednak to bogactwo skupione było niemal wyłącznie w rękach arystokracji, która żyła w ekskluzywnych rezydencjach górujących nad resztą planety. Większą część populacji Doana stanowiły niższe kasty, ludzie skazani na dożywotnią pracę fizyczną lub zatrudnieni jako służba, bez możliwości awansu społecznego.

To ich reprezentowała Gelba. To oni w przeciwieństwie do elit żyli na powierzchni planety, w maleńkich prowizorycznych chatkach otoczonych przez kopalniane szyby i wyrobiska albo w małych jaskiniach wydrążonych w skalistym podłożu. Medd miał okazję doświadczyć otaczającej ich rzeczywistości w chwili, gdy opuścił klimatyzowane wnętrze swojego promu. Momentalnie uderzyła go fala przytłaczającego gorąca, unoszącego się z jałowej, spalonej słońcem ziemi. Owinął szybko głowę skrawkiem tkaniny, osłaniając nos i usta przed kłębiącym się kurzem, który groził zakrztuszeniem.

Mężczyzna wysłany przez Gelbę, żeby go powitać, również miał zakrytą

twarz, co dodatkowo utrudniało porozumienie wśród huczących maszyn. Na szczęście nie było potrzeby nic mówić. Kiedy przewodnik prowadził go przez teren kopalni, Jedi przyglądał się uważnie skali zniszczeń środowiska naturalnego.

Szli w milczeniu, aż dotarli do wąskiego, nierównego tunelu. Medd musiał się schylić, żeby nie zawadzić o chropowaty sufit. Tunel ciągnął się przez kilkaset metrów, opadając lekko w dół, by zakończyć swój bieg w dużej, naturalnej grocie, oświetlonej lampami jarzeniowymi.

Ściany i podłogę złobiły ślady narzędzi. Jaskinia już dawno została ogołociona z wszelkich złóż cennych minerałów; pozostały po nich dziesiątki nieregularnych formacji skalnych wyrastających z nierównej podłogi - niektóre wznoszące się na mniej niż metr, inne sięgające aż do sufitu. Można by je nawet uznać za piękne, gdyby nie były w dokładnie tym samym odcieniu zgaszonego brązu, który dominował w krajobrazie Doana.

Prowizoryczna kwatera buntowników pozbawiona była mebli, ale przynajmniej sufit okazał się na tyle wysoki, że Cereanin mógł się wreszcie wyprostować. Co więcej, podziemna komnata dawała schronienie przed upałem, kurzem i hałasem, jakie panowały na powierzchni; mogli więc zdjąć osłony z twarzy.

Wsluchując się w przenikliwy głos Gelby, Medd miał wątpliwości, czy była to słuszna decyzja.

– Żądamy także natychmiastowego ustąpienia rodziny królewskiej i przekazania wszystkich należących do niej nieruchomości wybranym przedstawicielom, wspomnianym w punkcie trzecim części piątej, podpunkt C. Ponadto wymierzone zostaną grzywny i kary...

– Wystarczy - powiedział Medd, unosząc rękę. Gelba litościwie przychyliła się do jego prośby. - Jak już wyjaśniałem, Rada Jedi nie może spełnić waszych żądań. Nie jestem tu po to, żeby usunąć rodzinę królewską. Mogę jedynie zaoferować swoje usługi mediacyjne w negocjacjach między waszą grupą a doańską arystokracją.

– Oni nie chcą z nami negocjować! - wykrzyknął jeden z górników.

– Dziwicie im się? - odparował Medd. - Zabiliście księcia.

– To była pomyłka - powiedziała Gelba. - Nie mieliśmy zamiaru strącić jego śmigacza. Chcieliśmy go tylko zmusić do lądowania i schwytać żywego.

– Wasze intencje są teraz nieistotne - oświadczył Medd spokojnym głosem. - Zabijając następcę tronu, ściągnęliście na siebie gniew rodziny królewskiej.

– Usprawiedliwiasz ich działania? - oburzyła się Gelba. - Oni polują na

moich ludzi jak na zwierzęta! Zamykają nas w więzieniach bez procesu! Torturują żeby wydobyć informacje, i zabijają, kiedy stawiamy opór! A teraz nawet Jedi przyzymkają oczy na nasze cierpienie. Nie jesteście wcale lepsi od Senatu Galaktycznego!

Medd rozumiał frustrację górników. Doan należał do Republiki od setek lat, ale ani Senat, ani żaden organ administracyjny nie podjął nigdy poważniejszych wysiłków zmierzających do wyeliminowania niesprawiedliwości w strukturze społecznej planety. Republika, składająca się z milionów planet, z których każda miała swój własny ustrój i tradycje, stosowała politykę nieingerencji poza najbardziej skrajnymi przypadkami.

Oficjalnie idealisci potępiali brak demokratycznego rządu na Doanie. Ale jednak podstawowe potrzeby życiowe ludności były zawsze zaspokajane: obywatelom zapewniano żywność, dach nad głową, wolność, a nawet ochronę prawną w przypadkach, kiedy arystokracja nadużywała swojej uprzywilejowanej pozycji. Niewątpliwie na Doanie bogaci wykorzystywali biednych, jednak na wielu innych planetach sytuacja była znacznie gorsza.

Bierna postawa Senatu nie ostudziła jednak zapału tych, którzy dążyli do zmiany status quo. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wśród niższych warstw umocnił się ruch domagający się politycznej i społecznej równości. Nic dziwnego, że spotkał się z oporem ze strony arystokracji; ostatnio napięcie przerodziło się w przemoc, której kulminacją było zabójstwo dońskiego następcy tronu niecałe trzy standardowe miesiące temu.

W odpowiedzi król wprowadził stan wojenny. Od tego czasu płynął nieprzerwany strumień niepokojących doniesień, które potwierdzały oskarżenia Gelby. Jednak buntownicy bardzo powoli zyskiwali poparcie galaktyki. Wielu senatorów uważało członków ruchu za terrorystów i chociaż Medd rozumiał ich desperację, bez zgody Senatu nie mógł nic zrobić.

Jedi byli zobligowani przez prawo galaktyczne do zachowania neutralności we wszystkich wojnach domowych i w wewnętrznych walkach o władzę, chyba że istniała groźba rozprzestrzenienia się przemocy na inne planety Republiki. W tym wypadku jednak eksperci byli zgodni, że to mało prawdopodobne.

– To, co spotyka waszych ludzi, jest złe - przyznał Medd, ostrożnie dobierając słowa. - Zrobię co w mojej mocy, żeby przekonać króla do zaprzestania prześladowań. Ale nie mogę niczego obiecać.

– Więc po co tu jesteś? - zapytała Gelba.

Medd się zawahał. W końcu uznał, że szczerść będzie najlepszym

wyjściem.

– Parę tygodni temu jedna z waszych ekip odkopła niewielki grobowiec.

– Doan jest usiany starymi grobowcami - odparła Gelba. - Przed wiekami chowaliśmy tu naszych zmarłych... zanim arystokracja postanowiła rozkopać całą planetę.

– W grobowcu była skrytka z artefaktami - ciągnął Medd. - Amulet. Pierścień. Jakieś zwoje starych pergaminów.

– Wszystko, co wykopimy, należy do nas! - zawołał gniewnie jeden z górników.

– To jedno z naszych najstarszych praw - potwierdziła Gelba. - Nawet rodzina królewska nie próbuje go naruszać.

– Mój Mistrz uważa, że te artefakty mogą mieć związek z Ciemną Stroną Mocy - wyjaśnił Medd. - Muszę zawieźć je do naszej Świątyni na Coruscant.

Gelba rzuciła mu groźne spojrzenie spod współprzymkniętych powiek, ale nic nie powiedziała.

– Oczywiście zapłacimy wam - dodał Medd.

– Wy, Jedi, przedstawiacie się jako strażnicy - powiedziała Gelba. - Obrońcy słabych i uciśnionych. Ale bardziej was obchodzi garść złotych świecidełek niż los cierpiących kobiet i mężczyzn.

– Spróbuję wam pomóc - obiecał Medd. - Porozmawiam w waszym imieniu z królem. Ale najpierw muszę mieć te...

Nagle przerwał, a echo jego słów zawisło w jaskini. Coś jest nie tak, pomyślał. W żołądku poczuł nagły ucisk, oznakę zbliżającego się niebezpieczeństwa.

– Co się stało? - spytała Gelba. - O co chodzi?

Zakłócenie w Mocy, zdecydował Medd, a jego ręka powędrowała w kierunku przypiętego do pasa miecza świetlnego.

– Ktoś nadchodzi - powiedział.

– Niemożliwe. Wartownicy przy wejściu do tunelu...

Słowa Gelby przerwał charakterystyczny odgłos blastera. Zachwiała się i upadła na ziemię z wypaloną w piersi dziurą. Pozostali górnicy rozpięchli się, krzycząc z przerażenia. Usiłowali skryć się za formacjami skalnymi, których pełno było w jaskini. Dwóch nie zdążyło; padli porażeni śmiertelnie precyzyjnymi strzałami między łopatkami.

Medd pozostał na miejscu. Zapalił swój miecz świetlny, wpatrując się w cienie rysujące się na ścianach pieczary. Nie zdołał przeniknąć ciemności wzrokiem, więc otworzył się na Moc i cofnął gwałtownie, jakby dostał cios w brzuch.

Zwykle Moc obmywała go niczym ciepły strumień białego światła, dając mu siłę i koncentrację. Ale tym razem uderzyła go w żołądek jak lodowata pięść.

Kolejna blasterowa błyskawica świsnęła mu koło ucha. Medd rzucił się na ziemię i podczołgał do najbliższej skały, zaskoczony i skonsternowany. Jako Jedi poświęcił całe życie, by połączyć się z Mocą. Nauczył się wyzwalać Jasną Stronę, która przepływała przez jego ciało, wzmacniając go, wyostrzając zmysły, kierując jego myślami i czynami. A teraz to źródło jego siły najwyraźniej go zdradziło.

Słyszał, jak strzały blasterowe odbijają się od ścian komnaty. Górnicy odpowiedzieli ogniem na atak niewidocznego przeciwnika, ale Medd odizolował od siebie odgłosy bitwy. Nie rozumiał, co się z nim stało; wiedział jedynie, że musi znaleźć jakiś sposób, by to pokonać.

Wyrecytował po cichu pierwsze słowa Kodeksu Jedi, próbując odzyskać równowagę: „Nie ma emocji, jest spokój”. Mantra Zakonu pozwoliła mu zapanować nad oddechem. Po paru sekundach na tyle się uspokoił, że spróbował jeszcze raz ostrożnie dotknąć Mocy.

Zamiast spokoju i pogody ducha poczuł jedynie gniew i nienawiść. Jego umysł instynktownie się wycofał i Medd zrozumiał, co się stało. Ta Moc, z której czerpał siłę, została w jakiś sposób splugawiona - skażona i zatruta przez Ciemną Stronę.

Nadal nie potrafił tego wytłumaczyć, ale teraz przynajmniej wiedział, jak może przeciwdziałać skutkom. Wypierając strach, Jedi jeszcze raz pozwolił Mocy przepłynąć przez niego wąską, kontrolowaną strużką. Następnie skoncentrował się na oczyszczeniu jej z brudów, które zakłócały mu zmysły. Poczuł, jak powoli zaczyna go obmywać Jasna Strona Mocy... chociaż zdecydowanie słabiej niż zwykle.

Wychylił się zza skały i zawołał głośno:

– Pokaż się!

Blasterowa błyskawica przeszła mrok. W ostatniej chwili odbił ją mieczem świetlnym i posłał w kąt, wykorzystując technikę, którą opanował wiele lat temu, jeszcze jako padawan.

Niewiele brakowało, pomyślał. Jesteś zbyt powolny, niepewny. Zaufaj Mocy.

Otoczyła go potęga Mocy, ale wciąż coś było nie tak. Jej siła migotała i zanikała jak zakłócana transmisja. Coś - albo ktoś - zaburzało zdolność koncentracji Medda. Jego świadomość okrył jakby czarny welon, który ograniczał możliwość posługiwania się Mocą. Dla Rycerza Jedi nie było nic

bardziej przerażającego, ale Medd nie miał zamiaru się wycofać.

– Daj spokój górnikom! - zawołał silnym głosem, nie chcąc zdradzać swojej niepewności. - Pokaż się i zmierz się ze mną!

Z najdalszego kąta grotty wyłoniła się młoda Iktotchi z pistoletem blasterowym w każdej ręce. Miała na sobie prosty czarny płaszcz. Kaptur odrzuciła do tyłu, odsłaniając wygięte do dołu rogi, wyrastające z boków głowy i zwążające się w ostre czubki tuż powyżej ramion. Jej czerwonawa skóra ozdobiona była czarnymi tatuażami na podbródku - cienkie linie wychodziły z dolnej wargi niczym kły.

– Górnicy już nie żyją - powiedziała głosem pełnym okrucieństwa, jakby chciała go zgnębić tą informacją.

Ostrożnie używając Mocy, żeby poszerzyć swoją świadomość, Medd przekonał się, że to prawda. Jak przez gęstą mgłę dostrzegł ciała górników rozrzucone po komnacie - każde naznaczone śmiertelnym strzałem w głowę lub w pierś. W ciągu tych paru sekund, których Jedi potrzebował, by dojść do siebie, zdążyła zamordować ich wszystkich.

– Jesteś zabójczynią - domyślił się. - Wysłała cię rodzina królewska, żebyś zabiła przywódców buntowników.

Skinęła potakująco głową i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, posłała w jego stronę kolejną serię strzałów.

Mało brakowało, żeby podstęp się udał. Przeptywająca przez Medda Moc powinna ostrzec go przed nim na długo, zanim Iktotchi wykonała jakikolwiek ruch, ale zakłócenia w komunikacji z Jasną Stroną uczyniły go bezbronnym.

Zamiast próbować jeszcze raz odbić strzały, Medd rzucił się w bok i upadł na twarde podłoże.

Jesteś niezdarny jak dziecko, zganił się w myślach, dźwigając się z ziemi.

Nie chcąc wystawiać się na następną kanonadę, wyciągnął dłoń z rozpostartymi palcami. Posługując się Mocą, wyrwał broń z rąk wroga. Wysiłek wywołał palący ból, który przeszył jego czoło. Jedi wzdrygnął się i zrobił pół kroku w tył, ale blastery poszybowały w powietrzu i wylądowały obok niego.

Ku jego zaskoczeniu zabójczym wydawała się niewzruszona. Czyżby wyczuwała jego strach i niepewność? Iktotchi znani byli z umiarkowanych zdolności prekognitywnych; mówiło się, że dzięki Mocą potrafią zobaczyć fragmenty przyszłości. Niektórzy przypisywali im nawet zdolności telepatyczne. Czy zabójczym mogła w jakiś sposób wykorzystać swoje możliwości, żeby zaburzyć jego połączenie z Mocą?

– Jeśli się poddasz, obiecuję ci uczciwy proces - powiedział Medd, starając się stworzyć wrażenie całkowitej pewności siebie.

Uśmiechnęła się, odsłaniając ostro zakończone zęby.

– Nie będzie żadnego procesu.

Iktotchi wykonała salto w tył, trzepocząc połamami płaszcza, i zniknęła za masywną formacją skalną. W tej samej chwili jeden z blasterów leżących u stóp Medda wydał przenikliwy pisk.

Jedi był przekonany, że rozbroił wroga, tymczasem wpadł w chytrze zastawioną pułapkę. Zdążył jedynie zobaczyć, że blaster ustawiono na przeciążenie, a potem zasobnik energii eksplodował. Ostatnim wysiłkiem Medd spróbował przywołać Moc, żeby osłoniła go przed wybuchem, ale nie mógł przebić się przez osłabiającą mgłę, która osnuła jego umysł. Poczuł tylko strach, gniew i nienawiść.

W chwili gdy eksplozja zakończyła jego życie, Medd zrozumiał prawdziwą grozę Ciemnej Strony.

ROZDZIAŁ 2

Koszmar był znajomy, ale wciąż przerażający.

Znowu ma osiem lat, znowu jest małą dziewczynką skuloną w kącie ciasnej chaty, którą dzieli z ojcem. Na zewnątrz, za postrzępioną zasłoną, która służy im za drzwi, jej ojciec siedzi przy ognisku, spokojnie mieszając w kociołku.

Nakazał jej zostać w środku, w ukryciu, dopóki przybysz się nie oddali. Przez dziurki w poprzecieranej zasłonie dziewczynka widzi nieznanego górującego nad ich domostwem. Jest wielki. Wyższy i potężniejszy od jej ojca. Głowę ma ogoloną, a zbroję i ubranie czarne. Dziewczynka wie, że to jeden z Sithów. Widzi też, że jest umierający.

Dlatego tu przybył. Jej ojciec, Caleb, jest znakomitym uzdrowicielem. Mógłby uratować tego człowieka... ale nie chce.

Mężczyzna się nie odzywa. Nie może. Język ma spuchnięty od trucizny. Ale nietrudno zgadnąć, czego potrzebuje.

– Wiem, kim jesteś - mówi mu jej ojciec. - Nie pomogę ci.

Olbrzym kładzie dłoń na rękojeści miecza świetlnego i robi krok naprzód.

– Nie boję się śmierci - mówi Caleb. - Możesz mnie nawet torturować, jeśli zechcesz.

Niespodziewanie jej ojciec wkłada rękę do wrzątku w garnku wiszącym nad ogniem. Bez emocji i bez jęku trzyma ją w gotującej się zupie, a potem wyciąga pokrytą bąblami.

– Ból nic dla mnie nie znaczy - mówi.

Dziewczynka widzi, że Sith jest zmieszany. To brutalny człowiek, który przemocą i zastraszeniem osiąga to, czego chce. Ale na jej ojcu takie metody nie robią wrażenia.

Mężczyzna powoli odwraca głowę w jej stronę. Przerażona, czuje, jak wali jej serce. Zaciska powieki i stara się nie oddychać.

Otwiera oczy w chwili, gdy jej ciało porywa straszliwa, niewidoczna siła. Unosi ją do góry i wyciąga na zewnątrz. Niewidzialna ręka trzyma ją zawieszoną nad parującym kotłem. Bezradna i roztrzęsiona, czuje smugi gorącej pary, które błędzą po jej policzkach.

– Tato - skamle. - Pomóż mi!

W oczach ojca dostrzega coś, czego nigdy wcześniej u niego nie widziała: strach.

– Dobrze - poddaje się Caleb. - Wygrałeś, dostaniesz swoje lekarstwo.

Serra obudziła się gwałtownie i otarła spływające po policzkach łzy. Nawet teraz, po dwudziestu latach, ten sen napełniał ją grozą. Ale łzy nie były już łzami strachu.

Pierwsze promienie porannego słońca wlewały się przez okno pałacu. Wiedząc, że nie zdoła już zasnąć, Serra odrzuciła błyszczącojedwabną pościel i wstała.

Wspomnienie tej konfrontacji zawsze przepełniało ją uczuciem wstydu i upokorzenia. Jej ojciec był silnym mężczyzną - człowiekiem niezłomnej woli i wielkiej odwagi. To ona była słaba. Gdyby nie ona, mógłby przeciwstawić się człowiekowi, który ich nawiedził.

Gdyby była silniejsza, nie musiałby jej odsyłać.

„Pewnego dnia mężczyzna w czerni powróci - ostrzegł ją ojciec w dniu jej szesnastych urodzin. - Nie może cię tu znaleźć. Musisz odejść. Wyjedź stąd. Zmień imię. Zmień tożsamość. Nigdy więcej o mnie nie myśl”.

A przecież to było niemożliwe. Caleb był jej całym światem. Wszystkiego, co wiedziała o sztuce uzdrawiania, o chorobach i truciznach, nauczyła się od niego.

Podeszła do szafy i zaczęła przeglądać bogatą kolekcję ubrań, zastanawiając się, co włożyć. Przez całe dzieciństwo nosiła prostą, funkcjonalną odzież, którą wyrzucała dopiero wtedy, gdy była już zbyt wytarta i znoszona, żeby ją cerować. Teraz przez cały miesiąc mogła nie wkładać dwa razy tego samego stroju.

Nie każdej nocy śniła o człowieku w czerni. Przez cały pierwszy rok małżeństwa nie śnił jej się prawie nigdy. Jednak w ostatnich miesiącach sen powracał coraz częściej... a wraz z nim rosnące pragnienie, by poznać los ojca.

Caleb odesłał ją z miłości, Serra to rozumiała. Wiedziała, że ojciec chciał tylko jej dobra, dlatego uszanowała jego wolę i nigdy nie wróciła, żeby się z nim zobaczyć. Ale tęskniła za ojcem. Tęskniła za dotykiem jego silnych, zgrubiałych dłoni, które mierzwiły jej włosy. Tęskniła za dźwiękiem jego cichego, ale pewnego głosu, którym recytował prawidła swojego fachu; za słodkim zapachem leczniczych ziół, który unosił się zawsze z jego koszuli, kiedy ją przytulał.

Najbardziej jednak tęskniła za poczuciem bezpieczeństwa, które jej

dawał. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała jego zapewnień, że wszystko będzie dobrze. Ale to było niemożliwe. Mogła jedynie pielęgnować w sobie wspomnienie jego ostatnich słów.

„To straszne, kiedy ojciec nie może opiekować się własnym dzieckiem. Przepraszam cię za to, ale nie ma innego wyjścia. Pamiętaj, proszę, że zawsze będę cię kochał i że cokolwiek się wydarzy, zawsze będziesz moją córką”.

Jestem córką Caleba, pomyślała, leniwie przerzucając wieszaki w swojej szafie. Jestem silna jak mój ojciec.

W końcu wybrała ciemne spodnie i błękitną bluzkę ozdobioną insygniami doańskiej rodziny królewskiej - podarunek od męża. Za nim też tęskniła, ale to była inna sytuacja. Caleb ją odesłał, a Gerrana zabrali jej buntownicy.

Ubierając się, Serra usiłowała nie myśleć o swoim księciu. Ból był zbyt mocny, a jego śmierć zbyt świeża. Górnicy winni jego zabójstwa wciąż byli na wolności... ale miała nadzieję, że już niedługo.

Pukanie do drzwi przerwało jej myśli.

– Proszę! - zawołała, wiedząc, że tylko jedna osoba mogłaby odwiedzić ją w prywatnej komnacie o tak wczesnej porze.

Do pokoju weszła jej osobista strażniczka Lucia. Na pierwszy rzut okiem się nie wyróżniała: wysportowana ciemnoskóra kobieta po czterdziestce o krótkich, kręconych włosach. Jednak pod mundurem Gwardii Królewskiej można było dostrzec twarde, wyraźnie zarysowane mięśnie, a jej oczy miały wyraz, który ostrzegał, że ich właścicielki nie należy lekceważyć.

Serra wiedziała, że Lucia walczyła przed dwudziestu laty w nowych wojnach Sithów. W osławionej jednostce Wędrowców Mroku służyła jako snajper po stronie Bractwa Ciemności, armii, która walczyła z Republiką. Jednak Caleb wielokrotnie wyjaśniał córce, że żołnierze, którzy brali udział w konflikcie, byli zupełnie inni niż dowodzący nimi Mistrzowie Sithów.

Sithowie i Jedi toczyli nieustającą wojnę w imię ideałów, wojnę, w której jej ojciec nie chciał brać udziału. Jednak dla zwykłych żołnierzy, którzy stanowili trzon obu armii, wojna toczyła się o coś innego. Walczącymi po stronie Sithów - mężczyznami i kobietami takimi jak Lucia - kierowało przekonanie, że Republika się od nich odwróciła. Wywłaszczeni przez Senat Galaktyczny, wierzyli, że biją się o wyzwolenie spod jarzma Republiki.

Byli to zwykli ludzie, którzy padli ofiarą sił znajdujących się poza ich kontrolą; łatwe do zastąpienia pionki, dziesiątkowane w bitwach rozgrywanych przez tych, którzy uważali się za wielkich i potężnych.

– Jak spałaś? - spytała Lucia, zamykając za sobą drzwi, żeby zapewnić im

prywatność.

– Nie najlepiej - przyznała Serra.

Okłamywanie kobiety, która do siedmiu lat była jej prawie nieodłączną towarzyszką nie miało sensu. Lucia od razu by ją przejrzała.

– Znowu koszmary?

Księżna pokiwała głową ale nie powiedziała nic więcej. Nigdy nie wyjawiała Lucii treści swoich koszmarów - ani swojej prawdziwej tożsamości - a starsza kobieta szanowała ją na tyle, żeby nie zadawać pytań. Obie miały w swoich życiorysach ciemne karty, o których wołały nie rozmawiać; była to jedna z rzeczy, które je do siebie zbliżały.

– Król chce z tobą rozmawiać - poinformowała ją Lucia.

Jeśli król wzywał ją o tak wczesnej porze, musiało to być coś ważnego.

– Czego chce?

– Myślę, że to ma coś wspólnego z terrorystami, którzy zabili twojego męża - odparła strażniczka, zdejmując cienki czarny welon z wieszaka w rogu pokoju.

Serce księżnej podskoczyło, a palce ześlizgnęły się z ostatniego guzika bluzki. Po chwili opanowała emocje i stała nieruchomo, gdy Lucia mocowała jej na głowie welon. Zgodnie z panującym na Doanie obyczajem Serra miała nosić żałobny woal przez cały rok od śmierci męża... albo do chwili, gdy jej ukochany zostanie pomszczony.

Lucia szybko i z wyćwiczoną precyzją związała długie, czarne włosy Serry i upięła je pod welonem. Strażniczka była przeciętnego wzrostu - nieco niższa od swojej pani - więc Serra nachyliła się lekko, by ułatwić jej zadanie.

– Jesteś księżną - skarciła ją Lucia. - Stój prosto.

Serra mimo woli się uśmiechnęła. Przez minione siedem lat Lucia stała się dla niej jak matka, której nigdy nie miała - zakładając, że jej matka mogłaby służyć jako snajper w osławionych Wędrowcach Mroku podczas wojen Sithów.

Lucia skończyła poprawiać welon i odsunęła się, żeby rzucić ostatnie spojrzenie na swoją podopieczną.

– Olśniewająca jak zawsze - zawyrokowała.

Pod eskortą swojej strażniczki Serra ruszyła przez pałac w kierunku sali tronowej, gdzie czekał na nią król.

Gdy tak maszerowały przez zamkowe korytarze, Lucia zajęła swoją zwykłą pozycję - o krok z tyłu, po lewej stronie księżnej. Ponieważ większość ludzi jest praworęczna, ustawienie po lewej stronie Serry dawało

jej największą szansę na zastąpienie księżnej własnym ciałem przed ciosem potencjalnego zabójcy atakującego z naprzeciwka. Wprawdzie trudno było przypuszczać, by ktoś mógł czegokolwiek próbować tutaj, w murach Pałacu Królewskiego, ale Lucia była zawsze gotowa oddać życie za swoją podopieczną.

Po klęsce Bractwa Ciemności dwadzieścia lat temu Lucia - podobnie jak wielu jej towarzyszy broni służących w armii Sithów - dostała się do niewoli. Przez sześć miesięcy była uwięziona na planecie służącej jako obóz karny, gdzie spawała i naprawiała statki, dopóki Senat nie udzielił powszechnej amnestii wszystkim, którzy służyli w szeregach armii Bractwa.

Przez następane trzynaście lat Lucia pracowała jako strażniczka do wynajęcia, najemnik, a wreszcie łowca nagród. Wtedy właśnie po raz pierwszy spotkała Serrę... i wtedy też dorobiła się długiej, paskudnej blizny, która biegła przez klatkę piersiową aż do pępka.

Ścigała wówczas Salta Zendara, jednego z czterech braci Meerian, którzy opracowali dość bezsensowny plan porwania dla okupu wysokiego muuńskiego urzędnika z centrali Intergalaktycznego Klanu Bankowego. W efekcie tego żałośnie feralnego przedsięwzięcia dwóch z braci zostało zabitych przez ochronę, kiedy próbowali wedrzeć się do siedziby IKB na Muunilinst; trzeci został schwytyany żywcem, czwarty zaś - Salto - zdołał uciec pomimo ciężkich obrażeń.

Nagroda za schwytanie go wyznaczona przez IKB była tak zachęcająca, że przyciągnęła łowców nagród nawet ze Środkowych Rubieży, Lucia więc nie była wyjątkiem. Wykorzystując swoje kontakty z czasów służby w Wędrowcach Mroku, wytropiła Salta w szpitalu na pobliskiej planecie Bandomeer, gdzie leczył rany.

Kiedy jednak Lucia chciała go zaaresztować, młoda kobieta pracująca w szpitalu jako uzdrowicielka stanęła między nią a jej zdobyczą. Pomimo całego arsenału, jaki miała przy sobie Lucia, kobieta nie chciała ustąpić i oświadczyła, że nie pozwoli ruszyć pacjenta w stanie krytycznym.

Uzdrowicielka nie okazywała strachu, nawet kiedy Lucia wyciągnęła blaster i nakazała jej się odsunąć. Pokręciła tylko głową i dalej tkwiła na swoim miejscu.

I może nawet na tym by się skończyło; Lucia nie miała zamiaru zabijać niewinnej kobiety tylko po to, by zgarnąć nagrodę za głowę Salta. Niestety nie była jedynym łowcą nagród, jaki zjawił się tego dnia w szpitalu - Salto był równie nieudolny w zacieraniu śladów, co w porwaniach.

Podczas gdy ona i Serra wciąż trzymały się nawzajem w szachu, do sali

wpadł Twi'lek z blasterami w obu rękach. Lucia odwróciła się w samą porę, żeby oberwać z najbliższej odległości w brzuch; wypuściła z ręki broń i osunęła się na podłogę.

Kiedy uzdrowicielka - imieniem Serra - spróbowała powstrzymać Twi'leka przed uprowadzeniem Salta, ten rąbnął ją kolbą pistoletu w głowę, powalając na podłogę, po czym wywłókł jęczącego pacjenta z łóżka i pociągnął za sobą.

Nie zważając na dziurę w brzuchu, Lucia poczołgała się za nimi. Zobaczyła Twi'leka w połowie korytarza na chwilę przed tym, jak zainkasował strzał w plecy od innego łowcy nagród, który także połazczył się na nagrodę. Dopiero wtedy straciła przytomność.

W oficjalnych raportach liczba łowców nagród obecnych tego dnia w szpitalu wahała się od sześciu do dziesięciu. W przeciwieństwie do Lucii większość z nich nie cofała się przed zabijaniem niewinnych cywilów - lub siebie nawzajem - żeby zdobyć nagrodę. Zanim rzeź dobiegła końca, Salto nie żył, podobnie jak dwóch innych pacjentów, jeden członek personelu szpitalnego, trzech strażników i czterech łowców nagród.

Jedynym powodem, dla którego także Lucia nie znalazła się na liście ofiar, była Serra. Uzdrowicielka wciągnęła ją z powrotem do sali i przeprowadziła błyskawiczną operację, podczas gdy na zewnątrz trwała kanonada. Zdołała uratować Lucii życie pomimo ciosu pistoletem w skroń... i nie zważając na to, że zaledwie parę minut wcześniej Lucia przyłożyła jej broń do głowy.

Lucia zawdzięczała młodej uzdrowicielce życie i poprzysięgła, że od tego dnia będzie ją chronić, cokolwiek Serra zrobi i dokądkolwiek się uda. Nie było to łatwe. Zanim poślubiła Gerrana, Serra dużo podróżowała. Nigdzie nie mogła dłużej zagrzać miejsca; przenosiła się z jednej planety na drugą praktycznie co parę tygodni, zupełnie jakby szukała czegoś, czego mogła nigdy nie odnaleźć, albo uciekała przed czymś, co i tak ją dogoni.

Początkowo uzdrowicielka nie była zachwycona tym, że ktoś jej cały czas pilnuje, ale nie mogła zabronić Lucii podążać za nią. Z czasem zaczęła doceniać walory posiadania wyszkolonej strażniczki na każde zawołanie. Serra gotowa była polecieć wszędzie, gdzie ktoś mógł potrzebować jej pomocy, a Zewnętrzne Rubieże bywały dzikie i niebezpieczne.

Przez te wszystkie lata Lucia stała się kimś więcej niż tylko strażniczką księżnej - była jej powierniczką. i przyjaciółką. A kiedy Gerran poprosił Serre o rękę, ta przyjęła jego oświadczyzny tylko pod warunkiem, że Lucia wciąż będzie mogła służyć przy jej boku.

Królowi się to nie podobało, ale ostatecznie uległ i oficjalnie przyjął Lucię do doańskiej Gwardii Królewskiej. Chociaż jednak ślubowała służyć królowi i chronić całą jego rodzinę, przede wszystkim pozostawała lojalna wobec Serry.

Dlatego była tak zdenerwowana, gdy zbliżały się do sali tronowej. Nie mówiła nic księżnej, ale domyślała się, dlaczego król chciał je widzieć.

Kiedy stanęły przed wejściem, Lucia musiała oddać swój blaster - zgodnie z panującym zwyczajem, w obecności króla broń mogli nosić tylko członkowie jego straży przybocznej. Zrobiła to bez słowa sprzeciwu, chociaż zawsze czuła dyskomfort, kiedy nie miała blastera w zasięgu ręki.

Towarzyszyła księżnej w tyłu audiencjach u króla, że zdążyła przywyknąć do olśniewającego błękitno-złotego wnętrza sali tronowej. Ale tego poranka wyglądało tu jakoś inaczej - wszystko wydawało się większe i jeszcze bardziej imponujące. Sala - zwykle pełna służących, dygnitarzy i gości honorowych - była teraz pusta, nie licząc teścia Serry i czterech członków jego straży przybocznej. Treść rozmowy miała więc pozostać w tych czterech ścianach.

Jeśli nawet dziwna pustka w sali tronowej wzbudziła niepokój Serry, to nie dała tego po sobie poznać. Zbliżyła się do podwyższenia z tronem, na którym siedział król. Lucia podążyła za nią, zachowując podyktowany szacunkiem dystans.

Król wyglądał jak starsza wersja swojego nieżyjącego syna - wysoki i barczysty, o mocnych rysach, złocistych włosach do ramion i krótko przystrzyżonej bródce w nieco jaśniejszym odcieniu. Lucia miała okazję poznać Gerrana w trakcie jego małżeństwa z Serrą, jednak o charakterze jego ojca wiedziała niewiele. Widywała go tylko z daleka, w czasie oficjalnych uroczystości, a w tych okolicznościach zachowywał zawsze urzędową powagę i dystans.

Serra zatrzymała się przed pokrytymi błękitnym dywanem schodami, uklękła na jedno kolano i skłoniła głowę. Lucia stanęła na baczność trzy kroki za nią.

– Wzywałś mnie, Wasza Wysokość?

– Terroryści, którzy zorganizowali zamach na mojego syna, zostali zabici dziś w nocy.

– Jesteś pewien? - spytała, podnosząc wzrok na siedzącego na tronie króla.

– Patrol straży, dzięki anonimowej informacji, znalazł ich w starej jaskini, której używali jako kwatery.

– To wspaniała wiadomość! - zawołała Serra, a jej twarz się rozjaśniła. Wyprostowała się i zrobiła krok w stronę tronu, jakby zamierzała objąć króla. Ale jej teść się nie poruszył. Serra cofnęła się zmieszana, a strażnicy spojrzeli na nią podejrzliwie.

Widząc chłód króla wobec własnej synowej, Lucia poczuła się dziwnie. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy jej niepokoju.

– Czy jest coś, czego mi nie mówisz, panie? - spytała księżna. - Czy wszystko jest w porządku? Czy to na pewno była Gelba?

– Jej ciało zostało zidentyfikowane. Zginęło przy tym dwóch jej ochroniarzy i trzech adiutantów... a także Cereanin nazwiskiem Medd Tandar.

– Cereanin?

– Był Rycerzem Jedi.

Serra pokręciła głową nie rozumiejąc tej informacji.

– Co Jedi robił na Doanie?

– Jeden z członków Rady zwrócił się do mnie z prośbą żebym pozwolił ich człowiekowi na nawiązanie kontaktu z buntownikami - wyjaśnił jej król.
- Przychyliłem się do tej prośby.

Księżna zamrugła z niedowierzaniem. Lucia wciąż stała na baczność, nie okazując emocji, chociaż była tak samo zaskoczona jak jej pani.

– Zawsze staraliśmy się trzymać Jedi i Senat z dala od naszych spraw na Doanie - zauważyła Serra.

– Nasza polityka stała się obiektem nagonki - wyjaśnił król. - Buntownicy zyskują coraz większe poparcie wśród galaktycznej społeczności. Jeśli chcemy ocalić doański styl życia, potrzebujemy sojuszników. Dzięki współpracy z Jedi Zakon i Senat będą mniej skorzy do podjęcia działań przeciw nam.

– Po co ten Tandar tu przyleciał? - spytała chłodno Serra.

Król zmarszczył brwi; Lucia domyśliła się, że nie lubi być przesłuchiwany we własnej sali tronowej. Ale, być może z szacunku do utraconego syna, nie skarcił księżnej.

– Jedi dowiedzieli się, że buntownicy prawdopodobnie wykopali skrytkę ze starożytnymi talizmanami i innymi przedmiotami przepelnionymi potęgą Ciemnej Strony. Cereanin został wysłany, by sprawdzić te informacje. Gdyby okazały się prawdziwe, miał dostarczyć talizmany do Świątyni Jedi na Coruscant, gdzie nikomu nie mogłyby wyrządzić krzywdy.

Lucia rozumiała motywy, dla których król zezwolił Jedi na przeprowadzenie misji na Doanie. Arystokracja na pewno sobie nie życzyła,

żeby ich wrogowie znaleźli się w posiadaniu potencjalnie śmiercionośnej broni. Jeśli doniesienia były prawdziwe, to najlepiej było oddalić zagrożenie, pozwalając Jedi się tym zająć. Niestety, śmierć Cereanina nie była częścią planu.

– Uważasz, że Jedi będą cię winić za śmierć Medda - skonstatowała księżna. Jej przenikliwy umysł zaczął dopasowywać do siebie elementy układanki. - Wiedziałeś, że nawiązał kontakt z buntownikami; wygląda to tak, jakbyś wynajął zabójcę, żeby poszedł za nim do ich kryjówek.

Król pokiwał z powagą głową.

– Śmierć Gelby to poważny cios dla naszych przeciwników, ale jej miejsce zajmą inni. Terrorysty mnożą się jak insekty i wojna z nimi nie skończy się prędko. Jak dotąd, Senat nie ingerował w nasze próby oczyszczenia świata z tych bandytów. Ale jeśli uznają, że wykorzystałem Jedi dla zaspokojenia osobistej żądzy zemsty, to nie będą siedzieć z założonymi rękami.

Król podniósł się z tronu i wyprostował; teraz górował na Serrę, stojącą na stopniach prowadzących na podwyższenie.

– Ale zabójca nie działał z mojego rozkazu! - oświadczył mocnym głosem, który odbił się echem od murów sali tronowej. - To stało się bez mojej wiedzy i zgody... Takie jawne pogwałcenie dońskiego prawa może nas bardzo drogo kosztować!

– Czy po to mnie tu wezwałeś, panie? - zapytała Serra, niespeszona jego gniewem. - Żeby oskarżyć mnie o zdradę?

Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, zanim król znowu przemówił.

– Kiedy mój syn oświadczył, że ma zamiar cię poślubić, sprzeciwiłem się temu związkowi - powiedział.

Mówił teraz swobodnie, zupełnie jakby to była pogawędka przy obiedzie. Ale Lucia widziała, że wzrok ma wciąż utkwiony w księżnej i uważnie się jej przygląda.

– Tak, panie - odparła Serra, nie okazując emocji. - Mówił mi o tym.

– Masz swoje tajemnice - ciągnął król. - Wszystkie moje próby dowiedzenia się czegoś o twojej rodzinie spełzyły na niczym. Twoja przeszłość jest dobrze ukryta.

– Moja przeszłość nie ma żadnego znaczenia, panie. Twój syn to akceptował.

– Obserwowałem cię przez te trzy lata - przyznał król. - Zauważyłem, że kochasz mojego syna i że jesteś zdruzgotana po jego śmierci.

Serra nic nie powiedziała, ale Lucia dostrzegła, że na wspomnienie męża w jej oczach zaczęły zbierać łzy.

– W ciągu tych lat zacząłem doceniać przymioty, które widział w tobie mój syn. Twoją siłę, inteligencję, lojalność wobec naszej rodziny. Ale teraz, kiedy mój syn nie żyje, zastanawiam się, wobec kogo jesteś naprawdę lojalna.

– Kiedy wychodziłam za Gerrana, ślubowałam wierność Koronie - powiedziała Serra stanowczym głosem, mimo że chciało jej się płakać. - I chociaż jego już nie ma, to nie zhańbię jego pamięci, sprzeniewierzając się ślubowaniu.

– Wierzę ci - odezwał się król po długiej chwili dziwnie zgaszonym głosem. - Chociaż w żaden sposób nie przybliżyła mi to do odpowiedzi na pytanie, kto stał za atakiem.

Lucia wypuściła dyskretnie powietrze, które zupełnie bezwiednie przetrzymywała w płucach.

Król usiadł z powrotem na tronie. Na jego twarzy malowały się zwątpienie i nieukojonny żal po stracie syna. Serra podeszła, uklękła przy teściu i położyła mu rękę na ramieniu w pocieszającym geście, ignorując groźne spojrzenia strażników.

– Twój syn był kochany przez wszystkich możliwych na Doanie - powiedziała. - A buntownicy są powszechnie pogardzani. Każdy z arystokratów mógł wynająć zabójcę, nawet nie wiedząc, że będzie tam Jedi. Śmierć Cereanina to był nieszczęśliwy wypadek, a nie jakiś złowrogi spisek.

– Obawiam się, że Jedi nie dadzą się tak łatwo przekonać - westchnął król.

– Więc pozwól mi z nimi porozmawiać - zaproponowała Serra. - Wyślij mnie na Coruscant. Wy tłumaczę im, że nie miałeś w tym udziału.

– Widywałem cię w pałacowych korytarzach w ciągu tych ostatnich miesięcy - powiedział król. - Wiem, że wciąż nosisz w sobie ból po stracie mojego syna. Nie mogę cię o to prosić, póki oplakujesz jego śmierć.

– Właśnie dlatego to ja powinnam polecić - zareplikowała Serra. - Jedi będą bardziej skłonni okazać współczucie pogrążonej w żałobie wdowie. Pozwól mi zrobić to dla ciebie, panie. Gerran by tego chciał.

Król przez chwilę rozważał jej propozycję, a wreszcie pokiwał głową.

Serra wstała i ukloniła się na pożegnanie. Lucia opuściła salę tronową w ślad za nią, zatrzymując się tylko przy drzwiach, żeby odebrać broń.

Dopiero gdy znalazły się z powrotem w zaciszu książęcej komnaty, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, jedna z nich ośmieliła się odezwać.

- Zabierz to gdzieś i spal - rzuciła Serra, zrywając z głowy welon i ciskając na podłogę. - Nie chcę go więcej widzieć.

- Muszę ci coś wyznać - powiedziała Lucia, podnosząc z podłogi zbędną już część garderoby.

Serra odwróciła się w jej stronę, ale Lucia nie potrafiła wyczytać nic z wyrazu twarzy księżnej.

- To ja wynajęłam zabójcę, który zabił Gelbę - wypaliła szybko, żeby wyrzucić to z siebie.

Chciała powiedzieć dużo więcej. Chciała wytłumaczyć jej, że nie wiedziała nic o wizycie Jedi na Doanie. Chciała, żeby Serra zrozumiała, że zrobiła to tylko dla jej dobra.

Lucia zawsze wyczuwała w uzdrowicielce dziwny mrok, jakiś cień nad jej duszą. Po śmierci Gerrana ten cień urósł. Widziała, jak jej przyjaciółka pogrąża się w rozpacz, jak tydzień po tygodniu i miesiąc po miesiącu krąży bez celu po zamkowych korytarzach w czarnym żałobnym stroju jak umęczony duch.

Chciała jedynie ulżyć księżniczce w jej cierpieniu. Myślała, że jeśli winni śmierci Gerrana zostaną ukarani, to może Serra znajdzie ukojenie i zdoła wyrwać się z tego cienia, który ją okrył.

Chciała jej o tym wszystkim powiedzieć, ale nie potrafiła. Była prostym żołnierzem; nie miała talentów krasomówczych.

Serra podeszła do niej i objęła ją czule.

- Kiedy król powiedział, że ktoś mógł wynająć zabójcę, żeby pomścić śmierć Gerrana, pomyślałam, że to mogłaś być ty - wyszeptała. - Dziękuję.

Lucia zrozumiała, że nie musi księżnej już nic więcej mówić. Jej przyjaciółka wszystko wiedziała.

- Myślę, że powinnaś powiedzieć królowi - zaproponowała Lucia, kiedy księżna wypuściła ją w końcu z ramion.

- Kazałby cię aresztować - powiedziała Serra, kręcąc stanowczo głową. - A przynajmniej usunąłby cię ze stanowiska. Nie mogę na to pozwolić. Musisz być przy mnie, kiedy polecę na Coruscant.

- Nadal chcesz rozmawiać z Jedi? - spytała zaskoczona strażniczka. - Co im powiesz?

- Śmierć Medda to był wypadek. Król nie miał z tym nic wspólnego. Nic więcej nie muszą wiedzieć.

Lucia nie czuła się przekonana, ale знаła księżnę wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że dalsza dyskusja byłaby stratą czasu. Serra nie miała zamiaru jej wydać ani królowi, ani Jedi. Ale Lucia nie mogła tego tak

zostawić.

– Nie chciałam ściągnąć na ciebie kłopotów. Ani na króla. Przepraszam.

– Nigdy mnie za to nie przepraszaj! - fuknęła Serra. - Gelba i jej poplecznicy dostali dokładnie to, na co zasłużyli. Żałuję tylko, że mnie tam nie było, żeby zobaczyć to na własne oczy.

Jad w jej słowach - czysta nienawiść i gniew - zaskoczył Lucię. Odruchowo odsunęła się od swojej przyjaciółki. Ale wtedy Serra się uśmiechnęła i chwila niezręcznej ciszy minęła.

– Powinniśmy wylecieć najszybciej, jak to możliwe - zauważyła księżna.
- Lepiej, żebyśmy nie kazały Radzie czekać.

– Zajmę się przygotowaniem - obiecała Lucia, chociaż wiedziała, że minie kilka dni, zanim będą mogły wreszcie wylecieć. Księżna Serra nie mogła tak po prostu opuścić Doan; trzeba było przestrzegać protokołu dyplomatycznego i biurokratycznych procedur.

– Wszystko będzie dobrze - zapewniła ją Serra. Podeszła bliżej i położyła rękę na jej ramieniu. - Gelba nie żyje. Mój mąż jest pomszczony. Krótkie spotkanie z jednym z Mistrzów Jedi i wszystko będzie za nami.

Lucia pokiwała głową, ale wiedziała, że to nie będzie takie proste. Że kłopoty nie znikną ot, tak sobie. Śmierć Jedi uruchomiła lawinę wydarzeń, która dla nich obu mogła się bardzo źle skończyć.

ROZDZIAŁ 3

O tej porze dnia kantyna była niemal zupełnie pusta; bywalcy zaczynali się schodzić dopiero późnym wieczorem. I właśnie dlatego Darth Bane zaplanował to spotkanie na wczesne popołudnie.

Jego partner - łysiejący, lekko otyły mężczyzna około pięćdziesiątki, nazwiskiem Argel Tenn - już był; siedział w prywatnym saloniku na zapleczu lokalu. Nikt nie zwrócił specjalnej uwagi na Mrocznego Lorda, gdy przechodził przez salę; wszyscy, łącznie z Argelem, znali go tutaj jako Seppa Omeka, jednego z wielu zamożnych kupców, którzy mieszkali na Ciutric.

Bane usiadł naprzeciwko mężczyzny i przywołał kelnerkę dyskretnym skinieniem ręki. Podeszła, przyjęła zamówienie, po czym oddaliła się, pozwalając im zająć się interesami. Na Ciutric kupcy często dobijali targu na tyłach barów i klubów, a obsługa umiała uszanować prywatność klientów.

- Dlaczego nigdy nie spotykamy się w twojej rezydencji? - spytał Argel na powitanie. - Podobno masz jedną z najlepiej zaopatrzonych piwniczek z winem na tej planecie.

- Wolałbym, żeby moja siostra nie wiedziała o naszych interesach - odparł Bane.

Argel zaśmiał się cicho.

- Całkowicie to rozumiem.

Przerwał, kiedy kelnerka wróciła i postawiła przed nimi drinki, a gdy odeszła, mówił dalej ściszym głosem:

- Wielu moich klientów nie przyznaje się przed rodziną i znajomymi do swojego zainteresowania Ciemną Stroną.

Kontakty z Argelem zawsze napawały Bane'a lekkim wstrętem, ale w tych kwestiach nie było nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić. Korpulentny handlarz był głównym dostawcą zakazanych manuskryptów Sithów na rynku. Zgromadził w ten sposób małą fortunę: dyskretnie je wyszukiwał, kupował, a potem dostarczał osobiście swoim klientom, dbając o to, by ich nazwisk nikt nie mógł powiązać z transakcją.

Oczywiście większą część jego klienteli stanowili zwykli kolekcjonerzy albo wielbiciele Sithów, którzy pragnęli po prostu posiadać jakiś przedmiot

oficjalnie zakazany przez Radę Jedi. Tak naprawdę nie rozumieli Ciemnej Strony ani jej potęgi. Kupowali i sprzedawali manuskrypty w błogiej nieświadomości, nie wiedząc, z czym mają w istocie do czynienia.

To właśnie budziło w Banie odrazę, którą czuł przy każdym spotkaniu z Argel. Człowiek ten przedstawiał się jako znawca Ciemnej Strony, tymczasem kupczył sekretami starożytnych Sithów, jakby to były tandetne dywany na bazarze. Bane czuł obrzydzenie na samą myśl, jakie skarby przechodziły przez ręce handlarza i trafiały do tych, którzy byli zbyt słabi i zbyt prymitywni, żeby kiedykolwiek zrobić z nich użytek.

Czasem miał ochotę wyjawić Argelowi swoją prawdziwą tożsamość tylko po to, żeby zobaczyć jego przerażenie. Chciał patrzeć, jak grubas płaszczy się u stóp prawdziwego Sitha, błagając o litość. Jednak małosłowna zemsta na takim nic nieznaczącym śmieciu byłaby poniżej jego godności. Argel był pożyteczny, dlatego Bane nadal odgrywał swoją rolę kupca owładniętego obsesją Sithów.

– Mam nadzieję, że znalazłeś to, czego chciałem - mruknął. - Informacje, które mi przekazałeś, były dosyć mętne.

– Obiecuję ci, Sepp - odparł mężczyzna z chytrym uśmiechem - nie będziesz rozczarowany. Ale nie masz pojęcia, jak było ciężko - dodał z przesadnie głośnym westchnieniem. - To, czego szukasz, jest nielegalne. Zakazane przez Radę Jedi.

– Wszystko, czym handlujesz, jest zakazane przez Radę Jedi.

– Ale teraz to co innego. Nigdy wcześniej nie słyszałem imienia Darth Andeddu. Żaden z moich dostawców też nie. Musiałem poszukać innych dojców. Ale w końcu się udało, jak zawsze.

Bane popatrzył gniewnie.

– Mam nadzieję, że byłeś ostrożny. Nie chciałbym, żeby słuchy o tym dotarły do Jedi.

Argel się roześmiał.

– Co jest, Sepp? Czyżby twoje interesy nie były do końca czyste? Boisz się, że Rada zacznie cię ścigać za oszustwa podatkowe?

– Coś w tym rodzaju.

– Nie bój się, nikt się nigdy nie dowie, że miałeś z tym coś wspólnego. Wspominam o tym tylko dlatego, że chyba będziemy musieli renegocjować cenę.

– Mieliśmy umowę.

– Spokojnie, wiesz, że moja początkowa stawka zawsze jest tylko szacunkowa - przypomniał mu Argel. - Musiałem potroić moje normalne

wydatki, żeby wytropić ten konkretny przedmiot. Ale jestem gotów zaproponować ci cenę okazijną: tylko dwa razy więcej w stosunku do mojej pierwotnej oferty.

Bane zacisnął zęby, zdając sobie sprawę, że jego nadzieje na szybkie zakończenie rozmowy właśnie się rozwiewają. Oczywiście miał wystarczające fundusze, żeby po prostu zapłacić, ale to by wzbudziło podejrzenia. Musiał grać dalej swoją rolę chytrego kupca. Gdyby nie wyklócał się o każdy kredyt, zostałyby to dziwnie przyjęte.

– Mogę ci dać dodatkowe dziesięć procent. Nic więcej.

Targowali się ostro jeszcze przez dwadzieścia minut, aż wreszcie zgodzili się na dodatek czterdziestu procent do ceny początkowej.

– Interesy z tobą to czysta przyjemność - powiedział Argel, kiedy ustalili już kwotę należności.

Spod kamizelki wyciągnął cienką tubę, długą na jakieś trzydzieści centymetrów. Z jednej strony była zaplombowana, a z drugiej zakończona mocno dokręconym wieczkiem.

– Gdyby towar nie spełniał twoich oczekiwań - zaznaczył, wręczając przedmiot Bane'owi - chętnie przyjmę go z powrotem i zwrócę ci koszty... oczywiście pomniejszone o rozsądną prowizję.

– Nie sędzę, żeby to było konieczne - odparł Bane, zaciskając palce na tubie.

Skoro transakcja została sfinalizowana, nie było sensu siedzieć dłużej w kantynie. Bane nie mógł się doczekać, by obejrzeć swoją zdobycz, ale wstrzymał się do czasu, aż znalazł się w zaciszu biblioteki swojej posiadłości. Przy bladym świetle sączącym się z sufitu ostrożnie odkręcił wieczko. Przechylił tubę, z której wysunął się zwinięty, pojedynczy arkusz pergaminu.

Instrukcje, które przekazał Argelowi, były proste: szukać wszelkich ksiąg, tomów, woluminów, manuskryptów i zwojów, w których byłaby jakakolwiek wzmianka o Lordzie Sithów imieniem Darth Andeddu. Nie mógł mu powiedzieć nic więcej, bo bał się, że mogłoby go to narazić na podejrzenia i niewygodne pytania. Miał jednak nadzieję, że to wystarczy.

Przez dwa miesiące jego dostawca nie znalazł nic. Bane zaczynał się już obawiać, że Jedi zdołali zatrzeć wszelki ślad po Andeddu i jego tajemnicach, Argel w końcu jednak zrealizował zamówienie.

Zwój był pożółkły ze starości. Bane delikatnie rozwinął wysuszony, splekany arkusz i zadumał się nad długim i tajemniczym łańcuchem wydarzeń, który sprawił, że zwój nie tylko przetrwał tysiąclecia, ale i trafił

ostatecznie w jego ręce. Sam postanowił odnaleźć zwój, ale czuł, że w jakimś sensie jego decyzja była z góry przesądzona. Zwój był częścią dziedzictwa Sithów; dziedzictwa, którego Bane był teraz pełnoprawnym spadkobiercą. Wydawać by się mogło, że odnalezienie go było jego przeznaczeniem, tak samo nieuniknionym, jak ostateczne zwycięstwo Ciemnej Strony nad Jasną.

Arkusze wykonano z wyprawionej skóry zwierzęcia, którego nie potrafił zidentyfikować. Po jednej stronie był szorstki i upstrzony ciemnymi plamami. Druga strona została wybielona i wygładzona, zanim pokryto ją linijkami odręcznego pisma w języku, który Bane od razu rozpoznał.

Litery były ostre i kanciaste, o agresywnej stylistyce; był to alfabet pierwszych Sithów, wymarłej od dawna rasy, która władała Korribanem prawie sto tysięcy lat temu.

Oczywiście nie oznaczało to, że sam dokument był tak stary. Za to na pewno ten, kto go napisał, czcił i szanował kulturę Sithów na tyle, że przyjął ją za swoją własną.

Bane zaczął czytać, zmagając się z archaicznym językiem. Zgodnie z obietnicą Argela nie był zawiedziony treścią. Zwój był religijnym manifestem uznającym Dartha Andeddu za Nieśmiertelnego i Wiecznego Króla planety Prakith. Obwieszczał także, że dla upamiętnienia tego doniosłego wydarzenia zostanie wzniesiona wspaniała świątynia ku czci króla.

Zadowolony Bane zwinął dokument i wsunął z powrotem do ochronnej tuby. Chociaż było to zaledwie kilka akapitów nagryzmołonych na pojedynczym arkuszu pergaminu, zawierały to, czego potrzebował.

A więc wyznawcy Andeddu zbudowali ku jego czci świątynię na Prakith, jednej z planet Głębokiego Jądra. Bane był pewien, że właśnie tam znajdzie holocron Mrocznego Lorda. Musiał jednak znaleźć jakiś sposób, żeby zdobyć go, nie wzbudzając podejrzeń Zannah.

Holocron Andeddu dawał nadzieję na nieśmiertelność; dzięki niemu mógłby żyć wystarczająco długo, żeby znaleźć i wyszkolić nowego następcę. Jego obecna uczennica mogłaby zrozumieć znaczenie holocronu; było to dość mało prawdopodobne, ale wolał nie ryzykować. Wprawdzie Zannah nie kwapiła się, by rzucić mu bezpośrednio wyzwanie, jednak Bane był pewien, że gdyby dowiedziała się o jego planach, zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby go powstrzymać.

Nie mógł pozwolić, żeby obawy Zannah stały się katalizatorem, który skłoniłby ją wreszcie do konfrontacji. Przystąpienie do walki tylko z powodu świadomości grożącego odrzucenia oznaczałoby, że powoduje ją wyłącznie

instynkt przetrwania. Żeby jego następcy wzmocnili się na tyle, by zniszczyć Jedi, musieli wykazać się czymś więcej. Zannah powinna rzucić mu wyzwanie z własnej inicjatywy, a nie w odpowiedzi na jego działania. Tylko wtedy będzie to miało wartość.

Na tym polegał cały paradoks złożonej relacji uczeń-Mistrz: Bane znalazł się teraz na pozycji niemożliwej do utrzymania. Nie mógł wysłać po holocron Zannah, a gdyby wybrał się po niego sam, uczennica z pewnością zaczęłaby coś podejrzewać. Teraz rzadko już opuszczał planetę; każda podróż od razu wzmogłaby jej czujność. Mogłaby próbować go śledzić albo przygotować jakąś pułapkę na jego powrót.

Chociaż rozczarowała swojego Mistrza, unikając konfrontacji, Zannah wciąż była groźnym i potężnym przeciwnikiem. Nie można było wykluczyć, że go pokona, a wówczas los Sithów spocząłby w rękach przywódcy pozbawionego ambicji i niezbędnej motywacji. A to zatrzałoby Zakon, który w końcu musiałby zginąć.

Na coś takiego Bane nie mógł pozwolić. Musiał znaleźć coś, co zaprzętnie uwagę Zannah, podczas gdy on uda się w długą, męczącą podróż do Głębokiego Jądra.

Na szczęście miał już pewien pomysł.



Osobisty gabinet Bane'a - w przeciwieństwie do zacisznej biblioteki, wciśniętej w róg posiadłości - huczał niczym ul od nieustającej elektronicznej aktywności. Nawet kiedy nikogo w nim nie było, pokój rozświetlały migające obrazki aktualności z HoloNetu, blask ekranów wyświetlających notowania z tuzina różnych giełd planetarnych i mrugające odczyty na monitorach, informujące o wiadomościach napływających od sieci informatorów, którą Bane i Zannah tworzyli latami.

Cała rezydencja była urządzona ekstrawagancko i luksusowo, jednak na ten pokój wydano więcej kredytów niż na jakikolwiek inny. Dzięki wszystkim tym terminalom, holoprojektorom i ekranom wyglądał bardziej jak centrum telekomunikacyjne ruchliwego portu kosmicznego niż pokój w prywatnym domu. Tutaj nie znalazłoby się ostentacyjnej manifestacji bogactwa; było to raczej świadectwo efektywności i praktycyzmu. Każdy

element wyposażenia został starannie dobrany z myślą o obsłudze ogromnej masy danych, która przepływała przez pokój - tysiące jednostek danych na godzinę; wszystkie były zapisywane i przechowywane do późniejszego przeglądu i analizy.

Gabinet za to miał utrzymywać wizerunek zamożnego przedsiębiorcy, obsesyjnie śledzącego wiadomości z najdalszych zakątków galaktyki w poszukiwaniu intratnych pomysłów biznesowych. W pewnym sensie była to nawet prawda. Każdy kredyt wydany na wyposażenie gabinetu był inwestycją, która miała zwrócić się po stokroć. W ciągu minionej dekady dzięki zgromadzonym informacjom Bane bardzo powiększył swój majątek... chociaż dla Mrocznego Lorda dobra materialne były jedynie środkiem do celu.

Wiedział, że siła bierze się z wiedzy, a jego pokaźny kapitał pozwolił mu zebrać bezcenną kolekcję nauk starożytnych Sithów, którą przechowywał dobrze zabezpieczoną w swojej bibliotece. Jednak interesowało go coś więcej niż tylko zapomniane tajemnice Ciemnej Strony. Od auli Senatu Republiki aż po plemienne rady najodleglejszych planet na Zewnętrznych Rubieżach źródłem władzy była zawsze informacja. Historię tworzyły jednostki, które rozumiały, że informacja, odpowiednio wykorzystana i kontrolowana, może pokonać każdą armię.

Bane przekonał się o tym na własne oczy. Bractwo Ciemności zostało zniszczone nie przez Jedi i ich Armię Światła, lecz przez precyzyjny plan jednego człowieka. Pradawne zwoje i manuskrypty mogły odsłonić tajemnice Ciemnej Strony, ale żeby doprowadzić do upadku Jedi i Republiki, Bane musiał najpierw dowiedzieć się wszystkiego o swoich wrogach. Siatka agentów i pośredników, którą budował przez lata, stanowiła kluczowy element jego planu, ale uważał, że to za mało. Jednostki były zawodne; ich relacje nieobiektywne i niekompletne.

Jeśli tylko było to możliwe, Bane wolał opierać się na oryginalnych danych wyciąganych z sieci informacji, która oplatała każdą planetę Republiki. Musiał znać każdy szczegół każdego planu, jaki rodził się w Senacie czy Radzie Jedi. Żeby wpływać na losy galaktyki i żeby doprowadzić do upadku Republiki, należało wiedzieć, co w danym momencie robi przeciwnik, i przewidywać, co zrobi później.

Złożoność machinacji Bane'a wymagała zachowania nieustającej czujności. Musiał na bieżąco reagować na nieoczekiwane wydarzenia, modyfikując swoje długofalowe plany, tak aby utrzymać je na właściwych torach. A przy tym należało jak najpełniej wykorzystywać niespodziewane

okazje, które zsyłał los. Takie jak sytuacja na Doanie.

Bane nigdy wcześniej nie zwracał specjalnej uwagi na tę małą górniczą planetę na Zewnętrznych Rubieżach. To się zmieniło trzy dni temu, gdy zauważył wniosek o zwrot kosztów, zgłoszony do zatwierdzenia przez Senat w imieniu doańskiej rodziny królewskiej.

Bane często przeglądał sprawozdania budżetowe Senatu. Zgodnie z prawem wszystkie dokumenty finansowe, przekazywane oficjalnymi kanałami Republiki, były udostępniane do wglądu... oczywiście za opłatą. Cena była wysoka, a jedynym efektem okazywała się zazwyczaj monotonna lista przepisów celnych, podatków nałożonych w związku z umowami gospodarczymi oraz wniosków o dofinansowanie rozmaitych projektów lub grup interesów. Niekiedy jednak wśród tych śmieci trafiało się coś naprawdę godnego uwagi. W tym wypadku jednowierszowa pozycja, zawierająca prośbę o zwrot kosztów poniesionych przez doańską rodzinę królewską w związku z transportem ciała cereańskiego Jedi nazwiskiem Medd Tandar na Coruscant.

Żadnych innych szczegółów nie podano; sprawozdania budżetowe rzadko kiedy opisywały powody zdarzeń. Za to Bane'a bardzo to zainteresowało. Co robił Rycerz Jedi na Doanie? I, co ważniejsze, jak zginął?

Odkąd natknął się na to sprawozdanie, Bane przekopywał swoje źródła w poszukiwaniu odpowiedzi. Tam, gdzie w grę wchodził Jedi, trzeba było postępować ostrożnie; żeby przetrwać, Sithowi musieli pozostawać w cieniu. Ale z pomocą długiego łańcucha biurokratów, służących i płatnych informatorów zebrał wystarczająco dużo faktów, żeby wiedzieć, że sytuacja warta jest bardziej wnikliwego śledztwa.

Dlatego też wezwał Zannah.

Siedząc przy biurku wśród ekranów i holoprojektorów, słyszał, jak idzie korytarzem, stukając ciężkimi obcasami o podłogę. Po lewej stronie biurka leżał dysk zawierający wszystkie informacje, jakie udało mu się zebrać na temat Medda Tandara i jego wizyty na Doanie. Nie zastanawiając się, sięgnął po niego i... ręka zawisła w powietrzu, dygocząc mimowolnie. Cofnął ją gwałtownie i schował pod biurkiem w momencie, gdy Zannah wchodziła do pokoju.

– Wzywałś mnie, Lordzie Bane?

Nie dała po sobie poznać, że zauważyła drżenie dłoni, jednak Bane był pewien, że nie uszło jej uwagi. Czyżby próbowała go przechytrzyć? Udawać, że nie dostrzega jego słabości, żeby uspić czujność Mistrza? A może po cichu triumfowała, czekając cierpliwie, aż Ciemna Strona po prostu zniszczy jego

ciało?

Zannah była tylko o dziesięć lat młodsza od Bane'a; ale jeśli Ciemna Strona odciskała na jej ciele podobne piętno, to nie dawało się ono jeszcze zauważyć. W odróżnieniu od swojego Mistrza Zannah nigdy nie została zaatakowana przez orbaliski. Musiało upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim jej ciało podda się destrukcyjnej sile Ciemnej Strony.

Jej złociste włosy były wciąż gęste i lśniące, skóra idealnie gładka. Przy średnim wzroście miała ciało gimnastyczki: smukłe, giętkie i silne. Dziś miała na sobie obcisłe czarne spodnie i czerwony kaftanik bez rękawów, zdobiony srebrnym haftem - strój zgodny z obowiązującą na Ciutric modą ale także praktyczny, niekrępujący ruchów.

Rękojeść dwustronnego miecza świetlnego zwisała u jej biodra; od paru lat nie pokazywała się nigdy w obecności swojego Mistrza bez miecza. Zakrzywiona rękojeść broni Bane'a też była przypięta do pasa... Głupio byłoby paradować bez broni i wystawiać się na atak uczennicy, która przysięgła, że pewnego dnia go zabije.

Wciąż czekam na ten dzień, pomyślał Bane. A głośno powiedział:

– Chcę, żebyś wybrała się na Zewnętrzne Rubieże, na planetę o nazwie Doan. Trzy standardowe dni temu został tam zamordowany pewien Jedi.

– Każdy, kto jest na tyle potężny, żeby zabić Jedi, zasługuje na zainteresowanie - przyznała Zannah. - Wiemy, kto za to odpowiada?

– Tego właśnie masz się dowiedzieć.

Zannah kiwnęła głową i zmrużyła oczy, analizując uzyskaną informację.

– Co robił Jedi na jakiejś nic nieznaczącej planecie na Zewnętrznych Rubieżach?

– Tego też powinnaś się dowiedzieć.

– Jedi pewnie także kogoś wyślą, żeby zbadać sprawę - zauważyła.

– Nie od razu - zapewnił ją Bane. - Dońska rodzina królewska wykorzystuje polityczne wpływy, żeby opóźnić dochodzenie. Wyślali na Coruscant przedstawiciela, który ma się spotkać z Radą Jedi.

– Rodzina królewska musi być bogata; takie względy mają swoją cenę. Mała planeta, niezbyt znana, ale z zamożnym monarchą. Jakieś cenne surowce? Górnictwo? - domyśliła się.

Zannah zawsze umiała wychwytywać ułamki informacji i składać je w sensowną całość. Byłaby godnym następcą, gdyby tylko miała dość ambicji, żeby zagarnąć tron Sithów.

– Planeta jest rozkopana prawie po samo jądro. Na powierzchni zostało tylko parę kilometrów terenu nadającego się do zamieszkania; cała żywność

pochodzi z importu. Większość ludzi mieszka i pracuje w kopalniach odkrywkowych.

– Brzmi uroczo - mruknęła i dodała: - Wylecę jeszcze dziś wieczorem.

Bane kiwnął głową, pozwalając uczennicy się oddalić. Dopiero po jej wyjściu odważył się położyć wciąż drżącą rękę z powrotem na blacie biurka.

Śmierć Jedi zawsze budziła jego ciekawość, ale tak naprawdę dużo bardziej interesowało go odnalezienie holocronu Andeddu niż efekty misji Zannah.

Na szczęście incydent na Doanie stworzył mu idealną okazję. Śledztwo na Zewnętrznych Rubieżach powinno zapewnić jego uczniowi zajęcie, podczas gdy on przemierzać będzie niebezpieczne szlaki nadprzestrzenne prowadzące ku Jądru, aby zdobyć holocron. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wróci na długo przedtem, zanim niczego niepodejrzewająca Zannah pojawi się, by zdać mu relację ze swojej wyprawy.

Pełen wiary w swój plan, Bane skoncentrował wysiłki na powstrzymaniu drgawek, które wciąż trzęsły jego ręką. Zaangażował w to całą siłę woli, mięśnie jednak cały czas dygotały w niekontrolowany sposób. Poirytowany zacisnął pięść i uderzył nią z całej siły w powierzchnię biurka, zostawiając wgłębienie w miękkim drewnie.

ROZDZIAŁ 4

Bliźniacze księżycy Ciutric IV oświetlały śmigacz Zannah, mknący przez wieczorne niebo. Nocne chmury dopiero zaczynały się formować; tworzyły delikatny welon, który rozpraszał się przed jej pojazdem. W odległości paru kilometrów widać było światła głównego portu kosmicznego Daplony.

Światełko na pulpicie nawigacyjnym zamrugało, ostrzegając, że śmigacz zbliża się do dwukilometrowego pasa ograniczonego ruchu powietrznego wokół portu. Wprawnie operując sterami, Zannah podeszła do lądowania w strefie zarezerwowanej dla tych, których stać było na własne hangary dla prywatnych promów.

Gdy tylko pojazd osiadł delikatnie na lądowisku ulokowanym na obrzeżu kosmoportu, trzech mężczyzn wybiegło jej na spotkanie. Pierwszy z nich, parkingowy, odprowadził śmigacz na strzeżony parking, gdzie miał oczekiwać na jej powrót. Drugi, tragarz, załadował bagaż Zannah na małe sianie repulsorowe, a potem czekał cierpliwie, aż nadejdzie trzeci.

– Dobry wieczór, pani Omek - przywitał ją trzeci mężczyzna.

Odkąd po raz pierwszy zjawili się na Ciutric, Zannah i Bane żmudnie budowali swoją tożsamość jako Allia i Sepp Omek. Teraz, po blisko dekadzie, Zannah znakomicie opanował rolę bogatego handlowca zajmującego się importem i eksportem.

– Chet - przywitała się i skinieniem głowy pozdrowiła młodego celnika, który podał jej urzędowy formularz.

Dla pospólstwa odprawa celna w porcie kosmicznym w Daplony była długim i uciążliwym procesem. Ponieważ gospodarka planety opierała się na handlu, rząd wymagał kopii planu lotu, potwierdzenia rejestracji statku oraz niezliczonych pozwoleń i formularzy, które trzeba było wypełnić, zanim władze portu zezwoliły na odprawę statku, jego ładunku i pasażerów. Często wiązało się to z dokładnym przeszukaniem wnętrza statku przez służby celne. Oficjalnym powodem były wzmożone środki bezpieczeństwa, jednak wszyscy wiedzieli, że kontrole miały w istocie zniechęcać kupców do przewozu niezadeklarowanych towarów w nadziei na uniknięcie międzygwiazdnych ceł i podatków.

Na szczęście Zannah nie musiała się tym wszystkim przejmować. Po prostu podpisała formularz odlotu i oddała go Chetowi. Jedną z najważniejszych korzyści posiadania prywatnego hangaru w porcie była możliwość wylotu i przylotu w każdej chwili. W zamian za pokaźną miesięczną opłatę administracja nie wtykała nosa w interesy jej i Bane'a... co według Zannah warte było niemal każdej ceny.

- Domyślam się, że weźmie pani prywatny wahadłowiec.
- Zgadza się - odparła. - „Zwycięstwo” z hangaru trzynastego.
- Zawiadomię wieżę kontroli lotów.

Chet skinął głową na bagażowego, który skierował sanie poduszkowe w stronę hangaru.

- Chwileczkę - powiedział cicho celnik. Zannah się zatrzymała. - Słyszałem o czymś, co może panią zainteresować - dodał, kiedy bagażowy zniknął za rogiem. - Parę dni temu przyleciał Argel Tenn, żeby spotkać się z pani bratem.

Zannah nigdy nie poznała Argela, ale wiedziała, kim jest i czym się zajmuje. Przez ostatnie lata stopniowo gromadziła informacje na temat wszystkich ogniów sieci kontaktów Dartha Bane'a; mogli okazać się użyteczni także i dla niej, kiedy przejmie władzę nad Zakonem. Nie wiedziała, czy przylot Argela ma jakieś znaczenie - Bane zawsze był zainteresowany kupnem rzadkich manuskryptów Sithów i mógł to być zwykły zbieg okoliczności. Zarejestrowała jednak ten fakt na wypadek, gdyby miał się jeszcze przydać.

- Dzięki za informację - powiedziała, wsunęła Chetowi do ręki pięćdziesięciokredytowy czip i udała się do swojego prywatnego hangaru.

Tragarz czekał już przy statku z jej bagażami. Zannah wstukała kod dostępu, żeby opuścić rampę.

- Rzuć to wszystko do tyłu - poleciła i uśmiechnęła się, wręczając bagażowemu dziesięciokredytowy czip.

- Już się robi, proszę pani - odparł. Napiwek zniknął od razu w kieszeni jego munduru, a on sam zabrał się rażno do pracy.

Przez cały ten czas z twarzy Zannah nie schodził uśmiech. Starła się być miła dla każdego w kosmoporcie. Traktowała to jak inwestycję w przyszłość - pielęgnowanie potencjalnie cennych zasobów. Członkowie Senatu i inni potężni dostojnicy mogli sobie kształtować galaktyczną politykę, ale to biurokraci, urzędnicy państwowi i wszelkiego rodzaju polityczni funkcjonariusze niższego szczebla tak naprawdę wprowadzali wszystko w ruch... a kontakty z nimi były o wiele prostsze niż z polityczną elitą. Za parę

miłych słów i garść drobnych łapówek Zannah mogła załatwić wszystko, co chciała, bez zwracania na siebie niepotrzebnej uwagi. Właśnie w taki sposób postępowała z Chetem.

Pod tym względem miała przewagę nad Bane'em. Wiedziała, że jest atrakcyjna i przyciąga uwagę mężczyzn; starali się jej pomagać i przypodobać za wszelką cenę. Zannah nie miała oporów, żeby zachęcać ich łagodnym uśmiechem czy subtelnym dotykiem - była to niewielka cena za nawiązanie kontaktu, który w przyszłości mógł się okazać nieoceniony. Za to postać jej Mistrza w tych, którzy go nie znali, wzbudzała tylko strach.

Dopiero gdy bagażowy się oddalił i została sama w kabynie statku, zrzuciła maskę. Rozsiadła się w profilowanym fotelu i wpisała współrzędne lotu. Przez iluminator widziała „Triumf”, prywatny wahadłowiec Bane'a, stojący w sąsiednim hangarze.

Podobnie jak ten należący do niej, był to statek serii T-1, klasy Theta, wyprodukowany przez Cygnus Spaceworks - najnowszy i najdroższy osobisty międzyplanetarny prom transportowy, dostępny na wolnym rynku. Wszystko, z czego składało się ich życie na Ciutric - rezydencja, stroje, nawet kalendarz towarzyski - było częścią kamuflażu. Otaczali się luksusem i dobrami materialnymi, jakże odległymi od surowego życia, które wiedli na Ambrii.

Bywały chwile, kiedy Zannah tęskniła za prostotą tamtych dni. Życie na Ambrii było ciężkie, ale te trudy ją wzmacniały. Zastanawiała się, czy wystawny styl życia na Ciutric zanadto ich nie zmiękczył.

Silniki „Zwycięstwa” ryknęły, budząc się do życia, i statek uniósł się parę metrów nad ziemię. Zannah pilotowała instynktownie, podczas gdy przez jej umysł galopowała kawalkada myśli.

Życie było nieustającą walką. Tylko silni mogli przetrwać; słabi musieli zginąć. Taki był porządek wszechświata, naturalna kolej rzeczy. Taką filozofię zawierał Kodeks Sithów. Ale tutaj, na Ciutric, łatwo było ulec złudnemu poczuciu spokoju.

„Spokój to kłamstwo, jest tylko pasja. Dzięki pasji osiągam siłę. Dzięki sile osiągam potęgę. Dzięki potędze osiągam zwycięstwo. Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy”.

Zannah rozumiała, że łańcuchy nie zawsze były zrobione z żelaza i durastali; niekiedy mogły być utkane z drogiego błyszczojedwabiu. Wygodne życie, jakie pędzili na Ciutric, stanowiło pułapkę nie mniej groźną niż te, które mogli na nich zastawić Jedi.

Nie porzuciła nauki i treningu, nawet kiedy już przenieśli się do

wspaniałej rezydencji za miastem. Uczucie niepokoju i zagrożenia, które dawniej pobudzało ją do działania, gdzieś znikło, zastąpione przez nudę bezpieczeństwa i zaspokożenia.

Nadszedł czas, by zgłosić swoje pretensje do tytułu Mrocznego Lorda Sithów. Zannah już dawno rzuciłaby Bane'owi wyzwanie, gdyby nie dwie sprawy.

Pierwszą było drzenie jego lewej ręki, które zauważyła parę miesięcy temu. Próbował to przed nią ukryć, ale dostrzegała je coraz częściej. Nie знаła przyczyny drgawek, ale tak czy owak, był to oczywisty objaw pogarszającej się sprawności Mistrza.

Ale być może zbyt oczywisty. Bane był mistrzem manipulacji. Zannah nie mogła wykluczyć, że symuluje. A jeśli to drzenie było podstępem, który miał skłonić ją do konfrontacji, zanim będzie na nią w pełni przygotowana - ostatecznym testem mającym sprawdzić, czy uczennica przyswoiła sobie lekcje cierpliwości, które tak żmudnie jej wpajał?

To ja wybiorę moment uderzenia, przyrzekła sobie Zannah. Nie on.

Ale żeby wykonać ten ruch, musiała najpierw znaleźć własnego ucznia. „Dwóch ich powinno być, nie więcej, nie mniej. Jeden, by przyjąć potęgę, a drugi, by jej pożądać”. Zasada Dwóch była nienaruszalna. Jeśli miała odebrać Bane'owi tytuł Mistrza, potrzebowała ucznia. Jak dotąd, pomimo najszczerzych chęci, nie udało jej się trafić choćby na jednego potencjalnego kandydata.

Bane dostrzegł w niej potencjał, kiedy jako dziewczynka zabiła Jedi, którzy przypadkowo pozbawili życia jej przyjaciółkę. Teraz miała zbadać sprawę śmierci innego Jedi. Czy znajdzie swojego następcę w ten sam sposób, w jaki Bane znalazł ją?

Ale jeśli ona się nad tym zastanawiała, to z pewnością Bane także o tym pomyślał. Rzadko kiedy dawał się zaskoczyć. A więc... dlaczego teraz wysłał ją z misją, w wyniku której mogła znaleźć potencjalnego przyszłego adepta Sithów? Czy Mistrz chciał, żeby rzuciła mu wyzwanie? Czy próbował jej pomóc? A może chciał ją zastąpić? Może uznał, że jest niegodna, by przejąć jego tytuł? Może liczył na to, że ta misja przyniesie mu nowego adepta, którego mógłby wprowadzić w arkana Ciemnej Strony, a swojej dotychczasowej uczennicy miał zamiar się pozbyć?

Jeśli to prawda, Mistrzu, to rozwój wypadków może cię zaskoczyć. Lekceważysz mnie... na swoją zgubę, pomyślała Zannah.

Sygnal z ekranu nawigacyjnego poinformował ją, że wahadłowiec opuścił atmosferę Ciutric. Po paru sekundach poczuła charakterystyczne gwałtowne

przyspieszenie, gdy statek wykonał skok w nadprzestrzeń.

Zannah opuściła oparcie fotela i zamknęła oczy. Nie było sensu roztrząsać, co knuje Bane i jakimi ukrytymi motywami się kierował, wysyłając ją z tą misją. Pajęczyna jego machinacji była pewnie zbyt zagmatwana, by próbować ją rozplątać.

Ale jednego była pewna: nadchodziły zmiany. Przez dwadzieścia lat służyła Mistrzowi wiernie jako jego uczennica, zgłębiając tajniki Sithów. Teraz jej rola adepta dobiegała końca. Niezależnie od tego, co miała przynieść ta misja, Zannah postanowiła, że będzie to ostatni rozkaz Dartha Bane'a, jaki wypełni.

ROZDZIAŁ 5

Coruscant nie przypominał żadnego miejsca, które Serra kiedykolwiek widziała. Jako dziecko znała jedynie surowe odosobnienie chatki ojca. Od kiedy ją opuściła, a zanim osiadła na Doanie, odwiedziła dziesiątki innych światów, ale wszystko to były mniej zaludnione planety na Zewnętrznych Rubieżach. Całe dotychczasowe życie spędziła na obrzeżach cywilizacji. Za to teraz, w tej obejmującej całą planetę metropolii, która była stolicą Republiki, znalazła się w samym środku szalonego Jądra Galaktyki.

Caleb zadbał o gruntowne wykształcenie córki; Serra czytała opisy Coruscant, pamiętała wszystkie najistotniejsze informacje. Ale wiedzieć, że planeta ma populację bliską biliona, a zobaczyć ją na własne oczy, to dwie zupełnie różne rzeczy.

Serra patrzyła oniemiała przez okno śmigacza, który podskakiwał i nurkował, przedzierając się przez gęsty ruch powietrzny. Poniżej bezkresny ocean durastali i permabetonu rozciągał się we wszystkich kierunkach aż po horyzont, lśniąc nieprzerwanym blaskiem miliardów światła. Efekt był oszałamiający: tłumy, strumienie pojazdów, kakofonia dźwięków, która przebijała się przez szum silników - sama skala tego była tak ogromna, że Serra z trudem potrafiła objąć to wszystko umysłem. Czuła się mała i nic nieznająca.

– Jest - powiedziała Lucia, wskazując przez okno.

W oddali rysowała się masywna konstrukcja górująca nad miejskim krajobrazem - Świątynia Jedi. Śmigacz zbliżał się do niej w szybkim tempie i wkrótce Serra była w stanie dostrzec charakterystyczne detale konstrukcji świątyni.

Jej podstawą była piramida ze zmniejszających się ku górze bloków, co dawało efekt zigguratu. W centralnym punkcie najwyższego poziomu sterczała wysoka iglica, otoczona mniejszymi obeliskami ustawionymi w rogach. Pomiedzy nimi ulokowano otwarte place, szerokie promenady, rozległe naturalne ogrody i szereg mniejszych budynków, które służyły jako dormitoria i centra administracyjne.

Kiedy śmigacz zboczył z głównego ciągu komunikacyjnego w stronę ich

celu, rzeczywisty rozmiar budowli stał się widoczny jak na dłoni. Na Coruscant wszystko było wielkie i wspaniałe, ale świątynia zdecydowanie dominowała nad resztą zabudowań. Serra przypomniała sobie, że zbudowano ją na górze - ale nie na wierzchołku, jak małe osiedla, które arystokracja zakładała na płaskowyżach Doan. Ścięta piramida pokrywała całą powierzchnię góry; wchłonęła ją w całości, tak że nie było jej w ogóle widać.

Śmigacz zatoczył szeroki krąg wokół Wieży Spokoju - wysokiej centralnej iglicy, a następnie osiadł na lądowisku, w cieniu mniejszej wieży stojącej w narożniku północno-zachodnim.

- Miejmy to już za sobą - mruknęła Lucia. Podniosła się szybko i podała rękę księżnej, żeby pomóc jej wstać.

Serra zrozumiała, że Lucia czuje się równie nieswojo jak ona, chociaż podejrzewała, że wynika to nie tyle z oszałamiających widoków i dźwięków Coruscant, co z przeszłości strażniczki, która jako żołnierz walczyła z Armią Światła. Nawet po dwudziestu latach Lucia wciąż chowała żal do Jedi i Republiki.

W dodatku prawdopodobnie nadal czuła się winna, że wynajęła zabójcę, który zgładził emisariusza Jedi. Za to Serra czuła tylko wdzięczność za to, co zrobiła jej przyjaciółka. I nie zamierzała dopuścić, żeby ktokolwiek - czy to król, czy to Jedi - dowiedział się o winie Lucii.

- Pamiętaj, co ci mówiłam - odezwała się, kładąc rękę na ramieniu przyjaciółki. - Miałam już do czynienia z Jedi. Wiem, jak z nimi postępować. Znam ich słabe punkty, ich czułe miejsca. Damy sobie radę.

Strażniczka wzięła głęboki oddech i skinęła głową. Serra zrobiła to samo, przygotowując się na nadchodzącą konfrontację.

Lucia była zdumiona, widząc, jak spokojna i opanowana wydawała się księżna, kiedy szykowały się do opuszczenia śmigacza.

Serra zawsze odznaczała się spokojną, ale stanowczą determinacją. Wytwarzało to wokół niej aurę pewności siebie i powagi, która przyciągała do niej innych. Kiedy mówiła, ludzie słuchali jej z uwagą i skupieniem... Nawet tacy, jak król Doan. Ale teraz sytuacja była inna. Miały spotkać się z Mistrzem Jedi, a Serra planowała go po prostu okłamać.

Ale Lucia nie zamierzała pozwolić przyjaciółce, żeby wpakowała się w kłopoty. Gdyby tylko Jedi się domyślił, że Serra go okłamuje, Lucia była zdecydowana wyznać całą prawdę, niezależnie od konsekwencji.

Uspokojona swoją decyzją, ona także zdołała zachować pozory

opanowania po wyjściu z pojazdu. Na zewnątrz czekała na nie eskorta w osobach trojga Jedi. Dwoje z nich było ludźmi: mężczyzna i kobieta. Towarzyszyła im Twi'lekanka. Wszyscy mieli na sobie proste, brązowe płaszcze z kapturami odrzuconymi do tyłu, tak że odsłaniały twarze; te skromne szaty ostro kontrastowały z oficjalnymi strojami Serry i Lucii.

Księżna była ubrana w długą, falującą suknię bez rękawów z błękitnego jedwabiu; barki i ramiona okrywał precyzyjnie tkany złoty szal. Jej długie, czarne, rozpuszczone włosy wieńczył kunsztowny złoty diadem, a na szyi miała misterny złoty łańcuszek z szafirowym wisiorkiem, wskazującym na jej pozycję w doańskiej rodzinie królewskiej.

Lucia także była ubrana na niebiesko i złoto - w kolorach monarchii - ale ona miała na sobie mundur galowy doańskiej armii: granatowe spodnie ze złotymi lampasami, obcisłą błękitną koszulę i krótką niebieską kurtkę ze złotym obszyciem, zapiętą pod szyją. Podobnie jak Jedi, głowę miała odkrytą.

Twi'lekanka wystąpiła naprzód i ukloniła się.

– Witam, Wasza Wysokość. Nazywam się Ma'ya. Moi towarzysze to Pendo i Winnoa.

Serra odpowiedziała na ukłon skinieniem głowy.

– To jest Lucia, moja towarzyszka - odparła.

Wzrok Ma'yi padł na blaster, ostentacyjnie wyeksponowany na biodrze Lucii, ale powiedziała tylko:

– Pozwólcie z nami. Mistrz Obba was oczekuje.

Z instrukcji, które przeglądała w drodze na Coruscant, Lucia wiedziała, że Obba jest członkiem Rady Pierwotnej Wiedzy. Jako strażnicy tradycji starożytnych Jedi jej członkowie często udzielali porad i wskazówek Wysokiej Radzie Jedi. Obba był także Mistrzem Medda Tandara, Rycerza Jedi, który zginął na Doanie.

Trzy postacie w brązowych płaszczach poprowadziły je z lądowiska przez zadbany ogród, usiany licznymi pomnikami i posągami. W pewnej chwili obok nich przebiegła grupka roześmianych dzieci.

– Młodzież z bursy - wyjaśniła Ma'ya. - Po południu mają czas wolny od zajęć i mogą bawić się w ogrodzie.

Serra nic nie odpowiedziała, ale Lucia dostrzegła błysk żalu w jej oczach. Wiedziała, że młodzi małżonkowie starali się o potomstwo na krótko przed śmiercią Gerrana i widok dzieci niewątpliwie musiał przywołać bolesne wspomnienia.

Szli dalej w milczeniu. Jedi zaprowadzili je do północnozachodniej

wieży, a potem krętymi schodami na górę. Po pokonaniu paru pięter Lucia zauważyła, że księżna ma zadyszkę, chociaż ani ona, ani Jedi nie mieli podobnego problemu.

W końcu, mniej więcej w jednej czwartej wysokości wieży, zatrzymali się przed dużymi drzwiami. Ma'ya zapukała, a tubalny głos ze środka zawołał:

– Proszę.

Twi'lekanka otworzyła drzwi, odsunęła się na bok i jeszcze raz się ukloniła. Serra weszła do pokoju, a Lucia podążyła za nią krok z tyłu. Ich eskorta pozostała na zewnątrz, za zamkniętymi drzwiami.

Na pierwszy rzut oka wewnątrz pokoju można było wziąć za oranżerię. Naprzeciwko drzwi znajdowało się pojedyncze duże okno, przez które wlewało się światło słoneczne, dzięki czemu pomieszczenie było niezmiernie jasne i aż za ciepłe. Wzdłuż ścian stały rośliny doniczkowe co najmniej tuzina różnych gatunków; kolejne pół tuzina rosło w skrzynkach na parapecie, a jeszcze inne wisiały w żardynierach przymocowanych do sufitu. W pokoju nie było krzesel, stołu ani biurka. Dopiero gdy zobaczyła słomianą matę do spania zwiniętą w kącie, Lucia zdała sobie sprawę, że to prywatna komnata Mistrza Jedi.

– Witam Waszą Wysokość. Wasza wizyta to dla nas zaszczyt.

Mistrz Obba, Ithorianin, stał zwrócony do nich plecami, wyglądając przez okno. W długich palcach prawej ręki ścisnął konewkę. Po chwili postawił ją na podłodze i odwrócił się w ich stronę. Jak wszyscy Ithorianie, był wyższy niż przeciętny człowiek - miał zdecydowanie ponad dwa metry wzrostu. Jego szorstka brązowa skóra wyglądała niemal jak kora, a długa szyja wyginała się do przodu, przez co wyglądał, jakby się ku nim pochylał. Patrząc na wyłupiaste oczy po obu stronach jego wysokiej, spłaszczonej głowy, nietrudno było zgadnąć, skąd wzięło się przezwisko „Młoty”, którym często określano przedstawicieli jego rasy.

– To Lucia, jest moją doradczynią - powiedziała Serra, trzymając się planu. - Dziękuję, że zgodziłeś się z nami spotkać, Mistrzu Obba.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić w tych okolicznościach - wyjaśnił Ithorianin niskim, donośnym głosem. - Moje kondolencje z powodu śmierci męża Waszej Wysokości. To była straszna tragedia.

Lucia nie znała się na niuansach polityki i nie potrafiła stwierdzić, czy Obba wyraża szczere współczucie, czy, jako wytrawny negocjator, stara się wytrącić księżnę z równowagi emocjonalnej, wspominając o Gerranie.

– Moja tragedia jest równa waszej - odparła Serra oficjalnym tonem doświadczonego dyplomaty. Niezależnie od tego, jakie były intencje Jedi,

jego słowa nie wywarły żadnego widocznego wpływu na jej zachowanie. - Pozwól mi wyrazić w imieniu rodziny królewskiej ubolewanie w związku z niefortunnym odejściem Medda Tandara.

Ithorianin skłonił głowę, przyjmując kondolencje.

- Boleję nad jego śmiercią. Kluczowe znaczenie ma teraz poznanie tożsamości sprawcy lub sprawców - powiedział.

Lucia poczuła, jak jej serce przyspiesza, jednak nie zdradzała zewnętrznych oznak niepokoju.

- Rozumiem - zapewniła go Serra. - Władze mojej planety robią wszystko co w ich mocy, żeby pociągnąć sprawców do odpowiedzialności.

- Chciałbym w to wierzyć - odparł Obba - ale Wasza Wysokość rozumie, że mam pewne obawy. Medd zginął w czasie ataku na waszych wrogów. Niektórzy sądzą, że za atakiem stał teść Waszej Wysokości.

- To nonsens - zaprotestowała Serra. - Król pragnie poprawy stosunków z waszym czcigodnym Zakonem. Dlatego zgodził się na wizytę Medda na naszej planecie.

- Niektórzy uważają że król wykorzystał Medda, żeby odnaleźć swoich wrogów - odparował Obba. - Twierdzą że od samego początku miał taki plan.

- Śmierć Medda to był tragiczny przypadek, a nie element jakiejś podstępnej intrygi z wykorzystaniem Jedi - upierała się księżna. - Po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie. A jeśli chodzi o króla, to nic nie wiedział o zabójstwie. Daję na to moje słowo.

- Obawiam się, że słowo Waszej Wysokości nie wystarczy, żeby rozwiązać wątpliwości niektórych członków mojego Zakonu.

- Więc niech posłużą się logiką - przekonywała Serra. - Mój teść nie jest głupcem. Gdyby chciał wykorzystać Jedi do zemsty, z pewnością starczyłoby mu rozsądku, żeby zatrzeć ślady. Poczekaliby z rozkazem ataku, aż Medd się oddali.

- Czasem, gdy zaślepią nas rozpacz, nie potrafimy spojrzeć poza nasze najbardziej palące pragnienia - zauważył Jedi.

- Naprawdę w to wierzysz, Mistrzu Obba? A może po prostu szukasz kogoś, kogo mógłbyś obwinić o śmierć swojego dawnego padawana?

Ithorianin westchnął.

- Przyznaję, że mój osąd w tej kwestii mogą przesłaniać osobiste uczucia. Dlatego muszę zaufać Mocy i pozwolić, by kierowała moimi myślami i czynami.

- „Nie ma emocji, jest spokój” - przypomniała księżna.

- Widzę, że Wasza Wysokość studiowała nasz kodeks.
- Tylko nieformalnie.
- Powinienem się domyślić - rzekł Mistrz. - Czuję, że Moc jest silna w Waszej Wysokości.

Lucia ze zdumienia otworzyła szeroko oczy, ale Serra przyjęła to zupełnie bez emocji.

- Obawiam się, że jestem za stara, żeby wstąpić do waszego Zakonu, Mistrzu Obba - powiedziała z bladym uśmiechem.

- Mimo wszystko słowa naszej mantry mogą się Waszej Wysokości dobrze przysłużyć - pouczył ją. - Trzeba być zawsze czujnym na pokusy Ciemnej Strony.

- Takie jak te talizmany, po które został wysłany Medd? - odparowała Serra. - O to tak naprawdę chodzi, prawda?

Ithorianin z powagą pokiwał głową.

- Pomimo bólu, jaki odczuwam po jego śmierci, muszę o tym zapomnieć i skupić się na pierwotnym celu jego misji.

Lucia była pod wrażeniem. Jak dotąd spotkanie przebiegało niemal dokładnie tak, jak przewidziała Serra. Podczas przygotowań do rozmowy księżna tłumaczyła jej, że Jedi troszczą się bardziej o ideologię i walkę światła z ciemnością niż o żywych ludzi. Miała zamiar wykorzystać tę wiedzę, żeby - przy niewielkiej pomocy Lucii - skierować dyskusję na inne tory niż poszukiwanie tego, kto wynajął zabójcę.

„Jedi uwielbiają poczucie wyższości - tłumaczyła jej Serra podczas podróży promem. - Uważają za swój obowiązek kształcić i instruować ciemne masy. Jeśli zadasz któremuś z nich pytanie, nie może na nie nie odpowiedzieć. Spróbujemy to wykorzystać w trakcie spotkania”.

- Wybacz, że się wtrącam, Mistrzu Obba - odezwała się Lucia, korzystając z okazji, którą jej stworzył - ale czy te talizmany są naprawdę aż tak ważne?

- Jestem o tym przekonany - odparł Ithorianin.

- Skąd ta pewność?

- Jestem członkiem Rady Pierwotnej Wiedzy - wyjaśnił, rozpoczynając wykład, dokładnie tak, jak zapowiedziała Serra. - Stoimy na straży mądrości Jedi. Opiekujemy się Wielką Biblioteką, nadzorujemy nauczanie dzieci, a także wyszukujemy starożytne kroniki i holocrony, które mogą poszerzyć naszą wiedzę na temat Jasnej Strony Mocy. Ale jesteśmy kimś więcej niż tylko kustoszami. Jesteśmy też strażnikami. Nie każda wiedza jest czysta; czasem może być skażona złem. Istnieją tajemnice, które muszą pozostać w

ukryciu; zakazane nauki, które nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Istnieje Ciemna Strona Mocy. Jeśli się jej nie powstrzyma, przynosi śmierć i zniszczenie.

Lucia pokiwała głową, jakby chłonęła każde słowo, tymczasem czuła tylko pogardę. Arogancja Jedi nie znała granic. Jako żołnierz służący w Bractwie Ciemności Kaana wyrobiła sobie raczej odmienne poglądy na Ciemną Stronę. Sithowie uczyli, że emocje - strach, gniew, a nawet nienawiść - należy zaakceptować. Lucia nauczyła się czerpać siłę z tak zwanej Ciemnej Strony, co pomogło jej przetrwać wojnę i lata cierpień.

Jedi nigdy by tego nie zrozumieli. Żyli sobie w izolacji, medytując w wysokich wieżach w sercu galaktyki. Nie mieli pojęcia, co to znaczy być wyrzutkiem - zapomnianym, pozbawionym wszelkich praw, żyjącym na marginesie społeczeństwa.

– Zadaniem Rady Pierwotnej Wiedzy jest nie dopuścić, by ta potworna siła wyniknęła się spod kontroli - ciągnął Mistrz Obba, nieświadom prawdziwych uczuć Lucii. - Wpływy Ciemnej Strony są jednak rozproszone po całej galaktyce, podobnie jak narzędzia, którymi się posługuje: starożytne zaklęcia magiczne Sithów, amulety nasycone złowrogą energią, skażone kryształy, które mogą deprawować umysły niewinnych. Niekiedy te artefakty są odnajdywane przez przypadek i wpadają w ręce nieświadomych ofiar, które stają się wysłannikami Ciemnej Strony, siejąc spustoszenie w galaktyce... chyba że zdążymy je powstrzymać. Wiemy, jak postępować z artefaktami Ciemnej Strony. Niektóre da się zniszczyć, ale niektóre są zbyt potężne i należy ich dobrze strzec.

– W jaki sposób tego rodzaju przedmiot mógł znaleźć się na tak odległej planecie jak Doan? - spytała Lucia, cały czas odgrywając swoją rolę.

– Ludzie żyją na waszej planecie od co najmniej dziesięciu tysięcy lat - skwapliwie wyjaśnił Obba. - Kiedy paręset lat temu rozpoczęto eksploatację złóż, często odkopywano starożytne kurhany pogrzebowe, krypty i grobowce, a także pozostałości dawno opuszczonych, prymitywnych wiosek. Niekiedy natrafiano nawet na całe miasta, pogrzebane przed tysiącami lat w wyniku lawin błotnych albo wybuchów wulkanów. Niektóre z tych dawnych cywilizacji czciły Sithów i podążały ścieżką Ciemnej Strony. Kiedy ludzie znikali, często pozostawały po nich artefakty ich wiary.

– W jaki sposób dowiedzieliście się o tych artefaktach? - spytała nagle księżna, korzystając z nadarżającej się okazji.

– Zwykle pogłoski - odrzekł Obba. - Doszły nas słuchy, że ekipa górników odkopła skrytkę z pewnymi przedmiotami, które oferowała później

kolekcjonerom z innych światów. Na podstawie opisów uznaliśmy, że mogą to być talizmany Sithów. Wysłałem więc Medda, żeby zbadał tę sprawę.

– Skoro wy dowiedzieliście się o tych przedmiotach - zauważyła Serra - mógł też o nich usłyszeć ktoś inny. Zabójca Medda nie musiał wcale być wynajęty po to, żeby pomścić śmierć mojego męża. Mógł to być równie dobrze ktoś zainteresowany talizmanami.

– Brałem pod uwagę taką ewentualność - przyznał Mistrz Jedi. - Chociaż mam nadzieję, że tak nie było.

Ithorianin odwrócił się do nich plecami, najwyraźniej strapiiony. Przechadzał się powoli tam i z powrotem przed swoimi roślinami, jakby chciał się uspokoić, zanim znów się odezwie. Lucia z niesłabnącym zdziwieniem obserwowała, z jaką łatwością księżna kontrolowała przebieg spotkania.

Obba wspomniał, że Serra jest silna Mocą. To mogłoby tłumaczyć dominującą aureę, jaką wokół siebie roztaczała. Ale czy to możliwe, zastanawiała się Lucia, że księżna jest na tyle potężna, żeby manipulować samym Mistrzem Jedi?

– Ci, którzy zgłębiają nauki Jedi, są uczeni, by żyć zgodnie z zasadami i doktrynami naszego Zakonu - odezwał się w końcu Obba. - Wierzymy w poświęcenie i w to, że potęga Mocy może być wykorzystywana tylko wtedy, gdy służy wyższemu celom. Niestety są wśród nich tacy, którzy, pomimo naszych wysiłków, odchodzą od tych nauk. Ulegają słabości. Poddają się ambicji i chciwości. Wykorzystują Moc dla zaspokojenia własnych pragnień i zachcianek. Odrzucają naszą filozofię i przechodzą na Ciemną Stronę.

– Masz na myśli Sithów - szepnęła Serra.

Lucii zdawało się, że w głosie księżnej usłyszała strach, ale nie wiedziała, czy był on prawdziwy; mogła to być część gry, jaką Serra prowadziła z ich gospodarzem.

– Nie Sithów - sprostował. - Mówię o Mrocznych Jedi.

– Jaka jest różnica między Sithem a Mrocznym Jedi? - spytała Lucia.

Ithorianin zatrzymał się i odwrócił, instynktownie zwracając się do swoich słuchaczy, niczym nauczyciel wygłaszający wykład.

– Sithowie byli zaprzysięgłymi wrogami Jedi i Republiki. Starali się nas wyeliminować; chcieli zawładnąć galaktyką. Połączyli swoje siły w Bractwie Ciemności i zjednali sobie licznych zwolenników, mając ich fałszywymi obietnicami. Zebrali armię istot na tyle ogłupionych i zdesperowanych, żeby uwierzyć w ich kłamstwa, i pogrążyli galaktykę w wojnie, która groziła zagładą nas wszystkich.

Kiedy Obba mówił, Lucia milczała, chociaż mimowolnie zesztywniała, słysząc słowa, które dotyczyły jej i jej towarzyszy broni.

– Mroczny Jedi natomiast ma znacznie mniejsze ambicje. On... albo ona... myśli tylko o sobie. Działa sam. Jego ostatecznym celem nie jest podbój galaktyki, ale własne bogactwo i pozycja. Jak pospolity zbir upaja się okrucieństwem i egoizmem. Żeruje na słabych i bezbronnych, rozsiewając nieszczęście i cierpienie wszędzie tam, gdzie się pojawi.

– I sądzisz, że ktoś taki może stać za śmiercią Medda - domyśliła się Serra. - Masz kogoś konkretnego na myśli?

Obba schylił głowę.

– Set Harth. Jako padawan stracił swojego Mistrza w wyniku wybuchu bomby myśli na Ruusanie. Wziąłem go pod swoje skrzydła i z czasem zarekomendowałem pozostałym członkom Rady Pierwotnej Wiedzy. Podobnie jak Medd, został jednym z naszych agentów przemierzających galaktykę w poszukiwaniu artefaktów Ciemnej Strony. Ale pokusa Ciemnej Strony okazała się dla Seta zbyt silna. Odrzucił nauki Jedi, by podążać za bogactwem i osobistymi korzyściami osiąganymi kosztem innych. Zbyt późno zorientowaliśmy się, że wiele artefaktów, które odkrył, zatrzymał dla siebie. Zanim zdałem sobie sprawę, kim się stał, już go nie było; zniknął w galaktycznym półświatku wyjętych spod prawa najemników, łowców nagród i handlarzy niewolników.

– A więc obawiasz się, że ten Mroczny Jedi Set Harth mógł zabić Medda Tandara na Doanie?

– Jeśli zabójca nie był wynajęty przez kogoś z Doana, takie rozwiązanie wydaje się najbardziej prawdopodobne. Gdyby Set w jakiś sposób dowiedział się o skrytce z artefaktami na Doanie, na pewno próbowałby ją zdobyć... i zabiłby każdego, kto by mu stanął na drodze.

– Sądząc po opisie, to niebezpieczny człowiek - zauważyła Serra.

– Teraz, gdy Sithów już nie ma - stwierdził Obba - Set Harth jest prawdopodobnie najgroźniejszą istotą w galaktyce.

Serra popatrzyła na niego. Pomyślała o człowieku w czarnej zbroi, który od dwudziestu lat nawiedzał jej sny, i przypomniała sobie słowa ojca:

„Jedi i Sithowie zawsze będą toczyć wojnę. Jedni i drudzy są całkowicie niezdolni do kompromisu; ich rygorystyczne filozofie nie pozwalają na współistnienie. Ale oni nie rozumieją, że są tylko dwiema stronami tego samego medalu: jasną i ciemną. Jedna bez drugiej nie może istnieć”.

– Skąd ta pewność, że Sithów już nie ma? - zapytała. - Były jakieś pogłoski, że niektórzy Lordowie Sithów przeżyli wybuch bomby myśli, który

zniszczył Bractwo Ciemności.

– To prawda. Jeden przeżył - wyjaśnił Obba. - Ale i on ostatecznie poległ... chociaż pokonanie go było okupione strasznym kosztem.

– Nie rozumiem.

Ithorianin westchnął z bólem.

– Chodźcie. Pokażę wam.

Przeszedł przez pokój powolnym, ociężałym krokiem i otworzył drzwi prowadzące na korytarz. Jedi, którzy ich eskortowali, siedzieli na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, medytując w milczeniu. Widząc Ithorianina, podnieśli się.

– Możecie powrócić do swoich obowiązków - poinformował ich.

– Tak jest, Mistrzu - odpowiedzieli, kłaniając się zgodnie, i poszli schodami w górę, do zadań, które czekały na nich na wyższych kondygnacjach wieży.

Poruszając się w denerwująco powolnym tempie, Obba poprowadził ich z powrotem na sam dół wieży, a następnie do ogrodów, gdzie w końcu się zatrzymał.

Stali przed jednym z wielu pomników wzniesionych w ogrodzie. Ten akurat stanowił biały, kamienny blok, wysoki na półtora metra i szeroki prawie na trzy. W kamieniu zatopione były rękojeści pięciu mieczy świetlnych; pod każdą z nich wyryto mały portret - zapewne właściciela miecza. Na samym dole widniał napis dużymi literami:

„Pamięci tych, którzy polegli od miecza ostatniego Mrocznego Lorda Sithów.

Niech ich pamięć żyje wiecznie, aby przypominać nam o tym, co utracone.

Nie ma emocji, jest spokój.

Nie ma śmierci, jest Moc.

Mistrz Jedi Valenthynne Farfalla

Mistrz Jedi Raskta Lsu

Mistrz Jedi Worrer Dowmat

Rycerz Jedi Johun Othone

Rycerz Jedi Sarro Xaj

Caleb z Ambrii"

Kiedy jej wzrok padł na ostatnie imię na liście, Serra poczuła, że uginają się pod nią kolana. W milczeniu patrzyła na monument, nie mogąc

zrozumieć tego, co widzi.

– Co to jest? - spytała Lucia, wyczuwając konsternację swojej pani. - Dlaczego nas tu przyprowadziłeś?

– Dziesięć lat temu Mistrz Valenthynę Farfalla dowiedział się, że Mroczny Lord Sithów w jakiś sposób przeżył wybuch bomby myśli na Ruusanie. Kierując się tą wskazówką, zebrał grupę Jedi, których nazwiska upamiętniono na tym pomniku, i ruszyli w pogoń za Mrocznym Lordem. Podążyli za nim aż do Głębokiego Jądra i stoczyli walkę na planecie Tython. Żaden z Jedi nie przeżył.

– Dobrze ich znałeś? - zainteresowała się Lucia, stosując się cały czas do zaleceń Serry, aby zadawać pytania przy każdej sposobności.

– Znałem Mistrza Worrora i Mistrza Valenthynę'a, kiedy jeszcze byliśmy wszyscy padawanami. Służyliśmy razem w Armii Światła Lorda Hotha w czasie wojny przeciwko Bractwu Ciemności Lorda Kaana.

Przez kilkanaście sekund panowała cisza. Obba pogрузzył się we wspomnieniach, a Serra była wciąż zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek powiedzieć. W końcu Lucia przerwała milczenie kolejnym pytaniem:

– To ostatnie imię, Caleb z Umbrii... pamiętam, że słyszałam je w czasie wojny. Był uzdrowicielem, prawda?

– Tak. Podczas bitwy z Jedi na Tymonie Mroczny Lord został ciężko ranny. Poleciał na Ambrię, żeby odnaleźć jedyne go człowieka, który potrafiłby wyleczyć jego rany. Ale Caleb odmówił mu pomocy.

Serra potrafiła to sobie wyobrazić. Jak przewidział jej ojciec, człowiek w czarnej zbroi powrócił. Tak jak poprzednio próbował zmusić Caleba, żeby zrobił użytek ze swoich zdolności. I tak jak poprzednio Caleb stawiał opór. Tym razem jednak jej ojciec miał przewagę. Odkąd odesłał córkę, nie było sposobu, żeby Sith mógł zmusić go do współpracy.

– Co się stało, kiedy uzdrowiciel odmówił? - wyszeptała z wzrokiem utkwionym wciąż w imieniu jej ojca, wyrytym na dole kamienia.

– Dokładnie nie wiadomo. Wiemy tylko, że wkrótce po przybyciu Mrocznego Lorda Caleb wysłał wiadomość Radzie Jedi. Poinformował ich, że ostatni z Sithów jest w jego domu na Ambrii, ranny i praktycznie bezbronny. Chciał, żeby Jedi go pojмали.

– Dlaczego miałby tego chcieć? - zastanowiła się Lucia. - Jeśli dobrze pamiętam, to Caleb nie chciał opowiedzieć się po żadnej ze stron w tej wojnie. Nie przepadał ani za Jedi, ani za Sithami.

– Nie zawsze zgadzał się z filozofią naszego Zakonu - przyznał Obba. - Ale to był dobry i prawy człowiek. Wojna była już dawno zakończona, a

jego sumienie nie pozwoliłoby mu pogodzić się ze świadomością, że zło przetrwa. Wiedział, że jeśli pozwoli Sithowi odejść, prędzej czy później ucierpią kolejni niewinni. Po otrzymaniu wiadomości Rada wysłała na Ambrię oddział pod dowództwem Mistrza Tho'natu. Byłem jednym z Jedi, wyznaczonych, by mu towarzyszyć. Niestety, kiedy dotarliśmy do jego domostwa, Caleb już nie żył.

– Jak to się stało? - spytała Serra cichym, pozbawionym wszelkich emocji głosem.

– Mroczny Lord dowiedział się o przesłanej wiadomości. Doprowadzony do szału przez zdradę Caleba, własne rany i deprawujący wpływ Ciemnej Strony, zamordował uzdrowiciela i porąbał jego ciało na kawałki. Zanim przybyliśmy na miejsce, Mroczny Lord całkiem postradał zmysły. Zaczaił się w okolicy i rzucił na nas, sam przeciwko armii Jedi. Mistrz Tho'natu musiał go zabić w obronie własnej.

Ojciec Serry miał rację. Wiedział, że człowiek w czarnej zbroi powróci. Przeczuł zagrożenie i dlatego odesłał córkę. Ocalił jej życie kosztem własnego. W ten sposób przyczynił się do unicestwienia człowieka, którego Serra bała się bardziej niż kogokolwiek innego.

Zalała ją fala emocji. Ulga. Poczucie winy. Smutek. Wstyd. Ale nad nimi wszystkimi górował dziki, pierwotny gniew. Ogarnęło ją pragnienie zemsty. Chciała zniszczyć tego potwora, który terroryzował ją, gdy była dzieckiem, a potem, po latach, zabił jej ojca. Było to jednak niemożliwe. Jedi odebrali jej tę szansę.

– Jaki on był? - spytała Lucia. - Ten ostatni Sith, znaczy się.

– To była tragiczna, żalonna postać - odparł Obba. - Chudy, wąty... Kiedy na nas ruszył, widać w nim było szaleństwo. Oczy miał tak samo ciemne i dzikie jak włosy.

Nie, pomyślała Serra. Coś tu się nie zgadza.

– Miał włosy? - zapytała.

Człowiek w czarnej zbroi miał ogoloną głowę.

– Tak. Włosy jak zwierzęce kudły. Długie. Nieuczesane. Pozlepiane krwią.

W umyśle Serry zaległo się nedorzeczne podejrzenie.

– Był duży? - zapytała, starając się nie okazywać niepokoju w głosie. - To znaczy, wysoki?

Ithorianin pokręcił głową.

– Nie, nieszczególnie. Nie jak na człowieka.

Człowiek w czarnej zbroi był olbrzymi. Co najmniej tak wysoki jak ty,

Mistrz Obba, pomyślała.

Nieświadom wewnętrznego wzburzenia Serry, Ithorianin ciągnął swoją opowieść:

– Miecze świetlne poległych Jedi znaleźliśmy w domu Caleba; Mroczny Lord zachował je jako swoje trofea. Mistrz Tho'natu przywiózł je razem ze szczątkami uzdrowiciela, aby mogły spocząć w honorowym miejscu. Ten pomnik upamiętnia jeden z największych triumfów Zakonu Jedi, ale też jeden z jego najbardziej ponurych rozdziałów. Sithów już nie ma, ale kosztem wielu istnień, których stratę boleśnie odczuliśmy. To była cena, którą musieliśmy zapłacić, żeby na zawsze uwolnić galaktykę od Sithów.

Serra gorączkowo usiłowała poskładać elementy układanki. Potrzebowała czasu, żeby to wszystko przemyśleć, ale nie mogła tego zrobić tutaj, gdzie imię jej ojca spoglądało na nią z kamienia. Musiała opuścić to miejsce, zanim powie albo zrobi coś, co zdradzi jej tajemnicę i ujawni prawdziwą tożsamość.

– Dałeś nam do myślenia, Mistrz Obba - oświadczyła sztywno. - Nie omieszkam przekazać tego wszystkiego królowi.

Mistrz Obba odchrząknął przepaszająco.

– Nie mam co do tego wątpliwości, chciałbym jednak mimo wszystko wysłać jednego z moich ludzi, żeby przeprowadził śledztwo i sprawdził, czy talizmany wciąż tam są.

Serra zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi i Lucia przyszła jej z pomocą.

– Jaki to ma sens? To znaczy, jeśli faktycznie zabójcą był Set Harth, to pewnie już dawno uciekł. Po co miałyby się tam kręcić, gdyby już zdobył talizmany?

– Pewnie masz rację - przyznał Jedi po chwili zastanowienia.

– W takim razie nie widzę powodu, dlaczego Jedi mieliby dalej zajmować się tą sprawą - powiedziała Serra, gdy pozbierała się na tyle, żeby dostrzec szansę, jaką stworzyła dla niej przytomność umysłu Lucii. - Biorąc pod uwagę delikatną sytuację polityczną na Doanie, prawdopodobnie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych byłoby, gdyby śledztwo przeprowadziły lokalne władze.

Rozumiała, że Ithorianin nie jest zachwycony takim rozstrzygnięciem, ale był w sytuacji bez wyjścia. Zaplątany w pajęczynę galaktycznej polityki, nie był w stanie podjąć żadnych działań bez wywołania dyplomatycznego skandalu - a to nie byłoby dobrze widziane przez Senat.

– Jeśli dowiemy się czegokolwiek na temat Seta albo talizmanów -

obiecała księżna - bezzwłocznie was o tym poinformujemy. Masz na to moje słowo.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. - Ithorianin odpowiedział sztywnym ukłonem, teraz dopiero widząc, jak został wymanewrowany.

Serra pożegnała Mistrza Obbę chłodnym skinieniem głowy i oddaliła się pospiesznie, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w zaciszu swojego wahadłowca. Lucia ruszyła za nią. Żadna z nich się nie odzywała, gdy przemierzały ogrody, kierując się w stronę czekającego śmigacza; żadna też nie przerwała ciszy, kiedy pojazd uniósł je wysoko, zmieniając budynki i kłębiące się między nimi tłumy mieszkańców Coruscant w rozmytą plamę. Serra wciąż myślała o człowieku w czarnej zbroi z jej koszmarów. Wiedziała, że te sny były czymś więcej niż tylko wspomnieniem ujawniających się podświadomych lęków. Caleb nie był ani Sithem, ani Jedi, ale wierzył w naturalną moc życia i wszechświata. To on nauczył Serre wsłuchiwać się w swoją wewnętrzną siłę i korzystać z niej, kiedy brakowało jej mądrości, odwagi czy hartu ducha. A przede wszystkim nauczył ją ufać swojemu instynktowi.

Caleb wiedział, że człowiek w czarnej zbroi powróci; tak samo Serra wiedziała teraz, że on wciąż żyje. Wiedziała, że w jakiś sposób jest zamieszany w morderstwo jej ojca. Jedi, którzy zjawili się na Ambrii, zostali oszukani. Była tego pewna. To właściwie bardzo proste: oni chcieli wierzyć, że Sithowie wymarli. Ludziom zawsze łatwiej przyjąć kłamstwo, które odpowiada ich nadziejom i oczekiwaniom.

W głowie Serry zaczął powstawać plan. Zbyt długo dręczyło ją wspomnienie przerażającej postaci z czasów dzieciństwa. Śmierć Caleba zadziałała jak katalizator, zmuszając ją do działania. Postanowiła pomścić swojego ojca. Musi odnaleźć człowieka w czarnej zbroi i go zabić.

Nie odezwała się aż do chwili, gdy ona i Lucia zostały same na pokładzie jej prywatnego wahadłowca, który miał je zabrać z powrotem na Doan. Dopiero tam poczuła się bezpiecznie; teraz miała pewność, że wszystko, co powie, zostanie między nimi. Ale i tak nie była gotowa wszystkiego wyznać. Tajemnice swojej przeszłości, dotyczące ojca i koszmarów, postanowiła na razie zachować dla siebie.

– Ta zabójczym, którą wynajęłaś... Chcę, żebyś jeszcze raz się z nią skontaktowała - powiedziała tylko do Lucii. - Mam dla niej nowe zlecenie.

ROZDZIAŁ 6

Set Harth przebywał na Doanie od dwóch dni i był zdeterminowany, żeby się stąd wynieść przed końcem trzeciego. Po części dlatego, że nie chciał czekać, aż zjawią się kolejni Jedi, żeby zbadać sprawę śmierci Medda albo odnaleźć artefakty, po które przyleciał Cereanin. A poza tym Set miał już po prostu dość towarzystwa górników.

Wszyscy z czasem zaczęli wyglądać tak samo: krępi, mocno zbudowani - taka postura była efektem wykonywanej od pokoleń ciężkiej fizycznej pracy. Ich skóra była brązowa i ogorzała, a w dodatku oblepiona brudem i pyłem, który na wszystkim osiadał. Wszyscy mieli takie same włosy - krótkie i ciemne, i wszyscy nosili identyczne ubrania - wypłowiałe i powycierane. Nawet ich twarze wyglądały tak samo: srogie i ponure, zubożone i sterane wieloletnią harówką w kopalni.

Stwierdzenie, że on tu nie pasuje, byłoby modelowym przykładem eufemizmu. Set był szczupły i muskularny; długie srebrzyste włosy opadały mu na ramiona. Jego skóra była mlecznobiała i nietknięta przez czynniki atmosferyczne; przystojna twarz miała w sobie łobuzerski wdzięk z nutką arogancji. I w przeciwieństwie do górników Set ubierał się z klasą.

Nosił szyty na miarę kombinezon bojowy w odcieniu bardzo ciemnego fioletu. Lekki strój zapewniał mu pełną swobodę ruchów, ale był też na tyle wytrzymały, żeby dawać pewną ochronę w razie, gdyby sprawy przybrały niebezpieczny obrót, co przy zajęciach Seta zdarzało się nierzadko. Na wierzch wkładał jasnożółtą kamizelkę; kombinezon, podobnie jak kamizelka, nie miał rękawów, toteż ramiona Seta pozostawały odsłonięte. Na wydatnych bicepsach miał modne, fioletowe opaski z tkaniny wedy, a jego buty, pasek i rękawiczki bez palców wykonano z najlepszej koreliańskiej skóry.

Zazwyczaj nosił także pistolet rozrywający GSI-24D w kaburze na prawym udzie i konwencjonalny blaster przypięty do lewego. Jednak na Doanie broń rozrywająca była zakazana, więc upchnął oba pistolety, a także swój miecz świetlny, w wewnętrznych kieszeniach kamizelki.

To, że nie jest jednym ze stałych bywalców kantyny, było oczywiste, ale

Set wcale nie starał się wmieszać w tłum. Wszyscy wiedzieli, że najemnicy mogli znaleźć na Doanie intratne zlecenia, toteż Set zakładał, że każdy, kto go zobaczy, uzna go po prostu za jeszcze jednego najemnika, szukającego okazji, żeby zarobić na eskalacji przemocy między buntownikami i arystokracją.

Cóż, byłby to duży błąd. Set faktycznie liczył na zarobek, ale nie miało to nic wspólnego z nieuniknioną wojną domową na Doanie. Niecały tydzień wcześniej odwiedził tę planetę jego dawny kolega, Medd Tandar, i istniał tylko jeden powód, dla którego mógł się pojawić w takiej dziurze.

Mistrz Obba przysłał cię tu po jakiś talizman Ciemnej Strony, prawda? - pomyślał Set. Tyle że dostałeś więcej, niż się spodziewałeś. Zawsze podejrzewałem, że jesteś miękki.

Czegokolwiek szukał tutaj Medd, zginął, zanim zdążył to znaleźć. To oznaczało, że przedmiot poszukiwań wciąż tu był i tylko czekał, aż ktoś po niego sięgnie. Ktoś taki jak Set.

Od dwóch dni przemierzał rozoraną powierzchnię Doana, odwiedzając kolejne kantyny, baraki i place robót. W każdym z tych miejsc zadawał pytania, próbując znaleźć kogoś - kogokolwiek - kto wiedział coś na temat Cereanina zabitego razem z przywódcami buntowników. Co więcej, musiał trafić na kogoś takiego, kto wiedziałby, czego szukał Medd.

Każdemu, kto zadawał pytania, wyjaśniał, że jest kolekcjonerem rzadkich artefaktów. Ale tubylcy byli ostrożni. Niektórzy z nich podejrzewali, że pracuje dla rodziny królewskiej. Niełatwo było uzyskać informacje, których potrzebował. Jednak przez lata Set nauczył się, że każdy ma swoją cenę... albo granicę wytrzymałości.

Dochodzenie doprowadziło go aż tutaj, do tej bezimiennej kantyny prowadzonej przez rodiańskiego barmana zwanego Quano, jednego z garstki nieludzi, którzy postanowili zarabiać na życie na Doanie.

Pragnąc jak najszybciej uciec od chmur kurzu kłębiących się na powierzchni planety, Set otworzył drzwi i wszedł do kantyny. Od razu pożałował swojej decyzji. Bywalcy tego przybytku najwyraźniej rekrutowali się spośród najgorszych mętów w górniczej społeczności Doana. Ludzie byli w większości pogięci i powykrzywiani; ot, wyrobnicy zgarbieni i na wpół kalecy od życia spędzonego na wykopywaniu kruszców dla korzyści innych. Ich ubrania były nie tylko zniszczone, ale i odrażająco brudne, a ostry smród potu i niemytych ciał aż szczypał w oczy. Dokładnie takich ludzi Set spodziewał się spotkać w barze Rodianina.

Wyposażenie było równie liche i wysłużone jak klientela: poobtłukiwane

i popękane szklanki, wypłowiałe stoły kiwające się na trzech rozklekotanych nogach, rdzewiejące stołki, które wyglądały, jakby mogły się rozsypać od jednego porządnego kopniaka. W głębi sali znajdował się długi, szeroki bar, pokryty niedbale warstwą łuszczącej się farby, która nieudolnie maskowała spróchniałe drewno. Rząd butelek ustawionych na półce za barem przykryty był grubą warstwą kurzu i brudu, ale Set nie musiał czytać etykiet, żeby domyślić się, że są to marki, które oferują przystępną cenę kosztem jakości.

Zauważył dwóch przysadzistych zbirów kręcących się obok drzwi i szybko ich rozgryzł: typowi cyngle - wielcy, silni i głupi. Po ich sylwetkach zorientował się, że każdy z nich ma nieduży pistolet wciśnięty za pasek.

Oparty o ścianę za barem stał sam zielonoskóry właściciel z rękami założonymi na piersiach. Jego owadzie oczy rzuciły Setowi wrogie spojrzenie, a tapirowaty ryjek wykrzywił grymas, który były Jedi uznał za szyderczy uśmieszek.

Nie zwracając uwagi na chłodne przywitanie, Set skierował się powoli w stronę Rodianina. Dwa tuziny oczu oceniały go wnikliwie, gdy przechodził przez salę. Ich wzrok był zimny, badawczy, a w końcu obojętny. Po chwili właściciele oczu skierowali swoją uwagę z powrotem na słonawą zawieszoną wirującą w ich kuflach.

- Bar tylko dla górników - mruknął Quano w basicu z wyraźnym akcentem, kiedy Set zbliżył się i spróbował oprzeć łokieć na barze. - Ty nie pije. Wynocha.

Set wyciągnął rękę i niedbale upuścił na ladę parę stukredytowych czipów. Rodianin próbował nadal zachowywać się nonszalancko, ale Set wyczuł, że barman nagle wstrzymał oddech.

- Miałem nadzieję, że będziemy mogli uciąć sobie małą pogawędkę - powiedział Set, przechodząc od razu do rzeczy. - Na osobności.

W mgnieniu oka czipy zniknęły, a Quano wskoczył na bar.

- Kantyna zamknięta! - krzyknął na cały głos. - Pora iść! Wracać do pracy! Wszyscy wychodzić!

Większość klientów wstała niechętnie ze swoich miejsc i, złorzecząc pod nosem, poczłapała w kierunku drzwi. Tylko jeden uparciuch wciąż siedział, próbując utrzymać równowagę na chybotliwym stołku, potrącany przez pozostałych bywalców zmierzających do wyjścia. Barman klasnął dwa razy w dłonie i ochroniarze spod drzwi natychmiast wkroczyli do akcji.

Chwycili mężczyznę pod ramiona i poderwali ze stołka. Zbyt pijany, żeby stawiać opór, klient zawisł jak balast między dwoma brutalnymi osiłkami; jego stopy wlokły się bezwładnie po podłodze, gdy wyprowadzali go siłą z

lokalu. Dotarłszy do wyjścia, bramkarze rozkołysali swój żywy ładunek, prezentując zadziwiającą koordynację, a gdy nabrał pędu, wyrzucili go przez drzwi na twarde podłogę na zewnątrz. Set skłamałby, gdyby powiedział, że odległość, jaką udało im się osiągnąć, nie zrobiła na nim wrażenia.

Jak tylko ostatni klient opuścił lokal, bramkarze zatrzasnęli i zaryglowali drzwi. Wyszczерzyli zęby w uśmiechu, odwrócili się w stronę Seta i zajęli swoje pozycje, opierając się o ściany po obu stronach jedyne go wyjścia z pomieszczenia.

Chcąc nie chcąc, Set podziwiał jawną bezczelność Rodianina. Większość właścicieli zaprosiłaby Seta na zaplecze, żeby porozmawiać, zamiast zamykać cały lokal za jedyne dwieście kredytów. Sądząc jednak po wyglądzie wnętrza, lokal nie był specjalnie rentowny.

Zresztą Set właściwie nie dbał o to. Nie starał się specjalnie zachować dyskrecji. Był przyzwyczajony do tego, że zostawiał po sobie ciekawe wspomnienia; jeśli nawet ktokolwiek zacznie węszyć, jego już tu dawno nie będzie, więc co za różnica, jeśli jego legenda wzbogaci się o kolejną anegdotkę? Z czasem szczegóły niechybnie zostaną wyolbrzymione i kiedyś ludzie będą podziwiać, jaki to Set musiał być bogaty, że zapłacił tysiące kredytów za zamknięcie całej kantyny tylko po to, żeby porozmawiać z właścicielem.

– Teraz nikt nam nie przeszkadza - odezwał się Quano za jego plecami, zeskakując z powrotem na podłogę. - Chce drinka?

– Jestem kolekcjonerem zainteresowanym rzadkimi artefaktami - zaczął Set, ignorując pytanie i przechodząc od razu do rzeczy. Chciał spędzić tu możliwie jak najmniej czasu. - Pierścienie. Amulety. Tego typu rzeczy.

Quano wzruszył ramionami.

– Dlaczego ty mówi Quano?

– Podobno sprzedajesz czasem takie przedmioty.

Miseczkowate antenki na głowie barmana delikatnie zadrgały.

– Może - szepnął, nachylając się do przodu, żeby Set go słyszał. - Górnik znajduje rzeczy. On chce sprzedawać na inne światy. Może Quano mu pomaga.

– W takim razie to twój szczęśliwy dzień - odparł Set i zdołał nawet wyprodukować olśniewający uśmiech pomimo mocnego zapachu obcych feromonów, który roztaczał wokół Rodianin. - Jak już wspomniałem, jestem kolekcjonerem. Zamożnym kolekcjonerem.

Quano rozejrzył się po pustej sali, zupełnie jakby się spodziewał, że ktoś może podsłuchiwać ich rozmowę. Set uznał to za nerwowy odruch, nabyty

przez lata robienia szemranych interesów w miejscach publicznych.

– Czym ty zainteresowany?

– Myślę, że wiesz, czego szukam. Tego samego, co poprzedni kolekcjoner, który tu był. Cereanin.

– On nie kolekcjoner. On Jedi. Ty też Jedi?

Set westchnął. Cena pójdzie przez to w górę. Nigdy nie doceniałeś wartości dyskrecji, prawda, Medd?

– A czy wyglądam na Jedi?

Rodianin przekrzywił głowę na boki, zanim odpowiedział.

– Nie. Wygląda bardziej jak łowca nagród.

– Zresztą, czy to ważne? Chcę kupić to, co sprzedajesz. I mam dużo kredytów... jeśli ty masz towar.

– Towar nie tu. Quano tylko pośrednik. Górnik ma to.

– Możesz mnie zaprowadzić do tego, kto to ma?

Quano pokręcił głową.

– Górnik zmienia zdanie. Już nie na sprzedaż.

– Każdy ma swoją cenę. A ja jestem bogaty. Jak mnie do niego zaprowadzisz, na pewno jakoś się dogadamy.

Rodianin znów pokręcił głową.

– Ostatni raz, jak Quano bierze ktoś do górników, wszyscy martwi. Za duże ryzyko.

– Jestem skłonny zaryzykować.

Rodianin prychnął.

– Quano nie obchodzi ryzyko dla ciebie. Górnicy mówią, jak Quano przychodzi znowu, oni go zabić.

– Nikt się nie dowie, że miałeś z tym cokolwiek wspólnego - obiecał Set. - Pokaż mi tylko, gdzie ich znaleźć. Nie pożałujesz.

Dla podkreślenia swoich słów wyciągnął małą sakiewkę i wyjął z niej całą garść czipów o wysokich nominałach. Pokazał je Rodianinowi, a potem przepuścił między palcami, wsypując z powrotem do woreczka.

Quano wysunął język i oblizał ryjek. Niechęć, jaką wzbudzała perspektywa zaprowadzenia Seta do górników, toczyła w nim walkę z chciwością.

– Ty płaci tysiąc... nie, dwa tysiące, tak?

– Siedemset. Albo idę poszukać kogoś innego, kto mi pomoże.

– Dobrze, zgoda - wypalił barman; wolał się nie targować z obawy, że mógłby wypuścić z rąk małą fortunę.

Wyciągnął rękę dla przypieczętowania transakcji. Set zacisnął zęby i

odwzajemnił gest. Uścisnął dłoń kontrahenta i szybko cofnął rękę, czując lekkie obrzydzenie wywołane dotykiem łuskowatej skóry Rodianina.

– Ty pije drinka, żeby oblać umowę - zaproponował Quano. - Na koszt firmy.

– Nie trzeba - odparł Set.

– Ty ma kredyty przy sobie, tak? - dopytywał barman. - Ty płaci teraz, tak?

Set pokiwał głową.

– Zapłacę ci, jak tylko wyruszymy.

– Wyruszymy teraz. Quano tylko coś bierze najpierw.

Gdy Rodianin zanurkował pod barem, Set zdał sobie sprawę, że w głosie kantyniarza było coś podejrzanego. Wydawał się zbyt ochoczy.

A więc to tak?

Mroczny Jedi wsunął rękę pod kamizelkę i wyciągnął miecz świetlny. Zapalił go w momencie, gdy Quano się wynurzył, w samą porę, żeby odbić strzał z wymierzonego w siebie pistoletu blasterowego. Rodianin wydał okrzyk zaskoczenia i zniknął znowu za barem.

Set miał już do czynienia z takimi jak Quano. On sam z chęcią dotrzymałby warunków umowy, ale Rodianin miał najwyraźniej inny plan. Po co ryzykować życie, prowadząc kogoś do tajnej bazy za siedemset kredytów, jeśli zamiast tego można zamordować go z zimną krwią i zabrać mu wszystkie pieniądze?

Set to rozumiał; w końcu sam kierował się podobnie egoistycznymi zasadami. Ale barman popełnił niewybaczalny błąd, próbując zastosować te zasady wobec Mrocznego Jedi.

Jednym okiem zerkając na bar, Set odwrócił się w kierunku dwóch tęgich górników pilnujących drzwi. Prawdopodobnie spodziewali się podstępów Quana, ale niepowodzenie jego planu kompletnie ich zaskoczyło. Teraz uśmieшки znikły z ich twarzy. Niezdarnie próbowali wyciągnąć broń.

Dlaczego ci wielcy faceci są zawsze tak cholernie powolni?

Set mógł ich powstrzymać w dowolny sposób: użyć Mocy, żeby wyrwać im z rąk pistolety, albo posłać falę, która odrzuciłaby wartowników na drugi koniec sali. Byli zresztą tak ślamazarni, że mógł też skoczyć do przodu i rozciąć obu na pół mieczem świetlnym, zanim zdążyliby oddać strzał. Postanowił jednak po prostu zostać na swoim miejscu, czekając na nieuniknioną kanonadę blasterowego ognia.

Jego adwersarze nie zawiedli. Set z łatwością odbił pierwszą serię błyskawic swoją błyszczącą klingą, posyłając je w bezpiecznym kierunku. W

tym momencie inteligentny przeciwnik wyskoczyłby zza drzwi. Jednak siepacze Quana strzelali dalej, zbyt głupi, żeby pojąć całkowitą bezcelowość swoich ataków.

Set sparował jeszcze kilka strzałów, zanim znudziła go ta zabawa. Wykorzystując Moc, żeby przewidzieć precyzyjnie tor lotu kolejnych dwóch błyskawic, ustawił miecz świetlny w taki sposób, że odbite strzały powędrowały dokładnie tam, skąd nadeszły.

Jeden z górników dostał w klatkę piersiową, drugi w brzuch. Obaj zginęli na miejscu.

Zabijanie wrogów ich własnymi błyskawicami blasterowymi było starym przyzwyczajeniem Seta. Czasami trzeba było zachować dyskrecję, a miecze świetlne zostawiały zazwyczaj bardzo charakterystyczne rany. To nie była jedna z tych sytuacji, ale dlaczego nie wykorzystać okazji, żeby potrenować?

Przez cały ten czas Quano się nie pokazywał. Set nie był tym zaskoczony.

– Możesz równie dobrze wyjść. Nie zmuszaj mnie, żebym ja po ciebie poszedł.

Zielona głowa Rodianina zaczęła się powoli wychylać. Wciąż trzymał swój blaster, celując w Seta. Ale ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie potrafił nawet ustabilizować lufy.

Set pokręcił głową.

– Jeśli chcesz kogoś zabić, żeby okraść go z kredytów, to poszukaj przynajmniej łatwiejszej ofiary.

– Ty kłamca - odparł Quano, podnosząc głos w odruchu obronnym. - Ty mówił ty nie Jedi.

Błyskawicznym ruchem nadgarstka Set użył Mocy, żeby wytrącić pistolet z ręki Quana. Kolejnym gestem poderwał bezradnego barmana z podłogi i przeniósł go przez całą salę, tak że nieszczęśnik upadł bezładnie u stóp Seta.

Set pochylił się, złapał Rodianina za jedną z antenek i podciągnął swoją skamlącą ofiarę do góry. Drugą ręką zbliżył klingę wciąż zapalonego miecza świetlnego do łuskowatej twarzy Quana na odległość kilku centymetrów.

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz. Nie jestem Jedi.

Dla podkreślenia swoich słów przytknął na ułamek sekundy ostrze do policzka Rodianina. Skwierczenie przypalanej skóry zagłuszył krzyk Quana.

– Nie zabija, nie zabija! - załkał Rodianin.

Uraz był niewielki; oparzenie, które powinno zagoić się w ciągu tygodnia, pozostawiając jedynie nieznaczną bliznę. Ale Set był zadowolony, że udało mu się dobitnie przedstawić swoje stanowisko. Zgasił miecz świetlny, puścił antenkę Rodianina i zrobił krok do tyłu, żeby barman mógł

się podnieść.

Wciąż klęcząc, Quano podniósł rękę do twarzy, ostrożnie badając ranę.

– Dlaczego miałbym cię zabić? - spytał Set. - Tylko ty możesz mnie zaprowadzić do górników i ich talizmanów. Dopóki ich nie zdobędę, zrobię wszystko, żeby zachować cię przy życiu.

– A jak ty je dostaje, to co wtedy? - spytał podejrzliwie Quano.

Set rzucił mu swój najbardziej czarujący uśmiech.

– Wtedy będziemy musieli wymyślić coś na poczekaniu.

Set słyszał głosy górników odbijające się w tunelu. Oceniał, że dzieli ich ledwie kilkaset metrów; sądząc po brzmieniu echa, byli w jakiejś przestronnej, wysokiej pieczarze.

Żyją jak robaki, gnieźdząc się w podziemnych jamach ze strachu o własne życie, pomyślał. Żałosne.

Jego mimowolny przewodnik, który szedł przodem, zatrzymał się i obejrzał na niego. Niełatwo jest wyczytać coś z twarzy Rodianina, ale można było się domyślić, o co pyta Quano: zaprowadziłem cię tak daleko, mogę już iść?

Set pokręcił tylko głową i wskazał w głąb tunelu. Quano poczłapał dalej ze zwieszonymi ramionami.

Byli już na tyle blisko, że Set zaczął rozumieć, co mówią do siebie górnicy.

– Nie mówisz poważnie! - krzyczał mężczyzna o tubalnym głosie. - Arystokraci zamordowali Gelbę! Muszą za to zapłacić!

– Jeśli załatwili Gelbę, to mogą załatwić każdego - sprzeciwił się inny. - Myślę, że nie powinniśmy się wychylać przez jakiś czas. Poczekać, aż wszystko przycichnie.

– Zgadzam się - wtrąciła kobieta. - Wiem, że Gelba była twoją przyjaciółką, Draado. Ale gadasz od rzeczy!

Set zobaczył światło dochodzące z wejścia do pieczary za zakrętem tunelu. Quano podczołgał się do rogu i przykucnął za skałą, skąd widział wszystko jak na dłoni. Może i był tchórzem, ale jak zauważył Set, podążając w ślad za nim, miał wrodzony talent do skradania się i szpiegowania.

Z ich punktu obserwacyjnego widział dokładnie jaskinię. Była najeżona dziesiątkami dużych stalagmitów, sterczących z podłoża jak brzydkie brązowe iglice. Stalaktyty zwisające ze stropu wyglądały złowieszczo, niczym zęby jakiegoś pradawnego, kamiennego potwora czekającego, żeby schrupać znajdujących się na dole ludzi.

Set naliczył równy tuzin górników zebranych w luźnym półokręgu

pośrodku komnaty. Wszyscy byli uzbrojeni, podobnie jak czterej wartownicy przy wejściu do tunelu, z którymi rozprawił się niecałe dziesięć minut wcześniej. Kilkoro spośród górników siedziało na płasko zakończonych formacjach skalnych. Inni przechadzali się nerwowo tam i z powrotem. Jeden opierał się o pobliski stalagmit. Dwaj mężczyźni i kobieta toczyli najwyraźniej zażarty spór. Czterech kolejnych z karabinami blasterowymi trzymało straż na obrzeżach grupy, obserwując niespokojnie wejście do pieczary, jak gdyby próbowali przeniknąć wzrokiem ciemności w oczekiwaniu na atak.

Ten, kto zabił Medda i waszych przyjaciół, wpędził was w paranoję, pomyślał Set.

– Teraz, kiedy Gelby już nie ma, ja tutaj podejmuję decyzje - mówił brodaty mężczyzna, zwracając się do jednej z kobiet. - I mówię, że śmierć Gelby wymaga krwi!

– Draado - wyszeptał Quano tak cicho, że Set musiał się nachylić, żeby go usłyszeć. - On ten, co wykopuje to, co ty chce.

Gdy Set przyjrzał się uważniej, dostrzegł amulet zawieszony na szyi Draada i błysk pierścienia na jego palcu - po raz pierwszy, odkąd wylądował na tej lichej planecie, zobaczył u któregoś z górników ozdoby.

– Chcesz wywołać wojnę, która przyniesie śmierć nam wszystkim? - zaprotestował jeden z mężczyzn.

– Przynajmniej zabierzemy ze sobą paru arystokratów - odciął się Draado.

Draado stał niecałe dziesięć metrów od ich kryjówki, na tyle blisko, że Set czuł moc płynącą z talizmanów. Amulet zdawał się go przyzywać; pierścień wabił swoim mrocznym żarem.

– Co się z tobą dzieje, Draado? - spytała kobieta. - Zawsze mówiłeś, że możemy osiągnąć to, czego chcemy, bez przemocy i rozlewu krwi.

– Zmieniłem się. Dostrzegłem prawdę. - Draado uderzył pięścią w amulet na piersi dla dodania wagi swoim słowom. - Arystokraci nie nauczą się nas szanować, dopóki nie zaczną się nas bać - przekonywał, zwracając się do zebranych wokół górników. - Musimy sprawić, żeby zaczęli się bać o własne życie. Musimy napełnić ich serca grozą!

Niewątpliwie Draado znajdował się pod wpływem talizmanów; zatruwały jego umysł i myśli. Zawładnęła nim potęga Ciemnej Strony.

Nic dziwnego, że, jak mówił Quano, nie chce ich sprzedać.

Mroczny Jedi rozważył różne ewentualności. Targowanie się z górnikiem nie wchodziło w grę; Draado nigdy dobrowolnie nie odda znalezionych

skarbów. Przy takim napięciu, jakie panowało w grocie, i swędzących palcach na spustach wartowników, można było zakładać, że jakakolwiek próba negocjacji zakończy się strzelaniną, niezależnie od tego, co zrobi Set.

Wyciągnął swoje dwa pistolety i wziął głęboki oddech, przygotowując się na konfrontację. Cóż, przyda mu się trening strzelecki.

Wyskoczył ze swojej kryjówki i wpadł do pieczary, otwierając ogień. Wyeliminował wszystkich czterech wartowników z karabinami, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Pozwalając, by Moc prowadziła jego rękę, z łatwością zdjął jednego po drugim czterema bezbłędными strzałami i popędził w stronę dużego stalagmitu w głębi jaskini.

Dopadł do niego akurat w momencie, gdy górnicy odpowiedzieli ogniem. Zasypali jego kryjówkę strzałami, wzniecając obłoczki pyłu, kiedy błyskawice odłupywały kawałeczki kamienia. Set wystawił głowę i oddał jeszcze dwa strzały, zmniejszając liczbę przeciwników do sześciu, po czym schował się z powrotem za stalagmitem.

Odgłosy górniczych blasterów odbijały się od ścian pieczary. Set uśmiechnął się, zachwycony wspaniałą bitewną wrzawą. Jestem już w połowie drogi, pomyślał. To może się okazać łatwiejsze, niż myślałem.

Wyczuł, że za jego plecami Quano rzucił się biegiem z powrotem przez tunel. Set mógł go zlikwidować jednym strzałem w plecy, ale postanowił pozwolić mu uciec. Zresztą zawsze lubił zostawić przy życiu kogoś, kto mógłby opowiedzieć o jego wyczynach.

Nagle w pieczarze rozległ się głośny trzask. Set spojrzał w górę i zobaczył, że jeden ze stalaktytów spada prosto na niego. Odskoczył w ostatniej chwili, a śmiertelna skała rozpadła się na kawałki pod wpływem zderzenia z twardym podłożem jaskini. Schylił głowę, chroniąc ją przed deszczem ostrych kamiennych odłamków, które naznaczyły odsłoniętą skórę jego szyi i ramion setkami powierzchownych kłujących skaleczeń.

Znów odezwały się blastery, ale Set zdążył już wstać. Klucząc, omijał strzały w szaleńczym pędzie ku kolejnej okazałej formacji skalnej.

Chwilowo bezpieczny, odczekał moment, by złapać oddech. Zerknął w górę, żeby upewnić się, czy nie wisi nad nim następny potencjalnie śmiertelny stalaktyt. Nie miał wątpliwości, czyje strzały strąciły poprzedni. Był zbyt niefrasobliwy, lekceważąc Draada i jego talizmany.

Nie trzeba było zgłębić tajników Mocy, żeby korzystać z jej potęgi. Moc wyostrzała zmysły, skracała czas reakcji i pozwalała przewidywać rozwój wydarzeń. To, co niektórzy uznawali za biegłość w posługiwaniu się bronią albo szczęście w walce, często było w istocie przejawem Mocy. Nawet jeśli

nie był tego świadom, Draado czerpał z potęgi Ciemnej Strony. A to czyniło go niebezpiecznym.

Set odłożył pistolety i odpiął swój miecz świetlny. Zabawa się skończyła.

Wychylił się zza swojej skały, zapalił miecz i cisnął nim, wprowadzając go w ruch obrotowy po szerokim, eliptycznym torze. Broń okrążyła pomieszczenie, z równą łatwością rozcinając stalagmity, jak ciała górników, po czym wróciła do nadstawionej ręki Seta.

Opanowanie śmiertelnej techniki rzutu mieczem świetlnym zajęło Setowi lata, ale taki atak był praktycznie nie do odparcia. Pięciu z pozostałych przeciwników padło ofiarą zabójczego łuku, jaki broń zakreśliła wokół komnaty. Jedynie Draado zdążył się uchylić dzięki sile talizmanów, które miał na sobie. Ale nawet używając tych artefaktów, nie mógł mierzyć się z byłym Rycerzem Jedi.

Set wstał i wyciągnął wolną rękę w stronę Draada, zginając palce niczym szpony. Górnik upuścił blaster i chwycił się za gardło, próbując złapać oddech.

Set podszedł bliżej, zwiększając nacisk na tchawicę bezradnej ofiary. Draado upadł na kolana, a jego twarz zrobiła się fioletowa. Mroczny Jedi stał nad górnikiem, patrząc zimnym wzrokiem, jak powoli uchodzi z niego życie.

Kiedy konwulsje wreszcie ustały, Set schylił się i odebrał mu zarówno amulet, jak i pierścień. Zwalczył w sobie pokusę, by od razu je włożyć. Z czasów nauki pod okiem Mistrza Obby zapamiętał, że artefakty Ciemnej Strony należy dokładnie zbadać, zanim się ich użyje - ich potęga często miała swoją cenę.

Miał już to, czego chciał; teraz pragnął jak najszybciej opuścić tę zapomnianą przez cywilizację planetę i powrócić do swojego luksusowego domu na Nal Hutta. Poza tym, im dłużej przebywał na Doanie, tym większa była szansa, że spotka kolejnego Jedi przysłanego, żeby zbadać sprawę śmierci Medda. Jeśli wyruszy teraz, taki Jedi znajdzie co najwyżej lamentującego barmana, który nie będzie w stanie powiedzieć mu nic, na co nie wpadłby sam.

Bywaj, Quano. Lepiej dla ciebie, żebyśmy się więcej nie spotkali.

Wracając na powierzchnię długim, krętym tunelem - z amuletem i pierścieniem schowanymi głęboko - zastanawiał się, czy Rodianin kiedykolwiek zrozumie, jak wielkie miał szczęście.

ROZDZIAŁ 7

Ze wszystkich światów, na których była - łącznie z przeoranyymi przez wojnę polami Ruusanu, martwymi pustyniami Ambrii czy odludnymi, szarymi równinami Tythonu - Doan był zdaniem Zannah zdecydowanie najmniej gościnnie.

Całą powierzchnię planety rozryto w niekończącym się poszukiwaniu nowych minerałów. Flora i fauna nie istniały; wszędzie dookoła widać było jedynie skały i piach. Był to paskudny, wyjałowiony świat, który wedle wszelkich przesłanek powinien być pozbawiony jakiegokolwiek życia. A jednak górnicze osady pełne były zdesperowanych istot próbujących zarobić tutaj na skromne życie.

Patrząc na nich, Zannah porównywała ich mimowolnie do swojego Mistrza, o którym wiedziała, że dorastał w miejscu podobnym do Doanu - na Apatrosie, planecie bogatej jedynie w kopalnie cortosis, należące do Kompanii Górniczej Zewnętrznych Rubieży, korporacji znanej z traktowania pracowników kontraktowych jak niewolników. Jednak o ile ciężkie dzieciństwo i brutalne wychowanie w kopalniach Apatrosu nauczyło Bane'a walki o przetrwanie i pomogło wykuć jego niezłomną wolę, to nędzne kreatury, które spotykała na Doanie, były słabe i nie zasługiwały na nic lepszego. Bane miał ambicję. Bane miał siłę. Potrafił wznieść się ponad otoczenie. Samą siłą woli zdołał zrzucić kajdany swojego dzieciństwa i wykuć sobie nowy los. Zaczynając od zera, został Mrocznym Lordem Sithów.

Teraz dla Zannah nadszedł czas, żeby dokonać tego samego. Nie mogła skończyć tak, jak te żalosne gnidy: słabe, wystraszone i zniewolone.

„Dzięki potędze osiągam zwycięstwo. Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy”.

Oczywiście była jeszcze kwestia znalezienia sobie własnego ucznia. Na razie jednak musiała skupić się na tym, co ją tu sprowadzało. Jej śledztwo wykazało, że nie tylko ona interesowała się zabitym Jedi. Niecałe dwa dni przed nią był tu mężczyzna o długich, srebrnych włosach - przez jednych określany jako najemnik, przez innych jako łowca nagród - i zadawał te same pytania co ona. Przez cały ten czas podążała jego śladami: rozmawiała

z tymi samymi ludźmi i swoim wdziękiem, przekupstwem lub groźbą wyciągała od nich te same informacje, których udzielili jemu.

Miała już pewne podejrzenia co do celu wizyty Medda Tandara na tej planecie. Wśród górników nie było żadną tajemnicą, że w trakcie prac wydobywczych odkopano niewielką skrytkę z biżuterią i że Jedi przybył na Doan w nadziei na przejęcie znaleziska. Zannah widziała tylko jeden powód, dla którego Jedi mógłby być zainteresowany paroma świecidełkami odkrytymi w zapomnianym od dawna grobowcu na nic nieznaczącej planecie Zewnętrznych Rubieży - najwyraźniej jej Mistrz nie był osamotniony w swoich obsesyjnych poszukiwaniach rozrzuconych po całej galaktyce artefaktów starożytnych Sithów.

Początkowo sądziła, że mężczyzna, który przed nią wypytywał o Medda, był kolejnym Jedi wysłanym w celu dokończenia wcześniejszej misji. Jednak doniesienia o tym, jak zdobywał informacje za pomocą tortur i zastraszania, jednoznacznie wskazywały, że nie jest to Jedi ani nawet nikt pracujący dla Zakonu. Idąc tropem tych doniesień, trafiła do rozsypującej się kantyny w jednej z niezliczonych górniczych kolonii. Lokal jednak okazał się zamknięty, a Quano, jego rodiański właściciel, zniknął. A że innych naocznych świadków nie było, Zannah postanowiła się rozejrzeć po kantynie w nadziei na znalezienie dalszych śladów.

Noc już zapadła, spowijając wszystko w niemal całkowitej ciemności. Zannah pchnęła drzwi i zorientowała się, że ktoś wyłamał zamek. Nie było w tym nic zaskakującego, biorąc pod uwagę widoczną na każdym kroku nędzę. Gdy weszła do środka, poczuła mdły zapach rozkładającego się ciała. Wyciągnęła zza paska pręt jarzeniowy, oświetlając pomieszczenie jego bladym zielonym blaskiem, który pozwolił jej dostrzec dwa ciała leżące na podłodze.

Kucając przy pierwszym z nich, dokonała pobieżnych oględzin. Suchy, gorący klimat Doana, w połączeniu z brakiem przepływu powietrza w kantynie, częściowo zmumifikował zwłoki, spowalniając proces rozkładu. Przyczyna zgonu była oczywista: strzał z blastera w klatkę piersiową. Blaster ofiary tkwił wciąż w zaciśniętej dłoni.

Z całą pewnością nie był to Quano; ciało należało zdecydowanie do człowieka. Nie pasowało też do opisu osobnika, którego śladem podążała. Sądząc po ubraniu i rozwiniętych mięśniach, był to zapewne jeden z górników. Drugie ciało wyglądało tak samo: martwy górnik postrzelony w klatkę piersiową.

Kontynuując oględziny lokalu, Zannah zauważyła, że półka za barem jest

pusta - wyraźne kółka odcisnięte w kurzu wskazywały jednak, że jeszcze niedawno stały tam dziesiątki butelek. Ten, kto się tu włamał, najwidoczniej ukradł cały alkohol... i pozostawił dwa ciała leżące na podłodze.

Gruntowne przeszukanie całego pomieszczenia nie przyniosło żadnych rezultatów w postaci jakiegokolwiek śladu Rodianina lub srebrnowłosego mężczyzny.

Słyszając, że ktoś gmera przy drzwiach, Zannah przykryła pręt jarzeniowy płaszczem i przywarła do podłogi, nieruchoma jak posąg, skrzętnie ukryty - jak sądziła - w mroku.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i ciemna postać zaczęła przesuwając się powoli między stolikami w kierunku baru. Zannah odczekała chwilę, a gdy upewniła się, że intruz jest sam, wstała i odrzuciła płaszcz, zalewając pomieszczenie blaskiem pręta jarzeniowego.

Rodianin zamarł, wpatrując się w nią wielkimi, pełnymi lęku oczami.

- Quano, jak sądzę?

- Ty kto? - zapytał. Jego ledwo zrozumiałą basic stał się jeszcze bardziej bełkotliwy, widocznie ze strachu. Nagle zauważył pustą półkę za barem i jego twarz wykrzywił gniewny grymas. - Ty kradnie gorzała Quano.

- Niczego nie ukradłam. Przyszłam tu, żeby zadać ci parę pytań - zapewniła go.

Ramiona Rodianina gwałtownie opadły. Usiadł z westchnieniem na podłodze i zwiesił smętnie głowę.

- Znowu pytania. Ty też Jedi? Jak tamten? - W jego głosie słychać było absolutną rezygnację, jakby zrozumiał, że jego los jest przesądzony, i porzucił wszelką nadzieję na uniknięcie przeznaczenia.

- Jedi? Chodzi ci o Medda Tandara? Cereanina?

- Nie. Ten drugi. Człowiek. Długie białe włosy.

- Właśnie go szukam - przyznała Zannah. - Ale dlaczego sądzisz, że to Jedi?

- Jego ma miecz świetlny. Używa go, żeby zrobić Quano to.

Rodianin odwrócił głowę i pokazał policzek. Poruszając się powoli, żeby nie wystraszyć wyraźnie roztrzęsionej istoty, Zannah zbliżyła się wystarczająco, żeby obejrzeć bliznę. Przy wątłym świetle pręta jarzeniowego nie mogła tego stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, ale rana rzeczywiście wyglądała na zadaną mieczem świetlnym.

Zannah potrafiła wiele wyczytać z czyjegoś zachowania. Rodianin był jak maltretowany szczeniak, kulący się w oczekiwaniu na kolejny cios. Wystarczyło okazać mu odrobinę współczucia, żeby zaczął ją traktować tak,

jakby uratowała mu życie.

– Torturował cię. Biedactwo - roztkliwiła się, pozorując empatię, podczas gdy jej umysł zastanawiał się nad tożsamością tajemniczego białowłosego mężczyzny.

Jedi nigdy nie skrzywdziłyby kogoś bez wyraźnego powodu. Ktokolwiek to zrobił, nie należał do Zakonu, a jednak miał miecz świetlny. I posługiwał się nim na tyle umiejętnie, żeby zranić Quana, nie odcinając mu przy okazji połowy twarzy. Zannah słyszała opowieści o Mrocznych Jedi - Rycerzach Jedi, którzy odrzucili nauki swoich Mistrzów, skuszeni potęgą Ciemnej Strony. Czyżby mężczyzna, którego szukała, był jednym z nich?

Jeszcze ważniejsze było to, czy Bane o tym wiedział. Jej Mistrz często pewne fakty utrzymywał przed nią w tajemnicy, dlatego zawsze zakładała, że Bane wie więcej, niż jej mówi. Ale jeśli wiedział, że na Doanie jest Mroczny Jedi, to dlaczego wysłał Zannah z tą misją? Czy to miał być ostateczny test? Czy powinna udowodnić swoją wartość, znajdując i zabijając tego potencjalnego rywala? A może Bane testował białowłosego mężczyznę? Gdyby okazał się wystarczająco silny, żeby zabić Zannah, czy zostałby nowym uczniem jej Mistrza?

– Jego chciał informacje - wyskamlął Quano.

– Przepraszam, Quano - powiedziała łagodnie i położyła delikatnie rękę na jego ramieniu - ale ja też potrzebuję informacji. Muszę wiedzieć, co mu powiedziałaś.

Mówiąc to, posłużyła się Mocą, wywierając subtelny nacisk na barmana, żeby zachęcić go do mówienia.

– Ty jego przyjacieli?

– Nie - zapewniła go Zannah, używając słów dla wzmocnienia swojej drobnej manipulacji. - To nie jest mój przyjaciel.

Być może Bane chciał jej dać impuls, zmusić ją do działania. Czy podsuwał jej odpowiedniego kandydata na ucznia w nadziei, że to skłoni ją do sięgnięcia po przywództwo nad Sithami?

– Ty chcesz go zabić? - spytał Quano łamiącym się z emocji głosem.

– Jest taka możliwość - odparła i obdarzyła go ciepłym uśmiechem. Zabić albo zrobić moim uczniem... zakładając, że on nie zabije mnie. - Ale najpierw muszę go znaleźć.

– Jego już nie tu. Jego idzie dwa dni temu. Odlatuje z Doan.

– On czegoś tu szukał, prawda?

Quano pokiwał głową.

– Rzeczy, co górnik wykopuje. Jego bierze. Zabija górnicy. Wtedy Quano

ucieka.

– I od tego czasu się ukrywałaś - domyśliła się Zannah. - Więc po co wróciłaś do kantyny?

Rodianin się zawahał. Jego owadzie oczy błędnymi nerwowo między twarzą Zannah a małym, przymocowanym do nadgarstka blasterem, który wystawał spod rękawa jej płaszcza.

– Nic ci nie zrobię, Quano - obiecała. - Nie jestem taka jak on. - On widocznie lubi zadawać ból, pomyślała. Ja robię to tylko wtedy, kiedy widzę jakieś korzyści z cierpienia innych. - Nie sądzę, żeby tu wrócił. - Zwłaszcza jeśli znalazł talizmany. - Ale muszę się czegoś dowiedzieć, Quano. Kiedy ten człowiek odleciał z Doan i dokąd się udał?

Quano wzdrygnął się, zanim udzielił odpowiedzi.

– Quano nie wie. Naprawdę.

– Wierzę ci - powiedziała i poklepała go delikatnie po rękę. - Ale na pewno znasz kogoś, kto mógłby mi pomóc się dowiedzieć, prawda?

Barman poruszył się niespokojnie, ale jeszcze jeden łagodny napór Mocy przełamał jego opory.

– Quano ma przyjaciela w kosmoport. Jego może wiedzieć.

– Możemy do niego pójść?

– Ty chce iść teraz?

Zannah znowu się uśmiechnęła, żeby podtrzymać relację, którą udało jej się zbudować.

– Możesz zabrać najpierw kredyty z sejfów.

Zanim dotarli do portu kosmicznego, czekał ich dwukilometrowy spacer z kantyny Quano do najbliższej stacji naziemnej wahadłowców, piętnaście minut oczekiwania na statek, a następnie czterdziestominutowy lot. Kiedy dolecieli na miejsce, było już dobrze po północy i doński port - niezbyt ruchliwy nawet w godzinach szczytu - był zupełnie pusty, nie licząc paru osób pracujących na nocnej zmianie.

W przeciwieństwie do mocno zbiurokratyzowanych portów na Ciutric władze portowe na Doanie nie zawracały sobie głowy kontrolą przylatujących statków. Właściwie ich jedynym zajęciem było pobieranie opłat za lądowanie.

– Ten twój przyjaciel - spytała Zannah, gdy przechodzili z Quano przez niepilnowaną przez nikogo bramkę - co on tu robi?

– Ekipa sprzątająca - odpowiedział Rodianin.

Zannah nie bardzo wiedziała, w jaki sposób cieć może pomóc jej namierzyć statek, który wyleciał prawie dwa dni temu, ale postanowiła

trzymać język za zębami. Pozwoliła się zaprowadzić przez halę przylotów i odlotów na znajdujące się na jej tyłach lądowisko.

Lądowisko było małe, mogło pomieścić najwyżej tuzin średniej wielkości promów pasażerskich. Przeważającą część ruchu międzygwiazdowego na Doanie stanowiły albo osobiste statki zamożnych arystokratów, które dokowały na prywatnych lądowiskach w ich posiadłościach, albo statki towarowe związane z przemysłem górniczym, które były obsługiwane gdzie indziej. Tutaj, w komunalnym porcie kosmicznym, lądowali tylko nieliczni.

Lądowisko było słabo oświetlone paroma reflektorami umieszczonymi na wysokich słupach; mimo to Zannah wyraźnie widziała, że stoją tu tylko trzy statki, z których jeden był jej własnym wahadłowcem. W cieniu na skraju lądowiska siedział na krześle młody mężczyzna z głową odrzuconą do tyłu. Miał na sobie wymięty uniform dozorca i plakietkę z nazwiskiem; ręce zwiesił bezwładnie po bokach i głośno chrapał.

Quano podszedł do niego i kopnął w nogę krzesła, wyrывая go ze snu.

– Pommat. Pobudka.

Rozglądając się wokół z zasną miną, młodzieniec podniósł głowę i usiadł prosto na swoim krześle. Kiedy ujrzał Zannah, jego brwi wygięły się sugestywnie.

– Hej, Quano. Kim jest twoja śliczna przyjaciółeczka?

– Nieważne - odezwała się Zannah, zanim Rodianin zdążył odpowiedzieć.

- Podobno możesz mi pomóc namierzyć statek, który był tutaj dwa dni temu.

Mężczyzna spojrzał na Quana, na co Rodianin powiedział:

– W porządku. Ona miła. Ona przyjaciel.

Młody człowiek odwrócił się znowu w stronę Zannah, skrzyżował ręce na piersi i parsknął pogardliwie.

– Jasne. Przyjaciel, który nie chce zdradzić swojego imienia.

Zannah wyczuwała, że dozorca ma silniejszą wolę niż barman, ale i tak podatną na manipulacje. Fakt, że Pommat niewątpliwie docenił jej urodę, również mógł być pomocny; wystarczyło z nim trochę poflirtować.

– Jestem przyjacielem, co ma kredyty - odparła kokieteryjnie. - Pod warunkiem, że ty masz to, czego potrzebuję.

Mężczyzna pokiwał głową, rozplótł ręce i przejechał palcami po zmierzwionych we śnie włosach.

Zannah uniosła filuternie brew i sięgnęła poprzez Moc.

– No, Pommat. Nie szukam kogoś w typie milczącego osiłka.

– No dobra - uległ. - Może mógłbym pomóc. Czego potrzebujesz?

– Parę dni temu na Doan przyleciał pewien człowiek o długich, białych

włosach. Czy wylądował w tym porcie?

Znała już odpowiedź na to pytanie: jeśli mężczyzna nie miał powiązań z którąś z arystokratycznych rodzin, tutaj był jedyny port w promieniu tysiąca kilometrów. Ale jedna z podstawowych technik negocjacyjnych polegała na skłonieniu rozmówcy do udzielania twierdzących odpowiedzi na proste pytania. Dzięki temu był nastawiony bardziej ugodowo także w ważniejszych kwestiach.

– Ach, tak. Pamiętam go. Ładna maszyna. Najnowszy model. Wnętrze robione na zamówienie. Najwyższa półka. Nawet lepsze niż w twoim.

– Skąd wiesz, jak wygląda wnętrze mojego promu? - spytała Zannah podejrziwie.

Na moment zapadła cisza, po czym Quano i Pommat wybuchnęli śmiechem.

– On przemytnik - wyjaśnił Quano, gdy złapał oddech.

– Niezupełnie - sprostował Pommat. - Tak sobie dorabiam na boku, żeby związać koniec z końcem, rozumiesz?

– Nie - odparowała chmurnie. - Nie rozumiem. Może mi opowiesz?

– Ho, ho, masz temperament, laleczko - zauważył z podziwem Pommat. - Zaraz ci wszystko wyjaśnię. W nocy jestem tu sam. Mogę robić praktycznie wszystko, na co mam ochotę. Na przykład włamać się na czyjś statek.

– Nie boisz się systemów alarmowych?

– Jeszcze nie trafiłem na taki, którego nie potrafiłbym obejść - powiedział, dumnie wypinając pierś. - To jeden z moich licznych talentów. Jak będziesz miała szczęście, to może później poznasz też inne.

– Więc włamujesz się na cudze statki i je okradasz? - sprecyzowała Zannah, ignorując jego niezdarne zaloty.

– Nie. To by było głupie. Ludzie by widzieli, że coś zginęło. Zgłosiliby to mojemu szefowi i zaraz by się wydało, kto za tym stoi.

– To co właściwie robisz?

– To ci się spodoba - powiedział Pommat z chytrym mrugnięciem. - Jak już jestem w środku, włamuję się do komputera pokładowego i ściągam wszystkie informacje na datapad. Tam mam wszystko: dane właściciela, planety, na których statek jest zarejestrowany, najczęściej przemierzane szlaki nadprzestrzenne. Wiem, do kogo należy statek, gdzie był i jaki jest jego macierzysty port.

– Sprytnie - przyznała Zannah. - Ale jaki z tego pożytek?

– Teraz będzie najlepsze - obiecał, wyraźnie zadowolony z siebie. - Mam układ z jednym gościem z Kessel. Co miesiąc przysyła mi ładunek

błyszczostymu.

Błyszczostym, albo przyprawa, był silnie uzależniającym narkotykiem, zakazanym na większości planet. Jednak na Doanie nie było żadnych praw, które zabraniałyby jego importu. Nie było też nikogo w portach kosmicznych, kto mógłby egzekwować takie prawa, gdyby nawet istniały, zauważyła w myślach Zannah.

– Nie sprzedaję przyprawy tutaj - ciągnął Pommat. - Oprócz arystokracji nikt nie ma pieniędzy, a oni nie robią interesów z niższymi klasami. Mam za to kontakty na kilku innych planetach Zewnętrznych Rubieży. Powiedzmy, że włamałem się do komputera pokładowego i sprawdziłem, że statek pochodzi z Aralii. Kontaktuję się z moim człowiekiem na tej planecie i pytam go, czy chce, żebym wysłał mu transport. Po ustaleniu ceny zakradam się na statek pod nieobecność właściciela i ukrywam ładunek przyprawy gdzieś na pokładzie. Informuję mojego współnika, gdzie jest towar i przekazuję mu numer rejestracyjny statku, a on mówi któremuś ze swoich kumpli w porcie kosmicznym, żeby powiadomił go, kiedy statek wróci na Aralię. Potem czeka na odpowiedni moment, zakrada się na pokład, zabiera towar i przelewa kredyty na moje konto tutaj na Doanie. Właściciel nie ma o niczym pojęcia!

– Handel przyprawą jest na Aralii przestępstwem karanym śmiercią - zauważyła Zannah.

– I to jest właśnie najlepsze. Jeśli celnicy kiedykolwiek będą chcieli przeszukać jeden z tych statków, to karę poniesie właściciel, a nie my. Działa bez pudła!

Cały proceder wydał się Zannah dosyć błahy i niedopracowany. Nie raził jej fakt, że Pommat gotów był skazać niewinnych ludzi na straszny los tylko po to, żeby zarobić od czasu do czasu parę kredytów. Jej obiekcje budziły szczegóły techniczne. Plan był niewątpliwie uzależniony od sprzyjających okoliczności, ale sprawiał wrażenie nieefektywnego i niesolidnego. Nie miała jednak zamiaru niszczyć dopiero co nawiązanej relacji, wypowiadając na głos swoją opinię.

– Nie wiedziałam, że mam do czynienia z geniuszem zbrodni - zażartowała, wywołując tym zadowolony uśmiešek na twarzy Pommata. - A więc kiedy ten białowłosy mężczyzna się oddalił, włamałeś się na jego statek i skopiowałeś wszystko z komputera pokładowego?

– Wszystko mam tutaj, na moim datapadzie - odparł Pommat, poklepując się po kieszeni na biodrze.

– Czyli wiesz, jak się nazywa? Wiesz, skąd pochodzi?

– Tak... ale to będzie kosztować.

Zannah uśmiechnęła się i pokiwała aprobowująco głową.

– Oczywiście. Podaj swoją cenę.

– Mów dużo - wtrącił się Rodianin. - Pamiętaj, Quano dostaje połowę.

Pommat rzucił przyjacielowi karcące spojrzenie, po czym wydukał swoją wstępną ofertę:

– Yyy... czterysta kredytów?

Zannah nie miała ochoty na targowanie się.

– Zgoda. - Po zawiedzionym wyrazie twarzy przemytnika zorientowała się, że nagle pożałował, iż zażądał tak mało.

Wsunęła rękę pod płaszcz i wyciągnęła cztery stukredytowe czipy, które wręczyła dozorczy.

– Mów.

– Statek zarejestrowany jest na niejakiego Zuna Haako - odparł ponuro Pommat i rzucił dwa czipy Rodianinowi, a dwa pozostałe wsunął do kieszeni.

– Haako to neimoidiańskie nazwisko - zauważyła Zannah. - Ten, którego szukam, jest człowiekiem.

Pommat wzruszył ramionami.

– Może statek był kradziony.

– Zaczynam myśleć, że te informacje nie są warte tyle, ile zapłaciłam.

– Nazwisko właściciela może być lipne, ale współrzędne lotu są prawdziwe - zapewnił młody człowiek. - Ten statek przyleciał z Nal Hutta.

– Jesteś pewien?

– Bez dwóch zdań.

– Tak z ciekawości, wiezie jakiś ładunek od ciebie? - zapytała Zannah.

– Nie - odparł niemal z żalem. - Nie prowadzę tam żadnych interesów. Huttowie nie lubią, jak ktoś im wchodzi w paradę, rozumiesz?

– Może i słusznie.

Quano parsknął śmiechem.

– A co z moim statkiem? - spytała pogodnym tonem. - Jakież ukryte niespodzianki na pokładzie?

– Nie. To pierwszy statek, jaki kiedykolwiek przyleciał tu z Ciutric - odparł Pommat. - Nie mam żadnych kontaktów na twojej planecie. Chyba że byłabyś zainteresowana nawiązaniem dłuższej współpracy? - dodał, zerkając na nią z ukosa.

W odpowiedzi Zannah wyciągnęła rękojeść miecza świetlnego i zapaliła czerwone główne wyrastające z obu końców. Zaatakowała z oslepiającą

szybkością Mocy. Pierwszy błyskawiczny cios odciął wyciągniętą rękę Pommata na wysokości łokcia i wyłobił śmiertelną bruzdę w jego klatce piersiowej, a drugi gładko oddzielił głowę Quana od ciała. Obaj wyzionęli ducha, zanim na ich twarzach zdążył pojawić się wyraz zaskoczenia.

Po skończonej robocie wyłączyła broń i bliźniacze ostrza zniknęły z cichym brzęczeniem. Nie zabijała bez powodu, ale gdy tylko Pommat wyjawiał, że wie, skąd przybyła, nie miała innego wyjścia, niż zlikwidować zarówno jego, jak i Quana. Jedi nadal mogli się tu zjawić, żeby wyjaśnić sprawę śmierci Medda, i nie mogła ryzykować, że trafią jej tropem do posiadłości Bane'a. Lubiła mieć wszystko pod kontrolą.

Przykucnęła i wyjęła z kieszeni Pommata datapad, a także czipy kredytowe, które mu dała. Następnie to samo uczyniła z Quaniem, po czym wrzuciła ciała wraz z odrąbanymi częściami na sanie poduszkowe używane do przewożenia ciężkich bagaży na terenie portu kosmicznego. Na wypadek, gdyby węszył tu jakiś Jedi, wołała nie zostawiać żadnych śladów świadczących, że tych dwóch ktoś zabił mieczem świetlnym.

Załadowała ciała na swój prom i rozejrzała się ostatni raz, żeby upewnić się, że nie pozostawiła żadnych świadków. Zadowolona przeszła do kabiny i zaczęła przygotowywać się do startu.

Ciała ofiar mogła wyrzucić nad słońcem Doana tuż przed skokiem w nadprzestrzeń, pozbywając się tym sposobem wszelkich fizycznych dowodów, które mogłyby ją łączyć z tą planetą. Potem miała zamiar udać się na Nal Hutta, chociaż jeszcze nie wiedziała w jakim celu - żeby wyeliminować rywala czy żeby znaleźć ucznia.

ROZDZIAŁ 8

Ciche piknięcie z konsoli oznajmiło Bane'owi, że „Triumf zbliża się wreszcie do swego ostatecznego celu”.

Podróż na Prakith trwała dłużej, niż przewidywał. Wyprawa do Głębokiego Jądra zawsze niosła ze sobą ryzyko; gęsto rozsiane gwiazdy i czarne dziury w sercu galaktyki tworzyły studnie grawitacyjne mogące zaburzyć kontinuum czasoprzestrzeni. W tych ekstremalnych warunkach szlaki nadprzestrzenne bywały niestabilne, przemieszczały się, a nawet zapadały bez żadnego ostrzeżenia.

Ostatnia znana trasa prowadząca na Prakith zapadła się prawie pięćset lat temu i od tego czasu nikt nie zadał sobie trudu, żeby wytyczyć nową. W przypadku światów Głębokiego Jądra nie było to nic niezwykłego - jeśli nie były zasobne w surowce lub złoża minerałów, ryzyko związane z szukaniem nowych szlaków nadprzestrzennych okazywało się po prostu nieopłacalne.

Przez setki lat, które upłynęły od zerwania szlaków komunikacyjnych, Prakith był praktycznie zapomniany przez resztę Republiki. Nawet podróże z sąsiednich układów były niebezpieczne, dlatego też Bane spodziewał się ujrzeć planetę pogrążoną w marazmie po odcięciu od reszty społeczeństwa. Handel międzyplanetarny stanowił siłę napędową galaktycznej kultury; bez niego społeczności zanikały, a poziom ich technologicznego rozwoju zazwyczaj w mniejszym lub większym stopniu spadał.

Isolacja Prakith pozwoliła Jedi skutecznie wymazać z historii galaktyki wszelkie wzmianki na temat Dartha Andeddu i jego wyznawców, choć sam Prakith był wymieniany w kilku starszych dokumentach. Bane zgromadził wszelkie znane źródła, łącznie z paroma kompletnie przestarzałymi mapami nawigacyjnymi, z nadzieją zlokalizowania zaginionego świata.

Podróż poza wytyczonymi szlakami nie była niemożliwa, ale powolna i niebezpieczna. Bane był zmuszony wielokrotnie zmieniać współrzędne lotu, wykonując setki krótkich skoków, przemieszczać się od jednej gwiazdy do kolejnej, znajdującej się w najbliższym sąsiedztwie, i nieustannie wybierać ten właściwy z listy potencjalnych szlaków nadprzestrzennych, generowanej przez supernowoczesny komputer pokładowy „Triumfa”.

Mimo że posługiwał się najlepszym programem, jaki można było kupić za kredyty, komputer daleki był od nieomyślności. Opierał się na rachunku prawdopodobieństwa i teoretycznych założeniach, wynikających z wprowadzonych wcześniej danych, oraz na dokonywanych na bieżąco skomplikowanych astronawigacyjnych pomiarach. Nie sposób było przewidzieć stabilności czy bezpieczeństwa danej trasy, dopóki statek sam jej nie przetarł; w konsekwencji każdy etap lotu mógł się zakończyć katastrofą.

Podróżowanie przez nieoznaczoną przestrzeń było bardziej sztuką niż nauką i Bane w równym stopniu polegał na swoich instynktach, co na matematycznych obliczeniach komputera pokładowego. Poruszając się krótszymi skokami, spowalniał podróż, ale mógł w ten sposób zminimalizować ryzyko rozerwania „Triumfa” przez niespodziewaną studnię grawitacyjną lub zmiążdżenia przez zapadający się szlak nadprzestrzenny.

Nie pierwszy raz stawiał czoło niebezpieczeństwom czyhającym w Głębokim Jądrze. Dziesięć lat wcześniej udał się na zaginioną planetę Tython, aby odnaleźć holocron Belii Darzu. Fakt, że teraz leciał na Prakith w poszukiwaniu kolejnego holocronu - tym razem stworzonego przez Dartha Andeddu - nie wydawał mu się jednak zwykłym zbiegiem okoliczności.

To, co ignoranci uważali za przypadek czy szczęśliwy traf, było często dziełem Mocy. Niektórzy nazywali to przeznaczeniem albo losem, ale te określenia były zbyt banalne, by oddać jej subtelny, acz dalekosiężny wpływ. Moc była żyjącym bytem; przenikała samą tkanę wszechświata i przepływała przez każdą żywą istotę. Była energią, która dotykała i oddziaływała na wszelkie stworzenie, a jej nurty - zarówno jasny, jak i ciemny - wzbierały i opadały, kształtując schematy istnienia.

Bane poświęcił całe życie na studiowanie tych schematów i doszedł do wniosku, że można nimi manipulować i wykorzystywać je do własnych celów. Zrozumiał, że w miarę jak potęga Ciemnej Strony zanikała, coraz więcej talizmanów stworzonych przez starożytnych Sithów ginęło. Z czasem jednak ta tendencja uległa odwróceniu; gdy teraz potęga Ciemnej Strony rosła, wraz z nią pojawiała się szansa odnalezienia tych utraconych skarbów. Żeby wykorzystać nadarżającą się sposobność, potrzeba było jedynie kogoś na tyle mądrego, by ją rozpoznać, i na tyle silnego, by podjąć stosowne działania.

Bane miał te wszystkie przymioty, nie wiedział jednak, czy to samo dałoby się powiedzieć o jego uczniu. Zannah była inteligentna i przebiegła, a jej potencjał w zakresie posługiwania się Ciemną Stroną Mocy

przewyższał być może jego własny. Ale czy dysponowała wizją, która pozwoliłaby jej przeprowadzić Sithów przez niewidzialne przyływy i odpływy historii?

Zastanawiał się, jak przebiega jej śledztwo na Doanie. Miał nadzieję, że dotrze na Ciutric przed nią, ale trochę zlekceważył trudy nawigacji przez Jądro. Kiedy wróci, ona może już na niego czekać. Domyśli się, że wysłał ją dla odwrócenia jej uwagi i będzie się spodziewała zdrady z jego strony. W końcu może dojdzie do konfrontacji, na którą czekał.

Konsola nawigacyjna znów się odezwała, a widok na zewnątrz kabiny zmienił się z oślepiająco białego pola nadprzestrzeni na perspektywę układu Prak - nieduże, czerwone słońce otoczone pięcioma maleńkimi planetami. Bane przełączył statek na ręczne sterowanie i skierował go na trzecią z nich - ponury świat, pokryty w większości aktywnymi wulkanami, rozpalonymi jeziorami magmy i ciemnymi połaciami siarczanego popiołu.

Kiedy statek wszedł w atmosferę, skanery zarejestrowały kilka niewielkich miast rozrzuconych po niegościnniej powierzchni. Najbliższe było w odległości kilkuset kilometrów na północ, ale Bane zwrócił statek w przeciwną stronę, kierując się na rozległe pasmo górskie, które biegło z zachodu na wschód wzdłuż równika planety.

Nie wiedział, czy kult Andeddu jeszcze istniał, ale od chwili, gdy wyleciał z nadprzestrzeni, był pewien, że twierdza przetrwała. Czuł jej obecność na powierzchni świata - skupisko energii Ciemnej Strony, pulsujące jak radiolatarnia w sercu gór.

Kiedy podlęcał bliżej, statek wykrył małą osadę na skraju pasma. O dziwo, automatyczne urządzenie naprowadzające emitowało sygnał na standardowej częstotliwości. To oznaczało, że wciąż istnieje tu aktywny port kosmiczny, choć prawdopodobnie używany raczej przez wahadłowce przemieszczające się z jednego miejsca na powierzchni planety w inne niż przez przybyszy z innych światów.

Przypuszczenia Bane'a potwierdziły się, kiedy posadził swój prom na niedużym lądowisku na obrzeżach osady. Jedyłą osobą w pobliżu był stary człowiek, siedzący na krześle przed małą, rozpadającą się budką celników. Przyglądał się z zaciekawieniem, jak Bane wysiada ze statku, ale nie ruszył się z miejsca.

– Rzadko się tu widuje przyjezdnych ostatnimi czasy - powiedział, kiedy Bane do niego podszedł. - Jesteś z Gallii?

Z informacji, które Bane zebrał, wynikało, że Gallia była jednym z większych miast na Prakith. Starzec zakładał widocznie, że Bane pochodził z

Prakith; najwyraźniej myśl, że mógłby się tu zjawić ktoś spoza ich układu, nie przeszła mu nawet przez głowę.

– Zgadza się - powiedział Bane, nie widząc powodu, żeby komplikować sytuację wyjawieniem prawdy. - Przyleciałem z Gallii. Szukam informacji na temat wyznawców Dartha Andeddu.

Mężczyzna pochylił się do przodu i splunął na ziemię.

– Nie lubimy o nich mówić - warknął, zmierzył Bane'a podejrzliwym spojrzeniem, splunął jeszcze raz, po czym opadł z powrotem na krzesło i założył hardo ręce na piersi. - Nic więcej nie mam ci do powiedzenia. Wracaj do Gallii. Nie jesteś tu mile widziany.

Bane mógł drążyć temat, ale nie widział żadnego celu w zastraszaniu czy torturowaniu nic nieznaczącego, drażliwego starca. Odwrócił się więc i ruszył w stronę widocznych na horyzoncie budynków. Był pewien, że znajdzie tam kogoś, kto powie mu to, czego chciał się dowiedzieć.

Parę godzin później Bane siedział znów w swoim wahadłowcu, uzbrojony w niezbędne informacje. Wbrew temu, co twierdził starzec, szybko znalazł ludzi, którzy bardzo chętnie podzielili się swoją wiedzą na temat dziwnej sekty, ukrywającej się głęboko w pobliskich górach.

Niewątpliwie wyznawcy Andeddu byli w dalszym ciągu aktywni; od czasu do czasu pojawiali się nawet w miasteczku w celu uzupełnienia zapasów. Pewne było też to, że mieszkańcy górskiej osady odnosili się do tajemniczych sąsiadów z mieszaniną strachu i odrazy. Szacunkowa liczba członków kultu wahała się od kilkudziesięciu do ponad tysiąca, chociaż Bane podejrzewał, że bliższa prawdy jest ta pierwsza wersja. Poza tym wszystkie inne informacje można było uznać za wzięte z powietrza domysły lub irracjonalne przesady.

Przyciągany wyraźnie wyczuwalną siłą Ciemnej Strony, jaką emanował cel jego podróży, Bane obniżył pułap lotu i zaczął kluczyć między wysokimi, czarnymi szczytami. Gdy zapuścił się w głąb pasma górskiego, zaczął dostrzegać coraz liczniejsze ślady niedawnej aktywności sejsmicznej. Niektóre ze szczytów miały ponad dwadzieścia kilometrów wysokości, jednak większość była o połowę niższa, a ich wierzchołki zostały zmiecione przez erupcję płynnej lawy, która zalała wszystko dokoła w kłębach dymu i ognia.

Wkrótce oczom Bane'a ukazała się sama twierdza - strzelista konstrukcja wzniesiona na płaskiej powierzchni doliny, głęboko w sercu masywu. Czworoboczna, ścięta piramida wyrzeźbiona z czarnego obsydianu, wysoka

na dwieście metrów, była po części fortecą, a po części monumentem ku czci samozwańczego boga.

Z opowieści mieszkańców miasteczka Bane dowiedział się, że Andeddu był czczony jako bóstwo przez długie lata swojego życia, dopóki nie został obalony. Jednak nawet po tej zdradzie i po jego śmierci nieliczne grono oddanych wyznawców wierzyło, że jego duch wciąż żyje. W dalszym ciągu pełnili lojalnie służbę, przygotowując się na dzień, w którym ich Mistrz powróci.

Wieloletnia izolacja Prakith od reszty galaktyki tylko umocniła determinację jego czcicieli. Ci, którzy żyli teraz w świątyni, przez wszystkich rozmówców Bane'a określani byli mianem fanatyków, więc Mroczny Lord spodziewał się, że każdy z nich gotów będzie poświęcić życie, żeby chronić holocron Andeddu.

Bane zredukował prędkość wahadłowca, szukając miejsca do lądowania. Strumyki lawy spływały z okolicznych szczytów ku dolinie, krzyżując się ze sobą. Złowroga siła emanująca z twierdzy odpychała mordercze ogniste pasma, ale każde miejsce w okolicy, które wybrałyby do lądowania, byłoby ryzykowne. Nie miał zamiaru zdobywać holocronu po to tylko, żeby wrócić i stwierdzić, że jego statek zniknął pod gęstą rzeką magmy.

Istniało jedno rozwiązanie: płaski dach twierdzy, pomyślany niewątpliwie jako lądowisko. Wolałyby nie ściągać na siebie uwagi ludzi wewnątrz piramidy, lądując na jej szczycie, ale najwyraźniej nie miał wyboru. Jest czas na subtelności i jest czas na rozwiązania siłowe. Zrobił kółko nad piramidą i posadził statek idealnie na lądowisku.

Błyskawicznie wyskoczył z kabiny i wypadł na zewnątrz z dobytym już mieczem świetlnym. Poprzez Moc wyczuł, jak komnaty budynku pod jego stopami wybuchają wzmożoną aktywnością wyznawców kultu, którzy ruszyli na spotkanie niespodziewanego intruza.

Rozejrzał się szybko dookoła, żeby ocenić sytuację. Dach był kwadratem o boku trzydziestu metrów, z niedużym wjazdem w jednym z rogów. W tym momencie wjazd się otworzył i zaczęły wysypywać się z niego istoty, które uznał za członków kultu - w sumie prawie dwa tuziny, wszyscy uzbrojeni w wibroostrza i kije.

Pomimo ich liczebności Bane od razu zorientował się, że nie stanowią poważniejszego zagrożenia. Chociaż czcili starożytnego Sitha, byli to zwyczajni mężczyźni i kobiety. W ich żyłach nie płynęła Moc; byli jedynie mięsem armatnim. Nawet jeśli ich gniew podsycany był energią Ciemnej Strony płynącą ze świątyni, Bane mógł bez trudu wykorzystać tę samą

potęgę, pozwalając jej wezbrać w nim, by następnie uwolnić ją przeciwko swoim wrogom.

Dziesięć lat wcześniej, kiedy napompowany był adrenaliną wydzielaną przez orbaliski, które pokrywały jego skórę, Bane ochoczo rzuciłby się w wir walki. Ogarnięty bezmyślną furią wyrznąłby krwawą aleję w ich szeregach, rąbiąc i siekając bezradnych przeciwników, sam chroniony przed ich ciosami dzięki niezniszczalnym skorupom orbalisków.

Ale orbalisków dawno nie było. Nie był już odporny na fizyczne ataki, ale nie poddawał się też pierwotnej żądzy krwi, która go dawniej przepelniała. Wolny od pasożytniczego zakażenia mógł rozprawić się z wrogami, używając Mocy, zamiast polegać jedynie na brutalnej sile.

Bane zgasił swój miecz i stanął w bezruchu, pozwalając, by kłębiąca się horda go otoczyła, sam zaś zbierał siły. Przywołał potęgę samej świątyni i, karmiąc się nią, żeby zwiększyć swój potencjał, stworzył wokół siebie śmiertelne pole. Z początku było niewielkie, ale szybko zaczęło się rozszerzać, aż osiągnęło dwadzieścia metrów średnicy, a w samym jego środku znajdował się Lord Sithów. Nagle powietrze w obrębie pola stało się ciemniejsze, jakby światło czerwonego słońca ponad nim raptownie przygasło.

Okryty cieniem Bane po prostu stał i czekał na atak nieprzyjaciela. Pierwsze rzędy nacierających wyznawców kultu zawyły w agonii, gdy znalazły się blisko niego. Pole wyssało gwałtownie ich energię życiową z ciał, które w ciągu zaledwie paru sekund postarzały się o tysiąc lat. Mięśnie i ścięgna zaczęły błyskawicznie zanikać; skóra obumarła i skurczyła się, ciasno opinając kości. Oczy i języki momentalnie wyschły; wyznawcy zmienili się w z mumifikowane skorupy, a potem ich pomarszczone ciała rozpadły się, pozostawiając jedynie szkielety i parę kosmyków włosów.

Wysiłek potrzebny do wytworzenia aury czystej energii Ciemnej Strony szybko wyczerpałby nawet Bane'a. Jednak w miarę, jak jego przeciwnicy konali, on czerpał z nich energię. W ten sposób regenerował nadwątlone siły i wzmacniał pole w oczekiwaniu na kolejną falę ofiar.

Tłum członków kultu wciąż napierał. Ci w środkowych szeregach widzieli los swoich towarzyszy i rozpaczliwie próbowali się zatrzymać. Jednak impet tych, którzy byli za nimi, pchał ich naprzód, skazując na tę samą potworną śmierć, jaka stała się udziałem ich poprzedników.

Tylko ci na samym końcu zdołali dostrzec niebezpieczeństwo i zatrzymać się w porę, by ocalić życie. Z ponad dwudziestu wyznawców Andeddu, którzy go zaatakowali, ocalała zaledwie garstka. Stali z uniesioną bronią w

bezpiecznej odległości od zabójczego pola, nie wiedząc, co dalej.

Bane zakończył ich rozterki, opuszczając pole i dobywając miecza świetlnego. Jego przeciwnicy byli zbyt powolni i było ich za mało, żeby mogli się z nim mierzyć, a ich prymitywny wibrooreź nie mógł zatrzymać jego jarzącej się klingi. Chociaż byli całkowicie bezradni wobec silniejszego wroga, ich bezrefleksyjne oddanie Andeddu wciąż kazało im atakować intruza, który wdarł się do świątyni. Bane wyciął ich w pień jak zwierzęta.

Nikt więcej nie wyszedł z włazu, żeby go zaatakować, ale Bane wyczuwał jeszcze prawie setkę ludzi w znajdującej się pod nim świątyni. Ci, których zabił na dachu, byli wojownikami, strażnikami wysłanymi przez kapłanów, podczas gdy wierni kryli się wciąż w pomieszczeniach i korytarzach piramidy.

Pozostali przeciwnicy byli potencjalnie bardziej niebezpieczni - kapłani Andeddu bez wątpienia zawdzięczali uprzywilejowaną pozycję swojej wrażliwości na Moc. Ich wyszkolenie było zapewne dość ograniczone i Bane wiedział, że żaden z nich nie jest na tyle potężny, by go powstrzymać. Razem jednak mogli mieć wystarczający potencjał, żeby go obezwładnić. Dlatego nie zamierzał dać im czasu na zorganizowanie się i połączenie sił.

Jednym susem dopadł do rogu lądowiska. W którymś momencie podczas walki wąż został zamknięty i Bane stwierdził teraz, że jest zaryglowany od wewnątrz. Otwierając się na Moc, przypiął miecz świetlny do pasa, przykucnął i chwycił obiema dłońmi za uchwyt. Naprężając potężne mięśnie, wyrwał metalową klapę z zawiasów i odrzucił na bok.

Zeskoczył ze stromych schodów, które zobaczył w otworze poniżej, i znalazł się w opadającym korytarzu, prowadzącym w głąb twierdzy Andeddu. Zapalił znowu swój miecz świetlny i ruszył szybkim, pewnym krokiem przez labirynt korytarzy, przyciągany mocą holocronu Andeddu, który wzywał go z dolnych komnat.

Wystrój wewnątrz przypominał mu Akademię Sithów na Korribanie: starożytne kamienne mury, ciężkie, drewniane drzwi i wąskie korytarze, słabo oświetlone pochodniami w rozmieszczonych wzdłuż ścian kinkietach. Co pewien czas po drugiej stronie mijanych drzwi Bane wyczuwał obecność jednej czy dwóch osób, kulących się ze strachu w swoich pokojach. Wyczuwali jego potęgę i pozwalali mu bez przeszkód kontynuować poszukiwania, wiedząc, że jakakolwiek ingerencja przyniosłaby im jedynie bezcelową śmierć. Co pewien czas jednak któryś z wyznawców Andeddu, którego oddanie przeważało nad instynktem samozachowawczym, rzucał się na niego, próbując go zatrzymać.

Bane odpowiadał na te ataki z brutalną skutecznością. Niektórych rozcinał na pół jednym ciosem miecza świetlnego; kiedy indziej używał Mocy, by gładko skręcić kark napastnika, nie zwalniając nawet kroku. Zanim dotarł do głównej komnaty twierdzy, wszelkie próby oporu zostały zdławione. Wszyscy pozostali przy życiu mieszkańcy świątyni wycofali się do najniższych położonych pomieszczeń, uciekając przed jego gniewem.

Tutaj, w sercu piramidy, wyznawcy Andeddu zbudowali kapliczkę ku czci swojego Mistrza. Lampy jarzeniowe we wszystkich rogach zalewały pomieszczenie niesamowitym zielonym światłem. Ściany pokryte były muralami przedstawiającymi boga-króla, który objawia swoją potęgę wobec armii przeciwników, pośrodku zaś znajdował się masywny kamienny sarkofag z wiekiem zdobionym płaskorzeźbą nieżyjącego od wieków Lorda Sithów.

W Dolinie Mrocznych Lordów na Korribanie Bane szukał starożytnych grobowców dawnych Sithów, jednak wszystkie okazały się puste. W ciągu stuleci Jedi ograbili ten świat ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość lub było nasycone potęgą Ciemnej Strony, i ukryli te skarby w swojej Świątyni na Coruscant.

Tutaj jednak Bane odnalazł to, co zostało utracone na Korribanie. Izolacja, która pozwoliła Jedi wymazać Andeddu z galaktycznych archiwów, uchroniła jego miejsce spoczynku przed splądrowaniem. Przez wieki sarkofag na Prakith pozostawał nietknięty. Zamknięty w jego wnętrzu największy skarb Mrocznego Lorda czekał na tego, kto będzie godzien posiadać jego sekrety.

Gdy tylko Bane wszedł do komnaty, poczuł w powietrzu odurzająco słodką woń kadzidła. Zbliżając się do sarkofagu, czuł, jak ten zapach spowija jego ciało niczym delikatna mgiełka, przywierając do ubrania. Chwycił za jeden z rogów wieka sarkofagu, zaparł się i pchnął. Napinając mięśnie, użył całej swojej ogromnej siły, żeby ruszyć pokrywę z miejsca. Zgrzyt przesuwanego kamienia wypełnił komnatę i ciężkie wieko ustąpiło pod naporem Mrocznego Lorda.

W środku leżało na plecach zmumifikowane ciało Andeddu, z rękami zaciśniętymi wokół małej, kryształowej piramidy spoczywającej na jego piersi. Nachylając się nad grobowcem, Bane złapał piramidę i szarpnął. Przez chwilę wydawało się, że zwłoki stawiają opór i nie chcą rozluźnić uścisku swoich kościstych palców.

Pociągnął mocniej, wyrывая holocron z rąk jego martwego twórcy, odwrócił się i szybko opuścił komnatę.

Kiedy wracał na statek, już tylko kilku wyznawców Andeddu próbowało go zatrzymać; odgonił ich od siebie jak komary. Liczył się z tym, że kilkudziesięciu z nich napadnie na niego na dachu w ostatnim, desperackim zrywie, jednak nie licząc jego wahadłowca, dach był pusty. Najwyraźniej rozsądek i instynkt samozachowawczy przeważały w nich nad lojalnością wobec Andeddu.

Tak być powinno, pomyślał Bane. Przywódcy kultu zrozumieli widać fundamentalną prawdę: silni biorą, co chcą, a słabi nie mogą na to nic poradzić. Nie byli na tyle potężni, żeby powstrzymać go przed zagarnięciem holocronu Andeddu, a zatem nie zasługiwali na niego.

Bane wsiadł na swój statek i zaczął przygotowywać się do startu. Dręczyła go myśl, że gdyby którykolwiek z czcicieli Andeddu był godny swojego bóstwa, on opuszczałby tę planetę nie tylko z holocronem - być może zyskałby też nowego ucznia.

Tymczasem jednak poszukiwania zastępcy Zannah musiały poczekać. Miał to, po co przyleciał. Teraz czekało go wiele dni lotu przez nadprzestrzeń w drodze powrotnej z Głębokiego Jądra, ale Bane cieszył się na tę podróż; liczył, że przez ten czas dokładnie zbada holocron. A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zanim wróci do domu, posiadać wszystkie tajemnice Andeddu.

ROZDZIAŁ 9

Raj był wszystkim, tylko nie tym, czym powinien być raj. Ironicznie nazwana stacja kosmiczna ulokowana była przy niewielkim szlaku nadprzestrzennym, odchodzącym od Koreliańskiej Trasy Handlowej. Mimo że formalnie znajdował się pod jurysdykcją Republiki, kwadrant ten był przeważnie ignorowany przez większość głównych korporacji spedycyjnych; znany był bardziej z piratów i handlarzy niewolników niż z transportu dóbr materialnych. Jednak zdając sobie sprawę, że nawet kryminaliści muszą gdzieś wydawać swoje nieuczciwie zarobione kredyty, grupa muuńskich inwestorów połączyła swoje aktywa, żeby stworzyć platformę orbitalną, która zaspokajałaby potrzeby tego wyklętego na większości cywilizowanych światów sektora społeczeństwa.

Lucia była w Raju aż zbyt wiele razy. Po wypuszczeniu z republikańskiego obozu jenieckiego przez kilka lat pracowała jako ochroniarz do wynajęcia i często była zatrudniana specjalnie po to, żeby zapewnić klientowi bezpieczeństwo podczas jego wizyty na stacji. Zlecenia te były zawsze dobrze płatne, ale przyjmowała je tylko wtedy, gdy nie miała szans na nic innego.

Wprawdzie Raj oficjalnie reklamował się jako „kompleksowe centrum rozrywki”, jednak jego rzeczywistość była znacznie bardziej plugawa, niż sugerowałoby to niewinne określenie. Niewolnicy rozkoszy, hazard i nielegalne narkotyki - wszystko to było dostępne na setkach światów i platform orbitalnych, z których większość reklamowała się jako hedonistyczne azyle dla bogatych i wpływowych, ale praworządnych na co dzień, obywateli Republiki. Jednak Raj był inny. Tutejszą klientelę można było określić jednym słowem: szumowiny.

Awersja Lucii do tego miejsca zrodziła się już przy pierwszej wizycie, a z każdą kolejną tylko się pogłębiała. Teraz, gdy przeciskała się przez tłumy w Skradzionej Fortunie - największym z sześciu kasyn na stacji - nie zauważyła nic, co mogłoby zmienić jej opinię.

Z zawieszonych pod sufitem głośników dudniła muzyka, zlewając się z ogólnym zgiełkiem, który unosił się nad tłumem. Ludzie, prawie-ludzie i

obcy mieszały się swobodnie ze sobą, pijąc, śmiejąc się, krzycząc i trwoniąc kredyty na przeróżne gry losowe. Tłum stanowili w większości piraci i handlarze niewolników, a uzupełniali go najemnicy, łowcy nagród i garstka osobistych ochroniarzy. Praktycznie każdy był uzbrojony. Niewolnicy rozkoszy obojga płci krążyli, oferując drinki i inne, bardziej intensywne uciechy. Za odpowiednią cenę w Raju można było kupić wszystko... nawet samych niewolników.

Potencjalna groźba nagłych i fatalnych w skutkach aktów przemocy była nieuniknionym i powszechnie akceptowanym elementem kultury Raju. Nie było tu żadnych sił bezpieczeństwa i żaden przedstawiciel republikańskiego wymiaru sprawiedliwości nie pojawił się nigdy na stacji - w każdym razie nie oficjalnie. Na suficie były zamontowane samonaprowadzające blastery, które mogły zostać użyte jako radykalna metoda pacyfikacji tłumu w przypadku ataku na personel kasyna, ale w zakresie osobistego bezpieczeństwa goście byli zdani na siebie. Ci, których stać było na taki wydatek, otaczali się zwykle wianuszkiem wynajętych ochroniarzy, jednak przeciętny bywalec, chcąc ostudzić zapał ewentualnych agresorów, musiał polegać na wyeksponowanym na biodrze blasterze i groźbie zemsty ze strony przyjaciół.

Lucia nie miała żadnych przyjaciół, którzy by jej towarzyszyli w tej wyprawie, ale знаła to miejsce na tyle, żeby wiedzieć, jak unikać kłopotów. Poruszała się ze spokojną pewnością siebie, a jej postawa i wyzywające spojrzenie kazały innym trzymać się z daleka. Zresztą większość konfliktów wybuchała przy stołach do gry, a Lucii nie interesował hazard.

Przybyła tu na polecenie księżnej, żeby odnaleźć iktotchiańską zabójczynię, znaną jako Łowczyni. Gdy pojawiła się w Raju poprzednim razem, również szukała Łowczyni, tyle że wtedy była to jej własna decyzja, a nie Serry.

Wówczas Lucia nic nie wiedziała o porozumieniu króla z Jedi. Nie podejrzewała, że zabójczym może uśmiercić Medda Tandara, wywołując dyplomatyczny skandal. Jednak nawet gdyby przewidziała skutki, i tak zrobiłaby to dla Serry.

Widziała rozpacz swojej pani po stracie męża. Jego śmierć wypaliła dziurę w sercu księżnej. Po dwóch miesiącach bez żadnych oznak poprawy Lucia nie mogła dłużej patrzeć na cierpienie przyjaciółki, dlatego postanowiła coś zrobić.

Księżna potrzebowała ukojenia; musiała się przekonać, że winni ponieśli karę. Chociaż jednak król wysłał swoich żołnierzy, żeby namierzyli Gelbę i

jej popleczników, ich poszukiwania nie przynosiły żadnych efektów. Tak więc Lucia wzięła sprawy w swoje ręce.

Wynajęcie zabójcy za plecami króla oznaczało ewidentne naruszenie dońskiego prawa i jawne złamanie przysięgi, którą złożyła, wstępując do Gwardii Królewskiej. Ale to było ważniejsze niż jakakolwiek przysięga czy śluby. Serra była jej przyjaciółką i została skrzywdzona. Lucia nie mogła przywrócić do życia jej męża, ale mogła sprawić, żeby ci, którzy odpowiadali za jego śmierć, zostali ukarani. Tak postępują przyjaciele - przedkładają potrzeby przyjaciół ponad wszystko inne. Są lojalni wobec siebie nawzajem.

Z tego samego powodu Lucia zaciągnęła się do armii Kaana w czasie nowych wojen Sithów dwadzieścia lat wcześniej. Nie dbała o Ciemną Stronę ani o Sithów, ani nawet o upadek Republiki. Była młodą kobietą bez rodziny i przyjaciół. Bez perspektyw. Bez przyszłości. Kiedy na jej planecie zjawił się Sith werbujący do armii Kaana, zaproponował coś, czego nie dał jej nikt inny: szansę stania się częścią czegoś większego; szansę przynależności.

Odnalazła to poczucie przynależności, służąc jako snajper w Wędrowcach Mroku.

Pozostali członkowie jednostki byli dla niej jak rodzina. Oddałyby życie za każdego z nich i wiedziała, że oni zrobiliby dla niej to samo. A gdyby nie mogła któregoś z nich ocalić, zrobiłaby to, co można w takiej sytuacji zrobić najlepszego - pomściłaby jego śmierć, żeby oddać mu hołd.

Tak właśnie było z Desem. Mimo że oficjalnie dowódcą Wędrowców Mroku był porucznik Ulabore, wszyscy wiedzieli, że to sierżant Dessel naprawdę dowodził oddziałem. Ten górnik z Apatrosa był prawdziwym olbrzymem - dwa metry wzrostu i sto dwadzieścia kilogramów samych mięśni. Miał instynkt wojownika i talent do wyciągania towarzyszy broni z beznadziejnych sytuacji. Des ryzykował własne życie dla ratowania oddziału więcej razy, niż Lucia była w stanie zliczyć.

Pamięć o tym, co stało się z Desem, wciąż napęniała ją gniewem. Kiedy stacjonowali na Phaseerze, Wędrowcy Mroku dostali rozkaz zaatakowania przed zmrokiem silnie ufortyfikowanych stanowisk Republiki... Była to samobójcza misja, która najpewniej zakończyłaby się wybicciem całego oddziału. Kiedy Des zasugerował porucznikowi, żeby poczekał do nocy, Ulabore nie chciał go słuchać. Ten śmierdzący tchórz wolał poświęcić ich wszystkich, niż powiedzieć swoim przełożonym, że robią błąd.

Nie zamierzając prowadzić swoich kompanów na pewną śmierć, Des wziął sprawy w swoje ręce. Ogłuszył Ulabore'a i przejął dowodzenie nad

oddziałem, a następnie zmienił plan, postanawiając, że uderzą pod osłoną ciemności. Misja zakończyła się pełnym sukcesem: siły wroga zostały zdiesiątkowane przy minimalnych stratach własnych, co zapewniło Sithom ważne zwycięstwo w ich kampanii.

Des powinien być obwołany bohaterem za swój czyn, tymczasem Ulabore kazał go aresztować i postawić przed sądem wojennym za niesubordynację. Lucia wciąż pamiętała, jak żandarmi prowadzili Desa skutego kajdankami. Zastrzełiłaby Ulabore'a na miejscu, gdyby nie to, że Des zobaczył, jak powoli unosi broń, i pokręcił głową. Wiedział, że nikt nie może nic zrobić, żeby go uratować; wokół było zbyt wielu żandarmów, wszyscy z bronią gotową do strzału. Każdy, kto próbowałby mu pomóc, z pewnością by zginął, a Des i tak skończyłby przed sądem wojennym. Nawet kiedy odprowadzali go na pewną egzekucję, Des wciąż troszczył się o przyjaciół.

Lucia nigdy więcej nie zobaczyła Desa; nigdy się nie dowiedziała, co się z nim stało, chociaż nietrudno było się domyślić. Niesubordynacja była przewinieniem karanym śmiercią, a Sithowie nie byli znani z pobłażliwości. Ale choć nie mogła go ocalić, mogła zrobić coś, żeby mu się odwdzięczyć.

Minął prawie miesiąc, zanim nadarzyła się sposobność, ale Lucia tak łatwo nie zapominała. Okazja trafiła się podczas potyczki z oddziałami Republiki na Alaris Prime. Wędrowcy Mroku byli na patrolu, kiedy wpadli w zasadzkę - co nigdy by się nie zdarzyło, gdyby Des był wciąż z nimi. Ale ich sierżant dobrze wyszkolił swój oddział i nawet bez niego Wędrowcy Mroku byli cały czas jedną z najlepszych jednostek w armii Sithów. Starcie trwało zaledwie parę minut, nim zdołali przełamać szyki republikańskich żołnierzy i zmusić ich do odwrotu.

Zaciekła walka na małej przestrzeni przyniosła ofiary po obu stronach. Wśród nich był też porucznik Ulabore. Oficjalnie został zakwalifikowany jako poległy w boju; żaden z Wędrowców Mroku nie uznał za stosowne, żeby zameldować, że dowódca zginął od strzału w plecy z najbliższej odległości.

Niektórzy mogliby ją potępiać za to, co zrobiła, ale Lucia nigdy nie żałowała swojej decyzji. Dla niej sprawa była prosta. Des był jej przyjacielem, a Ulabore ponosił winę za jego śmierć. Tak samo było z Serrą. Księżna była jej przyjaciółką. Jej mąż nie żył, a winę za to ponosiła Gelba. To po prostu kwestia lojalności.

Tak więc Lucia wybrała się do Raju. Parę dyskretnych pytań oraz spora sumka kredytów doprowadziły ją do Łowczyni. Dwa tygodnie później Gelba nie żyła. Teraz Serra poprosiła przyjaciółkę, żeby jeszcze raz wynajęła

zabójczynię... chociaż Lucia nie miała pojęcia, po co.

Coś się wydarzyło w czasie ich wizyty w Świątyni Jedi na Coruscant. Serra zobaczyła coś, co ją zdenerwowało, coś, o czym nie chciała rozmawiać. Lucia wiedziała, że księżna ma swoje sekrety z dawnych lat, ale zawsze szanowała jej prawo do prywatności. W końcu ona też wolała pewne fakty ze swojej przeszłości zachować dla siebie.

Jednak, mimo że zgodziła się pomóc, Lucia martwiła się o swoją panią. Serra była łagodną i miłą osobą, ale miała też drugie oblicze. Miewała koszmary, a czasem popadała w ciężkie stany depresyjne. Lucia podejrzewała, że ma to związek z jakimś traumatycznym wydarzeniem z dzieciństwa - wspomnieniem tak intensywnym, że okaleczyło ją w sposób głęboki i nieodwracalny.

Widok Łowczyni siedzącej przy jednym ze stołów widokowych na końcu kasyna z powrotem skierował jej myśli na zadanie, które miała do wykonania. Skradziona Fortuna, jak wszystkie kasyna w Raju, miała okna wychodzące na arenę zbudowaną pośrodku orbitalnej platformy. Przez duże transparystalowe szyby goście mogli obserwować zawodników - zazwyczaj bestie lub niewolników - walczących na śmierć i życie.

Gracze często obstawiali wyniki walk, jednak Lucia wiedziała, że Łowczyni to nie dotyczy. O Iktotchi mówiło się, że mają zdolności telepatyczne i prekognitywne, przez co nie byli dopuszczani do hazardu praktycznie w żadnym kasynie galaktyki. Lucia zrozumiała, że Łowczyni musi czerpać przyjemność z samego oglądania brutalnych scen mordy.

Zabójczyni siedziała w najdalszym rogu, plecami do ściany. Była ubrana w ten sam czarny płaszcz, który miała na sobie w czasie ich poprzedniego spotkania. Ciężki kaptur był odrzucony do tyłu, odsłaniając skierowane do dołu rogi, które podkreślały jej ostre rysy.

Lucia widziała tylko jej profil. Czarne tatuaże biegnące do dolnej wargi w stronę podbródka zabójczym skrywał cień. Z tej perspektywy była w tej czerwonoskórej Iktotchi uderzająca gracia i elegancja, których Lucia nigdy wcześniej nie zauważyła.

Mogłaby być piękna, pomyślała z pewnym zaskoczeniem, ale wolała stać się demonem.

Gdy się zbliżyła, Łowczyni podniosła wzrok i Lucia zamarła, sparaliżowana przeszywającym spojrzeniem jej żółtych oczu.

– Oczekiwałam cię - powiedziała Iktotchi. Jej głos ledwo się przebijał przez muzykę i gwar tłumu.

– Oczekiwałaś mnie? - powtórzyła Lucia, zbyt oszołomiona, żeby

powiedzieć cokolwiek innego. Może zabójczynie naprawdę potrafiła czytać w myślach i przewidywać przyszłość.

– Moja ostatnia misja na waszej planecie miała pewne skutki uboczne - wyjaśniła Łowczyni. - Chodzi o tego Jedi. Spodziewam się, że twoja pani nie była zadowolona.

Lucia pokręciła głową.

– Nie dlatego tu jestem.

– To dobrze, bo nie przyjmuję reklamacji.

– Mam dla ciebie nowe zlecenie.

Iktotchi zastanawiała się przez chwilę, po czym skinęła głową. Lucia zajęła miejsce przy stole, naprzeciwko niej. Kątem oka widziała arenę, na której dwie poczwary pokryte sierścią i krwią rozszarpały się nawzajem pazurami, kłami i zębami. Jedna z nich wyglądała na endoriańskiego dzikowilka; druga była jakimś trzygłowym psowatym monstrem.

– Trójbestia - wyjaśniła Łowczyni, chociaż nie było jasne, czy wyczytała pytanie w myślach Lucii, czy po prostu z jej wyrazu twarzy.

Lucia odwróciła głowę z obrzydzeniem.

– Masz jeszcze jakichś buntowników do zlikwidowania? - spytała zabójczynie.

– Nie. - W każdym razie nie wydaje mi się, dodała w myślach Lucia. - Moja pani chce się z tobą spotkać osobiście. Na planecie zwanej Ambria.

Zabójczynie zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Dlaczego na Ambrii?

– Nie wiem - odpowiedziała zgodnie z prawdą Lucia. - Nie powiedziała mi. Twierdzi tylko, że chce się tam z tobą spotkać na osobności. Jest gotowa potroić twoją normalną stawkę. - Przesunęła datapad po stole. - Tu jest lokalizacja.

Lucia była pewna, że Iktotchi odmówi. To wyglądało na pułapkę. Ale Łowczyni rozparła się na krześle i nie odzywała przez bardzo długi czas. Wydawało się niemal, że jest pogrążona w transie.

Lucia czekała cierpliwie, próbując nie zwracać uwagi na krwawy spektakl rozgrywający się na arenie. Nie aprobowała zabijania dla sportu czy przyjemności - uważała to za bezsensowne i okrutne. Chociaż odwracała wzrok, wrzawa znad stołów ustawionych wzdłuż galerii widokowej oznajmiła jej, że walka się skończyła; jedno ze zwierząt musiało zadać drugiemu śmiertelną ranę. Odwróciła się odruchowo, żeby zobaczyć, kto wygrał, i oczom jej ukazał się widok trzech głów trójbestii, zanurzonych w rozszarpanym brzuchu dzikowilka i rywalizujących między sobą o jego

wnętrznosci.

Odwróciła szybko głowę, z trudem pokonując odruch wymiotny.

– Powiedz swojej pani, że przyjmuję propozycję - powiedziała Łowczyni, sięgając po datapad krótkimi, grubymi palcami, charakterystycznymi dla jej rasy.

Gdy tylko interesy zostały załatwione, zabójczyni odwróciła się z powrotem w stronę areny, a na jej wymalowanych ustach pojawił się cień uśmiechu.

Lucia wstała zniesmaczona i pożegnała ją szorstkim skinieniem głowy. Postanowiła jak najszybciej opuścić stację. Łowczyni, najwyraźniej urzeczona makabrycznym widowiskiem na dole, nie zwróciła nawet uwagi na jej odejście.

ROZDZIAŁ 10

Zannah nigdy wcześniej nie była na Nal Hutta, ale nieźle znała ten świat ze słyszenia. Choć rządzące klany Huttów całkowicie pokryły powierzchnię Nar Shaddaa, pobliskiego księżycy, nieprzerwaną miejską zabudową, Nal Hutta pozostawała w znacznej mierze niezagospodarowana. Dominujące w krajobrazie planety mokradła zostały skażone przez odpady, które napływały bez żadnych ograniczeń z ośrodków przemysłowych rozrzuconych po całym świecie, zmieniając powierzchnię w cuchnące szambo, w którym przetrwać mogły jedynie zmutowane owady. Stolica - Bilbousa - dusiła się pod wiecznie szarą płachtą oleistego smogu, urozmaiconą jedynie ciemnymi chmurami rozpylającymi kwaśne deszcze na brudne, upstrzone plamami budynki w dole.

Fizyczna brzydota tego świata współgrała z jego moralnym zepsuciem. Przestrzeń należąca do Huttów nigdy nie wchodziła w skład Republiki i stanowione przez Senat prawo nie miało tutaj żadnej mocy. Nieliczne obowiązujące reguły były ustalane przez potężne huttańskie klany, kontrolujące pobliski Nar Shaddaa. Nic więc dziwnego, że Nal Hutta stała się przystanią dla przemytników, piratów i handlarzy niewolników.

Ale ochrona przed karzącą ręką republikańskiej sprawiedliwości miała swoją cenę. Huttowie uważali inne rasy za niższe i wszyscy obcy mieszkańcy zarówno Nar Shaddaa, jak i Nal Hutta musieli płacić co miesiąc pokaźną sumę jednemu z rządzących klanów za przywilej życia pod ich skrzydłami. Ceny podlegały sporym wahaniom zależnie od rosnących lub kurczących się fortun poszczególnych klanów; dwukrotne lub nawet trzykrotne podwyżki bez żadnego ostrzeżenia nie należały do rzadkości. W takich wypadkach ci, którzy nie chcieli albo nie mogli zaakceptować nowej stawki, znikali w niewyjaśnionych często okolicznościach, a całe ich mienie, zgodnie z huttańskim prawem, przechodziło na własność sponsorującego klanu.

Niechęć Huttów do innych ras mogła poważnie utrudnić Zannah zdobycie potrzebnych informacji. Personel portu kosmicznego na Nal Hutta miał głęboko zakorzenioną nieufność wobec przyjezdnych, zwłaszcza zadających pytania, i wątpliwe, żeby jakakolwiek suma kredytów zdołała

przekonać ich do odsunięcia na bok swoich uprzedzeń i powiedzenia czegoś użytecznego. Na szczęście dla niej sieć informatorów i pośredników Bane'a obejmowała kilku wysoko postawionych członków klanu Desilijic, jednej z najważniejszych i najbardziej stabilnych frakcji Huttów. Odgrywając znajomą rolę Allii Omek, Zannah wykorzystwała te kontakty - a także numer rejestracyjny statku zapisany na datapadzie tragicznie zmarłego Pommata - do namierzenia srebrnowłosego mężczyzny, za którym przyleciała tu z Doana.

Dowiedziała się, że mężczyzna naprawdę nazywa się Set Harth i, według uporczywie powtarzających się pogłosek, był niegdyś Jedi. Odkryła też, że jest nieprawdopodobnie bogaty. I jakkolwiek żaden z jej rozmówców nie znał dokładnego pochodzenia fortuny Hartha, wszyscy zgadzali się co do tego, że jego dochody najpewniej są nielegalne. Na Nal Hutta było to zresztą uważane za powód do dumy.

W trakcie śledztwa Zannah wypłynął jeszcze jeden interesujący fakt: Set Harth był aktywnym uczestnikiem kwitnącego życia towarzyskiego na Nal Hutta. Mimo że miasto było brudną, obskurną dziurą rządzoną przez bezwzględne klany z Nar Shaddaa - a może właśnie dlatego - mieszkający w Bilbousie przedstawiciele innych ras mieli zamiłowanie do organizowania wystawnych, ekstrawaganckich przyjęć, z których każde było celebracją hedonizmu. Set zawsze znajdował się na liście gości podobnych imprez, a nawet sam urządzał je kilka razy do roku.

Tak się szczęśliwie złożyło, że tego wieczoru był właśnie obecny na jednym z takich bankietów. Pozwoliło to Zannah włamać się do jego rezydencji, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na temat człowieka, który potencjalnie mógł zostać jej uczniem.

Odniosła wrażenie, że majątek Seta pod wieloma względami przypominał posiadłość Bane'a na Ciutric IV - był to nie tyle dom, co świątynia elegancji i luksusu, w której nie oszczędzano na niczym. Nad wejściem dominował żyrandol wykonany z daloniańskiego kryształu, który odbijał światło z pręta jarzeniowego Zannah, dając delikatny, turkusowy blask. Korytarze wyłożono marmurowymi płytami, a w paru pokojach Zannah znalazła wrodiańskie dywany, z których każdy tkany był przez kilka pokoleń rzemieślników. Przestronna jadalnia mogła bez trudu pomieścić dwudziestu gości, siedzących przy stole ze szkarłatnego drewna greel. Biurko w gabinecie Seta było jeszcze bardziej ekstrawaganckie; Zannah rozpoznała w nim dzieło mistrzów rzemiosła z Alderaana, ręcznie rzeźbione z rzadkiego kriinodębu.

Jednak meble były niczym w porównaniu z bezcennymi dziełami sztuki,

które zdobiły każdy pokój. Set miał słabość do śmiałych, ostentacyjnych arcydzieł i Zannah była prawie pewna, że wszystko to były oryginały. Rozpoznała rzeźby dłuta Jooda Kabbasa, sławnego durosjańskiego rzeźbiarza, pejzaże Unny Lettu, najsłynniejszego malarza z Antar 4, oraz kilka portretów, które nosiły piętno charakterystycznego stylu Fena Teaka, genialnego muuńskiego Mistrza.

Niewątpliwie właściciel należał do ludzi lubiących otaczać się pięknymi rzeczami. Posiadłość Bane'a na Ciutric miała wywoływać u gości takie samo wrażenie - wszystkie ekstrawaganckie dzieła sztuki i ostentacyjnie drogie meble były częścią fasady, konieczną do odgrywania roli zamożnego galaktycznego przedsiębiorcy. Ale w przypadku Seta Zannah nie miała pewności, czy urządzone z przepychem wnętrze jest tylko pozorem. Była w nim jakaś energia. Wszystko wydawało się prawdziwe. Żywe. Im dłużej się rozglądała, tym mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że Mroczny Jedi nie odtwarza żadnej roli - ten dom był prawdziwym odbiciem jego osobowości. Set niewątpliwie lubił wydawać swój majątek na dobra materialne; pożywał uwagi i zazdrości, którą wywoływały u innych.

Ta myśl skłoniła Zannah do refleksji. Bane nauczył ją, że majątek jest tylko środkiem prowadzącym do większego celu. Kredyty były jedynie narzędziem, a zgromadzenie okazałej fortuny - niezbędnym krokiem na drodze do prawdziwej władzy. Materializm - przywiązanie do dóbr wykraczające poza ich praktyczną wartość - był pułapką, łańcuchem, który zniewalał głupców ich własną chciwością. Najwyraźniej Set musiał się jeszcze tego nauczyć.

I dlatego potrzebuje Mistrza. Kogoś, kto przekaże mu prawdę o Ciemnej Stronie.

Kontynuując zwiedzanie, Zannah wspięła się po masywnych, krętych schodach, które prowadziły na piętro. Przesuwając niedbale ręką po pięknie wykonanej poręczy balkonu, który wychodził na znajdującą się poniżej jadalnię, skierowała się na tyły rezydencji. Tam trafiła na bibliotekę Seta. Na ścianach piętrzyły się setki książek, ale większość stanowiły powieści pisane wyłącznie dla rozrywki - dzieła, które ona uważała za niegodne uwagi. Jedna półka przywróciła jej jednak nadzieję - stała tu kolekcja technicznych podręczników i przewodników, napisanych przez specjalistów w blisko trzydziestu różnych dziedzinach. Jeśli Set faktycznie je wszystkie przeczytał i wnikliwie przestudiował, to był człowiekiem o rozległej wiedzy i licznych talentach.

W głębi biblioteki widniały nieoznakowane drzwi; za nimi Zannah

wyczuwała energię Ciemnej Strony, która przyzywała ją niczym wibracje warczącego silnika wyczuwalne przez podłogę. Zbliżając się powoli, czuła, jak ta energia rośnie. Nie pochodziła od człowieka ani żadnego żywego stworzenia; Zannah знаła odczucia wywoływane przez istotę połączoną z Mocą. To było coś innego. Przypominało niewidzialne pulsowanie emanujące z kryształów Mocy, których użyła do skonstruowania swojego miecza świetlnego.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że drzwi są otwarte. Najwidoczniej Set czuł się pewnie w swoim zaciszu domowym - cóż, w końcu nie mógł przewidzieć, że odwiedzi go Sith. Weszła do pokoju, który okazał się mały i skromny w porównaniu z resztą rezydencji. Nie było w nim dzieł sztuki, a jedynym meblem była gablota pod przeciwległą ścianą, o kilka metrów od wejścia. Przy świetle lampy jarzeniowej Zannah zobaczyła kolekcję biżuterii ułożonej starannie w gablocie: pierścienie, naszyjniki, amulety, a nawet korony, wszystko nasycone potęgą Ciemnej Strony.

Dziewczyna widziała już kiedyś takie zbiory. Dziesięć lat wcześniej Hetton, wrażliwy na Moc serreniański arystokrata, owładnięty obsesją Ciemnej Strony, pokazywał jej podobną skarbnicę artefaktów Sithów. Chciał jej to wszystko ofiarować w nadziei, że skłoni to Zannah do przyjęcia go na swojego ucznia pomimo jego podeszłego wieku. Niestety, błyskotki i świecidełka nie zdołały uratować Hettona ani jego wyszkolonej straży, kiedy stanęli oko w oko z jej Mistrzem. Bane pokazał Hettonowi prawdziwą potęgę Ciemnej Strony i ta lekcja kosztowała starca życie.

Bane również zbierał skarby starożytnych Sithów, jednak wolał mądrości zawarte w pradawnych tekstach. Zannah wiedziała, że na pierścienie, amulety i inne akcesoria patrzył z pogardą. Iskra Ciemnej Strony, jaka się w nich tliła, była jak kropla w morzu potęgi, którą on już posiadał; nie widział potrzeby wzmacniać swoich zdolności za pomocą krzykliwej biżuterii, wykonanej przed wiekami przez starożytnych sithiańskich czarnoksiężników. Jej Mistrz uważał, że prawdziwa siła musi pochodzić z wnętrza, i zaszczepił to przekonanie swojej uczennicy. Najwyraźniej była to kolejna lekcja, której Zannah musiała udzielić Setowi - zakładając, że okaże się on godny tego, by zostać jej uczniem.

Nagle poczuła czyjąś obecność w rezydencji i zastygła w bezruchu. Posłużyła się Mocą, żeby potwierdzić swoje podejrzenia - to Set wrócił z przyjęcia; był sam. Zgasła pręt jarzeniowy i w całkowitej ciemności ruszyła z powrotem w stronę głównego wejścia, pozwalając, by Moc wskazywała jej drogę.

Zakradła się bezszelestnie na galerię nad dużym salonem i zobaczyła swój cel niemal dokładnie pod sobą. W świetle lampy stojącej na pobliskim stoliku widziała, jak siedzi rozwalony na eleganckiej skórzanej kanapie, z butelką wybornego sullustańskiego wina w jednej ręce i z napełnionym do połowy kieliszkiem w drugiej. Miał jeszcze na sobie strój, w którym był na przyjęciu: turkusową koszulę z doskonałego dramassjańskiego jedwabiu, szyte na miarę czarne spodnie i idealnie wypolerowane buty do kolan. Kołnierzyk jego koszuli był rozpięty, a długie, luźne rękawy zwisały z nadgarstków, lekko falując, gdy kołysał delikatnie kieliszkiem między jednym a drugim łykiem, żeby wydobyć pełnię bukietu.

Zannah nie próbowała ukryć swojej obecności; była ciekawa, czy Set wyczuje ją przez Moc tak samo, jak ona wyczuła jego przybycie. Ku jej zaskoczeniu wydawał się rozkoszować trunkiem i komfortem swojej rezydencji, niczego nieświadomy.

Zannah przesadziła poręcz i skoczyła pięć metrów w dół. Wylądowała za Setem bez żadnego hałasu poza cichym szelestem czarnej peleryny. Set poruszył się na ten dźwięk, odwrócił się i zmierzył intruza mętym spojrzeniem.

– Witam - powiedział z uśmiechem, nie okazując zaskoczenia jej obecnością. - Chyba nie mieliśmy jeszcze przyjemności. Nazywam się Set Harth.

Uniósł kieliszek i skinął głową, jakby wznosił toast za jej wizytę.

– Wiem, kim jesteś - odparła chłodno Zannah.

Set ostrożnie odstawił butelkę wina i kieliszek na stolik, odwrócił się z powrotem do Zannah i poklepał leżącą koło niego poduszkę.

– Może usiądziesz? Jest wystarczająco dużo miejsca dla nas obojga.

– Postoję.

Zannah była zdumiona i skonsternowana jego reakcją. Spodziewała się, że będzie zaniepokojony, a może nawet oburzony obecnością intruza w swoim domu, tymczasem Set najwyraźniej ją podrywał. Jego ton był figlarny i dwuznaczny. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, że jego życie wisi na włosku? Nie wyczuwał niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł?

Set odpowiedział na jej odmowę niedbałym wzruszeniem ramion.

– Przyszłaś za mną z przyjęcia? - próbował zgadnąć. - Normalnie zapamiętałbym taką ładną buźkę.

Zannah przeklinała w duchu swoją głupotę. Przyleciała tutaj w poszukiwaniu ucznia, a znalazła jedynie prymitywnego flirciarza zbyt zajętego niezdarnymi zalotami, żeby dostrzec jej potęgę. To zawstydzająca

pomyłka; Zannah była pewna, że Darth Bane poznałby się na Secie w jednej chwili.

– Nadal mi nie powiedziałaś, jak się nazywasz - przypomniał Set, machając jej palcem przed nosem. - Niegrzeczna dziewczynka.

Atak nadszedł w chwili, gdy Zannah otworzyła usta, żeby odpowiedzieć. Set zaatakował bez żadnego ostrzeżenia, poruszając się z nadnaturalną prędkością Mocy. W jego ręku pojawił się miecz świetlny i zapalony pofrunął w jej stronę szybciej od myśli.

Zannah ledwo zdołała się uchylić, rzucając się na podłogę, a i tak klinga miecza świetlnego odcięła jej kawałek płaszcza. Zanim broń zatoczyła koło i powróciła do jego ręki, Set skoczył na równe nogi... tak samo jak Zannah.

Zrozumiała, że poprzednie zachowanie Seta było grą. Przez cały ten czas czekał z mieczem świetlnym w rękawie, aż Zannah opuści gardę. Może jednak była dla niego nadzieja.

– Szybka jesteś - zauważył Set z nutką podziwu.

Jego głos nie miał już tej pogodnej, beztroskiej tonacji gościa na przyjęciu; zrzucił maskę. Błękitne oczy były bystre i skoncentrowane; przeszywały przeciwnika, szukając jakiegokolwiek słabości, którą można by wykorzystać.

Zannah przygotowała się na następny atak. Na najbliższe kilka sekund ułożyła sobie tysiąc różnych scenariuszy. Każdy z nich, odmienny w szczegółach, był wizją możliwej przyszłości, ujrzaną przelotnie dzięki Mocy. Sama liczba możliwości mogła przyprawiać o zawrót głowy, ale Bane dobrze ją wyszkolił. Instynktownie zawęziła potencjalne rozwiązania do najbardziej prawdopodobnych, co pozwoliło jej skutecznie przewidywać kolejny ruch przeciwnika i reagować, zanim jeszcze on ten ruch wykona.

Set wypuścił połyskliwą falę energii Ciemnej Strony, która miała zwalić Zannah z nóg. Ona jednak z łatwością odpowiedziała, ustawiając ochronną barierę energetyczną - najprostszy i najbardziej skuteczny sposób obrony przed atakiem innego użytkownika Mocy. Była to technika, którą poznawał każdy padawan Jedi i jedna z pierwszych lekcji, których udzielił jej Bane.

– Jesteś Jedi?! - wykrzyknął Set.

– Jestem Sithem - odparła Zannah.

– Myślałem, że Sithowie wyginęli - odpowiedział on, nonszalancko obracając w ręku miecz świetlny, ale nie spuszczać jej z oka ani na chwilę.

– Jeszcze nie. - Zannah stała nieruchomo, a jej miecz świetlny wciąż tkwił za paskiem. Teraz już była ostrożna; Set raz o mało jej nie przechytrzył i drugi raz nie mogła mu na to pozwolić.

– Może uda mi się to naprawić.

Gdy skoczył przez kanapę w jej kierunku, Zannah zapaliła swój oręż. Bliźniacze ostrza obudziły się do życia, a ona zaczęła znajomy taniec.

Set natarł dołem, celując w jej nogi. Kiedy sparowała jego klingę, zrobił obrót, usuwając się z pola rażenia, zanim zdążyła mu się zrewanżować. Posługując się Mocą, poderwał stojące pod ścianą popiersie z brązu i cisnął nim w kierunku jej lewego boku. Równocześnie wykonał salto w przód i wylądował na tyle blisko, żeby uderzyć na nią z prawej strony.

Zannah bez trudu odparła oba ataki. Jej wirujące głównie przecięły popiersie na pół, a ona sama zrobiła unik; broń Seta minęła jej biodro o niecały centymetr. Na dokładkę kopnęła go mocno w plecy, gdy przetaczał się koło niej. Cios ten nie miał go unieszkodliwić, tylko wzbudzić w nim jeszcze większą agresję.

Kiedy dwóch uzdolnionych wojowników toczyło walkę na miecze świetlne, klingi poruszały się z taką prędkością, że nie sposób było świadomie reagować na każdy ruch. Bane nauczył swoją podopieczną polegać na instynkcie, kierowanym przez Moc i wyostrzonym przez tysiące godzin spędzonych na trenowaniu sztuk walki. Ten trening pozwolił jej się zorientować, że Set stosuje zmodyfikowaną wersję Ataru, stylu, który charakteryzowały szybkie, agresywne uderzenia. Wystarczyło jej kilka pierwszych chwil pojedynku, żeby ocenić przeciwnika i zauważyć jego szybkość, zwinność i technikę. Set był dobry. Bardzo dobry. Ale Zannah wiedziała też ponad wszelką wątpliwość, że ona jest o wiele lepsza.

Set natomiast jeszcze tego nie zrozumiał. Jej kopniak przyniósł zamierzony efekt - kiedy natarł na nią po raz kolejny, twarz wykrzywił mu wściekły grymas. Jego furia pozwoliła mu przywołać Ciemną Stronę, przez co stał się jeszcze bardziej niebezpieczny. Wyprowadził kolejną serię ataków, skacząc wysoko w powietrze, kuląc się nisko nad podłogą, rzucając się w przód i odskakując do tyłu; wykonywał obroty, uniki i piruety, nacierał z każdej możliwej strony w uporczywym dążeniu do sforsowania obrony nieprzyjaciela, ale Zannah odpierała wszystkie jego próby z chłodną, pełną swobody skutecznością.

Pojedynki na miecze świetlne były brutalne w swojej intensywności; rzadko kiedy trwały dłużej niż minutę. Trud bezpardonowej walki był wyczerpujący nawet dla wytrenowanego Jedi... zwłaszcza jeśli wykonywał akrobatyczne figury Ataru. Zannah niebawem wyczuła, że jej przeciwnik traci siły. Ona natomiast prawie nie odczuwała zmęczenia. Za namową Bane'a do perfekcji opanowała obronne techniki Soresu. Dzięki temu z

łatwością parowała, odbijała ciosy przeciwnika i unikała ich, wykorzystując przeciw Setowi jego własną siłę.

W trakcie ich krótkiego starcia miała co najmniej tuzin okazji, by zadać srebrnowłosemu mężczyźnie śmiertelny cios. Nie przybyła tu jednak po to, żeby go zabić; przynajmniej na razie. Zamierzała go przetestować, sprawdzić, czy jest godzien zostać jej uczniem.

Nie musiał pokonać Zannah, żeby zyskać uznanie w jej oczach; musiał tylko pokazać potencjał. Chociaż nie potrafił przełamać jej obrony, Zannah była zadowolona z tego, co zobaczyła. Był wprawdzie nieostrożny i żywiołowy w posługiwaniu się mieczem świetlnym, ale wydawał się też obdarzony wyobraźnią, a nawet momentami nieco nieprzewidywalny. Kiedy się spotkali, dowiódł, że ma dość sprytu, żeby uspić jej czujność. Ale co najważniejsze, czuła, jak potęga Ciemnej Strony wzbiera w nim wraz z determinacją, żeby zniszczyć wroga... mimo iż próżne były jego wysiłki.

Bawiła się z nim teraz, przeciągając pojedynek. Nie wystarczało, że ona chciała zrobić go swoim uczniem; on musiał jeszcze zechcieć, żeby Zannah była jego Mistrzem. Musiała udowodnić swoją wyższość w sposób tak bezdyskusyjny, żeby Set był skłonny jej służyć. Nie wystarczało pokonać Mrocznego Jedi; należało go złamać.

Kiedy po jednym ze swoich ataków Set spóźnił się nieco z wycofaniem, podcięła go, aż wyłożył się jak długi na podłodze, po czym odsunęła się i pozwoliła mu wstać. Kiedy natarł znowu, wykonała gwałtowny, nieszablonowy ruch i zahaczyła jedną ze swoich głowni o jego miecz, wrywając mu broń z ręki.

Set błyskawicznie odskoczył i użył Mocy, żeby przyciągnąć rękojeść z powrotem do swojej dłoni, po czym z uporem ponowił atak. Tymczasem z każdą upływającą sekundą ogień Ciemnej Strony coraz mniej skutecznie zwalczał zmęczenie, które opanowywało jego mięśnie i stawy.

Było nieuniknione, że wyczerpane ciało w końcu go zdradzi. Niebawem skierował klingę za bardzo w bok zamiast prosto przed siebie. Zannah zrobiła krok do przodu i wyrzuciła nogę w górę, trafiając Seta w podbródek. Mroczny Jedi zatoczył się do tyłu, jęcząc z bólu, a z jego ust trysnęła krew wraz z serią niezrozumiałych przekleństw.

– Poddajesz się? - spytała Zannah.

Jego jedyną odpowiedzią było splunięcie krwią na drogi dywan pod stopami i następne natarcie.

Zannah poczuła lekkie ukłucie rozczarowania. Miała nadzieję, że Set będzie na tyle rozsądny, żeby nie ciągnąć walki, której nie może wygrać.

Jeszcze jedna lekcja, której będzie musiała mu udzielić.

Kiedy się zbliżył, odpowiedziała już nie przemocą fizyczną, ale potężnym czarem, który zaatakował umysł Seta. Mroczny Jedi spróbował w odpowiedzi postawić ochronną barierę Mocy, ale Zannah rozerwała jego obronę i pozostawiła go całkowicie bezradnym.

Magia Sithów była taką samą częścią Ciemnej Strony, jak śmiertelne fioletowe błyskawice energii, które jej Mistrz uwalniał z dłoni. Kiedy Bane dostrzegł talent uczennicy do subtelnych, ale niszczycielskich czarów, zachęcał ją do zgłębiania tajników magii. Ze starożytnych tekstów nauczyła się przekręcać i dręczyć myśli swoich wrogów. Potrafiła sprawić, że widzieli koszmary jako rzeczywistość. Potrafiła spowodować, żeby ich najskrytsze lęki ukazywały się w postaci demonów. Potrafiła rozrywać umysły wrogów na strzępy za pomocą prostej myśli i gestu.

Nie miała jednak zamiaru zniszczyć Seta całkowicie. Okryła go tylko chmurą kompletnej rozpacz i beznadziei. Zanurzyła się w najgłębszych odmętach jego umysłu i owinęła go w otchłań nicości. Oczy Seta zaszyły mgłą, szczęka opadła mu bezwładnie, a miecz świetlny wysunął się ze zwiotczałych palców. Powoli osunął się na podłogę, zamknął oczy i dygocząc na całym ciele, zwinął się w pozycję embrionalną.

To miał być ostateczny test. Słaby umysł zapadłby się w sobie i obumarł, pozostawiając ofiarę na zawsze w stanie śpiączki. Jeśli zaś Set był silny, jego wola powinna zwalczyć koszmar. Krok po kroku wyrwałaby się z pustki, przedzierając się na powierzchnię, aż w końcu wróciłaby mu świadomość.

Jeśli Set okaże się naprawdę godny tego, by zostać jej uczniem, powinien odzyskać przytomność za dzień albo dwa. Jeśli nie, będzie musiała po prostu rozpocząć poszukiwania na nowo.

ROZDZIAŁ 11

Łowczyni sprowadziła swój prom nad jałową pustynię, która pokrywała większą część powierzchni Ambrii. Chociaż nigdy nie przechodziła żadnego formalnego szkolenia, Iktotchi była bardzo wrażliwa na Moc i czuła ją, jak unosi się ze spalonej słońcem ziemi, gdy statek mknął nad jej powierzchnią.

Tysiące lat temu Ambria była światem zielonych lasów, tętniącym życiem i Mocą. Ale bujna roślinność uległa zniszczeniu, kiedy sithiańska czarodziejka spróbowała - nieskutecznie - nagiąć całą planetę do swojej woli za pomocą potężnego rytuału. Nie potrafiąc zapanować nad brutalną energią Ciemnej Strony, czarodziejka została unicestwiona przez swój własny czar... podobnie jak krajobraz całej planety.

Destrukcyjny wpływ nieudanego rytuału odcisnął przez stulecia piętno na wszelkich formach życia na Ambrii, zmieniając piękny niegdyś świat w koszmar skarłowaciałej, zatrutej roślinności i zmutowanych bestii. Ostatecznie energia Ciemnej Strony, uwolniona przez czarodziejkę, została uwięziona w wielkim jeziorze w pobliżu równika planety przez Mistrza Jedi imieniem Thon, jednak szkody były zbyt głębokie, żeby świat mógł się kiedykolwiek całkowicie zregenerować.

Iktotchi wiedziała o tym wszystkim wcale nie dlatego, że studiowała historię planety. Więź z Mocą pozwalała jej widzieć różne rzeczy; ukazywała wizje przeszłości, teraźniejszości, a nawet możliwej przyszłości. Zdolność ta, choć w różnym stopniu, była właściwa wszystkim Iktotchi, jednak dar Łowczyni wykraczał daleko poza predyspozycje innych przedstawicieli jej rasy. Większość Iktotchi miewała jedynie niejasne poczucie zagrożenia, kiedy zbliżało się jakieś niebezpieczeństwo, albo z grubsza rozróżniała, czy napotkana istota może być przyjacielem czy wrogiem. Czasami miewali prorocze sny, ale i one ograniczały się zwykle do przypadkowych obrazów, które bez kontekstu niewiele znaczyły.

Z nią jednak było inaczej. Przez lata rozwinęła swoje umiejętności na tyle, że potrafiła kontrolować i sterować wizjami, które przepływały przez jej umysł. Kiedy koncentrowała się na konkretnej osobie albo miejscu, zalewała ją fala wizualnych i emocjonalnych bodźców, które często umiała

ułożyć w sensowną i użyteczną całość.

Przed podróżą na Ambrię spędziła kilka godzin na medytacji. Przywołując Moc, rozmyślała o celu swojej wyprawy. W rezultacie ujrzała niektóre sceny z historii planety: sithiańską czarodziejkę niszczoną przez jej niefortunny czar; Mistrza Jedi usiłującego uwięzić Ciemną Stronę w jeziorze Natth.

Ale nie wszystkie jej wizje były równie klarowne. Te, które dotyczyły prawdopodobnych wariantów przyszłości, wyglądały dość niewyraźnie. Przyłot i spotkanie z księżną z Doana ukazane było jedynie w postaci mglistych impresji. Iktotchi była jednak pewna, że to nie jest pułapka. Co więcej, miała przeczucie, że w jakiś sposób to spotkanie wywrze głęboki wpływ na resztę jej życia. Pozytywny czy negatywny - tego nie wiedziała, ale była przekonana, że podróż na Ambrię będzie dla niej początkiem nowej drogi... a Łowczyni nigdy nie uciekała przed swoim przeznaczeniem.

Miejscem spotkania było małe, opuszczone domostwo, położone głęboko w sercu nieprzebytej pustyni Ambrii. Gdy wahadłowiec zbliżył się do celu, czujniki wykryły, że drugi statek czeka już na miejscu. Odczyt wskazywał jeden żywy organizm na pokładzie; zgodnie z obietnicą księżna była sama.

Łowczyni wylądowała, wyłączyła silniki i wyszła z klimatyzowanej kabiny swojego statku na duszący skwar południowego słońca Ambrii. Księżna stała przed domkiem, zwrócona do niej plecami i pogrążona w zadumie.

Samo obejście było skromne; nie było tam nic poza małą, rozpadającą się chatką i starym kociołkiem zawieszonym nad kręgiem z kamieni i węgla. Jednak przy całej surowości otoczenia Łowczyni czuła, że jest to miejsce naładowane energią - zarówno Jasnej, jak i Ciemnej Strony Mocy. Pomimo upału Iktotchi przeszedł dreszcz. Ważne i straszliwe rzeczy miały tu miejsce; wydarzenia, które kiedyś zdecydują o biegu galaktycznej historii.

Księżna - Serra, przypomniała sobie zabójczym - odwróciła się w jej stronę.

– Cieszę się, że jesteś - powiedziała tylko.

Łowczyni wyczuwała w niej coś mrocznego i potężnego - siłę woli i nienawiść pielęgnowaną przez wiele lat.

– Twoja strażniczka powiedziała, że chcesz mnie wynająć.

Księżna pokiwała głową.

– Podobno potrafisz wytropić każdego. Nieważne, gdzie się ukryje, ty go odnajdziesz. Podobno przenikasz wzrokiem czas i przestrzeń.

Stwierdzenie to niezbyt precyzyjnie oddawało istotę rzeczy, ale Łowczyni

nie widziała potrzeby tłumaczenia tej kobiecie subtelnych zawłościi swojego daru.

– Nie zdarzyło się, żebym nie wypełniła misji.

Serra się uśmiechnęła.

– Był tutaj pewien człowiek, wiele lat temu. Nie wiem, jak się nazywał. Nie wiem, gdzie jest teraz. Ale chcę, żebyś go odnalazła. Dasz radę?

Iktotchi nie odpowiedziała od razu. Zamknęła oczy i wyteżyła umysł. Poczowała przypływ Mocy, która wirowała wokół niej, unosząc kurz z odcisniętych w tym miejscu wspomnień.

Uchwycone wspomnienia powróciły; obrazy zalały jej umysł. Zobaczyła dziecko ubrane w wytartą i obszarpaną tunikę; zobaczyła, jak dziecko rozkwita w młodą kobietę; zobaczyła, jak kobieta opuszcza Ambrię, by powrócić wiele lat później jako księżna.

– Wychowałam się tutaj - szepnęła i spróbowała wnikać jeszcze głębiej.

Historia niektórych miejsc była niewyraźna, rozmyta przez ciąg doczesnych wydarzeń i nic nieznaczących ludzi. Tutaj wspomnienia były silne, utrwalone przez izolację i uwięzione w nurtach Mocy, które przenikały domostwo.

– Widzę mężczyznę. Wysoki i chudy. Ciemne włosy. Brązowa skóra.

– To mój ojciec - wyjaśniła Serra. - Miał na imię Caleb.

– Był uzdrowicielem. Mądry. Silny. Człowiek, który wzbudzał szacunek.

Nie mówiła tego, żeby zrobić przyjemność księżnej; Łowczym nie dbała o to, co myślą o niej klienci, byleby tylko płacili.

– Był jeszcze jeden mężczyzna - podpowiedziała Serra. - Przyszedł do mojego ojca po pomoc w czasie nowych wojen Sithów. Wysoki i muskularny. Łysy. On był... zły.

Zły... Korzystanie z Mocy wymagało głębokiej koncentracji i intensywnego wysiłku umysłowego. Mimo to Iktotchi nie mogła nie zauważyć momentu wahania w głosie kobiety.

Łowczyni nie przywiązywała wagi do takich słów, jak „zło”, „dobro” czy nawet „sprawiedliwość”. Zabijała tych, za których zabicie jej zapłacono; nie zastanawiała się nad tym, czy zasłużyli na swój los. Tym razem dobór słów księżnej wydał jej się dziwny. Ona była zabójczynią. Zabijała dla pieniędzy. Czy była tak samo zła jak człowiek, o którym mówiła Serra? A sama księżna? Przecież chciała ją wynająć, żeby odebrać komuś życie; czy ona też była zła?

Iktotchi nie wypowiedziała jednak swoich myśli na głos. Nie miały żadnego znaczenia dla jej zadania. Zanurzyła się tylko głębiej w studni

wspomnień w poszukiwaniu człowieka, którego opisała Serra.

Setki twarzy przelatywały jej przed oczami. Mężczyzn i kobiet. Ludzi, Twi'leków, Cerean, Ithorian. Żołnierzy służących Jedi, a nawet tych, którzy służyli Sithom. Caleb uzdrawiał ich wszystkich. Jedynymi, których odprawiał z niczym, byli wodzowie armii. Uważał siebie za służbę prostych ludzi. Mistrzom Jedi i Lordom Sithów zawsze odmawiał pomocy, z jednym wszakże istotnym wyjątkiem.

Łowczyni go zobaczyła: Lord Sithów w czarnej zbroi, stojący nad uzdrowicielem z zakrzywioną rękojeścią miecza świetlnego przypiętą do pasa. Zwarli się w pojedynku woli; olbrzym umierał na jakąś chorobę, której Iktotchi nie potrafiła zidentyfikować. Chociaż od tego spotkania upłynęły dziesiątki lat, wyczuwała surową siłę Ciemnej Strony, która emanowała z tego człowieka. Nigdy nie widziała ani nie czuła niczego podobnego; było to zarazem przerażające i ekscytujące.

– Widzę go - powiedziała do księżnej. Widzę, co ci zrobił, dodała w myślach.

– Mój ojciec zawsze twierdził, że on wróci. Dlatego mnie odesłał. Kazał mi zmienić imię.

– Twój ojciec miał rację.

Teraz, gdy ujrzała go w swoich wizjach, łatwo było przebiegać mijające lata w poszukiwaniu śladów Mrocznego Lorda. W wirze obrazów bez trudu odnalazła jego następną wizytę w domu uzdrowiciela. Znowu potrzebował jego pomocy. Tym razem jednak nie był sam.

– Są z nim inni. Młoda kobieta. Młody mężczyzna.

– Co się stało? - zapytała księżna drżącym głosem.

Seria wstrząsających, brutalnych obrazów zaatakowała zmysły Iktotchi. Zobaczyła pozbawione głowy ciało uzdrowiciela, jego kończyny odrąbane od tułowia i ułożone w odrażającą kompozycję koło paleniska. W chacie dostrzegła skulonego w kącie młodego mężczyznę, bełkoczącego idiotę, którego potworności, jakich doświadczył, doprowadziły do obłędu. Pozostała dwójka - młoda kobieta i Lord Sithów - była mniej widoczna, chociaż zabójczynie wyczuwała, że cały czas tam są. Coś ich ukrywało; jakaś siła lub czar maskowały ich obecność.

Spróbowała przebić zasłonę, ale coś ją odepchnęło i wytrąciło z medytacyjnego transu, przerywając łączność z przeszłością. Zakreśliło jej się w głowie i upadła na kolana z bolesnym jękiem, trzymając się za skronie.

Serra błyskawicznie do niej doskoczyła i przykucnęła obok.

– Co się stało? Co zobaczyłaś?

Łowczyni się nie odzywała. Słyszała o podobnych wypadkach, ale sama nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. To nie obraz makabrycznej śmierci Caleba tak na nią podziałał. To było zaklęcie, magia Sithów. Czar ukrył Mrocznego Lorda i młodą kobietę przed Jedi, którzy znaleźli ciało uzdrowiciela. Wspomnienia wciąż niosły echo czaru, który na nich ciążył; nawet po dziesięciu latach był na tyle potężny, żeby na chwilę oszołomić Iktotchi.

Jak jedna osoba może dysponować taką potęgą?

– Powiedz, co widziałaś - zażądała księżna, podnosząc się.

– Śmierć twojego ojca - odpowiedziała Łowczyni, również wstając.

– On tam był? Człowiek w czarnej zbroi?

– Tak. Chyba tak. Nie widziałam wyraźnie.

– Był tam - stwierdziła z przekonaniem księżna. - To on jest odpowiedzialny za śmierć mojego ojca.

– Był z nim ktoś jeszcze - powiedziała Łowczyni. - Młoda kobieta o jasnych włosach.

– Obchodzi mnie tylko mężczyzna w czerni. Możesz go znaleźć?

– Jeśli jeszcze żyje, znajdę go - zapewniła ją Łowczyni.

Wiedziała, że Lord Sithów będzie jej się śnił tej nocy i przez wiele następnych. Jej sny wypełnią się obrazami i wizjami jego codziennego życia. Zobaczy, ile słońc wschodzi co rano na niebie planety, którą on nazywa swoim domem; zobaczy, jakiej są wielkości i jakiego koloru. Ukażą się jej wszystkie księżycy i gwiazdy, jakie znaczą wieczorne niebo. Każdej nocy z jej podświadomości wyłaniać się będą punkty orientacyjne, które potem skonfrontuje z bazą danych, zawierającą opisy wszystkich układów i planet galaktyki. Zawęzi w ten sposób obszar poszukiwań, aż ustali dokładną lokalizację.

Czasem trwało to wiele dni, czasem wiele tygodni, ale w końcu zawsze znajdowała swoją ofiarę. Tym razem jednak nie była pewna, jak to się zakończy. Na Doanie zabiła Jedi, ale to starcie będzie znacznie bardziej niebezpieczne. Unoszące się w tym miejscu pozostałości czaru Sithów wystarczyły, żeby storpedować jej próby zgłębienia przeszłości. Jak silny musiał być sam twórca tego czaru? I kto go rzucił? Lord Sithów czy młoda kobieta, która z nim była?

Oczywiście Łowczyni nie miała zamiaru się wycofać, była jednak wystarczająco mądra, żeby zrozumieć, że szanse powodzenia wzrosną, jeśli nie będzie działać sama.

– To potężny człowiek - przyznała. - Nie wiem, czy bez pomocy uda mi

się go zabić.

– Nie chcę, żebyś go zabijała - odparła księżna. - Musisz tylko go schwytać. Masz mi go przyprowadzić żywego.

Usta zabójczym wykrzywiły się w gniewnym grymasie.

– Nie jestem łowcą nagród.

– Zapłacę ci dziesięć razy więcej, niż bierzesz normalnie. I zapewnię ci najemników do pomocy. Ilu tylko zechcesz.

– Jeśli nawet go złapiemy, to jak mamy go zatrzymać do czasu, aż go do ciebie doprowadzimy? Normalne więzy nie utrzymają kogoś, kto posługuje się Mocą.

– Zostaw to mnie - odparła księżna i skierowała się w stronę małej chatki w głębi obojścia.

Zaciekawiona zabójczyni podążyła za nią.

Chatka, o boku długości zaledwie kilku metrów, przypominała raczej skrzynię z drzwiami. Na podłodze, pod warstwą piasku z wdzierającej się do środka pustyni, leżała postrzępiona stara zasłona i wytarty dywan.

Zasłona najwyraźniej została zerwana. Dywan za to leżał chyba od zawsze w kącie chaty, a jego włókna były oblepione kurzem.

Iktotchi zaglądała zza progu; tymczasem księżna odwinęła dywan, odsłaniając wbudowaną w podłogę klapę, a pod nią drabinkę, która prowadziła do maleńkiego pomieszczenia.

– Mój ojciec zbudował tę piwniczkę, żeby trzymać w niej swoje narzędzia pracy - wyjaśniła Serra, schodząc ostrożnie po drabinie.

Łowczyni weszła do chatki, zbliżyła się do otwartej klapy i spojrzała w ciemność w dole. Po chwili usłyszała ostry trzask pręta jarzeniowego, który księżna zapaliła, żeby rozproszyć mrok.

Ze swojego miejsca zabójczyni widziała tylko rząd półek przytwierdzonych do ścian piwniczki, na których piętrzyły się słoje, sakwy i różne niewielkie pojemniki. Księżna przetrząsała je po kolei, aż znalazła to, czego szukała - nieopisaną buteleczkę bladożółtego płynu. Wetknęła ją między fałdy swojego stroju, po czym wspięła się z powrotem po drabinie.

– Wiesz, co to jest senflaks? - spytała, gdy znalazła się na górze.

Zabójczyni wzruszyła tylko ramionami.

– To neurotoksyna uzyskiwana z rzadkiej rośliny, którą można znaleźć tylko w dżungli Cadannii.

– Po co uzdrowicielowi trucizna? - zaciekała się Iktotchi.

– To właściwie nie jest trucizna, raczej środek uspokajający. Pozwala pacjentowi zachować przytomność, jednocześnie znieczulając go na ból i

wszelkie doznania. Paraliżuje częściowo mięśnie, ale nie przerywa pracy serca, płuc ani innych ważnych narządów, niezależnie od wielkości dawki.

– Nawet sparaliżowany Lord Sithów może zabijać umysłem - przestrzegła Łowczyni.

– Senflaks mąci także umysł. Pacjent nie może się skupić ani zebrać myśli; traci wolną wolę. Potrafi udzielać odpowiedzi na proste pytania, ale poza tym jest całkowicie bezradny. Widziałam, jak mój ojciec podał go pilotowi, który został ciężko poparzony w wyniku eksplozji chemikaliów - ciągnęła księżna, a jej oczy zaszyły mgłą, gdy zagłębiła się we wspomnienia z młodości. - Przywieźli go tutaj jego koledzy, ale zanim dotarli na miejsce, pilot był oszalały z bólu. Senflaks uśmierzył ból, a pilot cały czas był w stanie odpowiadać na pytania o chemikalia, jakie przewoził. Dzięki temu ojciec wiedział, jak go leczyć.

– Jesteś pewna, że neurotoksyna zadziała po tylu latach?

Łowczyni wiedziała, że większość ludzi zapytałaby najpierw o los ранego pilota, ale ona nie była jak większość ludzi. Interesowało ją tylko zlecenie; wciąż nie była pewna, czy powinna je przyjąć.

– Powinna podzielać, jeśli tylko butelka była szczelnie zamknięta - potwierdziła Serra. - Kiedy wrócimy na mój statek, będę mogła sprawdzić jej moc.

– Wiesz, jak ją należy przygotować? - spytała zabójczym. - Jak dawkować? Jak szybko działa i jak długo?

– Jestem córką mojego ojca - oświadczyła dumnie księżna. - To on nauczył mnie wszystkiego, co wiedział o lekach i uzdrawianiu.

Ciekawe, co by powiedział, wiedząc, że wykorzystujesz tę wiedzę, żeby pomścić jego śmierć, zastanowiła się Łowczyni.

– Mogę ci pokazać, jak używać senflaksu, żeby mieć więźnia pod kontrolą - ciągnęła Serra. - To jak, przyjmujesz zlecenie?

Iktotchi nie spieszyła się z udzieleniem odpowiedzi. To nie pieniądze ją pociągały, tylko wyzwanie. Świadomość, że będzie musiała zmierzyć się z przeciwnikiem potężniejszym od wszystkich, których do tej pory spotkała. Nie mogła przewidzieć, jak zakończy się ta misja; w grę wchodziło zbyt wiele ścierających się ze sobą sił, żeby można było dojrzeć przyszłość. Czuliła jednak, że to jest wyzwanie, dla którego trenowała przez całe życie.

– Będę potrzebowała przynajmniej dziesięciu dobrze wyszkolonych wojowników - powiedziała powoli.

– Dostaniesz dwudziestu.

– W takim razie umowa stoi - odparła Iktotchi, a lekki uśmiezek

wykrzywił ciemne linie wytatuowane na jej dolnej wardze jak wyszczerzone przez zwierzę kły.

ROZDZIAŁ 12

Droga powrotna z Prakith na Ciutric IV trwała jeszcze dłużej niż podróż w tamtą stronę. Oczywiście powinna być krótsza, skoro Bane już wcześniej wytyczył w nadprzestrzeni trasy, które miały go wyprowadzić z Głębokiego Jądra. Jednak przez tych parę godzin, jakie spędził na wulkanicznej planecie w poszukiwaniu holocronu Andeddu, niektóre ze szlaków, z których korzystał podczas lotu na Prakith, przemieściły się i uległy destabilizacji.

Dwa z nich zupełnie się zapadły, zmuszając go do skorygowania trasy. Statystycznie rzecz biorąc, szanse na to, że coś takiego wydarzy się w tak krótkim czasie, były minimalne. Jednak statystyka często zawodziła, kiedy w grę wchodziła Moc. Zbyt wiele krążyło opowieści o tych, którzy weszli w posiadanie potężnych artefaktów Sithów i padli ofiarą niefortunnnych wypadków, by uznać te historie za zwykły zbieg okoliczności.

Niektórzy wierzyli, że talizmany Ciemnej Strony zawierają w sobie klątwę; inni twierdzili, że są w pewnym sensie żywe, jakby materiał użyty do wykonania pierścienia, amuletu czy holocronu mógł w jakiś sposób wykazywać zdolność odczuwania. Ignoranci, którzy wierzyli w takie przesady, mogliby uznać, że holocron Andeddu stawia opór Bane'owi. Utrzymywaliby, że zapadające się trasy nadprzestrzenne to dowód, że mściwy duch Andeddu uwięziony w kryształowej piramidzie próbuje zniszczyć złodzieja, który zbeczczył jego świątynię.

Bane wiedział, że w holocronie nie ma żadnej naturalnej wrogości; to przecież tylko narzędzie, przechowalnia wiedzy. Ale rozumiał też, jak dalekosiężne mogą być skutki Mocy. Wokół przedmiotów nasyconych magią starożytnych Sithów wirował huragan gwałtu; silni potrafili go ujarzmić, słabych mógł porwać i zniszczyć.

Holocron Andeddu był talizmanem o niezaprzeczalnej sile; Bane czuł promieniujące z niego fale energii Ciemnej Strony. Niewykluczone, że podczas jego podróży powrotnej fale te nieznacznie naruszyły delikatną tkankę czasoprzestrzeni Głębokiego Jądra, powodując destabilizację szlaków nadprzestrzennych. Bane wytyczył kurs składający się z prawie stu krótkich skoków, dzięki czemu mógł zminimalizować niebezpieczeństwo, pozostając

przez możliwie największą część podróży w normalnej przestrzeni. Czas lotu wydłużał się w ten sposób niemal dwukrotnie, ale wolał nie ryzykować, że jego statek zostanie gwałtownie wessany w czarną dziurę przez nagłe załamanie nadprzestrzennego korytarza.

Na szczęście miał co robić.

– Transfer esencji stanowi sekret wiecznego życia - poinformował go hologram.

Bane siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze statku, a przed nim spoczywał holocron. Trójwymiarowy wizerunek Dartha Andeddu, wysoki na dwadzieścia centymetrów, wyświetlony był nad wierzchołkiem czworobocznej piramidy.

– Ciało fizyczne w końcu słabnie i zawodzi, ale ono jest tylko skorupą, tylko powłoką - ciągnął hologram. - Kiedy nadchodzi odpowiedni czas, można przenieść swoją świadomość, swojego ducha, w nową powłokę... tak jak ja uczyniłem z tym holocronem.

Bane wiedział, że przemawiający do niego hologram nie jest duchem starożytnego Lorda Sithów; była to jedynie symulacja jego osobowości, zwana strażnikiem. Każdy holocron czymś takim dysponował. Wirtualny przewodnik, obdarzony cechami charakteru swojego twórcy, pełnił funkcję strażnika informacji zawartych w artefakcie.

Wygląd strażnika często stanowił podobiznę twórcy holocronu... lub przynajmniej obraz, jaki twórca chciał ukazać innym. Bane pamiętał, że strażnik holocronu Belii Darzu często zmieniał swój wygląd, co symbolizowało jej zmiennokształtne dziedzictwo.

Jego własny holocron wyświetlał wizerunek Bane'a obleczonego jeszcze w zbroję z orbalisków. Chociaż w prawdziwym życiu okazało się to niepraktyczne, wizualnie jego ciało pokryte przez pasożyty robiło większe wrażenie i było bardziej przerażające. Dowodziło także, do jakich poświęceń trzeba się posunąć, aby przyjąć prawdziwą potęgę Ciemnej Strony - była to cenna lekcja dla każdego, kto chciałby podążać jego śladem.

Przede wszystkim jednak orbaliski maskowały jego wygląd i zacieraly prawdziwą tożsamość. Gdyby kiedykolwiek za jego życia holocron wpadł w ręce Jedi, nie zdołaliby rozpoznać go na podstawie obrazu strażnika... co miało jeszcze większe znaczenie teraz, gdy znalazł się na progu poznania tajemnicy wiecznego życia. Wcześniej jednak musiał poradzić sobie z tą małą, lecz imponującą postacią, która przed nim stała.

Andeddu wybrał dla swojego strażnika wizerunek człowieka w pełnym rynsztunku, skąpanego w czerwono-pomarańczowym blasku płomieni. Na

głowie miał wysoki, płasko zakończony kołpak, przywodzący na myśl strój wysokiego kapłana, otoczony wąską złotą koroną wysadzaną klejnotami. Twarz miał zapadniętą i wychudłą - sama skóra i kości.

Od czterech dni Bane grał ze strażnikiem w jego gierki, próbując odkryć tajemnicę wiecznego życia. Wniknął głęboko w holocron Andeddu, dokonując w ciągu niecałego tygodnia tyle, co innym zajęłoby miesiące czy nawet lata. Przetrzymał nużące nauki i nieznośne filozoficzne tyrady holograficznego obrazu. Nie dowiedział się niczego nowego na temat Mocy, chociaż słowa strażnika mówiły wiele o osobowości i przekonaniach Dartha Andeddu.

Podobnie jak wielu innych starożytnych Sithów był on okrutny, arogancki, egocentryczny i krótkowzroczny. Jego nauki przypominały doktryny, które głosili nauczyciele Bane'a w Akademii Sithów na Korribanie; doktryny, które Bane odrzucił dziesiątki lat temu jako błędne i wyszedł poza ich ramy. Jego rozumienie Ciemnej Strony ewoluowało. Ustanawiając Zasadę Dwóch, zapoczątkował nową erę dla Sithów. Przekroczył granice pojmowania takich jak Andeddu i miał dość słuchania bzdurnej litanii strażnika.

– Pokaż mi rytuał transferu esencji - zażądał Bane.

– Rytuał jest obarczony niebezpieczeństwem - ostrzegł strażnik. - Odprawienie go spowoduje zniszczenie obecnej powłoki; twoje ciało zostanie strawione przez potęgę Ciemnej Strony.

Bane zacisnął zęby ze złości. Słyszał te ostrzeżenia co najmniej z tuzin razy.

– Wybieraj nową powłokę z rozwagą. Wiedz, że jeśli wybierzesz żywą istotę, jej duch będzie ci się opierał, gdy spróbujesz zawładnąć jej ciałem. Jeśli jej wola okaże się silna, nie uda ci się, a twoja świadomość zostanie strącona w próżnię, skazana na wieczne cierpienie i męki.

Słowo „próżnia” zawsze przypominało Bane'owi o bombie myśli, o setkach Sithów i Jedi na zawsze uwięzionych przez jej wybuch. Przypominało mu też o tym, czego dokonał i kim jest.

– Nie jestem byle uczniem trzęsącym się ze strachu przed niewyobrażalną potęgą Ciemnej Strony - warknął Bane. - Jestem Mrocznym Lordem Sithów.

– Twój tytuł nic dla mnie nie znaczy. - Strażnik uśmiechnął się szyderczo. - To ja decyduję o tym, kto jest godzien poznać moje sekrety, a ty nie jesteś jeszcze gotowy. I może nigdy nie będziesz.

Przez parę ostatnich dni Bane wielokrotnie docierał do tego punktu. Nie

miał zamiaru dopuścić, żeby strażnik powstrzymał go po raz kolejny.

Podniósł holocron z podłogi prawą ręką, ignorując aż nazbyt znajome drżenie lewej. Istniał inny sposób zdobycia wiedzy, której pragnął, ale była to ścieżka naznaczona niebezpieczeństwem.

Konstruując swój własny holocron, Bane dokładnie poznał zasady działania talizmanów. Każdy z nich był unikatową składnicą wszelkiej wiedzy, jaką jego twórca posiadał w ciągu swojego długiego życia. Były jednak pewne elementy wspólne dla wszystkich; między innymi ten, na którym Bane skupił teraz swoją uwagę.

Holocron Andeddu był czworoboczną piramidą wykonaną z gładkiego, ciemnego kryształu. Na wszystkich ściankach wyryto tajemne, złote i czerwone glify - mistyczne symbole skupiające i sterujące energią Ciemnej Strony. Wewnątrz znajdowała się skomplikowana matryca z krystalicznych sieci. Delikatne, splecione włókna tworzyły system zdolny pomieścić niemal nieograniczone zasoby wiedzy, jak również zapewnić strukturę dla układów kognitywnych, koniecznych do wytworzenia wizerunku i osobowości strażnika.

Cały system był kontrolowany za pomocą kamienia, pojedynczego kawałka czarnego kryształu umieszczonego na szczycie piramidy. Nasycony ogromną energią kamień stabilizował strukturę całości, zapewniając strażnikowi natychmiastowy dostęp do poszczególnych danych.

Można było co prawda ominąć strażnika... ale tylko najsilniejsi mogli przeżyć tę próbę. Gdyby wola Bane'a okazała się zbyt słaba, żeby sprostać potędze holocronu Andeddu, jego umysł zostałby unicestwiony. Talizman zniszczyłby jego tożsamość, zmieniając ciało w bezrozumną skorupę. Był to desperacki krok, ale Bane nie widział innego sposobu, który pozwoliłby mu zdobyć potrzebne informacje na tyle szybko, żeby zdążyły mu pomóc w konfrontacji z Zannah.

- Jeśli nie dasz mi tego, czego chcę - wrzasnął na strażnika - sam sobie to wezmę!

Sięgając poprzez Moc, zanurzył swoją świadomość w wewnętrznym mechanizmie piramidy, a strażnik wydał ryk bezsilnej wściekłości. Bane pchnął swoją jaźń prosto w kierunku kamienia. Jego wola wdarła się do środka małego czworobocznego talizmanu, tak samo jak Bane wdarł się do twierdzy wyznawców Andeddu na Prakith.

Przez krótki moment czuł ogień uwięzionej w środku energii, który mógł strawić jego tożsamość. Bane przyjął ten ból i karmiąc się nim, przekształcił go wraz z całą frustracją i gniewem, które wzbierały w nim przez ostatnie

cztery dni, we wściekłą kłębiącą się burzę energii Ciemnej Strony. A potem, krok po kroku, zaczął porządkować chaos, naginając go do swojej woli.

Wykorzystując Moc, Bane zaczął wprowadzać drobne zmiany do krystalicznej matrycy holocronu. Manipulował rozmieszczeniem włókien - skręcał je, obracał i przesuwiał nieznacznie, coraz bardziej zagłębiając się w wiedzę w poszukiwaniu tego, czego potrzebował. Przypominało to włamywanie się do zabezpieczonej sieci komputerowej, ale było milion razy bardziej skomplikowane.

Po każdej zmianie obraz strażnika migotał i wydawał jęk, ale Bane pozostawał obojętny na udawane cierpienia symulacji. Przez parę godzin pracował w pocie czoła, aż wreszcie znalazł to, czego szukał: rytuał transferu esencji - sekret wiecznego życia Andeddu.

Ostatnim wysiłkiem Mocy sięgnął umysłem i przechwycił to, czego potrzebował. Przystwojenie tych informacji za pośrednictwem strażnika trwałoby parę tygodni, Bane jednak dotarł prosto do źródła. Surowa, nieprzefiltrowana wiedza przepływała z holocronu bezpośrednio do jego umysłu. Tysiące wizji zalało jego świadomość. Eksplozja obrazów, dźwięków i myśli była tak silna, że upuścił holocron, zrywając połączenie.

Wizerunek strażnika zniknął, pozostawiając Bane'a samego na pokładzie statku. Siedział wciąż na podłodze, ze skrzyżowanymi nogami, pochylony do przodu. Oddech miał ciężki i przerywany; jego ubranie było mokre od potu, a całe ciało trzęsło się z wyczerpania.

Powoli wstał i ruszył w kierunku fotela pilota. Szedł chwiejnym krokiem, niczym człowiek pijany mandaloriańskim winem, przytrzymując się ścian dla zachowania równowagi. W głowie wirowały mu sekrety, które wyrwał z czeluści holocronu.

Gdy tylko opadł na fotel, konsola kontrolna wydała z siebie cichy pisk. Dopiero po paru sekundach zrozumiał, że kolejny skok w nadprzestrzeni w drodze powrotnej dobiega końca... chociaż wciąż jeszcze pozostało wiele skoków do wykonania.

Musiał wytyczyć kurs na kolejny odcinek podróży, ale nie miał teraz do tego głowy. Jego umysł wciąż zmagał się z tym, czego się dowiedział. Potrzebował czasu, żeby przetworzyć informacje uzyskane z holocronu i dojść z tym wszystkim do ładu; przeanalizować i posegregować wszystkie fakty, a potem ułożyć je w całość noszącą znamiona racjonalnego myślenia.

Bane włączył autopilota, z satysfakcją pozwalając statkowi dryfować powoli w przestrzeni kosmicznej. W końcu zamknął oczy i pozwolił, żeby otuliła go ciemność snu.

ROZDZIAŁ 13

Set Harth powoli odzyskiwał świadomość. Czuł się tak, jakby jego umysł płynął przez bagno, próbując uwolnić się z mętnej otchłani jego własnej podświadomości. Przedzierał się przez muł, aż wypłynął wreszcie na powierzchnię, chociaż uporczywe wspomnienia dziwnych snów i koszmarów wciąż czaiły się w mrocznych zakątkach mózgu.

W głębi podświadomości zdawał sobie sprawę, że te koszmary doprowadziły go niemal do obłądu. Były bliskie zniszczenia go, ale Set się nie poddał. Krok po kroku zdołał zepchnąć je z powrotem w zakamarki umysłu, tam, gdzie było ich miejsce, powolutku oddzielając fantazję od rzeczywistości.

Jak długo byłem nieprzytomny? - zastanawiał się, nie otwierając oczu. Oddychał miarowo, żeby nie zdradzić, że się przebudził. Wydaje się, jakby to trwało parę dni.

Leżał w swoim pokoju, tego był pewien. Rozpoznawał zapach swojej wyperfumowanej poduszki, delikatny dotyk jedwabnej pościeli na skórze, luksusowy komfort puchowego materaca. Wszystko inne było wciąż niewyraźną plamą.

No, dalej, Set. Przekonajmy się.

Ostrożnie, aby nie wywołać niedawnych upiornych koszmarów, wyteżył pamięć, próbując dokładnie odtworzyć to, co się z nim stało.

Jasnowłosa kobieta.

Czekała na niego, kiedy wrócił do domu z przyjęcia. To nie był pierwszy taki przypadek... chociaż pierwszy raz zdarzyło się, że nieproszony gość próbował go zabić.

Tak naprawdę to wcale nie chciała cię zabić, uświadomił sobie. Najlepszy dowód, że wciąż żyjesz.

Walczyli. To pamiętał wyraźnie. Walczyli i ona zwyciężyła.

Mimo że oczy miał wciąż zamknięte, Set zaczął układać w głowie dokładny obraz otoczenia, posługując się Mocą. Leżał we własnym łóżku, w swoim pokoju. Ale nie był sam. Był tam ktoś jeszcze. Kobieta.

Twierdziła, że jest Sithem.

W dalszym ciągu nie miał pojęcia, w jaki sposób włamała się do jego domu. Nie wiedział nawet, dlaczego zostawiła go przy życiu. Ale miał zamiar zrobić wszystko, żeby tego pożałowała.

Delikatnie napierając umysłem, spenetrował pokój w poszukiwaniu swojego miecza świetlnego. Leżał na toaletce w drugim końcu pokoju. Kobieta siedziała na krześle w nogach łóżka, czekając cierpliwie, aż Set się obudzi. Czy zdołałby użyć Mocy, żeby przyciągnąć do siebie miecz przez cały pokój, zanim ona zdąży zareagować? I co dalej? Już raz cię pobiła, pomyślał. Może tym razem uda mu się ją zaskoczyć. Ostrożnie zaczął zbierać siły.

– Myślałam, że jesteś mądrzejszy - prychnęła kobieta.

Set zamarł. Trzeba będzie się z tego wywinąć innym sposobem. Pora włączyć urok osobisty.

Otworzył oczy i zaśmiał się swobodnie.

– Zawsze warto spróbować. - Wzruszył ramionami, siadając na łóżku.

Wciąż miał na sobie to samo ubranie, w którym był na przyjęciu.

– Miałaś wczoraj niezłe wejście - powiedział.

– To było trzy dni temu - poprawiła, odpowiadając na jego uśmiech posępnym spojrzeniem. - Zaczynałam się już zastanawiać, czy pozostaniesz uwięziony w swoich koszmarach na zawsze.

Jej słowa sprawiły, że na moment powrócił myślami do lęków, z którymi wciąż jeszcze się zmagał, i wzdrygnął się mimowolnie.

– Jakoś się wydostałem - odpowiedział głosem bardziej ponurym, niż zamierzał. - Co mi zrobiłaś? To był jakiś narkotyk?

– Jeśli naprawdę tak myślisz - odezwała, krzywiąc pogardliwie usta - to marnuję tu czas.

W jej słowach była ukryta groźba i instynkt samozachowawczy Seta zaczął pracować na najwyższych obrotach. Pilnuj się, Set. Lepiej nie drażnić tej kobiety.

– Magia - powiedział po chwili zastanowienia. - Mówiłaś, że jesteś Sithem. Zaatakowałaś mój umysł jakimś czarem.

Pokiwała głową, a Set zobaczył, że jej ramiona się rozluźniają. Najwyraźniej była bliska zabicia go za jego ignorancję.

– To ty zabiłaś Medda Tandara? - spytał, wciąż próbując poskładać wszystko w jedną całość.

Kobieta pokręciła głową, a jej blond loki zakołysały się łagodnie. Nawet niebrzydka... jeśli zapomnieć o tej całej magii Sithów.

– Przyleciałaś za mną z Doan - snuł domysły Set, rozpaczliwie szukając

jakiejś informacji, którą mógłby wykorzystać. Gdyby wiedział, o co jej chodzi, mógłby z nią negocjować. - Chcesz zdobyć talizmany.

- Masz rację tylko w połowie - odparła. - Faktycznie przyleciałam za tobą z Doan, ale nie interesują mnie talizmany.

Set nie był przyzwyczajony do sytuacji, w których kto inny rozdaje karty. Zwykle w takich wypadkach jego inteligencja pozwalała mu znaleźć sposób, żeby zyskać przewagę. Tym razem jednak był zupełnie bezradny. Nie miał innego wyjścia, jak tylko uciec się do rozwiązania, którego nienawidził najbardziej - do całkowitej szczerości.

- Nie mam zielonego pojęcia, czego ode mnie chcesz.

- Nazywam się Darth Zannah - wyjaśniła - i szukam ucznia.

W pewnym sensie Set poczuł się jeszcze bardziej skonsternowany niż wcześniej. Ale część jego umysłu - ta sama część, która przez ostatnie dziesięć lat pozwalała mu być zawsze o krok przed Jedi - uczepliła się tych słów. Teraz już wiesz, czego chce, ucieszył się. Pomyśl, jak to wykorzystać.

- Dlaczego szukasz ucznia? - zapytał ostrożnie, uważając, żeby nie rozwścieczyć jej swoim brakiem zrozumienia.

- Jedi sądzą, że Sithowie wymarli - zaczęła. - Ale, jak sam widzisz, Jedi się mylą. Sithowie wciąż istnieją, tyle że teraz ich liczba ogranicza się do dwóch: jeden Mistrz i jeden uczeń. Jeden, by przyjąć potęgę Ciemnej Strony, a drugi, by jej pożądać.

- Więc chcecie pomnożyć swoje szeregi - wywnioskował Set. - Szukacie ochotników, którzy się do was przyłączą, żeby odbudować armię Sithów.

- To droga do klęski - wyjaśniła Zannah. - Historia pokazała, że w większej grupie Sithowie zawsze skierują swoją nienawiść przeciwko sobie nawzajem. To nieuniknione; taka jest natura Ciemnej Strony. Możemy przetrwać, jedynie zachowując Zasadę Dwóch. Nie możemy nigdy przekroczyć tej liczby. Mistrz wprowadza uczenia w arkana nauki Sithów, aż pewnego dnia uczeń musi rzucić mu wyzwanie. Jeśli okaże się niegodny, Mistrz go zniszczy i wybierze nowego ucznia. Jeśli zaś okaże się silniejszy, Mistrz polegnie, a on zostanie nowym Mrocznym Lordem Sithów i wybierze własnego ucznia.

Set miał wrażenie, że wszystko staje się jasne.

- Ty jesteś uczennicą. Uznałaś, że nadszedł czas, by rzucić wyzwanie Mistrzowi i chcesz, żebym ci pomógł go pokonać.

- Nie! - warknęła, aż Set podskoczył na łóżku. - Tak było kiedyś. Słabsi adepci jednoczyli swoje niewielkie siły, żeby obalić mocnego przywódcę, osłabiając w ten sposób cały Zakon. To zaprzeczenie wszystkiego, co stanowi

istotę Zasady Dwóch. Jeśli mam zostać Mrocznym Lordem Sithów, muszę udowodnić swoją wartość, samodzielnie pokonując mojego Mistrza. Jeśli jestem niegodna, polegnę... ale Zakon pozostanie silny pod jego przywództwem. Rozumiesz?

Set rozumiał wszystko aż za dobrze.

– Zasada Dwóch gwarantuje, że każdy kolejny Mistrz będzie potężniejszy od poprzedniego. Eliminuje słabych.

Dobre dla Sithów jako całości, pomyślał Set, ale nie dla tych eliminowanych.

Może Zannah była gotowa poświęcić się dla dobra Zakonu Sithów, ale Set nie miał na to ochoty. Oczywiście był na tyle rozsądny, żeby nie mówić tego na głos.

Zamiast tego zapytał:

– Dlaczego wybrałaś mnie?

– Szukałam ucznia już od jakiegoś czasu - wyjaśniła Zannah. - Kiedy wpadłam na twój trop na Doanie, wiedziałam, że to nie przypadek. Jesteś silny Mocą; odrzuciłeś Jedi i ich nauki. Jesteś inteligentny i pomysłowy, ale twój potencjał jest niewykorzystany. Nie poświęciłeś się Ciemnej Stronie. W swoich poszukiwaniach talizmanów starożytnych Sithów jesteś jak dziecko bawiące się zabawkami. Nie myślisz o przyszłości. Nie masz żadnych celów. Żadnego planu. Żadnej wizji. Jeśli zechcesz zostać moim uczniem, to się zmieni. Przyłącz się do mnie, a ja pokażę ci twoje przeznaczenie.

– Moje przeznaczenie?

– Przez tysiące lat Jedi i Sithowie toczyli ze sobą niekończącą się wojnę. Jedi sądzą, że ta wojna się skończyła. Myślą, że Sithów już nie ma. Ale my wciąż czaimy się w cieniu, planując zemstę. Dzięki cierpliwości i przebiegłości kładziemy podwaliny pod nasze ostateczne zwycięstwo. Z pokolenia na pokolenie nasza potęga i wpływy będą rosły, aż pewnego dnia zniszczymy Jedi i Sithowie zawładną galaktyką.

Set nie był zainteresowany panowaniem nad galaktyką. Ani zniszczeniem Jedi. Podejrzywał, że byłoby z tym dużo roboty. Cóż, wygląda na to, że nie masz wielkiego wyboru, pomyślał. Ona nie pozwoli ci tak po prostu odejść, jeśli się nie zgodzisz.

Głośno zaś powiedział:

– Zasada Dwóch stanowi, że może być jednocześnie tylko dwóch Sithów, więc jak mogę zostać twoim uczniem, jeśli twój Mistrz ciągle żyje?

– Jeśli przyjmiesz moją propozycję, będziesz mi towarzyszył, kiedy zmierzę się z moim Mistrzem - wyjaśniła Zannah. - Ale nie wolno ci się

wtrącać. Jeśli on polegnie, przyjmę cię na swojego ucznia.

– A co będzie ze mną, jeśli ci się nie uda? - zaciekawiał się Set.

– Jeśli zginę, mój Mistrz będzie potrzebował nowego ucznia. Może uzna, że jesteś godny, a wtedy zajmiesz moje miejsce. A jeśli nie...

Nie musiała kończyć.

Set nie był tym zachwycony, ale rozumiał swoje położenie. Jeśli odmówi, ona go zabije. Jeśli się zgodzi, istnieje duże prawdopodobieństwo, że i tak zginie, kiedy Zannah okaże się słabsza od swojego Mistrza. A nawet jeśli go pokona, dla Seta oznaczałoby to powrót do roli ucznia... roli, od której tak bardzo chciał uciec, gdy należał do Jedi.

Ale była jedna rzecz godna uwagi w propozycji Zannah. Podczas ich jednostronnego pojedynku w jego salonie dostał próbkę tego, co ona potrafi. Gdyby mógł sam osiąść taką potęgę, to może parę lat wypełniania rozkazów i nazywania jej „Mistrzynią” jest tego warte.

– Powiedziałaś, że możesz mi pomóc wykorzystać w pełni mój potencjał. Pokaż mi, jak uwolnić prawdziwą potęgę Ciemnej Strony.

– Jeśli pójdziesz za mną - obiecała Zannah - staniesz się potężniejszy, niż potrafisz to sobie wyobrazić.

Zannah wyczuwała, że Set Harth nie ma ochoty zostać jej uczniem. Brak mu było tej żarliwej nienawiści do Jedi i wszystkiego, co sobą reprezentowali; nie był też specjalnie zainteresowany przyjęciem odpowiedzialności za losy Sithów. Ale też nie ulegało wątpliwości, że kusi go perspektywa własnej potęgi.

Set dbał tylko o siebie. Mógł przyjąć jej propozycję tylko dlatego, że widział w niej drogę do celu, szansę, by stać się silniejszym. Zannah o tym wiedziała i była gotowa to zaakceptować. Wolałaby znaleźć ucznia pragnącego poznać filozofię Sithów, którą Bane wpajał jej tak długo, ale z braku lepszej alternatywy skłonna była popracować nad tym, co miała.

Zdawała sobie sprawę z ryzyka, ale doniosłe czyny zawsze wymagały ryzyka. Przez pierwszych parę lat treningu musi bacznie obserwować Seta. Będzie musiała wystrzegać się oszustwa i zdrady, jednocześnie krok po kroku odsłaniając przed nim najwyższe prawdy, których nauczył ją Bane. Wykorzysta jego żądze osobistej potęgi jako przynętę, żeby stopniowo wciągać Seta coraz głębiej w arkana nauki Sithów.

Z czasem Set przyjmie te nauki i filozofię tak samo, jak wcześniej ona je przyjęła. W miarę jak jego zrozumienie Ciemnej Strony będzie ewoluowało, zyska nową perspektywę, która pozwoli mu spojrzeć dalej niż własne drobne

zachcianki i żądze. Zrozumie konieczność zniszczenia Jedi i przyjmie odpowiedzialność za losy Sithów.

A jeśli nie, będzie musiała go zniszczyć i znaleźć innego sługę.

Wszystkie te myśli przelatywały jej przez głowę, gdy obserwowała, jak srebrnowłosey Jedi pociera podbródek, rozważając propozycję zostania jej uczniem.

– Zgadzam się - powiedział wreszcie. - I jestem zaszczycony, że mnie wybrałaś.

– Nie, nie jesteś - odparła. - Ale kiedyś będziesz.

ROZDZIAŁ 14

– Powinniśmy mieć piki mocy do tej roboty - rzędził kapitan Jedder. - Są dwa razy mocniejsze niż te pieprzone karabiny ogłuszające.

– Piką mocy można zabić, jeśli się nie uważa - przypomniała mu Łowczyni, chociaż słuchała go tylko jednym uchem. - Księżna chce go żywego. Poza tym nawet nie miałbyś okazji zbliżyć się na tyle, żeby jej użyć.

Byli wewnątrz rezydencji Seppa Omeka, chociaż Łowczyni wątpiła, żeby to nazwisko było prawdziwe. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Nie potrzebowała nazwiska, żeby odnaleźć jego posiadłość tutaj, na Ciutric IV. Lord Sithów umiejętnie zacierał ślady, ukrywając swoją prawdziwą tożsamość za szeregiem pośredników i posłańców, dzięki czemu praktycznie nie sposób było powiązać go z wydarzeniami na Ambrii normalnymi metodami. Ale wszystkie środki ostrożności nie mogły obronić go przed wyjątkowymi zdolnościami Iktotchi. Kierując się sennymi wizjami i swoim niezawodnym instynktem, Łowczyni wytropiła swoją ofiarę - jak zawsze.

– Kiedy tu będzie? - zaciekał się kapitan Jedder.

– Wkrótce - odparła. - Każ swoim ludziom zająć pozycje.

Jej wizje wskazywały, że dom będzie pusty, kiedy się w nim zjawią, ale podpowiadały także, że właściciel wróci jeszcze tej samej nocy.

– Mogłabyś sprecyzować? - spytał Jedder. - Dwadzieścia minut? Godzina? Dwie?

– To nie działa w ten sposób - mruknęła w roztargnieniu, wypatrując miejsca, w którym mogliby zastawić pułapkę.

Zdażyła już przeczesać dokładnie całą posiadłość, rejestrując w pamięci każdy pokój, a także rozbroić po drodze każdy alarm i system antywłamaniowy w jej obrębie. Zdołała nawet sforsować panel bezpieczeństwa w małym budynku na tyłach posiadłości. W pierwszej chwili sądziła, że może to być jakiś arsenał lub bunkier, ale gdy udało jej się otworzyć drzwi, zorientowała się, że to biblioteka. Tyle że zamiast datapadów i holodysków półki uginały się pod ciężarem starych, oprawionych w skórę ksiąg i zwojów pożółkłego pergaminu.

W budynku było jednak coś jeszcze, co zwróciło jej uwagę. Na podeście

w głębi biblioteki stała mała czworoboczna piramida z kryształu. Łowczyni nie czuła potrzeby okradania swoich ofiar; nie zwracała uwagi na bezcenne dzieła sztuki i inne kosztowności rozsiane po całej rezydencji. Ale w tym przedmiocie było coś dziwnie kuszącego. Nie wiedziała, co to jest, ale czuła, że ją w jakiś sposób przyciąga. Wsunęła przedmiot do kieszeni pod płaszczem i skończyła rozpoznanie terenu.

Wreszcie dała znak Jedderowi i innym, że mogą wchodzić i zaczynać przygotowania.

– Coś nie tak? - spytał kapitan.

– Nie - odparła, zła na siebie, że się rozprasza. - Szukam miejsca, w którym moglibyście się zainstalować.

To zlecenie było inne niż wszystkie, które Łowczyni wykonywała do tej pory. Nie chodziło tylko o najemników, z którymi pracowała, ani o to, że ma schwytać swoją ofiarę żywcem. Odkąd odwiedziła skromne domostwo na Ambrii, wysoki, łysy mężczyzna i jasnowłosa kobieta nawiedzali jej sny. Część z tego, co zobaczyła, pomogło jej trafić tutaj, na Ciutric, ale były też inne obrazy - mgliste, niepokojące wizje, których nie potrafiła odczytać.

Była świadkiem dziesiątków starć między tymi dwojgiem. Widziała, jak mężczyzna zabija kobietę, ale także jak kobieta zabija mężczyznę. Rozumiała, że są to wizje potencjalnej przyszłości, z których każda może, ale nie musi się ziścić. Zazwyczaj, gdy objawiały jej się fragmenty przyszłości, był w tym jakiś cel lub sens. Wizje pomagały jej pokierować swoimi działaniami. Tymczasem ten pozornie przypadkowy kolaż obrazów wprawiał ją tylko w zakłopotanie; wołała o nim nie myśleć i skupić się na zadaniu, które miała do wykonania.

Księżna obiecała jej dwudziestu dobrze wyszkolonych najemników do pomocy i dotrzymała słowa - w wyprawie na Ciutric towarzyszyło Łowczyni dwunastu mężczyzn i osiem kobiet, wszyscy z wojskowym doświadczeniem.

Księżna wysłała także kapitana Jeddera, wysokiego rangą członka doańskiej Gwardii Królewskiej. Praktyka uzupełniania armii najemnymi żołnierzami miała na Doanie długą historię i to Jedder skompletował oddział do tej misji, wybierając spośród ludzi, z którymi pracował w przeszłości.

Teoretycznie najemnicy podlegali Jedderowi, jednak on z kolei podlegał Łowczyni. Jej to odpowiadało. Zdarzało się, że najemnicy uciekali, kiedy sprawy przybierały nieciekawy obrót, ale jeśli pracowali już wcześniej z kapitanem, to jest większa szansa, że będą trzymać się planu do samego końca.

Główne wejście do rezydencji było otwarte i szerokie. Za drzwiami

znajdował się duży hol, który prowadził do ogromnego salonu wyposażonego w dwie kanapy i wielki szklany stół. Z jednej strony odchodziły kręte schody, prowadzące na galerię zawieszoną nad salonem.

– Powinniśmy zaatakować tutaj, jak tylko wejdzie - powiedziała Łowczyni. - Od razu wyczuje, że coś jest nie tak, więc musimy uderzyć jak najszybciej.

– Ustawcie detonatory dźwiękowe po obu stronach drzwi - polecił Jedder przez radio. Dwóch żołnierzy natychmiast podbiegło, żeby wypełnić jego rozkaz. - Walczyłem kiedyś z Sithami, wiesz? - zagaił Jedder, podczas gdy Łowczyni odwracała się powoli, omiatając wzrokiem resztę pokoju. - Dwadzieścia lat temu. W czasie wojny. Byłem wtedy jeszcze dzieciakiem.

– Pewnie dlatego księżna cię wysłała - odparła w zamyśleniu Iktotchi.

– Dziwne, że nie wysłała z nami Lucii - zauważył Jedder. - Ona walczyła po stronie Sithów w czasie wojny. Pewnie zna ich taktykę lepiej niż ktokolwiek inny.

Na Lucii jej zależy, pomyślała Łowczyni. Wie, jaka to niebezpieczna misja, a Lucia jest dla niej niezbędna, w przeciwieństwie do nas.

Na głos powiedziała jednak:

– Ustaw dwóch ludzi z karabinami ogłuszającymi na tej galerii na górze. Tam powinni mieć idealną pozycję do strzału.

– Szkoda, że nie mamy karabinów karbonitowych - narzekał Jedder. - Moglibyśmy go zamrozić.

Łowczyni już wcześniej rozważyła i odrzuciła tę opcję.

– Ten sam problem, co z pikami mocy. Trzeba by za blisko podejść, żeby były skuteczne. Poza tym karbonit zamroziłby go tylko na parę minut. A co zrobić, jak zacznie się topić?

– Miotacze sieci nie są wcale lepsze - odparował. - Miecz świetlny rozetnie sieć, jakby była z flimsiplastu.

– One nie mają go powstrzymać - wyjaśniła Iktotchi. - Mają go tylko spowolnić na tyle, żebym mogła podać mu senflaks.

Uniosła długi, cienki sztylet, żeby pokazać mu, o co chodzi. Ostrze pokryte było silną neurotoksyną. Według księżnej każda rana na tyle głęboka, żeby spowodować krwawienie, powinna wprowadzić truciznę do organizmu.

– Nawet jak już dostanie toksynę, musimy cały czas atakować - przypomniała kapitanowi. - Jeśli tylko damy mu odetchnąć, zorientuje się, że w jego organizmie jest trucizna. Może spróbować jakoś ją zwalczyć, używając Mocy.

– Jak szybko ta mikstura zacznie działać?
– Trzydzieści, może czterdzieści sekund. - Zakładając, że Serra wiedziała, co mówi, dodała w myśli.

– To dużo czasu dla żołnierzy, którzy mają stanąć twarzą w twarz z Sithem.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć, żeby go uspokoić, więc nic nie odpowiedziała.

– Przypomnij swoim ludziom, że to jest dwufazowy atak - poleciała. - Pierwsza faza ma na celu odciągnięcie jego uwagi na tak długo, żeby oczyścić mi pole. Potem rzucamy się na niego wszystkimi siłami.

– Naprawdę potrafisz przewidywać przyszłość? - spytał kapitan, gdy już przekazał instrukcje podwładnym.

– Czasami. Przyszłość jest zawsze w ruchu. Nie zawsze jest wyraźna.

– Wyjdziemy z tego cało?

– Niektórzy z nas mają szanse - odparła. Nie wspomniała o swojej wizji, w której pokiereszowane ciało Jeddera leżało bez życia na marmurowej podłodze rezydencji.

Kiedy Bane dotarł na Ciutric, z zaskoczeniem stwierdził, że statku Zannah jeszcze nie ma, ale ucieszył się, że nie będzie na niego czekała w rezydencji. Nie miał teraz siły z nią walczyć; był zbyt zmęczony, nawet żeby wymyślić jakieś kłamstwo, którym bez wzbudzania podejrzeń mógłby wytłumaczyć swoją nieobecność. Kierując jednak swój śmigacz w stronę rysującej się na horyzoncie rezydencji, zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby Zannah już na niego czekała, wyprawa i tak byłaby warta zachodu. Wiedza Andeddu należała już do niego; przez kilka ostatnich dni umysł Bane'a przetwarzał wykradzione surowe informacje, aż doszło do ich całkowitego zrozumienia. W pełni przyswoił sobie rytuał transferu esencji; poznał techniki, które miały pozwolić mu przenieść swoją świadomość z własnego słabnącego ciała w inne. Musiał tylko wybrać odpowiednią ofiarę.

Znalezienie nowego ciała stanowiło najtrudniejszą część rytuału. Potrzebował kogoś na tyle silnego fizycznie, żeby jego ciało wytrzymało przemożny wpływ energii Ciemnej Strony, jakiemu będzie poddawane przez lata, a jednocześnie na tyle słabego psychicznie, żeby bez trudu przełamać opór jego woli. Najlepszym rozwiązaniem byłoby specjalnie zaprojektowane ciało klona - pusta skorupa bez własnych myśli ani tożsamości. Ale stworzenie odpowiedniego klona mogło potrwać lata, a Bane wątpił, żeby miał tak dużo czasu.

Będzie musiał spróbować zawładnąć ciałem żyjącej ofiary... bardzo ryzykowne przedsięwzięcie. Dostanie tylko jedną szansę - niezależnie od rezultatu jego własne ciało ulegnie zniszczeniu. A jeśli okaże się, że obiekt ma wystarczająco silną wolę, żeby odeprzeć jego atak, wówczas próba zakończy się fiaskiem, a duch Bane'a zostanie skazany na wieczność w próżni.

Posadził śmigacz na ziemi i wygramolił się z pojazdu, zatrzymując się tylko po to, żeby wziąć bagaż - prosty, płócienny worek, w którym głęboko ukryty spoczywał holocron. Ciężkim, powolnym krokiem zbliżył się do głównego wejścia rezydencji.

To musi być ktoś młody. Przed trzydziestką, postanowił.

Otworzył i wszedł do środka, pozwalając, żeby drzwi się za nim zatrzasnęły.

Naiwny i niedoświadczony. Może...

Zamarł. Ktoś był w rezydencji. Wszędzie wyczuwał intruzów - czyhali za każdym rogiem w korytarzach, czaili się na schodach, ukrywali się za meblami, siedzieli rozlokowani na galerijce u góry.

Wszystko to Bane uświadomił sobie w ułamku sekundy - na tyle szybko, żeby zdążył to zarejestrować, zanim eksplodowały detonatory dźwiękowe po jego obu stronach.

Ich ogłuszający pisk sprawił, że Bane potknął się i poleciał głową naprzód w stronę pokoju, oddalając się od drzwi i szansy ucieczki. Jego ręce pofrunęły odruchowo w górę, żeby zasłonić uszy, a torba podróżna upadła na podłogę. I wtedy rzucili się na niego przeciwnicy.

Wysypywali się jak rój owadów, wyłaniając się ze wszystkich stron. Czterech żołnierzy uzbrojonych w karabiny ogłuszające posłało serię błyskawic z galerii; Bane - wciąż zataczając się od działania detonatorów dźwiękowych - ledwie zdążył postawić ochronną barierę, żeby osłonić się przed atakiem.

W tym momencie poczuł opór. Jakaś siła próbowała zablokować jego zdolność wykorzystania Mocy. Nie była wystarczająco potężna, żeby go powstrzymać, ale utrudniła mu zadanie na tyle, że promień energii przedostał się przez barierę.

Mięśnie zesztyniały mu pod wpływem uderzenia; plecy się wykrzywiły, a głowa i ramiona poleciały do tyłu. Każdy nerw w ciele Bane'a zapłonął, jakby przypiekany żywym ogniem. Ból trwał tylko przez moment, ale to wystarczyło, żeby powalić go na podłogę.

Szybko jednak się poderwał; włączył miecz świetlny prawą ręką, a

jednocześnie z palców lewej wypuścił strumienie energii. Fioletowe błyskawice powinny spalić na popiół wszystkich czterech przeciwników na balkonie, ale znów nieznaną siłą osłabiła zdolność Bane'a posługiwania się Mocą, torpedując jego wysiłki.

Trzy z ofiar, porażone energią, zginęły, zanim nawet zdążyły krzyknąć. Czwarta jednak zdołała odskoczyć od krawędzi balkonu, unikając śmiertelności ataku.

Bane nie zdążył jej wykończyć. Dwóch żołnierzy wyskoczyło z korytarza po lewej, a trzech kolejnych pojawiło się po prawej. Wystrzelili z miotaczy sieci, posyłając długie wiązki lepkiej, syntetycznej pajęczyny.

Żołnierze byli sprytni; dobrze skoordynowali swoje działania. Dwóch strzelało w jego stopy, żeby przygwoździć go do podłogi. Pozostali celowali w pierś i tułów, próbując spętać mu ręce kleistymi nićmi. Ale Bane nie miał zamiaru dać się unieruchomić.

Wyskoczył w górę i złapał wolną ręką za zwisający z sufitu żyrandol. Rozkołysał nogi, żeby nabrać rozpędu, i przeskoczył ponad barierką na galerię, zyskując w ten sposób przewagę.

Spadł na galeryjkę z łoskotem. Nieodgadniona siła wciąż zakłócała jego połączenie z Mocą, odbierając mu zdolność zwinnego lądowania. Wokół niego leżały ciała trzech martwych żołnierzy. Po prawej stronie miał schody prowadzące w dół do holu; przed nim był długi korytarz wiodący do drugiego skrzydła rezydencji.

Na końcu korytarza stała Iktotchi, trzymając w każdej ręce długi, cienki nóż. Wyszczrzyła zęby w szerokim uśmiechu i w tym momencie wiedział już, kto utrudniał mu korzystanie z Mocy.

Ruszyła przez korytarz w jego kierunku. Bane przyjął odpowiednią postawę, żeby odeprzeć jej atak, wiedząc, że jej noże nie mogą równać się z jego mieczem świetlnym. Dopiero wtedy zauważył granaty błyskowe leżące przy zwłokach u jego stóp.

Wybuchły, oślepiając Bane'a intensywnym światłem i chemicznym dymem. Zdezorientowany oparł się o barierkę. Po chwili poczuł mocne uderzenie buta Iktotchi w klatkę piersiową. Cios wypchnął go za poręcz i posłał cztery metry w dół, na marmurową posadzkę.

Wyrznął o podłogę tak mocno, że przez moment nie mógł złapać tchu. Uderzenie wytrąciło mu z ręki miecz świetlny, który potoczył się daleko. Chwilę później pajęczyna z miotacza sieci spowiła jego leżące twarzą do ziemi ciało i przygwoździła je do podłogi.

Bane był oślepiony i unieruchomiony, ale ocaliła go kipiąca w nim furia.

Lata treningu nauczyły go koncentrować cały ból i wściekłość w jednym momencie; powstawała w ten sposób siła, która uwalniała pełną potęgę Ciemnej Strony. Ponownie poczuł, jak jego wysiłki napotyka ją na barierę Iktotchi, ale tym razem przedarł się przez nią, jakby jej wcale nie było.

Przez chwilę wydawało mu się, jakby cały świat wokół niego zastygł w bezruchu. Chociaż jego oczy wciąż odczuwały skutki granatów błyskowych, przepływająca przez jego ciało Moc dawała mu nadnaturalną świadomość otoczenia - jakby cała scena wypalona była ze szczegółami w jego mózgu.

Rozproszeni po holu żołnierze zajmowali w pośpiechu nowe pozycje, szykując się do kolejnej fazy starcia. Byli dobrze wyszkoleni, ale Bane wyczuwał ich strach - wiedzieli, że walka jeszcze się nie skończyła. Iktotchi przeskoczyła za nim przez barierkę i zawisała w powietrzu. Oba sztylety trzymała poziomo po bokach, przygotowana do lądowania. Bane widział nawet samego siebie - leżącego na podłodze, uwięzionego pod grubą, wilgotną zasłoną szybko schnącego chemicznego kleju.

Nieruchomy obraz trwał tylko ułamek sekundy, ale pozwolił Mrocznemu Lordowi zobaczyć wszystko, co było konieczne. Potem ten moment minął i wszystko stało się znów rozmytą w ruchu plamą.

Iktotchi wylądowała w chwili, gdy Bane wypuścił falę energii elektrycznej, która przepaliła pajęczynę z miotacza sieci. Iktotchi przykłękała na jedno kolano i spróbowała wbić w niego noże, ale Bane wyczuł ją dzięki Mocy. Przeturlał się i zarobił jedynie długie, głębokie nacięcie wzdłuż przedramienia.

Poderwał się i przyciągnął do siebie swój miecz świetlny, który pofrunął z podłogi prosto w jego nastawioną dłoń, ale Iktotchi już się wycofywała. Teraz, gdy już nie był bezbronny, wołała ustąpić pola innym.

Wokół niego wybuchło jeszcze kilka granatów błyskowych, ale na Banie nie zrobiło to żadnego wrażenia; nie kierował się już wzrokiem. Kolejne nici pajęczyny poszybowały przez pokój w jego kierunku, ale tym razem spłonęły jeszcze w locie. Pół tuzina granatów wstrząsowych, rzucanych z każdej strony, poturlało się po podłodze u jego stóp. Gdy eksplodowały, Bane po prostu okrył się Mocą, tworząc ochronny kokon, który pochłonął siłę uderzenia i pozwolił mu wyjść z tego zupełnie bez szwanku.

Dwóch ludzi wyskoczyło zza kanapy i strzeliło do niego z najbliższej odległości z karabinów ogłuszających. Bane odbił nadlatujące błyskawice mieczem świetlnym, po czym wyciągnął rękę i posłał kanapę prosto w ścianę, miażdżąc mężczyzn, którzy się za nią chowali.

Przejął inicjatywę i natarł na dwóch żołnierzy z miotaczami sieci.

Przeciął obu poziomo na pół jednym ciosem miecza świetlnego, zaznaczając idealnie prostą linię tuż nad talią. Kolejna seria ogłuszających błyskawic nadeszła zbyt późno, żeby ich uratować; Bane'a już tam nie było.

Jeden sus i znalazł się z powrotem na galerii, twarzą w twarz z Iktotchi.

– Nie uciekniesz - powiedział.

– Nie miałam zamiaru - syknęła i rzuciła się na niego z nożami.

Była szybsza, niż Bane się spodziewał. Zaatakowała nisko i błyskawicznie. Nie miał czasu na zadanie ciosu i musiał uskoczyć jej z drogi.

Gdy go mijiała, wykonał kontruderzenie, próbując odrąbać jej rękę, ale Iktotchi przewidziała jego ruch i zdołała wygiąć ciało tak, że klinga Bane'a przecięła jedynie powietrze.

Zamienili się miejscami w porównaniu z ich pierwszym starciem; teraz to ona stała plecami do poręczy galerii. Bane wykonał pchnięcie Mocą, które przerzuciło Iktotchi ponad poręczą tak samo jak jej kopnięcie strąciło go niecałą minutę wcześniej.

Iktotchi zdołała w jakiś sposób obrócić się w powietrzu i wylądować na nogach. Dzięki temu udało jej się w porę odskoczyć, kiedy Bane posłał w jej kierunku błyskawice. Zamiast zwęglonego ciała energia pozostawiła jedynie dymiący krąg na podłodze.

Żołnierze na schodach strzelali znów do niego z karabinów ogłuszających. Bane nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć na ich atak; po prostu uniknął go, przeskakując ponad poręczą z powrotem na podłogę w dole. Żołnierze nic dla niego nie znaczyli; interesowała go teraz tylko Iktotchi. Była jedynym przeciwnikiem, który stanowił realne zagrożenie. Kiedy ją wyeliminuje, będzie mógł w spokoju zająć się żołnierzami.

Wylądował na podłodze w półprzysiadzie, amortyzując uderzenie. I wtedy wszystko spowiła ciemność.

Lowczyni nie wiedziała, ile czasu minęło od chwili, gdy zatopiła pokryte senflaksem ostrze w przedramieniu Lorda Sithów, ale neurotoksyna powinna wkrótce zacząć działać.

Jedder był już martwy, przygnieciony do ściany przez latający mebel. Co najmniej pięciu innych żołnierzy także nie żyło. Mroczny Lord skupiał teraz całą uwagę na niej.

Iktotchi wiedziała, że nie zdoła go pokonać. Był zbyt silny. Sztuczki, których używała przeciwko Jedi, początkowo go spowolniły, ale teraz nie przynosiły żadnych efektów. Senflaks był jej jedyną nadzieją na przeżycie.

Zobaczyła, jak Sith w pogoni za nią zeskakuje z galerii. Wylądował na podłodze, odwrócił się w jej kierunku - i upadł. Olbrzym leżał teraz na boku z otwartymi oczami i zdawał się patrzeć prosto na nią. Źrenice miał przekrwione od chemikaliów z granatów błyskowych.

Łowczyni poczekała, aż mrugnie. Potem, nie widząc żadnych innych oznak życia, podniosła rękę i krzyknęła:

– Wstrzymać ogień!

Przez chwilę zastanawiała się, czy ten paraliż to nie jakaś sztuczka, ale szybko odrzuciła tę myśl. Sith nie musiał stosować podstępów, żeby wygrać walkę; nie ulegało wątpliwości, że miał nad nimi przewagę. Jedynym wytłumaczeniem jego stanu było to, że trucizna Serry w końcu zaczęła działać. Zgodnie z instrukcjami księżnej mieli cztery godziny, zanim będzie konieczne podanie kolejnej dawki.

Skoro Jedder nie żył, wynajęci żołnierze wpatrywali się w nią, czekając na dalsze rozkazy. Łowczyni zamknęła oczy i wyteżyła umysł, szukając wskazówek. Ktoś jeszcze się zbliżał - jasnowłosa kobieta z Ambrii.

– Wy trzej, przyprowadźcie śmigacze przed dom - warknęła Łowczyni. - Reszta pozbierać ciała. Nie zostawiać żadnych śladów, które mogłyby doprowadzić do księżnej.

Pozostali przy życiu żołnierze pospieszyli wykonać jej rozkazy.

Nie musiała ich ponaglać; i tak ruszali się najszybciej, jak potrafili. Nie mogli się doczekać, żeby opuścić to miejsce, gdzie poległo tylu ich towarzyszy broni.

Odruchowo schyliła się i podniosła zgaszony miecz świetlny, który leżał na podłodze obok pokonanego Sitha. Obracała w rękach zakrzywioną rękojeść, oglądając ją w skupieniu.

Zapaliła oręż i zaskoczyła ją jego lekkość.

– Go z tym? - spytał jeden z żołnierzy, trzymając w ręku płócienny worek, który Sith upuścił w pierwszych sekundach ataku.

– Zabierz ze sobą - odpowiedziała w roztargnieniu, nawet nie patrząc. - Dasz to księżnej.

Zauroczone nową zabawką, wykonała kilka powolnych, próbnych ruchów nieznaną sobie bronią, po czym zgasła ją i schowała w wewnętrznej kieszeni płaszcza, obok dziwnej kryształowej piramidy znalezionej w bibliotece na tyłach posiadłości.

Pięć minut później załadowali jeńca i ciała poległych na śmigacze i ruszyli w kierunku promu desantowego, który miał ich zabrać z powrotem na Doan.

ROZDZIAŁ 15

Gdy tylko Zannah wprowadziła „Zwycięstwo” do swojego prywatnego hangaru w kosmoporcie na Ciutric IV, poczuła nagły niepokój.

– Coś nie tak? - spytał Set z fotela pasażera, wyczuwając jej zdenerwowanie.

Mam zmierzyć się z moim Mistrzem w walce na śmierć i życie, a wciąż nie wiem, czy nie popełniłam błędu, wybierając cię na swojego ucznia, pomyślała.

– Nic takiego.

Set wzruszył ramionami. Siedział rozparty w swoim fotelu, z nogami założonymi na pulpit. Jeśli sam miał jakieś obawy, to dobrze je ukrywał.

Statek osiadł na ziemi i Zannah wyłączyła silniki. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś jest nie tak, ale zaszła zbyt daleko, żeby teraz zawrócić.

Czy to przecucie mojej własnej śmierci? - pomyślała. Czy Bane zakończy dziś mój żywot?

– Co znowu? - spytał Set, zestawiając nogi na podłogę.

Kiedy przyjął propozycję Zannah, wyczuwała w nim wyraźny opór. Jednak podczas ich podróży na Ciutric najwyraźniej zaczął się przekonywać do tego pomysłu. Teraz wydawał się tryskać entuzjazmem... chociaż Zannah zdawała sobie sprawę, że to wszystko może być grą.

– Kiedy dolecimy na miejsce, będziesz musiał poczekać na zewnątrz - uprzedziła go. - Mój Mistrz nie lubi nieproszonych gości.

– Schowam się w krzakach jak wystraszony szczeniak Kath - obiecał.

– To nie jest gra - ostrzegła.

– Wszystko jest grą - odparł. - Tylko że akurat w tej nie możesz sobie pozwolić na porażkę.

– Jeśli ja przegram, ty też możesz marnie skończyć.

– Albo mogę skończyć jako nowy uczeń twojego Mistrza - odparował z przebiegłym uśmiechem.

– On nie byłby równie wyrozumiały dla twojej impertynencji.

– W takim razie mam szczerą nadzieję, że wygrasz. To wszystko, Mistrzynie?

Gdy Zannah kiwnęła głową, Set podniósł się z fotela i wykonał głęboki ukłon. Głowę zwiesił przy tym tak nisko, że długie włosy zawisły niczym srebrna kurtyna zasłaniająca twarz.

– Prowadź, a ja pójdę za tobą - zaproponował, a w jego głosie była nuta lekkiego szyderstwa.

Zannah zastanawiała się, jak Bane by zareagował na lekceważące zachowanie Seta. Niewątpliwie konsekwencje byłyby surowe. Zannah jednak z rozmysłem pozwalała Mrocznemu Jedi na odrobinę zabawy. W końcu zraniła jego ego, upokorzyła go, z taką łatwością okazując swoją wyższość w trakcie ich konfrontacji. Teraz należało pozwolić mu odzyskać pewność siebie. A jeśli żarty miały ułatwić mu zaakceptowanie roli ucznia, to była gotowa je tolerować... do czasu.

Oczywiście Set dobrze to rozumiał. Wiedziała, że ją prowokuje, bada granice ich relacji. Równocześnie Zannah sprawdzała jego. Jak dotąd, miał wystarczająco dużo rozsądku, żeby wiedzieć, gdzie się zatrzymać.

Zannah i Set zostawili bagaże na statku i przeszli z hangaru do niewielkiego budynku celnego we frontowej części kosmoportu. Chet, młody celnik, z którym rozmawiała przed odlotem z Ciutric, znów pełnił służbę.

– Dobry wieczór, pani Omek - powiedział, skłaniając głowę. - Zaraz każę przyprowadzić pani śmigacz.

– Dziękuję, Chet.

– Czy mam posłać kogoś po bagaże?

– Odbiorę je rano. - Jeśli będę jeszcze żyła, dopowiedziała w myślach.

– Nie przedstawisz mnie swojemu przyjacielowi? - wtrącił się Set.

Zannah spiorunowała go wzrokiem.

Chet oczywiście zarejestrował ich wymianę zdań, ale nie wiedziała, ile z niej zrozumiał. Na parę sekund zapadła cisza, a potem celnik powiedział: - Czy mogę pomówić z panią na osobności, pani Omek? Zaciekawiona Zannah dała znak głową Setowi, który odwrócił się i odszedł na bok. Wyglądał na lekko obrażonego.

– Parę godzin temu wszedł w atmosferę niezarejestrowany statek - wyszeptał Chet, gdy Set znalazł się poza zasięgiem głosu. - Wylądował w dżungli, jakieś sto kilometrów na wschód od kosmoportu.

Dziwne, pomyślała Zannah.

Ciutric IV znajdował się na przecięciu kilku ważnych szlaków handlowych, ale cła i podatki naliczane przez tutejsze władze były minimalne. Żaden legalnie działający kupiec nie ryzykowałby lądowania w dzikiej dżungli tylko po to, żeby uniknąć papierkowej roboty i zaoszczędzić

parę kredytów. A w okolicy nie było żadnych przemytników; gdyby byli, ona i Bane na pewno by o tym wiedzieli.

– Nie wiesz, kto to mógł być?

Chet wzruszył ramionami.

– Wylądowali poza naszą jurysdykcją, nie nadawali sygnału alarmowego, więc nikomu nie chciało się wysłać patrolu, żeby to sprawdzić.

Zannah nie była zaskoczona urzędniczą opieszałością w sprawie niezarejestrowanego statku. Ciutric był zdecydowanie praworządnym światem; w konsekwencji planetarne środki bezpieczeństwa były dość skromne. Był to jeden z powodów, dla których Bane postanowił się tu osiedlić.

Była jednak zaintrygowana. Czy ten statek miał coś wspólnego z niepokojem, który poczuła przy lądowaniu?

– Mówiłeś, że wylądowali na wschodzie? - Nasza posiadłość jest na wschodnich obrzeżach miasta, pomyślała.

– Tak. Pokazali się na radarze parę godzin przed powrotem pani brata.

– Mojego brata?

– Ach - powiedział Chet, lekko zaskoczony. - Myślałem, że pani wie. Wyleciał dzień po pani. Właśnie dzisiaj wrócił.

– Nie wiesz, gdzie był?

Celnik pokręcił głową.

– Niestety.

Tysiące myśli kłębiło się w głowie Zannah, kiedy parkingowy przyprowadził jej śmigacz. Bane prawie nigdy nie opuszczał Ciutric. Kiedy załatwiał interesy, ludzie przyjeżdżali do niego... albo posyłał Zannah. Musiało wydarzyć się coś na tyle ważnego, że nie chciał czekać na jej powrót. Albo wynikła jakaś sprawa, którą wolał załatwić osobiście. A skoro tak, to czy mógł specjalnie wysłać ją na Doan, żeby się jej pozbyć na jakiś czas?

Przychodził jej do głowy tylko jeden powód, dla którego Bane wolałby zataić przed nią swoją podróż: szukał kogoś, żeby ją zastąpić!

– Kłopoty? - spytał Set, który podszedł zobaczyć, co się dzieje.

– Wszystko w porządku - odparła Zannah, nie chcąc zdradzać swoich obaw żadnemu z mężczyzn.

Wsiadła do śmigacza i skinęła na Seta, żeby zrobił to samo.

– Dzięki za informację, Chet.

Pojazd zamruczał i wzbił się w powietrze, a Zannah zaczęła rozważać różne opcje. Jeśli Bane był sam, miała zamiar zmierzyć się z nim, tak jak

planowała. Jeśli jednak Bane znalazł sobie nowego następcę, sprawa okaże się bardziej skomplikowana.

Gdyby Bane ją odtrącił, czy Zasada Dwóch wciąż będzie miała zastosowanie w stosunku do niej? Czy też Bane i jego nowy uczeń połączą siły, żeby pokonać ją jako wroga Sithów? W takim wypadku, osamotniona, nie miałyby szans na przeżycie.

Nie wiedziała, czy siedzący obok niej Mroczny Jedi przyszedłby jej z pomocą, gdyby sprawy przybrały zły obrót, ale nie miała większego wyboru. Postanowiła zmierzyć się z Bane'em jeszcze tej nocy i nie miała zamiaru się teraz wycofać. Zbyt długo czekała na tę chwilę i zbyt wiele razy już ją odkładała.

– Kiedy dotrzemy na miejsce, bądź czujny - ostrzegła Seta.

– Zawsze jestem czujny - zapewnił ją.

W miarę jak zbliżali się do posiadłości, niepokój Zannah rósł. Kiedy wreszcie dolecieli, uświadomiła sobie, że nie wyczuwa obecności Mistrza. Zdziwiona, posadziła śmigacz i zobaczyła, że frontowe drzwi są otwarte na oścież.

– Zaczekaj tu - poleciła Setowi.

Z jedną dłonią na rękojeści miecza świetlnego ostrożnie podeszła do otwartych drzwi i zajrzała do środka. Na pierwszy rzut oka zniszczenia wydawały się ogromne. Tynk na ścianach był popękany i okopcony w co najmniej kilkunastu miejscach; marmurowe posadzki porysowane i poprzypalane. Wszędzie wały się lepkie nici syntetycznej pajęczyny i płatki popiołu.

Każdy mebel był albo połamany, albo wywrócony do góry nogami. Zannah powoli weszła po schodach na piętro, wciąż nieufna, mimo że nie wyczuwała w budynku niczyjej obecności.

Szybki przegląd pokoi upewnił ją, że nie ma bezpośredniego zagrożenia, więc schowała miecz. Wyglądało na to, że większość zniszczeń ogranicza się do holu i salonu tuż przy wejściu do rezydencji. Jeśli gdzieś ukryte było jakieś wytłumaczenie, to należało go szukać właśnie tam.

Kiedy wróciła do frontowej części budynku, zauważyła, bez zaskoczenia, że Set zlekceważył rozkazy. Siedział na krześle, które uchowało się względnie nienaruszone, z nogą założoną na nogę i z kieliszkiem wina w rękę, beztrwako czekając na jej powrót. Świeżo otwarta butelka stała koło niego na podłodze.

– Twój Mistrz ma doskonały gust - powiedział, wznosząc toast za zdrowie nieobecnego gospodarza.

Wszystko wskazywało na to, że ktoś zaatakował Bane'a w rezydencji, a jedynym logicznym przypuszczeniem wydawało się to, że napastnicy przylecieli statkiem, który wylądował w okolicy. Jednak to, kim byli i po co przylecieli, wciąż pozostawało zagadką, której Zannah nie potrafiła rozwiązać.

– Kazałam ci zaczekać w śmigaczu - powiedziała, schodząc na dół. Zamknęła drzwi wejściowe.

– Nudziło mi się. - Wzruszył ramionami, upił łyk wina i zmienił od razu temat: - Wygląda na to, że konfrontacja, której się spodziewałaś, jednak nie dojdzie do skutku. Chyba zdobyłaś tytuł Mistrza Sithów walkowerem.

– To tak nie działa - mruknęła Zannah. - Zresztą Darth Bane jeszcze żyje. Gdyby zginął, wyczułabym to.

– Obawiałem się, że to powiesz - stwierdził, schylając się, żeby sięgnąć po butelkę i napęścić pusty kieliszek. - Wiesz, kto to mógł zrobić?

– Nikt z naszych wrogów nawet nie ma pojęcia, że Sithowie jeszcze istnieją - przypomniała mu Zannah.

– Mam dziwne wrażenie, że czegoś mi nie mówisz - zauważył Set, a po chwili dodał: - Mistrzynie.

– Bane dopiero dzisiaj wrócił na Ciutric. - Nie widziała powodu, żeby ukrywać przed nim to, czego się dowiedziała. - A Chet powiedział mi, że na krótko przed jego przylotem niedaleko posiadłości wylądował niezidentyfikowany statek.

– Myślisz, że to ma jakiś związek?

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności - odparła. Po chwili namysłu postanowiła być z nim zupełnie szczerą. - Myślę, że Bane wysłał mnie na Doan tylko po to, żeby się mnie pozbyć na jakiś czas. Podejrzewam, że tak naprawdę był zainteresowany czymś zupełnie innym.

– Nie bądź taka pewna - odparł Set i pokazał jej przedmiot, który wyglądał na mały, niebieski guzik.

– Gdzie to znalazłaś?

– Było wciśnięte w szczątki czegoś, co kiedyś było kanapą, tam w rogu - wyjaśnił, rzucając jej przedmiot.

Wyciągnęła rękę i bez trudu chwyciła go w powietrzu. Na wierzchu był ubrudzony krwią, która zasłaniała częściowo złote insygnia.

– To symbol doańskiej rodziny królewskiej - poinformował Set, podczas gdy ona oglądała guzik.

– Doańskiej? - Zannah czuła coraz większą konsternację. - Po co ktoś z Doana miałby tu przylecieć? I jak w ogóle by nas tu znaleźli?

Set wzruszył ramionami.

– To ty jesteś Mistrzynią. Ty mi powiedz.

Zannah nie odpowiedziała od razu. Zagryzając dolną wargę, w skupieniu analizowała sytuację z każdej możliwej strony. Było wciąż zbyt dużo niewiadomych, żeby opracować szczegółowy plan, ale wiedziała, od czego zacząć.

– Musimy lecieć na Doan.

– Chwileczkę - zaprotestował Set, unosząc ręce. - Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Przecież nawet jeśli twój Mistrz jeszcze żyje, to prawdopodobnie jest więźniem.

– Tak... więźniem na Doanie.

– No i co? Uratujemy go tylko po to, żebyś mogła sama spróbować go zabić?

To byłoby w zgodzie z Zasadą Dwóch, pomyślała Zannah. Ale istniały też inne, bardziej praktyczne powody.

– Mój Mistrz jest inteligentny, potężny i przebiegły. I zbyt niebezpieczny, żeby go lekceważyć. Jeśli jest więźniem, to może uciec. A jeśli ucieknie, to mnie znajdzie... tyle że wtedy stanie się to w miejscu i czasie, które on wybierze, a nie ja. A nawet jeśli nigdy nie ucieknie, to pewnie ten, kto go schwytał, zechce wyciągnąć z niego jakieś informacje. Mógłby ujawnić coś, co zdradzi moje istnienie Jedi... albo jakimś innym wrogom. Nie mam zamiaru ryzykować. Poza tym chcę się dowiedzieć, kto go zaatakował i dlaczego. I jeśli go pojмали, chcę wiedzieć, jak to zrobili. Jakiej taktyki użyli, żeby obezwładnić tak groźnego przeciwnika, i jak ja mogę się przed tym uchronić?

– Więc chodzi o zaspokojenie twojej ciekawości?

Usłyszała w jego głosie niechęć - tę samą niechęć, którą wyczuła, kiedy zaproponowała mu, żeby został jej uczniem. Set przez większą część życia uciekał od problemów, zamiast je rozwiązywać. Wiedziała, że Mroczny Jedi woli unikać swoich wrogów, niż próbować ich zniszczyć. Z czasem go z tego wyleczy. Jako jego Mistrzyni nauczy go postępować zgodnie z filozofią Sithów. Na razie jednak potrzebowała po prostu jego pomocy.

– Muszę się z kimś zobaczyć - oznajmiła. Pamiętała, że Chet powiedział jej, iż Bane spotkał się z Argelem Tennem zaledwie kilka dni przed tym, jak to wszystko się zaczęło. Czyżby handlarz znalazł jakiś interesujący manuskrypt Sithów, który skłonił Bane'a do opuszczenia Ciutric?

– Czy ja wybieram się z tobą?

Zannah pokręciła głową.

– Ty masz się dowiedzieć wszystkiego na temat Doan. Jeśli rodzina królewska była w to zamieszana, dokąd mogli go zabrać? I jak możemy go znaleźć?

Set prychnął z niezadowoleniem.

– Więc teraz mam być bibliotekarzem?

– Spotkamy się tu za dwa dni - powiedziała Zannah, ignorując jego narzekanie. - Do tego czasu zdecyduję, co dalej.

Zannah była lekko zaskoczona, kiedy wróciła do rezydencji po spotkaniu z Argelem Tennem i zobaczyła, że Set na nią czeka. Właściwie podejrzewała, że się więcej nie pojawi. Misja, z którą go wysłała, była ważna, ale uważała ją także za sprawdzian jego zaangażowania. Jeśli miał wątpliwości, czy w ogóle zostać jej uczniem, to wysyłając go, stworzyła mu idealną okazję, żeby się ulotnić. A skoro wrócił, to może jednak jest odpowiednim kandydatem.

Była zadowolona, że sprawy z Setem wydają się zmierzać w dobrym kierunku, bo jej spotkanie z Argelem Tennem nie poszło najlepiej. Z początku nie chciał rozmawiać na temat swoich interesów z Bane'em, twierdząc, że dyskrecja jest fundamentem jego działalności. Zannah usiłowała przekonać go pokojowymi metodami, żeby zrobił wyjątek; wiedziała, że Argel ma dostęp do rzadkich manuskryptów Sithów, i nie chciała pozbywać się potencjalnie cennego źródła.

Ku jej rozczarowaniu, handlarz wykazywał jednak zadziwiająco konsekwencję w kwestii ochrony prywatności swoich klientów. W końcu musiała posunąć się do mniej przyjemnych metod, żeby zmusić go do mówienia. Oczywiście, stosując przemoc, zdradziła, że jest kimś więcej niż tylko zainteresowanym kolekcjonerem, a zatem nie mogła zostawić go przy życiu.

Ryzyko, że Argel mógłby komuś o niej powiedzieć, było zbyt duże; informacja miała szansę trafić do Jedi, a ci mogliby zacząć węszyć. Najważniejsze było, żeby Sithowie pozostali w ukryciu, więc Zannah nie miała innego wyjścia, jak tylko zlikwidować Argela.

Niestety, nie zdołała wyciągnąć z niego nic poza jednym jedynym imieniem: Darth Andeddu. Argel nie wiedział, dlaczego Bane interesował się akurat tym Lordem Sithów, a bez dalszych informacji Zannah nie mogła ruszyć z miejsca.

– Witaj z powrotem, Mistrzynie - przywitał ją Set. - Ucieszy cię wiadomość, że dowiedziałem się wszystkiego, co tylko można wiedzieć na temat takiej nędznej dziury jak Doan.

– Szkoda, że nie wysłałam cię, żebyś zdobył informacje na temat Dartha Andeddu - mruknęła, dając ujście frustracji.

– Powiedziałaś „Andeddu”? - spytał Set, wyraźnie zaskoczony. - Nieśmiertelnego boga-króla Prakith?

Szczęka Zannah opadła z wrażenia.

– Słyszałeś o nim?

– Ach, więc tym razem ja mogę czegoś cię nauczyć - powiedział Set z szerokim uśmiechem, otrząsnąwszy się ze zdumienia. - Czy to znaczy, że teraz ja jestem Mistrzem?

Zannah nie była w nastroju do żartów.

– Mów, co wiesz o Andeddu.

Set dostosował się do jej tonu i przybrał poważniejszą minę.

– Ostatnie kilka lat w Zakonie Jedi spędziłem pod okiem ithoriańskiego Mistrza o imieniu Obba - wyjaśnił.

– Słyszałam o nim. Zasiada w Radzie Pierwotnej Wiedzy.

Od czasu ich bitwy z Jedi na Tythonie Bane kładł duży nacisk na to, żeby oboje znali z imienia i z reputacji każdego Mistrza w Zakonie.

Set uniósł jedną brew.

– Imponujące.

– Niech to będzie twoja pierwsza lekcja. Znaj swojego wroga, jak siebie samego.

– Zanotowałem. Mogę kontynuować?

Zannah kiwnęła głową.

– Pod nieznośną kuratelą Mistrza Obby większość czasu spędzałem na badaniu historii starożytnych Sithów. Ten młotogłowy stary głupiec wymyślił sobie, że najlepiej przysłuży się Jasnej Stronie, tworząc katalog wszelkich znanych holocronów Sithów, a następnie wysyłając swoich agentów, żeby je zebrali i przywieźli do Świątyni Jedi. W trakcie moich badań natrafiłem na kilka wzmianek o człowieku zwanym Darth Andeddu. Jedi bardzo się starali wymazać jego imię z historii galaktyki, ale jako członek Zakonu miałem dostęp do skonfiskowanych materiałów.

– Do rzeczy - upomniała go Zannah.

– Oczywiście. Andeddu władał planetą Prakith jako bóg, przynajmniej dopóki nie zapadły się szlaki nadprzestrzenne prowadzące do Głębokiego Jądra, skutecznie odcinając planetę od reszty galaktyki. Istniały jednak pewne dowody na potwierdzenie teorii, że Andeddu w czasie swojego panowania stworzył holocron. Mistrz Obba sądził, że wciąż znajduje się on na Prakith, ale uważał też, że podróż do Głębokiego Jądra, żeby go

odnaleźć, byłaby zbyt niebezpieczna. Szczerze mówiąc, całkiem się z nim zgadzałem.

– Co jest takiego niezwykłego w holocronie Andeddu? - spytała Zannah. - Kiedy wymieniłam jego imię, z wrażenia prawie połknąłeś język.

– Jeśli legendy nie kłamią, holocron Andeddu zawiera tajemnicę wiecznego życia.

Zannah zaklęła pod nosem. Wszystkie elementy układanki nagle zaczęły do siebie pasować. Bane musiał dowiedzieć się jakoś o holocronie Andeddu i poleciał na Prakith, żeby go odnaleźć. Chciał stać się nieśmiertelny!

Dlatego wysłał ją na Doan - żeby nie dowiedziała się, co on planuje. Wbrew temu wszystkiemu, co przekazał jej na temat Zasady Dwóch, nie chciał pogodzić się z myślą, że jego uczennica może go przerosnąć. Wierzył, że jeśli uda mu się powstrzymać skutki upływającego czasu, będzie mógł władać Sithami na wieki.

To zdrada wszystkich zasad, których mnie nauczyłeś, pomyślała ze złością. Mówiłeś, że przekażesz mi wszystkie swoje sekrety; mówiłeś, że dziedzictwo Sithów kiedyś będzie należało do mnie. Okłamałeś mnie!

– Myślisz, że twój Mistrz naprawdę mógł polecieć na Prakith i odnaleźć holocron Andeddu? - spytał Set, nie próbując ukryć podniecenia w głosie.

– Bane już kiedyś odbył podróż do Głębokiego Jądra - przyznała, mając w pamięci jego wyprawę na Tython.

– A więc w końcu zdecydowałaś się zdradzić mi imię swojego Mistrza.

Zannah wymamrotała jakieś przekleństwo. Chciała zatrzymać tę informację dla siebie, dopóki Bane będzie żył. Ale świadomość tego, co zrobił, jak bardzo sprzeniewierzył się Zasadzie Dwóch, wytrąciła ją z równowagi.

– Ciągle nie rozumiem, jaki to ma związek z Doanem - zastanawiał się głośno Set.

Tego jednego kawałka układanki Zannah także nie potrafiła jeszcze rozgryźć, ale miała przeczucie, że wszystko jakoś się łączy.

– Ten, kto go zaatakował, musiał być zainteresowany holocronem - snuła domysły. - Ktokolwiek pojmał Bane'a, zabrał też artefakt.

– Więc sądzisz, że jest na Doanie?

Niewątpliwie Set był bardziej zainteresowany zdobyciem holocronu niż odnalezieniem Bane'a. Zannah nie miała jednak pojęcia, z kim lub z czym przyjdzie jej się zmierzyć, kiedy powróci na górniczą planetę, więc podejrzewała, że każda pomocna dłoń może jej się przydać.

– Rozumiem, że nie miałeś ochoty ryzykować podróży do Głębokiego

Jądra po holocron Andeddu, ale czy jesteś gotów wybrać się jeszcze raz na Doan?

Set uraczył ją kolejnym ze swoich pretensjonalnych ukłonów.

– Prowadź, Mistrzynie.

ROZDZIAŁ 16

Serra siedziała sama w niewielkim gabinecie bez okien, próbując zebrać się na odwagę. Jedynymi meblami w pomieszczeniu były proste biurko i krzesło, które zajmowała. Nieozdobione niczym ściany miały przygnębiający odcień brązu i surową, niewykończoną kamienną powierzchnię. W skalną ścianę wbudowany był mały sejf, a jedyne drzwi prowadziły na korytarz.

Księżna nie była naiwna. Zdawała sobie sprawę, że ten pokój pasował do opinii, jaką większość przyjezdnych miała na temat Doana; uważali go za ohydny, brudną dziurę. Wiedziała też, że ci, którzy mieszkali w kopalniach odkrywkowych na powierzchni planety, myśleli tak samo. Ale ona dostrzegała prawdziwe piękno tego świata.

Zbudowane na równinach wieńczących skalne kolumny, wysoko ponad duszącymi chmurami kurzu i zanieczyszczeń, miasta arystokracji były obdarzone błękitnym niebem niemal przez wszystkie dni w roku. Każdego poranka wschodzące słońce odbijało się od lśniących iglic zamków, zbudowanych na płaskowyżach ciągnących się przez setki kilometrów na wschód, zapalając je jak świece w szarości wczesnego brzasku. Wieczorami przetaczające się przez pustynię burze piaskowe zdawały się tańczyć na horyzoncie, ożywione feerią barw, a zachodzące słońce błyskało w okruchach kwarcu uchwyconych w wirujące objęcia.

Nawet po tylu latach te widoki wciąż zapierały jej dech w piersiach... tak samo jak wtedy, gdy przybyła na Doan. Po opuszczeniu domu swojego ojca na Ambrii wędrowała po planetach Zewnętrznych Rubieży, wykorzystując to, czego ją nauczył, żeby pomagać pokrzywdzonym przez los, i budując swoją reputację jako uzdrowicielki. Kiedy następca tronu Doana zapadł na tajemniczą chorobę, król wynajął Serre, żeby zajęła się jego synem.

Od razu rozpoznała symptomy idoliańskiej febry, śmiertelnej, ale uleczalnej infekcji. Opiekowała się nim przez trzy miesiące, a zanim Gerran wrócił do zdrowia, połączyło ich uczucie.

Uratowałaś mu wtedy życie, pomyślała, ale nie potrafiłaś uratować go przed terrorystami. Gdybyś była silniejsza, może wciąż by żył.

Serra pokręciła głową w konsternacji. Myśl była wypowiedziana jej

własnym głosem, ale ten głos brzmiał jakoś obco... zupełnie jakby ktoś inny mówił w jej głowie.

Oprócz niej nikogo w gabinecie nie było. Drzwi były zamknięte, a przy prawie pustym wnętrzu nie było gdzie się ukryć. Spojrzała nieufnie na małą, czworoboczną piramidę stojącą na skraju biurka.

Ktoś wrzucił ją niedbale do niewielkiego płóciennego worka, który przynieśli jej najemnicy. Więż łącząca Serre z Mocą była na tyle silna, że pozwalała jej wyczuć potęgę drzemiącą w artefakcie, która czekała tylko, żeby ją uwolnić.

Dlaczego Iktotchi nie wzięła tego dla siebie? Ona też powinna czuć potęgę tego przedmiotu, nawet ukrytego w worku. Coś innego musiało przykuć jej uwagę.

Serra podniosła piramidę i trzymając ją w wyciągniętej ręce, podeszła do sejfu w ścianie. Wstuknęła kombinację cyfr, żeby go otworzyć, i umieściła piramidę w środku, po czym zamknęła szczelnie drzwiczki. Człowiek uwięziony w lochu był Lordem Sithów; wszystko, co do niego należało, było narzędziem Ciemnej Strony. Serra nie była zainteresowana zgłębianiem jej potęgi; interesował ją tylko on.

Przywieźli go trzy dni temu, ale do tej pory jeszcze nie próbowała z nim rozmawiać. Zgodnie z jej zaleceniami był przez cały czas odurzony i bezbronny. Wiedziała, że nie może tego już dłużej odkładać; nadszedł czas, żeby zmierzyła się ze swoimi demonami. Z wyrazem ponurej determinacji na twarzy opuściła gabinet i pomaszerowała krętymi korytarzami niesławnego Kamienego Więzienia, kierując się w stronę celi przesłuchań.

Kiedy po raz pierwszy usłyszała o rozległym kompleksie lochów, wbudowanym w skałę kilka kilometrów poniżej zamku, Serra była przerażona. W przeszłości arystokracja wykorzystywała Kamienne Więzienie, żeby pozbywać się politycznych przeciwników. Więźniowie, przetrzymywani w sercu skalnej kolumny, wysokiej na kilka kilometrów i szerokiej na kilkaset metrów, byli nie do wykrycia przez skanery. Osadzony mógł przepaść w podziemnym labiryncie na zawsze. Resztę swojego życia spędzał w kajdanach, torturowany dla zdobycia informacji albo dla zwykłej sadystycznej przyjemności, bez żadnej nadziei na wybawienie.

Na wypadek próby odbicia cały kompleks był tak skonstruowany, że można go było wysadzić za pomocą serii wybuchów, które zabiłyby nie tylko więźniów, ale też ich niedoszłych wybawców. Starannie rozmieszczone ładunki wybuchowe odpalano by w precyzyjnie zaplanowanej sekwencji, niszcząc jedno po drugim kolejne pomieszczenia lochów, a jednocześnie

dając strażnikom czas na ucieczkę. Pałac Królewski i inne budynki na powierzchni, tysiące metrów powyżej, odczułyby jedynie lekkie, choć wyraźne wstrząsy, świadczące, że cały kompleks zamienia się w kupę gruzu.

Kiedy Serra się o tym wszystkim dowiedziała, Gerran jeszcze żył. Wyjaśnił jej, że Kamienne Więzienie nie było używane od ponad czterdziestu lat; uważał je za relikwiarz bardziej okrutnych i represyjnych czasów. Zostało zamknięte w odpowiedzi na naciski Senatu. Nie było już nawet obsadzone ludźmi. Na prośbę narzeczonej księżę przyrzekł, że gdy zostanie królem, każe na zawsze zaplombować niesławne lochy. Miał to być gest symbolizujący nowe stosunki między arystokracją a górnikami.

Ale Gerran już nie żył, tak samo jak jej ojciec. A ona wynajęła żołnierzy, żeby schwytać swojego wroga i pogrzebać go na zawsze w ciemnej, zimnej celi Kamennego Więzienia. Zastanawiała się, co jej mąż i ojciec pomyśleliby o tym, co zrobiła. Co by powiedzieli, gdyby teraz tutaj byli?

Serra odepchnęła od siebie tę myśl. Nie było ich tutaj. Obaj odeszli na zawsze. A ona musiała poradzić sobie z Lordem Sithów sama.

Przejście z gabinetu przez labirynt korytarzy i pomieszczeń do celi, w której trzymany był więzień, zajęło jej prawie dziesięć minut. Wprawdzie korytarze, którymi szła, rozjaśnione były bladymi światłami na suficie, jednak wiele tuneli prowadziło w mrok - jej najemnicy otworzyli tylko niewielką część kompleksu. Reszta była wciąż opuszczona.

Człowiek, którego miała za chwilę zobaczyć, przetrzymywany był w jednej z cel dla niebezpiecznych więźniów. Można się było do niej dostać jedynie po schodach zamkniętych u góry i u dołu durastalowymi drzwiami. Najemnicy stojący na straży po drugiej stronie górnych drzwi otworzyli je przed Serrą i księżna zeszła szybko po stromych schodach.

Drzwi na dole również się przed nią otworzyły, odsłaniając pokój wartowników o wymiarach dziesięć metrów na dziesięć. Kolejne durastalowe drzwi w przeciwległej ścianie prowadziły do celi więźnia; w drzwiach znajdowało się małe okienko. W pomieszczeniu były dwa stoły. Większy stał obok drzwi, przez które właśnie weszła Serra. Mniejszy był na kółkach; miał tylko pół metra na metr i stał przy ścianie obok drzwi celi.

W pomieszczeniu było sześciu z żołnierzy, których wysłała w celu pojmania więźnia, a także Lucia i Łowczyni. Wartownicy siedzieli wokół większego stołu i grali w karty. Kobiety ulokowały się w przeciwległych końcach pokoju, dystansując się od siedzących przy stole i od siebie nawzajem. Lucia stała oparta o ścianę, Łowczyni zaś siedziała na kamiennej podłodze ze skrzyżowanymi nogami, z rękami na udach i zamkniętymi

oczami. Wyglądało to, jakby medytowała.

Gdy Serra weszła, żołnierze poderwali się z krzesel i stanęli na baczność, podobnie jak Lucia. Łowczyni otworzyła oczy i spojrzała na księżną, ale się nie poruszyła. Serra nie wiedziała, co zabójczyni jeszcze tu robi; otrzymała już przecież zapłatę za swoje usługi. Widocznie z jakiegoś powodu postanowiła zostać, jakby miała w tym jakiś interes.

Księżna pokręciła głową. Miała teraz większe zmartwienia.

– Więzień jest ciągle pod wpływem środków uspokajających? - spytała.

– Tak jest - odpowiedział jeden z wartowników. - Godzinę temu dostał kolejną dawkę.

Skinęła głową i podeszła do stolika na kółkach stojącego przy ścianie. Na stoliku leżało ponad trzydzieści podskórnych strzykawek, oznakowanych różnokolorowymi etykietami w zależności od ich zawartości. Serra własnoręcznie przygotowała każdą z nich. Te oznaczone zielonymi nalepkami zawierały senflaks; miały utrzymywać więźnia przez cały czas w stanie odrętwienia, żeby uniemożliwić mu ucieczkę. Pozostałe - czerwone, czarne i żółte - napełnione były różnymi substancjami, których potrzebowała do przesłuchania.

Kątem oka zobaczyła, że Lucia zmierza w jej kierunku. Kiedy znalazła się przy niej, przemówiła szeptem tak cichym, żeby tylko Serra mogła ją usłyszeć.

– To niepodobne do ciebie. Dlaczego to robisz?

– Nie zrozumiesz tego - odparła równie cicho księżna.

– Wynajęcie zabójczyni to jedno - ciągnęła Lucia głosem nieznacznie tylko podniesionym od starannie tłumionych emocji. - Ale żeby kazać najemnikom w tajemnicy otworzyć Kamienne Więzienie? A jeśli król się dowie?

– Nie dowie się - zapewniła ją Serra. - To nie ma nic wspólnego z Gerranem ani z Doanem.

Ciemnoskóra kobieta nie dawała za wygraną.

– Przetrzymanywanie kogoś, żeby go torturować i przesłuchiwać? To nie jest w porządku. Wiesz o tym.

– To Sith. Nie żołnierz, jakim ty byłaś. Mroczny Lord. Nie zasługuje na twoją litość. Ani na moją.

Lucia pokręciła głową i odwróciła się, ale Serra zdążyła wyraźnie zobaczyć frustrację i rozczarowanie na jej twarzy.

– Otwórzcie drzwi! - zawołała do strażników księżna. - Chcę porozmawiać z więźniem. Sama.

Słyszając to, Łowczyni zerwała się z podłogi, a Lucia zrobiła krok naprzód, osłaniając księżną.

– Chcę wejść z tobą - wyjaśniła Iktotchi.

– Po co? - spytała podejrzliwie Serra.

– Kto inny go dla ciebie schwytał? - odparła wymijająco. - Chyba na to zasłużyłam.

– Skoro ona wchodzi, to ja też - oświadczyła Lucia z założonymi na piersi rękami.

Serra mogła odmówić, ale w głębi duszy wołała nie stawiać czoła demonowi przeszłości sama. Zresztą... co to teraz zmieni, jeśli poznają jej tajemnice? Przez te wszystkie lata ukrywała swoją prawdziwą tożsamość tylko dlatego, że jej ojciec obawiał się odwetu ze strony tego człowieka. Teraz, mając go w ręku, nie musiała się już ukrywać.

– A więc wchodzimy we trójkę - ustąpiła i popchnęła mały stolik, żeby zabrać go ze sobą do środka. - Zamknijcie za nami drzwi - poleciła strażnikom.

Lucia martwiła się o księżną. Od czasu ich wizyty w Świątyni Jedi wyczuwała w niej jakąś zmianę, ale nigdy by nie przypuszczała, że Serra może posunąć się do tak drastycznych środków. Lucia nic nie wiedziała, że najemnicy mają otworzyć Kamienne Więzienie. W przeciwnym razie spróbowowałyby odwieść przyjaciółkę od głupiego i niebezpiecznego planu. Księżna musiała widocznie przewidzieć, że Lucia będzie temu przeciwna, i dlatego o niczym jej nie powiedziała aż do chwili, gdy więzień znalazł się bezpiecznie w celi.

Oczywiście Lucia wiedziała o istnieniu lochów. Jako szefowa osobistej ochrony księżnej musiała znać na pamięć każde wejście i wyjście z zamku. Wcześniej jednak widywała tylko plany. Zobaczyć Kamienne Więzienie na własne oczy było czymś zupełnie innym.

Gdy tylko wyszła z turbowindy, która zwiozła ją na dół, wyczuła od razu czające się w tym miejscu zło. W stęchłym powietrzu unosił się odór śmierci. Zbyt wiele mrocznych i przerażających rzeczy wydarzyło się tu w ciągu stuleci.

Od tego czasu Lucia bacznie przyglądała się przyjaciółce. Widziała, że coś ją gryzie, i obawiała się, że złowrogi nastrój Kamiennego Więzienia tylko pogorszy sprawę. Księżna miała obsesję na punkcie człowieka w lochu, ale jednocześnie nie potrafiła stawić mu czoła. Lucia wiedziała, że ma to jakiś związek z przeszłością Serry, ale kiedy próbowała poruszyć ten temat,

księżna ucinając rozmowę.

Nie mając innego wyjścia, musiała zaczekać, aż Serra wykona następny ruch. Teraz, gdy miała po raz pierwszy stanąć z więźniem twarzą w twarz, Lucia chciała być przy niej. Nawet jeśli nie rozumiała, przez co jej przyjaciółka przechodzi, i nie pochwałała tego, co robi, musiała tam być na wypadek, gdyby księżna jej potrzebowała.

Kiedy trzy kobiety weszły do celi, Lucię zaskoczyły wymiary pomieszczenia, znacznie mniejszego od pokoju przed drzwiami - kwadratowa kłitka o boku zaledwie trzech metrów. Cella była słabo oświetlona; jedynym źródłem światła była trzeszcząca lampa na suficie. Więzień był przykuty do ściany naprzeciw wejścia. Ręce miał wyciągnięte nad głową i spętane łańcuchami, które zwisały z wmurowanych w sufit żelaznych pierścieni. Nogi rozstawiono mu w podobny sposób i przykuto za kostki do ściany z tyłu.

Z powodu działania neurotoksyny nie był w stanie stać prosto; ciało bezwładnie opadało do przodu, podtrzymywane przez łańcuchy. Poddawało to jego ramiona i nadgarstki ogromnym obciążeniom. Ból w stawach byłby nie do zniesienia, gdyby nie znieczulające działanie krążącego w żyłach senflaksu. Głowę miał opuszczoną; paraliż mięśni nie pozwolił mu jej podnieść i spojrzeć na kobiety, kiedy weszły do celi.

Serra wzięła ze stolika strzykawkę z czerwoną etykietą i wbiła ją prosto w tętnicę biegnącą wzdłuż grubej szyi więźnia. Po chwili jego głowa poderwała się do góry w reakcji na silny środek pobudzający.

Na widok jego twarzy Lucia zachłysnęła się ze zdumienia. Pozostała dwójka rzuciła jej przelotne spojrzenia, ale gdy strażniczka pokręciła głową, skierowały uwagę z powrotem na człowieka w kajdanach.

Minęło ponad dwadzieścia lat, ale Lucia od razu go rozpoznała. Des był jej zwierzchnikiem - jej wodzem, jej bohaterem. Bez niego żaden z Wędrowców Mroku nie przeżyłby wojny. Ratował im życie na Kashyyyku. Ratował ich na Trandoshy. Wielokrotnie wyciągał ich z nieprawdopodobnych opresji wbrew wszelkim przeciwnościom losu, aż do ich ostatniej wspólnej misji na Phaseerze. A potem porucznik Ulabore rozkazał żandarmom go aresztować.

Nigdy więcej nie słyszała o Desie; podobnie jak reszta oddziału zakładała, że został stracony za niesubordynację i uderzenie starszego rangą oficera. I chociaż sądziła, że Des nie żyje, przyrzekła sobie, że nigdy nie zapomni twarzy tego człowieka, który kiedyś był dla niej wszystkim.

Kiedy go zobaczyła w celi, wiszącego na łańcuchach, była tak

zaskoczona, że nie potrafiła powstrzymać odruchu zdumienia. Na szczęście ani księżna, ani Łowczyni nie zrozumiały powodów jej reakcji, a Lucia otrząsnęła się na tyle, żeby uniknąć kolejnego wybuchu. Chociaż jednak zdołała ukryć emocje, w środku cały jej świat się rozpadał.

Nie sądziła, żeby Des mógł ją rozpoznać. Po pierwsze, był odurzony. Poza tym ona była tylko jedną z wielu twarzy w oddziale, on zaś przywódcą, którego wszyscy podziwiali, którego uwielbiali. W Wędrowcach Mroku Lucia służyła jako szeregowy snajper, jeden z tuzina młodszych rangą żołnierzy. Dlaczego miały ją pamiętać po tylu latach?

Zresztą to było bez znaczenia; nie miała odwagi nic powiedzieć przy stojących tuż obok Serrze i Łowczyni. Księżna miała obsesję na punkcie więźnia; oładnęło nią jakieś szaleństwo i popchnęło do niewyobrażalnych wcześniej czynów. Gdyby odkryła, że Lucia i Des się znają, nie wiadomo, co mogłaby zrobić. Lub co mogłaby kazać zrobić Iktotchi.

Tak więc Lucia mogła jedynie stać i patrzeć. Nie była w stanie nic zrobić, żeby pomóc Desowi, tak jak tamtego dnia, kiedy zabierali go żandarmi.

Serra od razu rozpoznała twarz ze swoich koszmarów. Był teraz starszy, ale jego rysy się nie zmieniły: łysa głowa, wydatne czoło, para okrutnych oczu i mocna szczęka.

Stojąca obok niej Lucia zachłysnęła się głośno, gdy więzień zmierzył trzy kobiety zimnym, bezlitosnym spojrzeniem. Serra obejrzała się i zobaczyła na twarzy byłej żołnierki dziwny wyraz; coś ją wyraźnie zdenerwowało.

Lucia była najodważniejszą osobą, jaką księżna kiedykolwiek spotkała, a jednak wydawała się ogromnie poruszona. Czyżby bała się tego człowieka, mimo że był skuty łańcuchami? A może mu współczuła? Serra wiedziała, że Lucia nie pochwała jej postępowania. Czy przyjaciółka uważa ją teraz za potwora? A może chodziło o coś jeszcze innego?

Nieoczekiwana reakcja Lucii wytrąciła Serrę z równowagi. Księżna musiała zwalczyć w sobie odruch, który kazał jej uciekać z celi, choć przecież tym razem nie musiała się niczego obawiać ze strony tego człowieka. Tym razem to on był ofiarą, nie ona.

Nieważne, co myśli Lucia, pomyślała. Muszę to zrobić.

– Wiesz, kim jestem? - zapytała.

Odpowiedź nadeszła po dłuższej chwili. Środek pobudzający, który mu podała, zneutralizował jedynie fizyczne skutki senflaksu; toksyna wciąż mąciła umysł więźnia, zaburzając zdolność koncentracji.

– Wrogiem z przeszłości.

Słowa były niewyraźne, a z bezbarwnego, pozbawionego emocji tonu nie

sposób było nic wydedukować. Nie wiedziała, czy faktycznie ją rozpoznał, czy po prostu wyciągnął wniosek z faktu, że go uwięziła.

– Mam na imię Serra. Caleb był moim ojcem - powiedziała. Chciała, żeby wiedział.

Chciała, żeby miał świadomość tego, kto mu to zrobił.

– To zemsta za niego - spytał po długim milczeniu, wciąż otepiał od senflaksu - czy za coś, co zrobiłem tobie?

– Jedno i drugie - odparła i podniosła strzykawkę oznaczoną czarną nalepką. Tak jak poprzednią, wbiła mu ją w szyję. Tym razem jednak efekt był całkiem odmienny.

Jego oczy skierowały się w górę, a zęby zacisnęły się gwałtownie,omal nie odgryzając języka. Potem ciało więźnia zadygotało w konwulsjach, dzwoniąc wściekle łańcuchami.

Lucia odwróciła się z obrzydzeniem, jakby nie mogła na to patrzeć. Łowczyni przysunęła się bliżej, zafascynowana tym wywołanym chemicznie cierpieniem. Serra odczekała pełne dziesięć sekund, po czym zaaplikowała więźniowi jedną z żółtych strzykawek, żeby powstrzymać napad.

– Widzisz, jakie cierpienie mogę ci zadać? - spytała. - Czy teraz rozumiesz, co znaczy być zdany na czyjąś litość?

Nie odpowiedział od razu. Oddech miał urywany, a twarz i łysa czaszka pokryły się potem z bólu, którego przed chwilą doznał. Lewa ręka, nękana spastycznymi drgawkami, dygotała szaleńczo w swoim żelaznym mankiecie.

– Nie możesz mnie niczego nauczyć - wysapał. - Rozumiem cierpienie w sposób, którego ty nigdy nie pojmiesz.

– Dlaczego zabiłeś mojego ojca? - spytała Serra, biorąc następną czarną strzykawkę. Uniosła ją tak, żeby ją widział.

– Caleb nie zginął z mojej ręki.

Wepchnęła mu igłę w szyję, wywołując kolejny atak. Tym razem pozwoliła, by trwał prawie dwa razy dłużej, zanim podała więźniowi antidotum. Spodziewała się, że mężczyzna zemdleje z bólu, ale zdołał jakoś zachować przytomność.

– Kłamstwo będzie karane - ostrzegła.

– Nie zabiłem twojego ojca - upierał się, chociaż głos miał tak słaby, że ledwie go słyszała.

– Mówiłam ci, że widziałam w mojej wizji kogoś jeszcze - przypomniała jej Łowczyni. - Młodą kobietę o jasnych włosach. Może to ona była zabójcą.

Serra spojrzała na Iktotchi, zanim skierowała z powrotem uwagę na człowieka w łańcuchach.

– Czy to prawda?

Nie odpowiedział, ale w kącikach jego ust pojawił się przebiegły uśmiezek.

– Mów, co się stało z moim ojcem! - zawołała Serra i uderzyła go w twarz. Jej paznokcie rozorały mu policzek, znacząc w skórze cztery długie, głębokie bruzdy. Krew szybko wypełniła rany i zaczęła ściekać na podbródek.

Jednak Bane nie odpowiedział. Serra z zaciśniętymi zębami wyciągnęła rękę po kolejną czarną strzykawkę, ale Lucia chwyciła ją za nadgarstek.

– On nie zabił twojego ojca! - krzyknęła. - Dlaczego wciąż to robisz?

Serra ze złością wyszarpnęła rękę.

– Może i sam tego nie zrobił, ale to przez niego mój ojciec nie żyje - upierała się. Odwróciła się w stronę więźnia. - Zaprzeczysz?

– Caleb był słaby - wymamrotał mężczyzna. - Kiedy przestał być użyteczny, został unicestwiony. Takie są prawa Ciemnej Strony.

Serra podniosła strzykawkę ze stolika.

– To ci nie zwróci ojca - zauważyła Lucia.

– Chcę, żeby zobaczył, jak to jest być bezbronnym i przerażonym - syknęła Serra. - Chcę, żeby się przekonał, jak to jest być ofiarą. Chcę, żeby zrozumiał, że to, co zrobił mojemu ojcu i mnie, było złe!

– Słabi zawsze będą ofiarami - powiedział więzień mocniejszym głosem. - Taki jest porządek wszechświata. Silni biorą to, co chcą a słabi doznają od nich krzywd. Taki jest ich los; to nieuniknione. Tylko silni mogą przetrwać, bo tylko silni na to zasługują.

– Wierzysz w to tylko dlatego, że nie wiesz, co znaczy cierpienie! - wycedziła księżna.

– Wiem, czym jest cierpienie - odparł całkiem wyraźnie. - Ja też byłem ofiarą ale postanowiłem odmienić swój los. Stałem się silny.

Gdy mówił, krople krwi z ran na jego policzku skapywały z podbródka i padały na podłogę.

– Ci, którzy są ofiarami, mogą mieć pretensje tylko do siebie. Nie zasługują na litość; są ofiarami z powodu własnych błędów i słabości.

– Ale twoja siła jakoś na nic się nie zdała! - odezwała się Lucia, wtrącając się nagle do rozmowy. - Nie widzisz tego? Przecież i tak trafiłeś do więzienia!

– Gdybym był silniejszy, nie dałbym się złapać - odparował, a jego oczy zapłonęły wściekłym blaskiem. - Jeśli nie będę dość silny, żeby uciec, to resztę życia spędzę w męczarniach. Ale jeśli starczy mi sił na ucieczkę...

Serra odrzuciła czarną strzykawkę, złapała jedną z zielonych i zaaplikowała mu kolejną dawkę senflaksu.

– Nie wyjdiesz z tego lochu żywy - obiecała, podczas gdy jej ofiara pogrążała się znów w wywołanym przez toksynę letargu. Oczy więźnia stały się szkliste, a głowa opadła.

Nawet odurzony i skuty łańcuchami może być niebezpieczny, pomyślała Serra.

Zaprzątnięta kłótnią z nim, omal nie przegapiła sygnałów zdradzających, że senflaks przestaje działać. Myślała, że miną godziny, zanim będzie musiała podać mu następną dawkę, ale nie doceniła wpływu innych substancji, które wprowadziła do jego organizmu. Następnym razem będzie musiała bardziej uważać.

– Teraz jestem słaby - wybełkotał mężczyzna ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w podłogę. - Bezsilny. Zadajesz mi ból, bo sama masz dość siły. Twoje czyny potwierdzają prawdziwość moich słów.

Serra pokręciła gniewnie głową.

– Nie. Mój ojciec nauczył mnie pomagać potrzebującym. Silni powinni podnosić słabych, a nie wdeptywać ich w ziemię. On w to wierzył i ja też wierzę!

Więzień zdołał jakoś unieść głowę i zmierzył ją mętnym wzrokiem.

– Twój ojciec zginął przez to, w co wierzył.

Księżna podniosła rękę, żeby znów go uderzyć, ale zastygła, próbując opanować falę żalu i gniewu, która nią owładnęła.

– Nie myślisz racjonalnie - powiedziała łagodnie Lucia, kładąc jej rękę na ramieniu. - Musisz się uspokoić.

Serra wiedziała, że przyjaciółka ma rację. Ten mężczyzna opanował jej myśli. Musiała wyjść z celi i ochłonać. Ostatnia dawka, którą mu zaaplikowała, powinna unieszkodliwić go co najmniej na godzinę. To wystarczająco dużo czasu, żeby zebrać myśli, zanim znów się z nim zmierzy.

Opuściła rękę, odwróciła się i wyszła bez słowa z celi, zostawiając Łowczynię i Lucię same z więźniem.

ROZDZIAŁ 17

Gdy księżna opuściła celę, Lucia przez chwilę walczyła ze sobą żeby za nią nie pobiec. Wiedziała, że słowa Desa ją zraniły; normalnie pospieszyłaby pocieszyć przyjaciółkę. Ale wszystko zmieniło się w chwili, w której weszła do celi i rozpoznała człowieka przykutego do ściany.

Łowczyni patrzyła na nią z uśmiechem. Iktotchi była z natury zła. Zwyródniała. Z upodobaniem przyglądała się, jak Serra torturuje więźnia; rozkoszowała się jego cierpieniem. Lucia podejrzewała, że czerpała przyjemność także z emocjonalnej męki Serry.

Popatrzyła na zabójczynię, ale nic nie powiedziała. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały; Iktotchi odwróciła się z obojętnym wyrazem twarzy, jakby Lucia była niewarta jej uwagi. Strażniczka odprowadziła ją wzrokiem, gdy Łowczyni podążyła śladem księżnej, zostawiając Lucię sam na sam z więźniem.

Z początku jakaś jej część zastanawiała się, czy Des przypadkiem nie zasłużył sobie na to, co go spotkało. W końcu był teraz Lordem Sithów. Lucia walczyła po stronie Sithów w czasie wojny, ale była tylko zwykłym żołnierzem. Podobnie jak ona, większość jej towarzyszy broni zaciągnęła się dlatego, że nie widzieli innego sposobu, żeby uciec od cierpienia i beznadziei swojego życia. Zwrócili się przeciw Republice z desperacji, ale w gruncie rzeczy byli przyzwoitymi kobietami i mężczyznami.

Za to Lordowie Sithów byli potworami. Bezwzględni i okrutni, za nic mieli życie podległych im żołnierzy. Niekiedy wydawało się nawet, że śmierć i cierpienie służących pod ich rozkazami ludzi sprawia im przyjemność. Sama ich obecność wzbudzała grozę w szeregach armii, a nocami żołnierze opowiadali sobie o potwornościach, jakich Lordowie dopuszczali się na wrogach... lub na sojusznikach, którzy ich zawiedli.

Lucia nigdy nie sądziła, że mogłaby odczuwać litość dla Lorda Sithów. Ale też nigdy nie przypuszczała, że Des zostanie jednym z nich.

Jeśli to rzeczywiście Des zamordował Caleba, zastanawiała się Lucia, to sam jest sobie winien. Zapytany, upierał się jednak, że to nie on zabił uzdrowiciela, a Lucia była przekonana, że mówi prawdę. Nawet

iktotchiańska zabójczyni wydawała się mu wierzyć. Ale pomimo tylu dowodów - relacji Jedi, wzmianki Łowczyni o tajemniczej jasnowłosej kobiecie na miejscu zbrodni i zaprzeczeń samego Desa - Serra nie chciała zbroczyć z obranego kursu. Nie dawała sobie przemówić do rozumu. Nienawiść ją zupełnie zaślepiała.

Wybiegła potem w gniewie, ale Lucia wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim wróci, żeby poddać Desa kolejnej porcji tortur. Widziała szaleństwo w oczach Serry. Księżna pałała żądzą zemsty.

Lucia знаła to spojrzenie; widziała je w oczach swoich towarzyszy broni, kiedy żandarmi odprowadzali skutego kajdankami Desa. To, czy był winien, nie miało żadnego znaczenia - Serra postanowiła ukarać swojego więźnia za śmierć ojca. I nikt nie mógł nic zrobić, żeby jej to wyperswadować.

Zresztą nawet jeśli nie zabił Caleba, i tak jest potworem. Pewnie zasłużył na śmierć.

Podczas przesłuchania Lucia z rosnącym przerażeniem słuchała słów płynących z ust więźnia. Nie ulegało wątpliwości, że Des przyjął nauki Ciemnej Strony w granicach, jakich nie potrafiła sobie wyobrazić. Nie był już tym człowiekiem, którego pamiętała; braterstwo, które łączyło Wędrowców Mroku, nic dla niego nie znaczyło.

Ale dla mnie coś znaczy, pomyślała.

Lucia wciąż wierzyła w ideały, które wyznawali Wędrowcy Mroku. Troszczyli się o siebie nawzajem; polegali na sobie. Mieli swój kodeks honorowy, którego symbolem było tajne pozdrowienie, zarezerwowane tylko dla pozostałych członków jednostki - mocne uderzenie zaciśniętej pięści w mostek, tuż nad sercem.

Niezależnie od tego, kim stał się Des, wciąż zawdzięczała mu życie. Ratował ją - i cały oddział - więcej razy niż mogła zliczyć. Gdy jednak zabierali go żandarmi, nie była w stanie mu pomóc. Teraz dostała od losu drugą szansę. Mogła spłacić dług.

Na podłodze zebrała się mała kałuża z krwi, która ściekała z rozciętego policzka.

Nie robisz tego tylko dla Desa, powiedziała sobie Lucia, skupiając uwagę na różnokolorowych strzykawkach leżących na wózku.

Nienawiść Serry będzie cały czas rosła i zatruwać jej umysł. Za każdym razem, gdy księżna powróci, żeby zadać ból bezbronnej ofierze, jej psychika będzie bardziej spaczona. Utrata męża doprowadziła ją na skraj obłądzenia, a to, co tu robi, strąci ją w otchłań szaleństwa.

Lucia widziała, jak księżna aplikuje różne specyfiki, wprowadzając je

bezpośrednio do organizmu Desa przez grubą tętnicę szyjną. Nie wiedziała dokładnie, co to za substancje ani na czym polega ich działanie, ale zobaczyła wystarczająco dużo, żeby zorientować się, jakie wywołują efekty.

Czarne strzykawki powodowały spazmy bólu, którymi Serra torturowała swoją ofiarę; żółte zatrzymywały konwulsje. Zielone zdawały się wprowadzać Desa z powrotem w stan odrętwienia. Za to czerwone strzykawki - jak ta, której księżna użyła na początku przesłuchania - najwyraźniej go pobudzały. To musiał być jakiś stymulant lub antidotum, neutralizujące skutki tych środków, które czyniły go otępiałym i bezbronnym.

Oglądając się przez ramię, żeby się upewnić, że nikt z zewnątrz nie zagląda do celi, wzięła jedną z czerwonych strzykawek.

Najemników było zbyt wielu, żeby z nimi walczyć - gdyby spróbowała wyprowadzić Desa, zginęliby oboje. Ale nie musiała go wcale uwalniać, żeby go uratować. On zawsze potrafił o siebie zadbać, nawet wtedy, gdy nie miał jeszcze mistycznych mocy Lorda Sithów. Była pewna, że zdoła uciec sam, jeśli tylko ona trochę mu w tym pomoże.

Delikatnie wbiła czubek igły w udo więźnia w nadziei, że w ten sposób substancja przeniknie do organizmu wolniej i mniej gwałtownie niż wtedy, gdy Serra wstrzykiwała mu ją w szyję. Wiedziała, że może niechęć przedawkować, ale nawet gdyby Des zmarł, byłoby to lepsze niż ciągłe tortury.

Odłożyła strzykawkę z powrotem na wózek, odwróciła się i pospiesznie opuściła pomieszczenie. Nie miała czasu, żeby czekać na efekty. Musiała znaleźć księżną. Jeśli specyfik zadziała tak, jak Lucia się spodziewała, Des powinien wkrótce odzyskać siły. A gdy tylko znów będzie mógł przywołać straszliwą potęgę Ciemnej Strony, żadna cela w galaktyce nie zdoła go powstrzymać.

Wróciła do pokoju wartowników. Najemnicy grali znowu w karty, nieświadomi tego, co zrobiła. Serry ani Łowczyni nie było nigdzie widać.

- Dokąd poszła księżna? - spytała Lucia. Po długiej chwili milczenia jeden z najemników podniósł niechętnie wzrok i odpowiedział:

- Nie mówiła. Po prostu wyszła.

- I pozwoliliście jej odejść samej? - zapytała gniewnie.

- Ta Iktotchi z nią była, więc... - Mężczyzna urwał pod wpływem jej piorunującego spojrzenia.

Zrozumiała, że to tylko najemni żołdacy. Nie obchodziło ich nic oprócz obiecanych kredytów.

– Zamknijcie drzwi od celi - poleciała. - Gdyby coś było nie tak, włączcie alarm. - To powinno dać mi wystarczająco dużo czasu, żeby zabrać stąd księżnę, dodała w myślach.

Dwóch żołnierzy podniosło się niechętnie, żeby wypełnić jej polecenie, gdy tymczasem Lucia wbiegła po schodach na górę.

Nie dbała o to, że gdy Des się oswobodzi, zmasakruje wartowników. Ci ludzie nie byli jej przyjaciółmi ani kolegami. Wiedziała, że zabiliby ją bez wahania, gdyby tylko cena była odpowiednia. Byli najemnikami; ich życie nic dla niej nie znaczyło.

Ale wciąż martwiła się o Serre. Mimo tego, co zrobiła, wciąż była lojalna wobec swojej pani. Wciąż czuła się zobowiązana chronić jej życie. Wiedziała, że gdy Des się uwolni, będzie szukał księżnej. Kiedy odezwie się alarm, informujący o ucieczce więźnia, Lucia chciała być przy niej, żeby pomóc jej bezpiecznie się stąd wydostać.

A jeśli nas złapie, zanim zdążymy uciec, pocieszała się, to może mnie sobie przypomni. Może uda mi się go przekonać, żeby darował księżnej życie.

Najpierw jednak musiała ją znaleźć.

ROZDZIAŁ 18

„Zwycięstwo” mknęło nisko nad brzydką, pooraną powierzchnią Doana. W kabinie Zannah przygotowywała się na gwałtowną burzę piaskową, którą czujniki wykryły w odległości kilkuset kilometrów. Set siedział obok niej w swojej normalnej pozycji - rozparty w fotelu, z nogami na pulpicie.

Wprowadzając drobną korektę kursu, Zannah skierowała statek w sam środek burzy. Nie raczyła ostrzec Seta, zanim „Zwycięstwo” pochłonął szalejący wir.

Stabilizatory chroniły statek przed poważniejszym zagrożeniem, ale kabina zatrzęsa się gwałtownie, gdy porywisty wiatr uderzył o kadłub. Set wypadł z fotela, ale zdołał przekoziółkować, wykorzystując siłę pędu, i wylądował na nogach.

– Zrobiłaś to celowo - powiedział oskarżająco i złapał się oparcia swojego fotela dla utrzymania równowagi.

– Musisz przez cały czas kontrolować swoje otoczenie - pouczyła go. - Bądź zawsze czujny.

– Myślałem, że informacje, które ci dostarczyłem, zwolnią mnie z kolejnych lekcji na dziś - odburknął, siadając z powrotem w fotelu drugiego pilota i zapinając pasy.

– Źle myślałeś.

Pomimo tej krytyki Set okazał się całkiem użyteczny. Nie tylko opowiedział jej o Darcie Andeddu i jego holocronie, ale podał nawet najbardziej prawdopodobne miejsce, w którym może być przetrzymywany Bane.

– Pewnie zabrali twojego Mistrza do Kamiennego Więzienia - oświadczył krótko po starcie.

– Kamiennego Więzienia?

– To lochy zbudowane przed wiekami przez doańską arystokrację z myślą o więźniach politycznych - wyjaśnił. - Znalazłem liczne wzmianki o nich w źródłach historycznych.

– Jakie mają zabezpieczenia? - spytała.

– Raczej standardowe. Działa przeciwlotnicze. W środku uzbrojeni

strażnicy. No i w ostateczności mogą uruchomić linię eksplozji, żeby obrócić wszystko w gruzy.

Zannah się nachmurzyła.

– Będziemy musieli zakraść się niepostrzeżenie.

– To może być łatwiejsze, niż sądzisz - odparł z uśmiechem Set. - Kamienne Więzienie nie było używane od prawie dwóch pokoleń.

To wszystko miało sens. Mały oddział elitarniej straży lub najemników mógł przetrzymywać jednego więźnia w opuszczonej placówce bez zwracania niepotrzebnej uwagi. Cała infrastruktura, jakiej potrzebowali - cele, pokoje przesłuchań - wciąż tam była. Jeśli się ulokowali w samym sercu kompleksu, to nikt nie powinien się nawet zorientować, że tam są. Zannah dobrze wiedziała, że dyskrecja to często najlepsza obrona przed wrogami. Kiedy jednak sekrety wychodziły w końcu na jaw, mogła okazać się pułapką.

– Nie spodziewają się, że ktoś mógłby zaatakować więzienie, więc nie sądzę, żeby w ogóle uruchomili zewnętrzny system obrony - ciągnął Set, wypowiadając na głos te same myśli, które przelatywały przez głowę Zannah. - Mały oddział nie traciłby ludzi na obsadzenie niepotrzebnych stanowisk, a włączenie systemów byłoby jak wysłanie sygnału, żeby wszyscy się dowiedzieli, że ktoś jest w środku.

W tym momencie do Zannah dotarło, że Set, przy całej swojej pozornej beztrójce i zbytnej pewności siebie, tak naprawdę lubił być przygotowany. Nie bał się improwizować i przystosowywać do zmian sytuacji, ale był na tyle rozsądny, żeby wiedzieć, w co się pakuje... przynajmniej na krótką metę. Cała sztuka polegała na tym, żeby nauczyć go z tą samą sumiennością podchodzić do długofalowych planów i cierpliwie je realizować.

„Zwycięstwo” wydoszło się z burzy piaskowej i kontynuowało lot w kierunku wysokiej, kamiennej kolumny majaczej w oddali. Zannah z zadowoleniem stwierdziła, że chociaż podróż przebiega teraz płynnie, Set siedzi prosto i trzyma nogi na podłodze.

Widać było, że się uczy, a w ciągu tego czasu, który spędzili razem, parę razy pokazał próbkę drzemających w nim możliwości. Może była jeszcze dla niego nadzieja... a może Zannah tak rozpaczliwie pragnęła znaleźć ucznia, że gotowa była przymknąć oczy na jego wady.

– To tam. Ta kolumna na wprost. Tam chcemy się dostać. Zapadł już zmierzch i Zannah dostrzegła w oddali jedynie sylwetkę masywnego kamiennego filaru. Z tego miejsca wyglądał jak ogromna świeca - wysoki i prosty, z wierzchołkiem rozświetlonym setkami świateł królewskiej

rezydencji, zbudowanej na wieńczącej go rozległej, płaskiej równinie.

Zannah sprowadziła wahadłowiec na wysokość niespełna dwudziestu metrów nad ziemią, żeby pozostać poza zasięgiem radaru królewskiej rezydencji, ulokowanej prawie pięć kilometrów nad nimi.

Czujniki „Zwycięstwa” wykrywały setki żywych organizmów w masywie kolumny, ale wszystkie one były skupione w budynkach na jej szczycie. Nie zanotowały żadnych oznak życia wewnątrz filaru, ale to było do przewidzenia. Skanery nie były w stanie przeniknąć przez kamienny blok.

Dopiero posłużwszy się Mocą, Zannah zobaczyła zupełnie inny obraz. Czowała pulsowanie czegoś mrocznego i potężnego w samym sercu kolumny. Rozpoznała obecność swojego Mistrza, chociaż z tej odległości nie sposób było odczytać nic poza niejasnym sygnałem, że jest gdzieś w środku.

– Mniej więcej w połowie kolumny powinny być ukryte lądowiska - zapewnił ją Set. - Wyglądają pewnie jak małe jaskinie. Łatwo je przegapić.

„Zwycięstwo” było niecałe sto metrów od filaru, gdy Zannah ostro poderwała jego dziób. Statek zareagował błyskawicznie, podchodząc stromo w górę, a siła ciężkości wcisnęła dwójkę pasażerów w fotele. Wahadłowiec ustabilizował lot w idealnym pionie, równoległe do skalnej ściany, w odległości niespełna dziesięciu metrów, podczas gdy Zannah szukała miejsca do lądowania.

Było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć, ale czujniki statku przedstawiły jej cyfrową topografię kolumny przesuwaną się pod kadłubem. Ściana, która z oddali wydawała się równa i gładka, była w istocie chropowata i nieregularna. Wiatr i erozja wyłobiły w skale rowki i bruzdy, a jej powierzchnia była usiana tysiącami niewielkich otworów o nieregularnych kształtach. Przeważnie były to zagłębienia i szczeliny sięgające nie więcej niż dziesięć metrów w głąb. Niektóre jednak przechodziły w prawdziwe tunele, ciągnące się do środka skały. Tylko nieliczne były na tyle duże, żeby zmieścić się w nich wahadłowiec.

– Trzymaj się - ostrzegła Zannah i pociągnęła mocno za drążek.

„Zwycięstwo” oderwało się od kolumny i zakreśliło pętlę. Równocześnie Zannah wykonała ćwierć beczki, tak aby ustawić statek prawą burtą do góry, z dziobem skierowanym w wybrany przez nią otwór. Silniki manewrowe osiągnęły pełną moc, zmuszając rozpędzony wahadłowiec do ostrego hamowania wewnątrz jaskini, zakończonego idealnym lądowaniem.

Set nic nie powiedział, ale Zannah zauważyła, że podnosi z uznaniem brew. Mogła wybrać mniej spektakularny manewr, żeby osiągnąć cel, ale wiedziała, że jej przyszły uczeń lubi robić wszystko w efektownym stylu.

Zaimponowanie mu umiejętnościami pilotażu było jeszcze jednym małym kroczkiem do zaskarżenia sobie jego szacunku i lojalności.

Przez szybę kabiny Zannah widziała jedynie ciemność. Zapaliła zewnętrzne reflektory „Zwycięstwa”, żeby oświetlić jaskinię. Otaczające ich skalne ściany były spękane i postrzępione, za to podłoga była równa i gładka. Z boku odchodził pojedynczy korytarz, tak idealnie prosty, że nie mógł być ukształtowany przez naturę.

– Jest pewnie z tuzin takich lądowisk jak to - poinformował ją Set, gdy opuścili statek. - Każde połączone tunelem z dolnymi poziomami kompleksu.

– Szkoda, że nie znalazłeś żadnych holomap z planami - skomentowała; nie chciała, żeby stał się zbyt pewny siebie.

– Może powinniśmy się rozdzielić - zaproponował Set. - W ten sposób będziemy mieli większą szansę na znalezienie go.

– Idę sama - oświadczyła Zannah. - Ty zostajesz, żeby pilnować statku.

– Pilnować statku? Przed kim?

– Ci, co porwali Bane'a, mogą patrolować wejścia. Jeśli znajdą nasz statek pozostawiony bez opieki, mogą go uszkodzić, odcinając nam jedyną drogę ucieczki.

– W porządku - odparł szorstko Set po chwili namysłu. - Będę tu siedział i pilnował statku jak twój osobisty cyborreański pies bojowy.

– Zakładam, że poradzisz sobie bez większych problemów z każdym, kto się tu zabłąka.

– Z każdym oprócz twojego Mistrza - zapewnił ją.

Nawet ja nie jestem pewna, czy sobie z nim poradzę, pomyślała.

Usatysfakcjonowana odpowiedzią Seta, Zannah zapaliła pręt jarzeniowy. Kierując się jego bladym światłem, ruszyła przez tunel w stronę Kamienego Więzienia.

Set odprowadzał swoją nową Mistrzynię wzrokiem do momentu, aż zniknęła za rogiem, pozostawiając go samego w niewielkiej hali lądowiska.

Oparł się swobodnie o kadłub „Zwycięstwa”, wspominając ich lot. Sam uważał się za niezłego pilota, ale w życiu nie odważyłby się na taki manewr, jaki Zannah wykonała przy lądowaniu. Wiedział, że zrobiła to, żeby się przed nim popisać, ale i tak był pod wrażeniem.

Po paru minutach zaczął przechadzać się niecierpliwie tam i z powrotem, kopiąc leżące na ziemi kamyki. Set nie lubił wykonywać rozkazów i nie lubił też siedzieć beczynn timer.

Nie zrób teraz nic głupiego, powtarzał sobie. Mówiła przecież, jak ważna

jest cierpliwość. To pewnie kolejny test.

Obba, jego Mistrz z czasów, gdy należał do Jedi, często zachęcał swoich uczniów, żeby czas wolny od zajęć i obowiązków przeznaczali na medytację. Twierdził, że pozwala ona osiągnąć równowagę umysłu i ducha. Jednak Set nigdy nie był miłośnikiem medytacji. Wolał coś robić - cokolwiek - niż siedzieć bez ruchu, zagłębiając się we własnych myślach.

Przykucnął i zaczął macać wokół siebie, aż znalazł pięć kamieni wielkości pięści. Oczyszczył je z piasku najlepiej, jak się dało, sprawdzając, czy nie mają ostrych krawędzi, które mogłyby pokaleczyć mu dłonie. Zadowolony ze znaleziska, zaczął nimi żonglować dla zabicia czasu.

Rozpoczął od prostych podrzutów, żeby wyczuć wagę i środek ciężkości każdego kamienia. Potem przeszedł do sekwencji rzutów, w której kamienie poruszały się po okręgu, przerzucane z ręki do ręki. Następnie dodał do tego przerzut za plecy przy co drugim kamieniu, nawet na chwilę nie gubiąc rytmu.

Rozglądając się po jaskini, dostrzegł jeszcze jeden kamień odpowiedniej wielkości, leżący na ziemi parę metrów od niego. Cały czas żonglując, zaczął przesuwać się w jego stronę ostrożnym krokiem, aż znalazł się na tyle blisko, żeby wsunąć czubek buta pod brzeg kamienia. Szybki wyrzut nogi posłał go wysoko w powietrze, gdzie dołączył do pozostałych.

Powtórzył tę sztuczkę jeszcze parę razy, krążąc po jaskini w poszukiwaniu kolejnych kamieni i zwiększając skalę trudności, aż wreszcie, kiedy doszedł do dziesięciu obiektów w powietrzu, rzucił je wszystkie z niesmakiem na ziemię.

Nie przyleciałeś tu dla zabawy, napomniał się w duchu.

Zannah oddaliła się niecałe dziesięć minut temu, a on już umierał z nudów.

Może jej nie być przez parę godzin. Nie dasz rady, pomyślał.

Set zamknął oczy, żeby móc lepiej się skoncentrować, i sięgnął poprzez Moc, badając obszar wokół siebie. Początkowo nic nie poczuł; Zannah zniknęła gdzieś w głębi kompleksu.

Koncentrując się, rozciągnął swoją świadomość jeszcze bardziej. Na jego czole pojawiły się kropelki potu, ale po blisko minucie zaczął odbierać słabe sygnały życia. Wszystkie żywe istoty były na jakimś poziomie połączone z Mocą. Jako Jedi, Set nauczył się wykrywać przez nią ich obecność. Zwykli ludzie byli ledwo dostrzegalni, niczym blade światło w słoneczne popołudnie. Ci obdarzeni potęgą - jak Zannah albo Jedi - płonęli znacznie mocniejszym blaskiem.

Ku swojemu zaskoczeniu, rozszerzając świadomość, Set odkrył kilka silnych, odrębnych źródeł światła. Spodziewał się wyczuć Zannah i jej Mistrza, ale wcale nie byli sami. Trudno było stwierdzić, ile osób jeszcze tam jest i gdzie dokładnie się znajdują; wyczuwanie innych przez Moc nie było raczej nauką ścisłą. Z całą pewnością jednak tam byli.

I nie byli to Jedi.

Ci, którzy służyli Jasnej Stronie, roztaczali wokół siebie szczególną łątwą do rozpoznania aury... tak samo jak ci, którzy odwoływali się do Ciemnej Strony.

A może Bane znalazł już sobie nowego ucznia? Zannah może czekać mała niespodzianka.

W normalnych okolicznościach Zannah z pewnością wyczułaby pozostałe sygnały, tak samo jak on, ale Set wiedział, że była teraz skupiona tylko na jednej rzeczy - odnalezieniu Bane'a. Jeśli jej umysł tak bardzo się koncentrował na ustaleniu dokładnego położenia jej Mistrza, mogła nie zauważyć nikogo innego. Do czasu, aż znajdzie się dosłownie nad nimi.

Set się zawahał. Nie bardzo wiedział, jak się powinien zachować. Czy Zannah potrzebowała jego pomocy? A jeśli tak, to czy powinien się tym zajmować?

Jeśli chcesz się z tego wykręcić, to teraz masz idealną okazję, przyszło mu do głowy. Wskakuj do tego wahadłowca i pryskaj stąd.

Gdyby odleciał, a Zannah by zginęła, prawdopodobnie nikt by się nigdy nie dowiedział, że Set w ogóle tu był. Nie musiałby się martwić, że jej Mistrz będzie go ścigał; mógł udawać, że to wszystko nigdy się nie zdarzyło. Gdyby jednak Zannah przeżyła, to z całą pewnością chciałaby się zemścić. A ponieważ on by nie poznał ostatecznego wyniku jej konfrontacji z Bane'em, do końca życia musiałby mieć oczy dookoła głowy.

Mniej więcej tak samo jak teraz. Przez te wszystkie lata zawsze udawało mu się być o krok przed Jedi; co za różnica, jeśli będzie musiał jednocześnie być o krok przed Sithem?

Ale były jeszcze inne czynniki, które musiał wziąć pod uwagę. Jeśli ucieknie, straci szansę nauki u Zannah. A ona była silniejsza od niego, o wiele silniejsza. Mogłaby go nauczyć rzeczy, których nie nauczy go nikt inny. Niełatwo było zrezygnować z takiej potęgi.

Rozdarty między dwiema możliwościami, Set spróbował rozszerzyć swoją świadomość jeszcze bardziej w nadziei, że dowie się czegoś więcej. Docierał już do kresu swoich możliwości, ale wiedział, że to najważniejsza decyzja w jego życiu. Nie mógł sobie pozwolić na błąd.

Poczuł ostry ból, jakby ktoś wbijał mu w czaszkę długą igłę, dokładnie między oczy. Nie był przyzwyczajony do tak długotrwałego wysiłku; zwykle, kiedy przyzywał Moc, były to szybkie przypływy energii. Teraz jednak zignorował ból, zacisnął zęby i podjął jeszcze jedną, ostatnią próbę.

I wtedy to poczuł. Nie tylko żywe istoty miały łączność z Mocą. Set spędził większość swojego dorosłego życia na poszukiwaniu przedmiotów nasyconych jej energią - początkowo w imieniu Rady Pierwotnej Wiedzy, a później na własną rękę. Z czasem nabrał wyjątkowej wprawy w rozpoznawaniu wyjątkowych wzorców energii emitowanych przez talizmany Ciemnej Strony; przywoływały go one silniej niż innych.

Właśnie dlatego zdołał to wyczuć, chociaż było to na samym skraju jego świadomości. Nigdy wcześniej nie czuł czegoś takiego; było to tak potężne, że aż zachłysnął się z pożądania.

Holocron Andeddu. To musi być to.

Zannah mówiła, że jej Mistrz poleciał na Prakith, żeby go znaleźć. Ten, kto pojmał Bane'a, musiał też zabrać holocron.

Set otworzył oczy i pokręcił głową, powracając świadomością do najbliższego otoczenia. Ostry ból głowy minął. Zastąpiło go palące pragnienie zagarnięcia holocronu dla siebie.

Miał dość mgliste pojęcie, gdzie powinien go szukać. Był jednak pewien, że gdy tylko znajdzie się wewnątrz Kamiennego Więzienia, uda mu się szybko go namierzyć. Odnalezienie holocronu było znacznie łatwiejsze niż wytropienie żywej istoty.

Wprawdzie Zannah kazała mu pilnować statku, ale nie obawiał się, że ktoś mógłby go przypadkowo odkryć. Nie wyczuł żywej istoty nawet w dalszej okolicy lądowiska.

Pytanie brzmi: czy dasz radę znaleźć holocron i wrócić tu, zanim Zannah skończy z Bane'em?

Było to mocno ryzykowne. Gdyby wróciła i zobaczyła, że Seta nie ma, mogłaby postanowić, że zakończy jego naukę... i jego życie. A nawet jeśli nie, mogłaby mu po prostu odebrać holocron, a Set wiedział, że nie potrafiłby jej powstrzymać.

A kto powiedział, że kiedy znajdziesz holocron, musisz wrócić z nim tutaj? - pomyślał.

Ci, co przywieźli Bane'a do Kamiennego Więzienia, musieli skorzystać z któregoś z pozostałych lądowisk. Cóż to za problem ukraść jeden z ich statków?

Tajemnica wiecznego życia przeciwko dozgonnej nienawiści Lorda

Sithów. Warto?

Z odpowiedzią na to pytanie Set nie miał najmniejszych problemów. Wziął pręt jarzeniowy i wkroczył do Kamiennego Więzienia tym samym korytarzem, którym niecałe piętnaście minut wcześniej poszła Zannah.

ROZDZIAŁ 19

Bane poczuł twardy ucisk żelaznych kajdan wrzynających mu się w nadgarstki i na jego ustach pojawił się ponury uśmiech. Ból świadczył o tym, że działanie środka uspokajającego mijało. Gęsta, szara mgła, która spowijała jego myśli, zaczynała się rozpraszać, pozostawiając bystry i skoncentrowany umysł.

Znowu czuł energię Ciemnej Strony. Była tu wyjątkowo silna; w powietrzu unosiły się nieszczęścia i cierpienie nagromadzone przez stulecia. Bane niemal słyszał echa krzyków niezliczonych ofiar, odbijające się wciąż od murów.

Wspomnienia ostatniej godziny były mgliste i chaotyczne, ale przypomniawszy sobie wystarczająco dużo. Jego porwanie zostało zaplanowane przez córkę Caleba i tajemniczą Iktotchi, która stała obok niej w czasie przesłuchania. Oswobodzenie zaś zawdzięczał ich towarzysze.

Nie wiedział, dlaczego ciemnoskóra kobieta zrobiła mu zastrzyk po tym, jak pozostałe dwie wyszły. Pomimo odurzenia był pewien, że to nie przypadek ani pomyłka. Ona wiedziała, co robi. Jednak to, kim była i dlaczego to zrobiła, pozostawało dla niego zagadką.

Zresztą jej tożsamość i motywacja nie miały teraz znaczenia. Udzieliła Bane'owi pomocy, której potrzebował, i wkrótce będzie gotów do działania.

Ból rozprzestrzenił się coraz dalej. Ramiona, które dźwigały cały ciężar jego ciała, sprawiały wrażenie, jakby zostały wyrwane ze stawów. Czuł palący ból w głębokich rozcięciach na policzku i wąskie strużki krwi, które ściekały wzdłuż linii żuchwy i skapywały na podłogę.

Już czas.

Podniósł głowę, żeby upewnić się, że drzwi celi są wciąż zamknięte; zamierzał wziąć swoich porywaczy z zaskoczenia. Zaczął gromadzić w sobie potęgę Mocy. Po chwili kajdany na jego nadgarstkach pękły i rozpadły się na milion kawałeczków pod wpływem samej myśli Bane'a.

Upadł na podłogę; nadwreżone mięśnie nie były przygotowane na utrzymanie jego ciężaru. Musiała minąć chwila, zanim fala adrenaliny, która przepłynęła przez jego ciało, pozwoliła mu się pozbierać.

Bez swojego miecza świetlnego Bane czuł się nagi, ale przecież nie był całkiem bezbronny.

Miał mnóstwo innych sposobów, aby rozprawić się z wrogami.

Trzema szybkimi krokami dopadł do durastalowych drzwi celi. Wyciągnął lewą rękę, położył ją na drzwiach i wysadził je, posługując się Mocą. Drzwi przeleciały przez pokój i trafiły jednego z wartowników grających przy stole w karty, zabijając go na miejscu.

Pozostała piątka poderwała się, chwytając za broń. Bane natarł na nich Mocą. Furia jego ataku była przytłumiona przez wpływ toksyny utrzymującej się jeszcze w jego organizmie, ale i tak wystarczyła, żeby powalić wszystkich na ziemię i cisnąć stołem o ścianę, łamiąc go na dwoje.

Bane rzucił się na wartowników jak wściekłe zwierzę; poruszał się z taką prędkością, że widać było jedynie niewyraźną plamę. Przygniótł butem gardło najbliższego przeciwnika, miażdżąc mu tchawicę. Następnie chwycił od tyłu, oplótł potężne ramię wokół jego szyi, a drugą ręką złapał za podbródek i gwałtownym szarpnięciem skrzył mu kark.

Ostatnich troje przeciwników zdążyło się w tym czasie podnieść i wyciągnąć blastery. Bane wyjął krótkie wibroostrze z za paska mężczyzny ze złamanym karkiem i wbił je w brzuch kobiety, zanim ta zdążyła zrobić użytek ze swojego pistoletu. Zgięła się w pół od śmiertelnego ciosu i wypuściła broń z ręki.

Bane padł na ziemię, chwytając w locie pistolet i uchylając się jednocześnie przed błyskawicami wystrzelonymi przez pozostałych dwóch nieprzyjaciół. Przetoczył się na plecy i oddał dwa idealnie wymierzone strzały. Obaj wartownicy polecili do tyłu z twarzami osmalonymi przez blasterowe błyskawice.

Jedynie wyjście blokowały kolejne durastalowe drzwi. Bane odrzucił blaster i wyrwał drzwi z zawiasów. Na górze ktoś włączył alarm i rozległ się ogłuszający dźwięk.

Za drzwiami znajdowały się wąskie schody, zabarykadowane na szczycie. Mroczny Lord wbiegł po stopniach i staranował górne drzwi, które runęły pod wpływem uderzenia, a Bane wpadł do mieszczącego się za nimi pokoju.

Czterech czekających tam strażników zaalarmowały dochodzące z dołu strzały z blasterów, więc - w przeciwieństwie do pierwszej grupy - nie byli zaskoczeni jego gwałtownym wejściem. Mieli już przygotowaną broń i od razu otworzyli ogień.

Jednak zwierzęcy, atawistyczny atak Bane'a na najemników w dolnym pomieszczeniu podsycił emocje i energię Ciemnej Strony. Odpowiedział na

ich natarcie eksplozją energii, która wypłynęła z jego ciała w postaci fioletowej fali.

Nadlatujące błyskawice zostały wchłonięte przez joniczną burzę i unieszkodliwione, a blastery stopiły się w rękach swoich właścicieli. Smród spalonej skóry mieszał się z okrzykami agonii i nieustanną kakofonią alarmu, jeszcze bardziej wzmagając potęgę Bane'a.

Mroczny Lord przyklęknął na jedno kolano, zacisnął pięści i wyrzucił ręce na boki, rozcapierzając palce. Wytworzona w ten sposób fala Mocy zmiotła wartowników i rzuciła nimi o ściany z taką siłą, że w kamieniu powstały pęknięcia.

Bane stanął pośrodku skutków tej rzezi. Wokół niego leżało pół tuzina ciał; kości miały strzaskane, a wewnętrzne narządy zgniecione na miazgę. Jedno z nich wraz z ostatnim tchnieniem wyrzuciło z siebie fontannę różowej piany; pozostałe leżały nieruchomo.

Ku jego konsternacji wśród trupów nie widział ani córki Caleba, ani Iktotchi. Wyczuł, że kilku wartowników uciekło z pokoju, kiedy wbiegał po schodach, ale nie zidentyfikował wśród nich żadnej z tych kobiet. Nie rozpoznał też w żadnym z ciał ciemnoskórej kobiety, która go uratowała, chociaż nią był na razie mniej zainteresowany.

Kiedyś już odnalazł Serre. Podczas jego pierwszego spotkania z Calebem uzdrowiciel próbował zwieść go prostą sztuczką, żeby ukryć córkę. Ale Bane wyczuł dziewczynkę, skuloną za zasłoną; rozpoznał woń jej strachu. Było jednak coś jeszcze. Tak jak jej ojciec, dziewczynka miała w sobie energię, którą można było wyczuć przez Moc.

Nie możesz się przede mną ukryć, pomyślał. Znajdę cię.

Przywołując od dawna pogrzebane wspomnienie, wyteżył umysł, żeby wykryć jej obecność.

Wciąż tu jest, zdecydował. Ale nie sama.

Jego świadomość przenikała przez korytarze więzienia, unosząc się nad umysłami wszystkich, którzy znajdowali się w jego obrębie. Wyczuł Serre, a także kilka innych silnych jednostek. Ale jedna w szczególności przyciągnęła jego uwagę.

Zannah. Co ona tu robi?

Czy jego uczennica była w jakiś sposób zamieszana w jego porwanie? Czy przybyła, żeby go ratować? A może zamierza uniemożliwić mu ucieczkę?

Niezależnie od tego, jaka była prawda, Bane wiedział jedno: nie chciał mierzyć się teraz z Zannah. Przynajmniej dopóki nie dojdzie w pełni do

siebie po toksynach, których Serra użyła, żeby go sparaliżować... i z całą pewnością nie bez swojego miecza świetlnego.

Szukała go; czuł, jak sięga umysłem, zbliżając się coraz bardziej. Były jednak sposoby, żeby zneutralizować jej wysiłki - subtelna manipulacja Mocy mogła ją zmylić i wywieść w pole.

Zwodzenie Zannah i równoczesne tropienie córki Caleba było teoretycznie możliwe, aczkolwiek trudno było o odpowiednią dyscyplinę, żeby utrzymywać równowagę pomiędzy dwoma tak wyczerpującymi mentalnie zadaniami. Jednak wola Bane'a była równie silna jak jego ciało.

Jeśli będzie szybki, przebiegły i ostrożny, ma szansę odnaleźć swoją ofiarę i wydostać się z więzienia żywy.

Łzy wściekłości, wstydu i frustracji spływały po twarzy księżnej. Powstrzymywała je, dopóki nie minęła strażników, ale teraz, gdy nie było już w pobliżu nikogo, kto mógłby ją zobaczyć, pozwoliła im popłynąć.

Plan pomszczenia śmierci jej ojca i uwolnienia się od traumatycznych wspomnień z dzieciństwa zawiódł na całej linii. Chciała, żeby Lord Sithów przyznał się do błędu. Chciała, żeby przeproszał za śmierć Caleba i prosił o wybaczenie. Chciała, żeby błagał ją o litość.

Wmówiła sobie, że jeśli tak się stanie, pomoże jej to poradzić sobie z bezsensowną śmiercią nie tylko jej ojca, ale także męża. Myślała, że to pomoże jej odnaleźć jakiś sens w okrutnym, chaotycznym wszechświecie. Miała nadzieję, że pozwoli jej to odzyskać spokój.

Ale nic nie poszło tak, jak sobie zaplanowała. Więzień nie okazał najmniejszej skruchy. Wszystko, co mówiła i robiła, wykorzystywał do przewrotnego uzasadnienia tego, w co sam wierzył. Przedstawił śmierć Caleba tak, że wydawała się niemal słuszna. Ba, potrzebna.

I skłócił cię z twoją najlepszą przyjaciółką, pomyślała.

O ile słowa Sitha wyprowadziły ją z równowagi, to zachowanie Lucii zdenerwowało ją jeszcze bardziej. To strażniczka wynajęła Łowczynię, żeby pomścić śmierć Gerrana. A teraz wydawało się, że za wszelką cenę chce powstrzymać Serre w jej dążeniu do pomszczenia Caleba.

Księżna nie dostrzegała w tym żadnego sensu. Liczyła na to, że Lucia będzie przy niej w czasie konfrontacji, że będzie ją wspierać, gdy stanie oko w oko z demonem przeszłości; że podtrzyma ją na duchu, żeby mogła pokonać strach i zatriumfować nad złem. A tymczasem Lucia go broniła.

Jak mogłaś tak się ode mnie odwrócić? - myślała z żalem. Wtedy, kiedy najbardziej cię potrzebowałam!

Serra wybiegła z celi, żeby uciec przed tymi myślami; nie zastanawiała

się nawet, dokąd idzie. Stawiając długie, szybkie kroki, przemierzała nieuważnie labirynt korytarzy bez celu ani planu.

Nie wiedziała, dokąd zmierza ani co chce zrobić. Musiała po prostu pomyśleć. Spróbować znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Musiała pobyć sama.

Tylko że nie była sama.

Wysiłek fizyczny pomógł jej zapanować nad rozedrganymi emocjami i po kilku minutach zaczęła odzyskiwać pozory spokoju. Przestała płakać i zwolniła tempo. Wtedy dopiero usłyszała kroki. Ktoś szedł parę metrów za nią.

Zatrzymała się, otarła oczy i dopiero się odwróciła. Miała nadzieję, że zobaczy Lucię. Tymczasem znalazła się twarzą w twarz z iktotchiańską zabójczynią.

– Dlaczego się za mną skradasz? - zapytała.

– Gdybym się skradała, nie usłyszałabyś mnie - odparła Łowczyni z niewzruszonym spokojem. - Szłam za tobą, ale nie starałam się ukryć swojej obecności.

– Więc dlaczego za mną szłaś?

– Chciałam zobaczyć, co zrobisz. Byłam ciekawa, jak zareagujesz na swoją porażkę.

Usta Serry zadrżały, ale zdołała zachować kamienną twarz, biorąc wzór z pozbawionego emocji zachowania Iktotchi.

Nie było sensu zaprzeczać temu, co się wydarzyło; zabójczyni była świadkiem całej wymiany zdań. Ale księżna nie miała zamiaru przyznawać się do klęski.

– Podniosę się po porażce i spróbuję znowu - oświadczyła. - Następnym razem, rozmawiając z nim, będę przygotowana na jego sztuczki.

– Nie będzie następnego razu - odparła Łowczyni. - Miałś go w garści. Jego życie było w twoich rękach, ale pozwoliłaś mu żyć i teraz jest już za późno. Jego los i przyszłość wymknęły ci się z rąk. Znowu jesteś bezsilna.

Było to powiedziane bez złośliwości, przez co bolało jeszcze bardziej. Serra zdała sobie sprawę, że w Iktotchi tkwi pierwotne zło. Ona nie była tylko płatnym zabójcą. Wykorzystywała swoją zdolność przewidywania przyszłości, żeby zadawać cierpienie i śmierć.

– Nie chcę cię tu widzieć - powiedziała jej Serra stanowczym głosem. - Wykonałaś zadanie i dostałaś zapłatę, więc odejdz.

– Przyszłość wygląda teraz mętnie - stwierdziła Iktotchi. - Wydarzenia balansują na ostrzu noża i nie potrafię przewidzieć, jak się potoczą. Chcę

zostać i zobaczyć, co się stanie, kiedy więzień się uwolni.

– Nigdy się nie uwolni! - wybuchnęła Serra. - Nie pozwolę na to!

– Nie możesz temu zapobiec. Już jest za późno - odparła Łowczyni. - Lucia cię zdradziła. Widziałam to w jej oczach, kiedy wyszłaś. Ona chce ocalić człowieka, którego ty pragniesz zniszczyć.

Serra pokręciła głową; miała ochotę zaprzeczyć, ale nie była w stanie nic powiedzieć.

To Lucia broniła go w czasie przesłuchania. Próbowwała go chronić.

– Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś? - spytała skonsternowana. - Dlaczego mnie nie ostrzegłaś?

– Tak jak twierdzisz, dostałam już zapłatę. Miałam ci go tylko dostarczyć. Nic więcej.

– Więc dlaczego mówisz mi to teraz?

Iktotchi nie odpowiedziała, ale na jej twarzy po raz pierwszy pojawił się cień emocji; kąciki ust uniosły się w okrutnym uśmiechu.

Ona karmi się nieszczęściem innych, pomyślała Serra.

Chciała powiedzieć: „Lucia nigdy by mnie nie zdradziła”, ale przerwał jej nagły sygnał systemu alarmowego Kamiennego Więzienia.

W tym momencie zrozumiała, że wszystko, co powiedziała jej Łowczyni, było prawdą. Więzień się uwolnił, a Lucia mu w tym pomogła.

– Nie! - jęknęła Serra, trzymając się za głowę. Po raz drugi tego dnia jej świat się zawalił. - Nie!

Iktotchi szczyrzyła zęby w uśmiechu, który zmienił tatuaże na jej dolnej wardze w zwierzęce kły.

– Nie! - krzyknęła znowu księżna, a jej głos wzniósł się ponad dźwięk alarmu.

On nie może uciec. Nie teraz. Nie po tym wszystkim, co się stało.

– Nie!

Serra odwróciła się i pobiegła jednym z korytarzy. W jej głowie zaczął kiełkować ostateczny, rozpaczliwy plan.

ROZDZIAŁ 20

Gdy tylko znalazła się poza zasięgiem wzroku wartowników pilnujących Desa, Lucia puściła się żwawym truchtem. Wiedziała, że on nie będzie potrzebował dużo czasu, żeby się uwolnić, i musiała odnaleźć księżną, zanim to nastąpi. Ale wydedukowanie, którądy poszła Serra, nie było prostą sprawą.

Od głównego korytarza odchodziły po obu stronach dziesiątki bocznych, prowadzących do pozostałych cel w skrzydle lub do innych części kompleksu. Na szczęście tylko niewielki fragment Kamiennego Więzienia został otwarty. Większość korytarzy, które mijała Lucia, była wciąż ciemna i opuszczona - wątpliwe, żeby księżna poszła którymś z nich.

Mimo wszystko do przeszukania pozostawał duży obszar. Zaczęła od pomieszczenia administracyjnego skrzydła dla niebezpiecznych więźniów, ale pokój okazał się pusty. Zawróciła i zaczęła krążyć w pośpiechu po oświetlonych korytarzach, co jakiś czas wykrzykując imię Serry normalnym, spokojnym głosem - taką przynajmniej miała nadzieję.

Musiała ją znaleźć, ale też nie chciała wzbudzać podejrzeń. Lucia pomogła Desowi, bo czuła, że powinna tak postąpić, ale wątpiła, żeby księżna to zrozumiała.

Miała nadzieję, że jako zatroskana przyjaciółka znajdzie się przy boku księżnej w chwili, kiedy odezwie się alarm. Wówczas, jako jej strażniczka, mogłaby zabrać Serre w bezpieczne miejsce, a jej przyjaciółka nie musiałaby się nigdy dowiedzieć prawdy o ucieczce Desa.

Niestety, pierwsza część jej planu wzięła w łeb, gdy po paru minutach usłyszała dźwięk alarmu.

Zakłęła pod nosem i przyspieszyła kroku. Jej plan wciąż jeszcze mógł się powieść - gdyby znalazła księżną, mogłaby ją jeszcze przekonać do ucieczki, nie ujawniając swojej zdrady. Ale teraz musiała rywalizować z Desem o to, kto znajdzie księżną pierwszy.

Gdzie ona może być?

Hałaśliwy alarm utrudniał myślenie. Lucia zatrzymała się na chwilę, żeby zebrać myśli.

Z korytarza po prawej stronie usłyszała krzyk księżnej: „Nie!” - jej głos przebijał się nawet przez jazgot alarmu.

Musiała być blisko! Lucia skręciła i pobiegła tunelem w kierunku, z którego dochodził głos. Dotarła do kolejnego skrzyżowania - korytarz rozgałęział się na prawo i na lewo, a część biegła dalej prosto. Stała, licząc na kolejne wskazówki, ale nic nie usłyszała.

Przywołując w myślach plany lochów, które zapamiętała, gdy wstąpiła do Gwardii Królewskiej, przypomniała sobie, że korytarz po lewej prowadzi w głąb kompleksu, w kierunku strefy, która wciąż była zamknięta. Pozostawały tylko dwie możliwości.

Pobiegła dalej prosto, wiedząc, że korytarz ciągnie się jeszcze przez jakieś dwadzieścia metrów, po czym gwałtownie skręca i kończy się w starych koszarach strażników. Pomieszczenie było podłączone do tej samej sieci elektrycznej, co skrzydło dla niebezpiecznych więźniów, więc musiało być oświetlone, ale nikt go nie używał - najemnicy zostali zakwaterowani w koszarach po drugiej stronie skrzydła.

Lucia podejrzewała, że księżna postanowiła poszukać tam samotności, żeby ukoić skołataną nerwy. Myliła się. Koszary okazały się puste i Lucia musiała zawrócić, żeby skręcić w drugą odnogę. Traciła cenne sekundy.

Biegając ile sił w nogach, pokonała korytarz i zakręt, za którym omal nie wpadła na Łowczynię. Iktotchi błyskawicznie się odsunęła, żeby uniknąć zderzenia. Lucia zaś zahamowała, straciła równowagę i wyrznęła kolanem o podłogę. Chropowaty kamień wydarł jej dziurę w spodniach i zdrapał warstwę skóry.

– Widziałas księżnę? - spytała, kiedy już się podniosła, nie zważając na ciepłą krew, która zbierała się w głębokich zadrapaniach na jej kolanie.

– Ona wie, co zrobiłaś - powiedziała zabójczyni. - Wie, że ją zdradziłaś.

Niespodziewane oskarżenie tak zaskoczyło Lucię, że nawet nie próbowała zaprzeczać.

– Skąd?

– Powiedziałam jej.

Lucia zaniemówiła. Nie mogła pojąć, w jaki sposób jej sekret został odkryty. I wtedy przypomniała sobie plotki o tym, że Iktotchi potrafią przewidywać przyszłość i czytać w myślach. Już miała zapytać Łowczynię, dlaczego nic nie zrobiła, tylko czekała, żeby powiedzieć księżnej o jej zdradzie po fakcie, ale zaraz uświadomiła sobie, z kim ma do czynienia.

Zrobiła to, żeby ją zranić, pomyślała. Jest takim samym potworem jak Sithowie.

Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie pobiec po swój blaster. Pragnęła zabić Łowczynię. Wyświadczyłaby w ten sposób przysługę galaktyce. Jednak pomimo wzburzenia wiedziała, że nie ma szans na zwyciężenie Iktotchi. Jedynym efektem takiego ataku byłaby jej własna śmierć, a to w niczym nie pomogłoby księżnej.

Wciąż możesz znaleźć Serre, tłumaczyła sobie. Nawet jeśli wie, co zrobiłaś, może uda ci się ją przekonać, żeby uciekała, zanim znajdzie ją Des. Jeszcze możesz ją uratować.

– Dokąd poszła? - spytała, zastanawiając się, czy Iktotchi raczy jej w ogóle odpowiedzieć.

– Pobiegła tędy - odparła zabójczym, wskazując kierunek skinieniem rogatej głowy.

Lucia przypomniała sobie plany kompleksu i domyśliła się, dokąd poszła Serra. Księżna wciąż była zdecydowana zabić Bane'a. Zmierzała do sterowni, żeby uruchomić mechanizm autodestrukcji Kamiennego Więzienia.

Nie chcąc tracić ani sekundy więcej na Łowczynię, odwróciła się i pobiegła korytarzem, utykając, z zakrwawionym i szybko puchnącym kolaniem.

Łowczyni patrzyła, jak strażniczka księżnej oddala się korytarzem. Iktotchi wiedziała, co się znajduje na końcu; w swoich wizjach widziała mury więzienia walące się w wyniku serii wybuchów.

Przez moment sądziła, że Lucia będzie próbowała ją zabić. Była nawet rozczarowana, że tak się nie stało. Jednak wiedziała, że koniec Lucii jest nieunikniony - zobaczyła go w swojej wizji.

Odwróciła się i ruszyła zdecydowanym krokiem w przeciwnym kierunku, w stronę głównego hangaru - dużej groty, w której ona i najemnicy zostawili swoje wahadłowce. Nie było sensu tu dłużej sterczeć, skoro wiedziała, że mechanizm autodestrukcji zostanie uruchomiony w ciągu paru minut. Jednak gdy dotarła do hangaru, zawahała się.

Ucieczka więźnia jej nie zaskoczyła. Wiedziała, że nie było mu pisane zdechnąć jak zwierzę na łańcuchu. Zbyt wiele razy widziała go w swoich snach, jak walczy z jasnowłosą kobietą z jej wizji na Ambrii. Oboje zawładnęli jej podświadomością i Łowczyni podejrzewała, że już wie dlaczego.

Jej życie stało się ostatnio jałowe i statyczne. Żyła od zlecenia do zlecenia, ale w gruncie rzeczy nie miała żadnego celu, żadnego konkretnego zamysłu. Pomimo swojego daru przewidywania przyszłości nigdy nie starała

się jej kształtować. Zawsze czuła, że jest stworzona do wielkich czynów, ale nie robiła nic, żeby podążać za swoim przeznaczeniem.

Z kieszeni wyciągnęła rękojeść miecza świetlnego i małą piramidę, które zabrała z Ciutric. Były to przedmioty nasycone potęgą; czuła ich znaczenie. Miały rangę i sens. Miały swój cel.

Wiedziała, że Jedi twierdzą, jakoby Jasna Strona zatriumfowała już nad Ciemną. Uważają, że Sithowie wyginęli. Jednak Łowczyni wiedziała swoje: to nie była prawda. Sithowie wciąż istnieli; zakosztowała ich potęgi. I była ona upajająca.

Schowała miecz i piramidę z powrotem pod płaszcz i oparła się o poręcz płaskiego metalowego tarasu wychodzącego na lądowisko. Z tego miejsca mogła - ponad czterema stojącymi poniżej statkami i przez szeroki wlot jaskini - zobaczyć nocne niebo nad Doanem.

Dwa statki niczym się nie wyróżniały - były to promy należące do wynajętych przez księżną najemników. Trzeci był prywatnym statkiem księżnej - nowszy od pozostałych, po bokach miał wymalowane niebiesko-żółte symbole doańskiej rodziny królewskiej. Wreszcie stał tam także jej własny statek, „Myśliwy”. Był mniejszy od wszystkich pozostałych, ale lśniący czarny kadłub z krwistoczerwonymi ozdobami sprawiał, że od razu rzucał się w oczy.

Zabójczynie zeszła powoli po schodach, ale kiedy znalazła się na ziemi, nie weszła na pokład swojego statku. Zaczęła przechadzać się z wolna między statkami, przesuwając leniwie ręką po ich kadłubach.

Czuła jakiś przymus, żeby jeszcze tu zostać. Coś ważnego miało się wkrótce wydarzyć, coś więcej niż spektakularna implozja Kamiennego Więzienia. Czuła, jak to nadciąga z prądem Mocy. Nie umiała odgadnąć, co to jest - niekiedy przyszłość bywała śliska niczym fleekijski węgorz. Ale wiedziała, że ma to jakiś związek z jej wizjami, i zamierzała czekać tak długo, aż się przekona.

Od tego zależały jej losy.

Zannah wiedziała, że się zbliża. Jej wędrówka przez labirynt pomieszczeń i korytarzy Kamiennego Więzienia przebiegała głównie w niemal całkowitej ciemności. Drogę wskazywało jej jedynie bladezielone światło pręta jarzeniowego - ono oraz Moc.

W głębi kompleksu wyczuwała obecność swojego Mistrza, która ją przyciągała. Gdy tak poruszała się bezszelestnie w mroku, kilkakrotnie zdarzyło jej się jednak źle skręcić i zabrnąć w ślepy zaułek. Plan lochów był

celowo zagmatwany, żeby uniemożliwić wszelkie próby uwolnienia przetrzymywanych w ich murach skazańców.

Jednak Zannah parła wytrwale naprzód, nie poddając się frustracji ani złości, nawet wtedy, gdy zmuszona była zawracać. Wiedziała, że w końcu osiągnie cel.

Przed sobą zobaczyła słaby promyk światła dochodzący zza rogu i wiedziała już, że jej cierpliwość została nagrodzona. Podążając za promieniem, znalazła się w oświetlonym korytarzu. Dotarła zatem do tej części kompleksu, która została otwarta; Bane musiał być niedaleko.

Odrzuciła pręt jarzeniowy i posuwała się ostrożnie naprzód, zachowując otwartą świadomość, żeby ostrzegała ją przed strażnikami, a jednocześnie namierzając cały czas celę, w której był uwięziony jej Mistrz.

Nie uszła nawet stu metrów, gdy poczuła nagłe i potężne zakłócenie w Mocy. Po chwili zabrzączał alarm i Zannah odgadła, co się stało - Bane uciekł!

Włączyła miecz świetlny, który zapłonął z cichym brzękiem, i przyspieszyła kroku. Nie zawracała już sobie głowy wyczuwaniem strażników - teraz, gdy Bane znalazł się na wolności, musiała skoncentrować się na nim. Jej Mistrz odzyskał swobodę ruchu, a ona zaszła zbyt daleko, żeby teraz go zgubić.

Alarm wciąż dzwonił, ale Zannah nie zwracała na niego uwagi. Koncentrowała się na błyskach energii, które wyczuwała przez Moc. Każdy z nich był jak sygnalizator wskazujący jej drogę do Bane'a.

Popędziła korytarzem i skręciła za róg. Przed sobą zobaczyła drzwi zwisające luźno na zawiasach.

Jest tam. W tym pomieszczeniu albo w następnym. Czują jego obecność, jego wyjątkową potęgę.

Skradając się pod ścianą, podeszła do drzwi, a potem przeskoczyła nad nimi, wykonując obrót w powietrzu.

To, co zobaczyła w środku, dobitnie świadczyło o tym, że Bane tu był. Zmasakrowane ciała wartowników były porzucane po podłodze. Durastalowe drzwi wisiały krzywo na zawiasach, odsłaniając strome schody, które prowadziły do kolejnego pomieszczenia na dole.

Ciemną Stronę Mocy uwolniono tutaj zaledwie parę minut temu. Zannah wciąż czuła jej potęgę unoszącą się w tym miejscu.

Podeszła ostrożnie do schodów, penetrując umysłem pomieszczenie w dole. Znowu wyczuła wyraźną energię swojego Mistrza.

Jest uwięziony.

Wstrzymała wysiłki zmierzające do zlokalizowania Bane'a i skoncentrowała się na ukryciu własnej obecności za pomocą magii Sithów. Zbiegła szybko po schodach. Nie musiała zachowywać ciszy; przy alarmie rozlegającym się w całym więzieniu ryzyko, że ktoś usłyszy jej kroki, było niewielkie.

Wpadła do dolnej komnaty i znów spotkał ją zawód. Kolejna sterta zwłok wartowników leżała przy szczątkach stołu, ale Bane'a nigdzie nie było. Podążała za echem jego energii, ale w jakiś sposób przeoczyła jego samego.

To niemożliwe. Chyba że...

Bane wiedział, że ona tu jest! Przechytrzył ją, zostawiając swój odcisk na tym pomieszczeniu, żeby ją tu zwabić, a samemu przez ten czas uciec. Ale wiedziała, że nie mógł zająć daleko.

Odwróciła się z powrotem w stronę schodów, ale przystanąła na chwilę, żeby obejrzyć ciała. Jedno wyglądało, jakby zostało pozbawione życia gołymi rękami. Drugie ktoś ugodził wibroostrzem. Pozostałe dwa miały ślady po strzałach z blastera oddanych z najbliższej odległości.

Zaciekawiona Zannah wróciła do pomieszczenia na górze. Tutaj ciała były po prostu połamane. Kończyny powyginane pod dziwaczными kątami, kości pod skórą pogruchotane.

Nie było nic nadzwyczajnego w tym, jak zginęli; Zannah wiele razy w przeszłości była świadkiem, jak Bane stosuje podobne metody. Interesujące było jednak to, czego brakowało. Nikt nie odniósł ran od miecza świetlnego.

Bane był nieuzbrojony, kiedy starł się z tymi przeciwnikami. Być może od tego czasu znalazł już i odzyskał swój miecz. Ale jeśli nie - jeśli błąkał się po więziennych korytarzach bez niego - był praktycznie bezbronny. Przy całej potędze Bane'a Zannah wierzyła, że mu dorównuje. A bez swojego miecza świetlnego nie miał szans na pokonanie jej.

Zamknęła oczy i wypierając ogłuszający dźwięk alarmu, jeszcze raz sięgnęła Mocą. Tym razem zignorowała potężny odcisk Ciemnej Strony, który Bane zostawił w pomieszczeniach wartowników. Wystarczyło jej parę sekund, żeby znów trafić na jego trop. Tak jak podejrzewała, wciąż znajdował się w murach więzienia.

Nadchodzę, Mistrzu. I tylko jedno z nas wyjdzie stąd cało.

Set wiedział, że jest blisko. Zostawił za sobą mrok nieoświetlonych tuneli, zapuszczając się coraz bardziej w głąb Kamiennego Więzienia, przyzywany przez holocron Dartha Andeddu.

Ta część kompleksu, w której się teraz znajdował, była oświetlona, ale

mimo to wyglądała na opuszczoną. Spodziewał się, że na kogoś tu wpadnie - na jakiś patrol albo strażnika wałęsającego się po korytarzach. Ten, kto pojmał Mistrza Zannah, musiał to zrobić z pomocą niewielkiego oddziału - dwudziestu, góra trzydziestu ludzi.

Mimo to przygotowywał się na konfrontację. Dotarł do długiego korytarza, na końcu którego zobaczył zamknięte drewniane drzwi. Był pewien, że holocron ukryty jest w pomieszczeniu za tymi drzwiami, i spodziewał się, że będzie go strzegło przynajmniej pół tuzina uzbrojonych żołnierzy.

Zebrał siły, wyciągnął swój miecz świetlny i popędził korytarzem w kierunku drzwi. Wyskoczył w powietrze i uderzeniem obu nóg wyważył drzwi, a sam wpadł do pokoju.

Ku jego zaskoczeniu nie czekali na niego żadni strażnicy. Jedynymi świadkami jego efektownego wejścia były stare, drewniane biurko i krzesło. Nie widząc nigdzie holocronu, poczuł nagły niepokój, ale po chwili dostrzegł wmurowany w ścianę sejf.

Obok był panel szyfrowy, ale Set go zignorował. Używając miecza świetlnego, po prostu wykroił w drzwiczkach kilka długich linii w poziomie i w pionie. Rozżarzona klinga z łatwością cięła gruby metal, zmieniając przód sejfu w kilka ciężkich kawałków, które spadły na podłogę.

W środku tkwił samotny holocron. Set powoli wyciągnął drżącą rękę i zacisnął palce wokół obsydianowej piramidy. Wysunął ją z czcią z sejfu i objął obiema rękami.

O mało nie upuścił swojego trofeum, gdy w całym więzieniu rozległy się sygnały alarmowe.

Skoczył do drzwi i wyciągnął miecz świetlny, w lewej ręce cały czas ściskając holocron. Przyjął postawę bojową, przygotowując się na nadejście posiłków, które, jak sądził, wpadną za chwilę do pokoju.

Przez kilka sekund stał nieruchomo, nasłuchując kroków i okrzyków żołnierzy. Nic nie słyszał, więc ostrożnie sięgnął Mocą, by przekonać się, że wciąż jest sam.

Alarm cały czas dzwonił i dopiero po chwili Set zrozumiał, że nie ma to nic wspólnego z nim.

Zauważyli Zannah, pomyślał. Albo jej Mistrz uciekł.

Zgasił miecz świetlny i wsunął go z powrotem za pasek.

Nikt nie będzie się tobą przejmował, doszedł do wniosku. Zwłaszcza kiedy w drugim skrzydle sieje spustoszenie para Sithów.

Set zdobył to, po co przyszedł; nadszedł czas, by opuścić Doan. Oby

nigdy nie musiał tu wracać.

W dalszym ciągu miał zamiar trzymać się swojego planu i ukraść jakiś inny statek, zamiast ryzykować spotkanie z Zannah, wracając tam, gdzie zostawili jej wahadłowiec. Musiał się tylko rozejrzeć i trafić do hangarów, w których trzymane były pozostałe statki.

To nie powinno być zbyt trudne, pomyślał. Po prostu trzymaj się oświetlonych korytarzy i nie wchodź nikomu w drogę. Niech oni się biją, podczas gdy ty wymkniesz się z prawdziwą nagrodą.

Na szczęście w tym Set był naprawdę dobry.

Echo alarmu goniło Serre długim korytarzem, który doprowadził ją do sterowni Kamiennego Więzienia. Gorączkowymi uderzeniami palców wstukała kod na panelu dostępu, oglądając się co chwila przez ramię w obawie, że w każdej chwili w korytarzu za jej plecami może pojawić się jej wróg.

Panel wydał przenikliwy pisk, a na monitorze pojawił się komunikat: „Odmowa dostępu”.

– Nie - szepnęła do siebie. - O, nie.

Kiedy poślubiła Gerrana, księżę przekazał jej swój osobisty kod dostępu, który powinien dezaktywować wszelkie elektroniczne zabezpieczenia w rezydencji rodziny królewskiej.

Może król ci nie ufał, zastanawiała się. Może anulował kod po śmierci Gerrana.

Nie, to nie mogło być to. Kod współpracował z wszystkimi innymi zamkami w Kamiennym Więzieniu. Bez niego nie mogłaby uruchomić generatorów, które zasilają tę część kompleksu.

Trzęsącymi się ze zdenerwowania palcami spróbowała jeszcze raz wstukać kod. Rozbrzmiewający nad głową alarm nieuchronnie przypominał, że z każdą sekundą jej więzień ma coraz większe szanse na ucieczkę z lochów, zanim ona zdąży je zburzyć.

Ponownie rozległ się ostry pisk i zobaczyła komunikat: „Odmowa dostępu”.

Może kod Gerrana nie działa z tymi akurat drzwiami. Może tylko król jest upoważniony do użycia mechanizmu autodestrukcji.

Z rozpaczy zaczęła łomotać ręką w drzwi, nie mogąc już dłużej powstrzymać łez. Załamana, opadła powoli na kolana z twarzą przyciśniętą do zimnej metalowej płyty.

Przez kilkanaście sekund jej ciałem wstrząsał spazmatyczny szloch.

Wszystko poszło nie tak. Lucia ją zdradziła; mroczny człowiek z jej koszmarów ucieknie. Wszystko, co chciała osiągnąć, wymykało jej się z rąk.

To do ciebie niepodobne.

Chociaż nie słyszała go od ponad dziesięciu lat, od razu rozpoznała ten głos.

– Ojczy? - powiedziała na głos, choć oczywiście Caleb odzywał się tylko w jej głowie.

Jesteś silniejsza.

Pokiwała głową, nie zastanawiając się nawet, czy głos, który słyszy, jest tylko wytworem jej wyobraźni. Zamykając się na jazgot alarmu, wzięła głęboki oddech i starannie przeanalizowała sytuację.

To nie miałoby sensu, gdyby tylko król miał dostęp do tego pomieszczenia. Trudno żeby przychodził tu osobiście w przypadku nagłej ucieczki czy buntu w więzieniu. Naczelnik musiał mieć tu dostęp. Kapitan straży prawdopodobnie też. A jeśli król powierzył kod któremuś ze swoich sług, to tym bardziej powinien ufać własnemu synowi.

Za bardzo się spieszysz. Robisz błędy. Spróbuj jeszcze raz. Powoli.

Podniosła się i zaczęła wprowadzać kod po raz trzeci. Tym razem, gdy czuła, że od paniki drżą jej palce, zwalczała ją, przywołując obraz twarzy swojego ojca, spokojnej i pewnej. Oddychając powoli i głęboko, pilnowała się, żeby wciskać klawisze w prawidłowej kolejności. Przez chwilę nic się nie działo, a potem rozległo się ciche brzęczenie i drzwi zaczęły się powoli otwierać.

Kamień spadł jej z serca i spróbowała rozeźmiać się z własnej głupoty, przypominając sobie, jak dwa razy wprowadzała niewłaściwe cyfry, zanim w końcu jej się udało. Jednak z jej ust wydobył się tylko zdławiony rechot, aż się wystraszyła i znów straciła głos.

Pomieszczenie było małe; w środku znajdowały się pojedynczy panel kontrolny i kolejne drzwi. Za nimi był wąski tunel prowadzący do małej kapsuły ratunkowej, dzięki której ten, kto uruchomił mechanizm autodestrukcji, mógł uciec przed zburzeniem więzienia.

Podeszła do konsoli i przyjrzała się przyrządom kontrolnym. Były proste: przycisk do aktywacji mechanizmu autodestrukcji, tablica numeryczna do wprowadzenia kodu i jeszcze jeden przycisk do zatwierdzenia polecenia. Na tablicy numerycznej był klawisz „Anuluj”, ale nie było przycisku „Przerwij”; gdyby polecenie autodestrukcji zostało zatwierdzone, nie było możliwości jej przerwania. Pozostawało wtedy niecałe pięć minut na ucieczkę, zanim ładunki umieszczone w suficie,

ścianach i podłodze zaczną wybuchać w szybkiej sekwencji, powodując zawalenie całego więzienia.

To było to - jej ostatnia szansa na powstrzymanie człowieka, który terroryzował ją, gdy była dzieckiem. Ostatnia szansa na uwolnienie galaktyki od Mrocznego Lorda Sithów. Wcisnęła klawisz „Start” i konsola zabłysła. Następnie księżna wprowadziła kod dostępu, uważając, żeby się nie pomylić. Ale kiedy na ekranie pojawiło się ostrzeżenie: „Kod przyjęty - potwierdź autodestrukcję”, Serra się zawahała.

Jeśli to zrobi, jej życie na Doanie będzie skończone. Król nie miał pojęcia, że wykorzystwała Kamienne Więzienie do swojej prywatnej wendetty; jeśli użyje mechanizmu autodestrukcji, jej sekret wyjdzie na jaw. Eksplozje, które zniszczą kompleks, zatrzęsą podłogą królewskiej rezydencji na płaskowyżu tysiące metrów wyżej; a wtedy wszyscy się dowiedzą, co się stało.

Król zorientuje się, że księżna przedłożyła osobiste pragnienia ponad interes rodziny królewskiej. Jej czyn z pewnością zostanie uznany za zdradę stanu - najniższą karą, na jaką mogłaby liczyć, będzie dożywotnie wygnanie z planety.

A co z Lucią? Prawdopodobnie zginie w wybuchu. Wprawdzie strażniczka zdradziła ją, pomagając więźniowi w ucieczce, ale czy naprawdę Serra chciała skazać swoją przyjaciółkę na śmierć, nie dając jej nawet szansy na wytłumaczenie swojego postępowania?

Niezdolna do podjęcia decyzji, Serra zastygła w bezruchu z palcem zawieszonym nad przyciskiem „Zatwierdź” przy rozbrzmiewającym nieustannie wyciu alarmu.

ROZDZIAŁ 21

Set zawsze szczylił się tym, że potrafił wybrnąć praktycznie z każdego tarapatów. Miał talent do wyplątywania się z kłopotów i naturalny dar znajdowania wyjścia z każdej sytuacji. Nie był więc zaskoczony, gdy po niecałych dziesięciu minutach natknął się na główne lądowisko więzienia.

Było znacznie większe niż boczny tunel, którym on i Zannah dostali się do środka. Alarm, który w ciasnych korytarzach brzmiał niemal ogłuszająco, tutaj, w tej rozległej komnacie, ledwie było słycać.

Set stał na płaskim metalowym tarasie zawieszonym nad lądowiskiem. Poniżej widział cztery statki rozmieszczone w odległości jakichś dziesięciu metrów jeden od drugiego. Wyglądały na pozostawione bez opieki. Zadowolony z siebie, poklepał holocron schowany w kieszeni kamizelki, rozważając różne opcje.

Zupełnie jak bufet, pomyślał. Jest w czym wybierać.

Dwa spośród statków były to zwykłe, standardowe promy pasażerskie o obdrapanych, powgniatanych kadłubach. Od razu je wykluczył jako niewarte kradzieży. Trzeci był największy ze wszystkich i wydawał się w idealnym stanie. Był też oznakowany herbem rodziny królewskiej.

Set się uśmiechnął. Perspektywa ucieczki z Doana wahadłowcem należącym do władcy planety była pociągająca. Niewątpliwie to miałyby styl. I wtedy zobaczył czwarty statek.

Mamy zwycięzcę, pomyślał.

Najmniejszy ze statków był smukły i stylowy, miał czarny kadłub i czerwone wykończenia. Idealny pojazd dla człowieka o tak wyrafinowanym guście jak Set.

Pragnąc jak najszybciej się stąd ulotnić, Mroczny Jedi zszedł po schodach i ruszył przez hangar, ściskając w prawej dłoni miecz świetlny. Kiedy dotarł do wybranego wahadłowca, zagwizdał z uznaniem i uniósł rękę, żeby dotknąć gładkiego, ciemnego kadłuba.

– Podziwiał, ale nie dotykaj - wyszeptał mu do ucha kobiecy głos.

Set cofnął gwałtownie rękę i odwrócił się, zapalając miecz świetlny, ale przeciął tylko puste powietrze.

Tuż poza zasięgiem jego ciosu stała Iktotchi w czarnym płaszczu. Kaptur odrzuciła do tyłu, odsłaniając długie, zakrzywione rogi, które zawijały się wzdłuż szyi w kierunku podbródka. Jej dolną wargę zdobiły czarne tatuaże, a małe, zaostrome zęby były obnażone w chciwym uśmiechu.

Set zwykle nie unikał walki, przynajmniej jeśli sądził, że może wygrać. Ale w tym czerwonoskórym przeciwniku było coś niepokojącego. Niezauważalne podkradnięcie się do Jedi było praktycznie niemożliwe, a jednak Set nie wyczuł jej obecności, dopóki się nie odezwała.

Uważaj. Pewnie ma jeszcze niejedną sztuczkę w zanadrzu, upomniał się w myślach.

– Ładny statek - powiedział. Zgasił miecz i opuścił swobodnie rękę. - Ile kredytów cię kosztował?

Gdy tylko wybrzmiały te słowa, Set rzucił się na nią, kreśląc zapalonym na nowo mieczem zabójczą ósemkę, która miała wypatroszyć niespodziewającego się niczego wroga w chwili, gdy będzie udzielać odpowiedzi.

Iktotchi nie dała się jednak nabrać. Zamiast odpowiadać na pytanie, zrobiła szybki krok w tył i w bok, zwinnie unikając ataku.

– Za wolno - upomniała go.

Dwoje przeciwników stanęło znów naprzeciw siebie. Set zatrzymał się, żeby przeanalizować sytuację. Miał holocron Andeddu; teraz potrzebował jedynie statku, żeby wrócić do domu. Tymczasem na drodze stanęła mu nieznana, choć niewątpliwie groźna przeciwniczka. Nie wyglądała na uzbrojoną jednak w fałdach swojego płaszcza mogła mieć ukryte noże, blastery i nie wiadomo ile jeszcze rodzajów broni. Uznał, że w tej sytuacji lepiej będzie spróbować się dogadać.

– Nazywam się Medd Tandar - skłamał, próbując zaprezentować ton nobliwej dumy w głosie. - Jestem tu z ramienia Rady Pierwotnej Wiedzy. W imieniu Zakonu Jedi nakazuję ci się odsunąć.

– Nie jesteś Jedi - odparła.

– Już nie - przyznał. - Ale byłem.

Przeciął kilkakrotnie powietrze swoim mieczem świetlnym i wykonał obrót. Byszcząca klinga tańczyła i wirowała w jego rękach, aż wreszcie zakończył swój pokaz saltem w tył.

Na Iktotchi ten popis sprawności bojowej nie zrobił najwyraźniej żadnego wrażenia i Set zdał sobie sprawę, że nie uda mu się jej zastraszyć.

– Jedi nauczyli cię jakichś użytecznych sztuczek?

– Paru - odparł Set, nacierając Mocą.

Fala surowej energii popłynęła w kierunku jego wroga, ale Set od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Zamiast podniecającego przypływu siły, którego przy takiej okazji doświadczał, poczuł bolesny skurcz w żołądku, od którego zgiął się wpół.

Ogłuszająca fala, która powinna odrzucić Iktotchi na dwadzieścia metrów, została zredukowana do niezbyt mocnego pchnięcia. Trafiła ją prosto w klatkę piersiową, ale Iktotchi po prostu przyjęła uderzenie, wykonując przewrót w tył, i wylądowała na nogach.

W jej dłoniach pojawiła się para krótkich wibroostrzy. Tymczasem Set cofał się chwiejnym krokiem, trzymając się za brzuch i usiłując nie wymiotować.

Z przerażeniem uzmysłowił sobie, że Iktotchi zaburza jego zdolność korzystania z Mocy. Czytał o tym zjawisku w różnych starożytnych tekstach, ale sam nigdy się z czymś takim nie spotkał... i nie wiedział, jak się temu przeciwstawić. Mógł jedynie spróbować to zwalczyć.

Zacisnął zęby i się wyprostował. Podniecony bólem i narastającym gniewem, spróbował jeszcze raz przywołać potęgę Ciemnej Strony. W odpowiedzi poczuł pewien przypływ energii, ale przypominał on raczej wąską strużkę niż powódź, na którą liczył. Mimo wszystko lepsze to niż nic.

Iktotchi skoczyła naprzód ze swoimi bliźniaczymi ostrzami, a Set uskoczył niezdarnie, z trudem unikając ataku. Poruszała się szybciej niż jakikolwiek przeciwnik, z którym się mierzył. Może też jej zdolność zakłócania Mocy sprawiała, że to on był wolniejszy niż zwykle. W każdym razie efekt był taki sam... i nie był on dobry dla Seta.

Schylił głowę i zanurkował pod dziobem czarno-czerwonego wahadłowca, mając świadomość, że największą szansę na przeżycie da mu dziesięć ton metalu pomiędzy nimi.

Stracił ją z oczu, ale nawet koncentrując się, ledwie był w stanie wyczuć jej położenie. Od wysiłku zakręciło mu się w głowie; miał wrażenie, jakby próbował zobaczyć coś z błotem w oczach.

Próbowała go podejść, skradając się ostrożnie wokół rufy statku. W tym momencie Set zorientował się, że jego przeciwniczka nigdy nie przechodziła formalnego szkolenia w zakresie posługiwania się Mocą. Polegała na swoim instynkcie. Nie poznała nawet najbardziej podstawowych technik - takich jak umiejętność wyczuwania położenia przeciwnika, gdy znajdzie się poza zasięgiem wzroku.

Set się odwrócił i popędził w stronę jednego z pozostałych statków. Dopadł do swojej nowej kryjówki tuż przed tym, jak Iktotchi wyłoniła się

zza silników czarnego wahadłowca. Przykucnął, żeby wyrzeć spod kadłuba statku, którego użył jako osłony, i zobaczył ją, jak rozgląda się, próbując odgadnąć, gdzie się podział.

– Uwielbiam dobrą pogoń! - zawołała, a jej usta wygięły się w dzikim uśmiechu. - Dlatego nazywają mnie Łowczynią.

To się nie skończy dobrze, pomyślał.

Bane wciąż odczuwał skutki toksyn utrzymujących się w jego organizmie. Próbował spalić je w ogniu Ciemnej Strony, ale Sithowie nie byli tak biegli jak Jedi w oczyszczaniu organizmu z nieczystości. Musiał zaczekać, aż resztki chemicznych substancji same ulegną rozkładowi.

Do tego czasu pozostanie osłabiony, minimalnie wolniejszy w myśli i w działaniu, mniej wprawny w posługiwaniu się Mocą. W dodatku wciąż nie miał swojego miecza świetlnego.

Mimo to był pewien, że od zwycięstwa dzieli go tylko minuty. Alarm wciąż rozbrzmiewał w korytarzach więzienia, ale Bane wiedział, że żadni strażnicy już na to wezwanie nie odpowiedzą. Nieliczni najemnicy, którzy przetrwali jego atak, uciekli, pozostawiając córkę Caleba bezbronną.

Czasami zemsta musiała być zimna i wyrachowana; lepiej było wtedy zachować ostrożność i cierpliwość. Ale czasem nie można było zwlekać z odwetem. Czasami czyny musiały być napędzane gniewem i nienawiścią; musiały płonąć żarem zwierzęcych emocji.

„Spokój to kłamstwo; jest tylko pasja. Dzięki pasji osiągam siłę. Dzięki sile osiągam potęgę”.

Czuł, że Serra jest coraz bliżej. Przyspieszył kroku, przemierzając puste korytarze w drodze ku zemście.

„Dzięki potędze osiągam zwycięstwo. Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy”.

Był nieostrożny, słaby. Dał się złapać. Dał sobie narzucić rolę ofiary i musiał za to zapłacić. Ale teraz znów był silny. Teraz przyszedł czas, by kto inny zapłacił.

– Des! - zawołał głos za jego plecami, przebijając się przez sygnał alarmu.

Na dźwięk imienia, które odrzucił przed dwudziestoma laty, Lord Sithów nagle się zatrzymał. Odwrócił się powoli i stanął twarzą w twarz z ciemnoskórą kobietą, która pomogła mu w ucieczce.

Ciężki oddech wskazywał, że biegła. Spodnie miała rozerwane na lewym kolanie, a na brzegach rozdarcia widać było krew. Na twarzy miała mieszaninę sprzecznych emocji: strachu, desperacji i nadziei.

– Pamiętasz mnie, Des? To ja, Lucia.

Przez moment Bane gapił się tylko w konsternacji na stojącą przed nim kobietę. Potem zaczął sobie przypominać swoją młodość. Czasy, gdy nie był Darthem Bane'em, tylko Desem, prostym górnikiem z Apatrosa.

Wspomnienia były zakopane głęboko, ale wciąż w nim tkwiły. Cotygodniowe lanie od Hursta, jego ojca. Długie, wyczerpujące zmiany w kopalni cortosis, w chmurach duszącego pyłu unoszącego się spod hydraulicznego młota. Ucieczka od nędzy Apatrosa i wstąpienie do Wędrowców Mroku.

To było tak, jakby próbował przypomnieć sobie sen tuż po przebudzeniu. Zupełnie jak sceny z życia kogoś innego, wydawały się nieprawdziwe. Ale gdy wyteżył pamięć, kolejne wspomnienia zaczęły powracać: długie nocne warty na Trandoshy, forsowne marsze przez lasy Kashyyyku.

Przywołując duchy przeszłości, ujrzał twarz Ulabore'a, okrutnego i niekompetentnego dowódcy, który nieświadomie podsunął Desa Sithom i skierował go na ścieżkę wiodącą ku przeznaczeniu. Ale były też inne twarze - mężczyzn i kobiet z jego oddziału, jego towarzyszy broni. Przypomnił sobie błękitne oczy i zuchwały uśmiech Adanara, jego najlepszego przyjaciela. Przypomnił też sobie prostoduszną żołnierkę, młodą snajperkę o imieniu Lucia.

Bane był inteligentny i miał zdolność przewidywania. Miał też mądrość i wizję, która pozwoliła mu zreformować Zakon Sithów i rozpocząć jego powolny marsz po galaktyczną dominację. Przewidział i przygotował się na niemal każdą dającą się wyobrazić sytuację, w jakiej mógłby się kiedyś znaleźć. Jednak tego się nie spodziewał.

Wiedział, że wielu spośród byłych żołnierzy, którzy służyli w armii Kaana, zostało najemnikami i ochroniarzami, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby spotkać kogoś, kto znał go przed jego przemianą, którą zawdzięczał Ciemnej Stronie. Odkąd przyłączył się do Sithów, nie myślał ani nie dbał o to, co stało się z ludźmi z jego przeszłości. Musiał nauczyć się żyć samotnie, polegać tylko na sobie. Przywiązanie do rodziny i przyjaciół było przejawem słabości, łańcuchem, który zniewalał i ciągnął w dół.

A teraz ktoś z tego życia, o którym tak bardzo starał się zapomnieć, stał pomiędzy nim a jego zemstą. Ta kobieta była przeszkodą na jego drodze, przeszkodą łatwą do usunięcia. Wiedział, że może się jej pozbyć równie łatwo jak strażników pilnujących jego celi.

Zamiast tego jednak zapytał:

– Dlaczego mi pomogłaś?

– Służyliśmy razem w Wędrowcach Mroku - odpowiedziała, tak jakby to wszystko wyjaśniało.

– Wiem, kim jesteś - powiedział.

Zawahała się, jakby liczyła na to, że powie coś więcej. Ponieważ jednak milczał, Lucia mówiła dalej:

– Ocaliłeś mi życie na Phaseerze. Wszystkich nas ocaliłeś. I nie tylko wtedy. Byłeś z nami w każdej bitwie. Czuwałeś nad nami, chroniłeś nas.

– Wtedy byłem głupcem.

– Nie! Byłeś bohaterem. Zawdzięczam ci życie po dziesięciokroć. Jak mogłabym ci nie pomóc?

Początkowo sądził, że to sentymentalna idiotka, wygadująca brednie i zaślepiona irracjonalną szlachetnością. Ale po chwili zrozumiał, o co tak naprawdę chodzi, i wszystko zaczęło mu się układać w sensowną całość. Uwolniła go, żeby zyskać jego przychylność. Chciała coś osiągnąć. Dlatego zdradziła córkę Caleba - dla własnej korzyści.

– Czego chcesz? - zapytał. Brzęczenie alarmu nieustannie przypominało mu o uciekającym czasie.

– Chcę... proszę... błagam cię... daruj Serrze życie.

Jej prośba nie miała żadnego sensu. To przecież Lucia spowodowała, że życie Serry było zagrożone.

– Dlaczego? Jaką wartość ma dla mnie jej życie?

Kobieta nie odpowiedziała od razu. Szukała czegoś, co mogłaby mu podsunąć, ale nie miała żadnych argumentów.

– Wejrzyj w swoje serce, Des. Przypomnij sobie, kim byłeś kiedyś. Wiem, że wybrałeś Ciemną Stronę, żeby przeżyć. Musiałeś zostać Sithem, bo tylko tak mogłeś przetrwać. Proszę, Des; wiem, że jakaś część tego człowieka, którym byłeś, cały czas w tobie żyje.

– Nie nazywam się Des - powiedział podniesionym głosem i wyprostował się, tak że górował wyraźnie nad Lucią. - Jestem Darth Bane, Mroczny Lord Sithów. Nie czuję ani litości, ani wdzięczności, ani wyrzutów sumienia. A córka Caleba musi zapłacić za to, co mi zrobiła.

– Nie pozwolę ci na to - oświadczyła Lucia, stając przed nim w szerokim rozkroku.

– Nie możesz mnie powstrzymać - ostrzegł ją. - Nie możesz jej ocalić, poświęcając własne życie. Chcesz umrzeć na próżno?

Lucia pozostawała niewzruszona.

– Powiedziałam już, że zawdzięczam ci życie. Jeśli chcesz mi je teraz odebrać, masz do tego prawo.

Bane przypomniał sobie swoje pierwsze spotkanie z Calebem na Ambrii. Uzdrowiciel stał wtedy przed nim, tak jak teraz Lucia, nieugięty pomimo świadomości, że nie może mierzyć się z Lordem Sithów. Jednak Caleb wiedział, że ma coś, czego Bane potrzebował; Lucia zaś nie miała żadnego asa w rękawie. Nie było nic, co mogłoby go powstrzymać przed odebraniem jej życia w ciągu ułamka sekundy.

Zaczął powoli gromadzić w sobie potęgę Ciemnej Strony. Zanim jednak zdążył ją uwolnić, zaatakowała go fala ogłuszającej siły, która nadciągnęła z korytarza po jego lewej stronie. Instynktownie postawił ochronną barierę, która wchłonęła uderzenie. Ale i tak rzuciło nim o przeciwległą ścianę i odebrało mu na chwilę dech.

Lucia nie miała tyle szczęścia. Nie mogąc przywołać Mocy, żeby się obronić, poleciała korytarzem, obracając się i koziołkując. Jej ciało odbijało się od ścian i sufitu, a czaszka uderzała o kamień, aż zmieniła się w krwawą, bezkształtną masę. Zwłoki strażniczki zatrzymały się wreszcie trzydzieści metrów dalej, w miejscu, gdzie tunel skręcał gwałtownie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Bane podniósł się błyskawicznie i odwrócił w stronę wroga.

– Nie mogłeś się zdobyć na zabicie jej - powiedziała Zannah głosem pełnym pogardy. - Stałeś się słaby. Nic dziwnego, że próbowałeś złamać Zasadę Dwóch.

Stała ze swoim podwójnym mieczem świetlnym, ściskając mocno jego rękojeść w dłoni. Trzymała broń w wyciągniętej ręce, równoległe do podłogi. Była to postawa obronna, mająca chronić przed nagłym atakiem uzbrojonego przeciwnika. Bane domyślił się, że Zannah nie wie, iż nie odzyskał jeszcze swojego miecza świetlnego.

– Odkąd stworzyłem Zasadę Dwóch, zawsze przestrzegałem jej założeń - odparł. - Wszystko, co robiłem, było zgodne z jej filozofią.

Zannah pokręciła głową.

– Wiem, że byłeś na Prakith. Wiem, że szukałeś holocronu Andeddu. Wiem, że chciałeś odkryć tajemnicę wiecznego życia.

– Zrobiłem to z konieczności. Nauczyłem cię wszystkiego, co wiem o Ciemnej Stronie. Czekałem latami, żebyś rzuciła mi wyzwanie. Ale ty wolałaś czaić się w moim cieniu, pozostawać uczennicą dotąd, aż upływ czasu pozbawi mnie sił.

Wszystkie myśli o Lucii uleciały, wymiecione razem ze wspomnieniami jego dawnego życia. Jedyłą rzeczą, która go teraz obchodziła, była obecna konfrontacja; wiedział, że od jej wyniku zależy los Sithów.

– Nie jesteś godna, żeby zostać Mistrzem, Zannah. Dlatego poleciałem na Prakith.

– Nieprawda - powiedziała Zannah. Jej głos był spokojny i zimny. - Nie odbierzesz mi tego. Mówiłeś, że szkolisz mnie po to, żebym kiedyś cię zastąpiła. Mówiłeś, że moim przeznaczeniem jest zostać Mistrzem. A teraz chcesz żyć wiecznie. Zamierzasz zatrzymać tytuł Mrocznego Lorda Sithów i pozbawić mnie tego, co mi się należy!

– Na ten tytuł trzeba zasłużyć - odparował Bane. - Ty wolałaś zaczekać i odebrać go bez walki.

– Nauczyłeś mnie cierpliwości - przypomniała mu. - Nauczyłeś mnie czekać na właściwy moment.

– Ale nie w tej kwestii! - krzyknął Bane. - Tylko najsilniejszy ma prawo stać na czele Sithów! Tytuł Mrocznego Lorda musi zostać wywalczony, wyrwany z wszechpotężnego uścisku Mistrza!

– Właśnie po to tu jestem - powiedziała Zannah z ponurym uśmiechem. - Znalazłam własnego ucznia. Jestem gotowa, by przyjąć swoje przeznaczenie.

– Naprawdę sądzisz, że zdołasz mnie pokonać?

Bane opuścił prawą rękę na biodro, jakby miał zamiar wyciągnąć miecz świetlny. Jego jedyną nadzieją na przeżycie było to, że jakimś podstępem zdoła ją zmusić do wycofania się.

Żrenice Zannah poruszyły się, zwabione tym ruchem. Palce Bane'a były wyprostowane, a potężna dłoń całkowicie zasłaniała miejsce, w którym zwykle można było zobaczyć przypiętą do paska rękojeść świetlnego miecza. Siłą woli starał się wyświetlić obraz broni spoczywającej pod jego palcami.

Jego uczennica stała bez ruchu, wciąż w pozycji obronnej. Zmarszczyła brwi, oceniając swoje szanse. Po chwili jej wzrok padł na lewą rękę Bane'a, którą wstrząsały ledwo dostrzegalne, niekontrolowane drgawki.

– Dałeś się złapać najemnikom - powiedziała, wolno obracając bronią, i zrobiła energiczny krok naprzód.

Bane pozostał na swoim miejscu. Zacisnął palce lewej ręki, aż paznokcie wbiły się w skórę, uśmierzając drżenie.

– Nie mogłeś zdobyć się na zabicie kobiety, która stała ci na drodze.

Zrobiła następny krok w jego kierunku, przerzucając swobodnie miecz świetlny z ręki do ręki. Gdyby Bane był uzbrojony, byłaby to idealna okazja do wyprowadzenia nagłego ataku.

A że tego nie zrobił, Zannah odchyliła głowę i zaśmiała się.

– Dałeś się nawet złapać w tych korytarzach bez swojego miecza świetlnego.

Zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, na co Bane odpowiedział kilkoma krokami w tył.

Bliźniacze klingi świetlnego miecza zaczęły nabierać prędkości, przecinając powietrze szybkimi, kolistymi ruchami.

Miała mu do powiedzenia jeszcze tylko jedno, zanim się na niego rzuciła:
– Twój czas się skończył, Bane.

ROZDZIAŁ 22

Serra stała jak sparaliżowana, z palcem zawieszonym nad przyciskiem, który miał potwierdzić polecenie autodestrukcji Kamiennego Więzienia i rozpocząć unicestwienie kompleksu razem ze wszystkimi, którzy się w nim znajdowali. Stała w tej samej pozycji od kilku minut, niezdolna do naciśnięcia guzika.

Zrób to! Co cię obchodzi Lucia? Ona cię zdradziła! Zrób to!

Księżna wzięła głęboki oddech i opuściła rękę, ale zamiast przycisku „Zatwierdź”, nacisnęła klawisz z napisem „Anuluj”. Rozległo się ciche piknięcie i rozświetlona klawiatura zgasła.

Nie mogła tego zrobić. Chociaż za nic w świecie nie chciała dopuścić do ucieczki więźnia, po prostu nie potrafiła skazać Lucii na śmierć. Starsza kobieta była kimś więcej niż tylko strażniczką; była jej powierniczką i najbliższą przyjaciółką. Musiała mieć jakiś powód, dla którego zrobiła to, co zrobiła. A Serra była jej to winna, żeby ten powód poznać.

Pozostawiając za sobą ciasne mury sterowni, Serra wyszła z powrotem na korytarz. Przy hałasującym alarmie nie musiała się martwić, że odgłosy kroków zdradzą jej położenie. Ruszyła zważnym truchtem w kierunku celi, w której przetrzymywany był więzień, w poszukiwaniu swojej przyjaciółki.

On cię szuka i nie musi słyszeć twoich kroków, żeby cię wytropić, tłumaczyła sobie. Czy naprawdę sądzisz, że uda ci się znaleźć Lucię, zanim on znajdzie ciebie?

Księżna zdawała sobie sprawę z ryzyka. Straciła już jednak męża i ojca; nie mogła stracić także najlepszej przyjaciółki. Nawet jeśli oznaczałoby to jeszcze jedno spotkanie z potworem z jej koszmarów.

Przedzierając się przez korytarze kompleksu, zbliżała się do miejsca, w którym Iktotchi powiedziała jej o zdradzie Lucii. Zanim tam dotarła, zobaczyła czyjeś ciało, wciśnięte w róg w miejscu, gdzie korytarz załamywał się pod ostrym kątem.

– Nie - szepnęła i puściła się biegiem. - Nie!

Rozpoznała ciało Lucii, zanim jeszcze przy niej kucnęła. Jej ręce i nogi powyginane były na wszystkie strony, a kości kompletnie pogruchatane. Te

obrażenia były jednak niczym w porównaniu z tym, jak zmasakrowane były jej twarz i czaszka.

Kłęcząc nad zwłokami przyjaciółki, Serra nie uroniła ani jednej łzy. Zamiast żalu czuła jedynie dziwne odrętwienie opanowujące jej umysł.

To twoja wina, wmawiała sobie. Gdybyś nie była tak owładnięta żądzą zemsty, gdybyś nie sprowadziła tu więźnia, to wszystko by się nie stało. Lucia wciąż by żyła.

Głos w jej głowie mówił prawdę, ale Serra w dalszym ciągu nic nie czuła. Zupełnie jakby jej emocje, osłabione przez śmierć Gerrana i Caleba, w końcu wygasły.

Nagle dotarł do niej dziwny, wysoki, nieprzyjemny pomruk przebijający się przez alarm - nie był to z pewnością odgłos miecza świetlnego, jaki знаła. Wstała i ruszyła korytarzem w kierunku źródła tego dźwięku, zostawiając za sobą połamane zwłoki Lucii.

W miarę jak się zbliżała, dały się słyszeć także inne dźwięki: wysilone stękania, krótkie okrzyki gniewu i bólu, ciężkie uderzenia stóp o kamienną podłogę. Rozpoznała odgłosy walki.

Nie słysząc blasterów, zauważyła.

Gdy dotarła do skrzyżowania z drugim korytarzem, kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła się w lewo i zobaczyła dwie sylwetki na końcu tunelu, niecałe dwadzieścia metrów od niej. Od razu rozpoznała więźnia. Drugiej z postaci nigdy wcześniej nie widziała, ale wiedziała, kto to jest.

Jasnowłosa kobieta, o której mówiła Łowczyni.

Więzień i kobieta byli zwrócenii do siebie twarzami, zwarci w niewątpliwie zaciekłym pojedynku. Sith był prawie dwa razy większy od swojej przeciwniczki, ale najwyraźniej to ona była agresorem. Kobieta była uzbrojona w miecz świetlny o dwóch klingach, za to więzień wydawał się nie mieć broni. Wycofywał się ostrożnie, nie spuszczać wzroku z kobiety, która zbliżała się powoli, próbując zapędzić go do rogu i odciąć mu drogę odwrotu.

Zanim jednak zdążyła przyprzeć go do muru, on wypuścił z dłoni błyskawicę fioletowej energii. Kobieta odparła atak jedną z głównej swojego miecza świetlnego. Klinga wchłonęła energię, wydając dziwny, wysoki dźwięk, taki sam, jaki Serra słyszała wcześniej.

Oboje walczący byli tak skoncentrowani na sobie, że żadne z nich nie zauważyło Serry. Księżna powinna być przerażona; powinna odwrócić się i uciec jak najprędzej tam, skąd przyszła. A jednak czuła tylko spokój i pustkę, które ogarnęły ją, gdy znalazła ciało Lucii.

Bez specjalnego pośpiechu odwróciła się i wróciła korytarzem do miejsca, w którym spoczywała jej przyjaciółka. Schyliła się, chwyciła muskularne ciało za nadgarstki i zaczęła je ciągnąć po podłodze. Szła tyłem, stękając z wysiłku.

Obciążona balastem, zmierzała powoli w stronę sterowni. Szybko poczuła ból w mięśniach szyi, ramion i pleców, ale się nie zatrzymywała. Cierpienie było przytłumione, tak samo drętwe i odległe, jak uczucie żalu po Lucii.

Wreszcie dotarła do sterowni, ale nie zatrzymała się przy konsolocie uruchamiającej mechanizm autodestrukcji, tylko wywlokła Lucię przez tylne drzwi, po czym z pewnym trudem wciągnęła ją do ładowni niewielkiej kapsuły ratunkowej. Teraz wróciła do klawiatury i wstukała kod autodestrukcji. Tym razem już bez wahania wcisnęła klawisz „Zatwierdź”.

Dźwięk alarmu się zmienił. Zamiast nieustannego dryń-dryń-dryń słychać było teraz jednostajne, przeciągłe wycie.

Serra wiedziała, że ma tylko kilka minut, zanim rozpocznie się pierwsza seria eksplozji, ale nie mogła się ruszyć. Jeszcze nie.

Czas zdawał się stać w miejscu, podczas gdy ona wyczekiwała przy konsolocie. Wydawało jej się, że mijają godziny, chociaż w rzeczywistości były to jedynie minuty. I wtedy poczuła lekkie drzenie pod stopami - wstrząsy pierwszej eksplozji na najniższym poziomie kompleksu. Po paru sekundach nastąpił kolejny wstrząs, a potem jeszcze jeden.

Zadowolona Serra odwróciła się i skierowała w stronę kapsuły ratunkowej. Zagłada Kamionnego Więzienia się rozpoczęła.

Lowczyni nigdy nie spotkała równie irytującego przeciwnika. Chociaż miał miecz świetlny w dłoni, mężczyzna nie chciał stanąć do walki. Biegał tylko tam i z powrotem między kadłubami statków, przemieszczając się od jednej kryjówki do drugiej, zawsze o krok przed nią.

Mogła schować wibroostrza i wyciągnąć swoje bliźniacze blastery ukryte pod połami płaszcza, ale wiedziała, że to nic nie da. Jej przeciwnik był za szybki, żeby udało jej się oddać celny strzał, zresztą i tak pewnie odbiłby po prostu błyskawicę mieczem świetlnym.

Dostrzegła go, jak przemyka w przejściu między jej wahadłowcem a statkiem stojącym obok. Nie goniła go jednak - odwróciła się i obiegła z drugiej strony swój wahadłowiec, równoległe do mężczyzny, w nadziei, że zdoła przeciąć mu drogę.

Połykając przestrzeń długimi, lekkimi susami, okrążyła statek, aby

zaatakować z flanki niczego niepodważającego przeciwnika. Tymczasem ledwie o centymetr uniknęła skrócenia o głowę przez miecz świetlny, który przemknął tuż obok niej w powietrzu.

Rzuciła się na ziemię, padając niezdarnie na bok. Manewr wyglądał nieporadnie, ale ocalił jej życie. Zabójcze energetyczne ostrze świsnęło jej koło ucha i odcięło kawałek wielkości kciuka jednego z rogów, po czym zakreśliło łuk i wróciło do ręki jej przeciwnika.

Nie zważając na palący ból promieniujący ze zranionego rogu, poderwała się z wibroostrzami w dłoniach. Ale jej przeciwnik nie poszedł za ciosem; znowu zniknął, kryjąc się za dziobem statku.

Uraz nie był poważny; rogi Iktotchi nie zawierały żadnych ważnych narządów. Nawet odcięcie całego rogu nie stanowiło zagrożenia dla życia, chociaż było potwornie bolesne. Z czasem brakujący kawałek powinien zresztą odrosnąć, nie zostawiając żadnego śladu świadczącego o tym, jak bliska była śmierci w hangarze.

Naprawdę o mało nie zginęła. Zdała sobie sprawę, że jej przeciwnik jest chytry; chciał, żeby go zobaczyła, dobrze wiedząc, że będzie próbowała go okrążyć i przeciąć mu drogę.

Nie doceniła go, a on ją wymanewrował, zmuszając do popełnienia prostego błędu. Weszła prosto w zastawioną przez niego pułapkę. Ale drugi raz nie popełni takiej pomyłki.

Set kucał za jednym ze statków, z trudem łapiąc powietrze. W pewnym stopniu udało mu się sprostać dziwnym zdolnościom Iktotchi. Zdołał przewyciężyć jej umiejętność korzystania z Mocy, ale kosztowało go to wiele wysiłku.

W dodatku osłabiło go to na tyle, że zdołała się uchylić przed jego mieczem.

Mroczny Jedi zmarszczył brwi. Tak bliski był zakończenia tego pojedynku! Zmusił się, żeby wstać i ruszyć dalej. Nie mógł pozostawać w jednym miejscu dłużej niż parę sekund, jeśli nie chciał zginąć. Wiedział, że przeciwnik będzie teraz ostrożniejszy; szkoda, że on nie wykorzystał najlepszej okazji.

Iktotchi była dla niego za szybka, żeby mógł ją pokonać w otwartej walce... zwłaszcza przy jej zdolności do zakłócania łączności Seta z Mocą i spowalniania jego ruchów. Jak dotąd udawało mu się unikać bezpośredniej konfrontacji, ale nie mógł uciekać w nieskończoność. Czuł klucie w boku przy oddychaniu i bał się, że zaraz wypluje płuca. Jeśli nie wydarzy się nic,

co odmieni sytuację, wynik konfrontacji będzie przesądzony.

Jakby w odpowiedzi na jego modlitwy, brzmienie alarmu nagle się zmieniło. Setowi wystarczyła chwila, żeby odgadnąć, co się stało, i w jego głowie zaczął się rodzić nowy plan ucieczki.

Łowczyni usłyszała zmianę sygnału alarmowego. Zrozumiała, że pozostało im najwyżej pięć minut, zanim zaczną się detonacje, i nie więcej niż dziesięć, zanim cały kompleks zamieni się w kupę gruzu.

Jej przeciwnik także zauważył zmianę.

– Słyszysz? - zawołał gdzieś z drugiego końca hangaru. - Te wszystkie skały zaraz zwałą nam się na głowy. Może każde z nas wskoczy do jednego z tych statków i wyniesiemy się stąd, zanim to nastąpi?

– Zdążę cię jeszcze znaleźć! - odkrzyknęła, kierując się w stronę, z której dochodził głos. Wyglądało na to, że mężczyzna znajduje się w pobliżu jednego z promów w głębi pomieszczenia. - Jesteś zmęczony. Tracisz siły. Długo nie pociągniesz.

– Przypuszczałem, że to powiesz - odparł i wyszedł z za jednego ze statków, tak że Iktotchi mogła wreszcie przyjrzeć się człowiekowi, którego ścigała.

Opierał się swobodnie o kadłub wahadłowca, w pobliżu umieszczonych na rufie silników. Zerknął w jej kierunku, ale nie próbował się ukryć. Po prostu stał, trzymając niedbale miecz świetlny przy boku.

Licząc się z kolejną pułapką, Łowczyni zaczęła ostrożnie do niego podchodzić. Gdy tylko zrobiła pierwszy krok, srebrnowłosa mężczyzna podniósł rękę i uderzył mocno mieczem świetlnym o kadłub wahadłowca. Posypała się fontanna iskier i klinga wbiła się na głębokość centymetra we wzmocnione zewnętrzne poszycie statku.

Mężczyzna cofnął rękę i uderzył jeszcze raz, dokładnie w to samo miejsce, a rozżarzona klinga zanurzyła się jeszcze głębiej. Dopiero przy trzecim uderzeniu Łowczyni zrozumiała, co on zamierza zrobić.

Trzeci cios wepchnął ostrze miecza wystarczająco głęboko, żeby przerwać jeden z przewodów paliwowych wahadłowca. Jej przeciwnik odskoczył do tyłu, a ona rzuciła się na podłogę, gdy zbłąkana iskra podpaliła łatwopalny płyn. Setki maleńkich, metalowych odłamków, które kiedyś były ogniwem paliwowym, wystrzeliły w powietrze. Statek podskoczył, a siła wybuchu poderwała jego rufę na cały metr w górę. Gęsta chmura czarnego, oleistego dymu uniosła się w powietrze z bruzdy, którą zostawił w kadłubie miecz świetlny.

– Niesamowita broń, prawda? - zauważył mężczyzna, gdy Łowczyni

podnosiła się z ziemi. - Przecina prawie wszystko.

Twarz miał pokaleczoną i podrapaną fruującymi odłamkami, ale jakimś sposobem - prawdopodobnie osłaniając się Mocą - zdołał uniknąć poważniejszych obrażeń. Zanim zdążyła odpowiedzieć, on obiegł statek, po raz kolejny znikając jej z oczu.

Po paru sekundach usłyszała znowu charakterystyczne brzęczenie miecza świetlnego, przebijającego się przez metal w głębi hangaru.

Puściła się biegiem w kierunku odgłosu. Zdążyła przebiec zaledwie połowę drogi, gdy kolejna eksplozja zwała ją z nóg. Kiedy się podniosła, zobaczyła, że drugi statek także został uszkodzony.

Wiedząc, jaki będzie następny cel mężczyzny, odwróciła się i pobięła w stronę „Myśliwego”. Zatrzymała się gwałtownie; przeciwnik stał przy jej wahadłowcu, przesuwając delikatnie ręką po kadłubie.

– Co ty robisz?! - krzyknęła Łowczyni.

– Mam zamiar wydostać się stąd żywy - wyjaśnił. - Ale ty z jakichś powodów koniecznie chcesz mnie zabić.

– To ty pierwszy podniosłeś na mnie rękę - przypomniała mu. - Kiedy przyłapałam cię na próbie kradzieży mojego statku.

– Zwykle nieporozumienie. - Machnął ręką, odrzucając jej oskarżenia. - Zostały dwa statki. Ty bierz swój, a drugi zostaw mnie i nie musimy się więcej spotkać.

– A jeśli odmówię?

– Wtedy zniszczę twój wahadłowiec i zobaczymy, czy zdołasz mnie zatrzymać, zanim dobiegnę do ostatniego. Podejrzewam, że nie, a wtedy oboje zginiemy pod gruzami tych murów.

– Jesteś tchórzem - parsknęła zabójczym. - Nie chciałeś nawet stanąć ze mną do walki. A teraz mam uwierzyć, że poświęciłbyś swoje życie, żeby uwięzić nas tu oboje?

– Jestem realistą - wyjaśnił mężczyzna. - Jeśli będziemy walczyć, zginę. Jeśli tu utkniemy, też zginę. Cokolwiek bym zrobił, efekt będzie ten sam... ale jeśli zniszczę statki, to przynajmniej zabiorę cię ze sobą.

Nie odpowiedziała od razu. Niewykluczone, że mówił prawdę - ludzie przyparci do muru byli zdolni do desperackich czynów.

Pomyślała o zakrzywionej rękojeści, którą miała za paskiem; nie tylko on był uzbrojony w miecz świetlny. Przez chwilę rozważała użycie broni, którą zabrała z rezydencji Lorda Sithów; mogłaby nim powstrzymać mężczyznę, gdyby próbował uszkodzić jej wahadłowiec, ale szybko porzuciła ten pomysł. Nie miała żadnego przygotowania ani doświadczenia w

posługiwaniu się mieczem świetlnym; dopiero parę dni temu po raz pierwszy trzymała go w ręku. A nawet gdyby było inaczej, zanim pokonałaby dzielący ich dystans, mogłoby już być za późno.

Spróbowała ocenić szanse na dotarcie do ostatniego wahadłowca, zanim jej przeciwnik zdąży go uszkodzić. Może i zdołałaby go uprzedzić, ale gdyby tylko wskoczyła do kabiny, on prawdopodobnie by dobiegł i zdemolował silniki.

Wreszcie rozważyła ewentualność, że mężczyzna nie spełni swojej groźby. Nawet w obliczu beznadziejnej sytuacji bardzo niewielu ludzi miałoby w sobie dość wewnętrznej siły, żeby zniszczyć swoją jedyną szansę ucieczki. Bardzo możliwe, że blefował.

Ale nawet jeśli tak było, co jej to da, że zmusi go do odkrycia kart?

Nic nie wiedziała o tym człowieku - kim był, jak się tu dostał ani po co. Co by właściwie zyskała, zabijając go? I co by straciła, pozwalając mu uciec?

Jedynym powodem, dla którego sama jeszcze nie opuściła tego miejsca, było przeczucie, że właśnie tutaj odnajdzie swoje przeznaczenie. W tej sytuacji kwestia, czy ten mężczyzna przeżyje, czy zginie, nie miała żadnego znaczenia.

Przez jaskinię przetoczył się niski, dudniący łoskot. Srebrnowłosey mężczyzna zachwiał się lekko na nogach.

– Czas ucieka - ostrzegł, podnosząc rękę, w której trzymał miecz.

– Zgadzam się! - krzyknęła.

– Stój tak, żebym cię widział - upomniał ją mężczyzna, wycofując się ostrożnie.

Nie spuszczać z niej oka, pospieszył w stronę drugiego wahadłowca i zniknął za statkiem. Usłyszała, jak majstruje przy panelu dostępu, walcząc z zabezpieczeniami, a następnie charakterystyczny świst opuszczanej rampy. Po paru sekundach srebrnowłosey pojawił się w kabinie, widoczny przez iluminator.

Łowczyńni mogła tylko patrzeć. W przeciwieństwie do miecza świetlnego ani jej wibroostrza, ani blastery nie mogły poważnie uszkodzić kadłuba statku. Przez chwilę rozważała możliwość wyciągnięcia swojego miecza i powtórzenia sztuczki, której on użył przeciwko niej, ale nawet gdyby udało jej się uszkodzić jego statek, oznaczałoby to tylko tyle, że on tu zostaje. Ona zaś musiałaby dotrzeć jakimś sposobem do swojego statku, zanim odpłaci jej pięknym za nadobne.

Silniki wahadłowca zamruczały, budząc się do życia. Statek uniósł się w powietrze i skierował ku wylotowi hangaru, po czym zawisł na moment tuż

pod jego sklepieniem. Iktotchi widziała wyraźnie królewski herb Doana na burcie, a srebrnowłosego mężczyznę w kabinie. Pomachał jej i zaprezentował zadowolony uśmiech. Potem silniki odpaliły i statek wyleciał z hangaru, znikając na tle nocnego nieba.

Po raz pierwszy w życiu Łowczyni ktoś, kogo chciała zabić, uszedł z życiem. Jednak wiedziała, że to niewielka cena do zapłacenia, jeśli tylko znajdzie to, czego tak naprawdę szukała.

ROZDZIAŁ 23

Zannah nie była przyzwyczajona do roli agresora. Podczas wszystkich walk treningowych to Bane miał inicjatywę. Jej styl walki mieczem świetlnym był oparty na technikach obronnych i kontruderzeniach. Schowana za szczelną gardą, czekała, aż jej przeciwnik popełni błąd.

Tymczasem ten pojedynek był zupełnie inny. Wprawdzie Bane nie miał swojego miecza świetlnego, ale nie znaczyło to, że jest bezbronny. Zannah wiedziała, że nie może po prostu się na niego rzucić - mimo masywnej budowy Bane był niewiarygodnie szybki i zwinny. Miał także doświadczenie w walce na małej przestrzeni z czasów, gdy był górnikiem i żołnierzem. Musiała uważać; nie mogła dopuścić go na tyle blisko, żeby miał szansę ją złapać. Nie mogła też dać mu okazji do wykorzystania swojej siły i warunków fizycznych.

No i jeszcze musiała poradzić sobie z jego niezwykłą biegłością w posługiwaniu się Mocą. Proste techniki, takie jak napór na nieprzyjaciela z drugiego końca pomieszczenia, nie miały zastosowania w przypadku odpowiednio wyszkolonego przeciwnika. Zarówno ona, jak i Bane potrafili otaczać się niewidzialnym polem energii, które wchłaniało lub odpierało większość sposobów ataków znanych wszystkim Jedi i Sithom. Ale Bane potrafił też wypuszczać z dłoni niszczycielskie błyskawice energii Ciemnej Strony, i robił to niemal na zawołanie.

Zachowując ostrożność, Zannah mogła unikać ich lub odbijać je mieczem świetlnym. To ją jednak absorbowало w wystarczającym stopniu, żeby Mistrz utrzymał się przy życiu.

Para złączyła się w zawiłym tańcu. Ona natarła dołem, kręcąc młynki mieczem świetlnym. On skoczył nogami na ścianę, odbił się mocno i przekoziółkował w powietrzu, tuż poza zasięgiem jej klingi.

Poderwał się zaraz i odskoczył do tyłu, cofając się przed jej sztychem. Gonila go przez całą długość korytarza, wykonując kolejne pchnięcia i zmuszając Mrocznego Lorda do całkowitego odwrotu. Bane odpowiadał krótkimi, skoncentrowanymi wybuchami energii, celując w jej stopy; chciał w ten sposób spowodować utratę równowagi.

Zannah posuwała się naprzód szybkimi, krótkimi susami, unikając jego ataków, a jednocześnie nie pozwalając przeciwnikowi na chwilę oddechu. Bane zamarkował wycofanie w prawo, po czym skoczył naprzód i wykonał salto ponad jej głową. Wyciągnął jednocześnie rękę, żeby chwycić ją za nadgarstek.

Zannah uchyliła się i wyprowadziła kopnięcie w chwili, gdy wylądował za jej plecami. Bane wykonał obrót, złapał ją za kostkę i szarpnął w bok, próbując złamać jej nogę. Zannah wywinęła się gwałtownym ruchem, obracając całe ciało wokół poziomej osi. Równocześnie zaatakowała mieczem świetlnym, zamierzając odrąbać Bane'owi rękę na wysokości łokcia. On jednak zdążył się cofnąć i klinga przecięła tylko powietrze.

Przyparła go teraz do muru, odcinając drogę ucieczki. Gdy natarła, żeby go wykończyć, Bane posłał w jej kierunku kolejną błyskawicę. Przechwyciła ją mieczem świetlnym, ale siła uderzenia odrzuciła ją o krok do tyłu, dając Bane'owi dość miejsca, żeby uniknąć śmiertelnego ciosu i wydostać się spod ściany.

Zamienili się miejscami i na nowo rozpoczęli swój taniec. Rytm ich pojedynku, wyznaczany przez pchnięcia i uniki, zgrał się z pulsowaniem alarmu. Zannah ruszyła znów za nim w pogoń tym samym korytarzem, który przemierzyli w przeciwnym kierunku zaledwie parę chwil wcześniej.

Zannah podejrzewała, że gdyby to Bane był na jej miejscu, zdołałby już zakończyć pojedynek. Wiedziała jednak, że jej zwycięstwo jest nieuniknione. Mistrz był w beznadziejnej sytuacji. Musiał przez cały czas uważać, żeby utrzymywać dystans. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze potknięcie, a nawet Mroczny Lord Sithów nie da rady walczyć perfekcyjnie w nieskończoność. Zannah mogła przegrać tylko przez jakiś głupi błąd.

Bane mógł jedynie próbować wyprowadzić ją z równowagi swoją nieuchwytnością. Ale Zannah potrafiła być cierpliwa. Czekwała na tę chwilę dwadzieścia lat i była gotowa ciągnąć ich pojedynek tak długo, jak będzie to konieczne.

Dotarli do końca korytarza. Zannah już się zdawało, że udało jej się zapędzić Bane'a w kozi róg. Tym razem użyła miecza świetlnego, żeby odbić fioletowe błyskawice na boki, zamiast próbować je wchłonąć. Jednak Bane miał jeszcze jednego asa w rękawie.

Była niecały metr od niego, a jej klinga już opadała, żeby zadać śmiertelny cios, gdy poczuła, że wszystkie włoski na karku stają jej dęba. Świetlisty purpurowy kokon energii Ciemnej Strony otoczył Bane'a niczym delikatna skorupa, powstrzymując huragan czystej siły.

Zannah próbowała się zatrzymać, ale było za późno. W chwili gdy jej klinga wbiła się w kokon, uwolniona energia wybuchła, odrzucając ich oboje do tyłu. Bane walnął w ścianę za jego plecami i osunął się na ziemię. Zannah przeleciała dziesięć metrów i spadła na twardą kamienną podłogę.

Podnieśli się w tej samej chwili, oboje bez większych obrażeń. Ale Bane jeszcze raz zdołał odeprzeć jej atak i wydostać się z potrzasku.

Zannah wzruszyła tylko ramionami i rozpoczęła kolejne powolne, nieustępliwe natarcie. Na chwilę się zatrzymała, słysząc, że zmienił się dźwięk alarmu.

Od razu zrozumiała, co się stało. Pozostało im zaledwie kilka minut na ucieczkę, zanim eksplozje pogrzebią ich żywcem.

Zannah miała dwie możliwości: przerwać walkę i popędzić w stronę statku albo zapomnieć o ostrożności i przypuścić jeszcze jeden, ostateczny atak na Mistrza. Nie mogła pozwolić Bane'owi uciec. Musiała to zakończyć teraz!

Podczas gdy ona zbierała się do ataku, Bane wystrzelił kolejną błyskawicę. Zannah uskoczyła na bok, a wiązka energii przemknęła koło jej ucha i uderzyła w ścianę, wzniesając chmurę pyłu i drobinek kamienia.

Chociaż pierwszy ładunek chybił, Bane posłał kolejny dokładnie po tym samym torze. Odwracając głowę, żeby prześledzić lot niecelnej błyskawicy, Zannah zobaczyła miejsce, w którym poprzednia uderzyła w ścianę. W kamieniu powstała dziura wielkości pięści, a w niej tkwiło coś, co wyglądało na jasnoczerwony plastik.

Zorientowała się, że to obudowa ładunku wybuchowego, w samą porę, żeby odskoczyć i użyć Mocy do osłony przed skutkami eksplozji. Siła wybuchu odrzuciła ją do tyłu; jednocześnie cała ściana wyleciała w powietrze, zasypując korytarz potężnymi bryłami kamienia. Masywne bloki odpadały z poszarpanego sufitu prosto na podłogę.

Zannah wstała z trudem, krztusząc się od pyłu i dymu. Korytarz na wprost niej był całkowicie zablokowany przez gruz i odłamki kamienia. Wyczuwała Bane'a po drugiej stronie rumowiska; przeżył wybuch, tak samo jak ona. Ale teraz rozdzielały ich tony kamiennego gruzu.

Podeszła wolno do zawałonej części tunelu i położyła rękę na krawędzi jednego z potężnych kamieni blokujących przejście. Nawet przy użyciu Mocy urotowanie drogi zabrałoby parę godzin. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy - miała Bane'a w garści i pozwoliła mu się wymknąć.

Wibracje kolejnej eksplozji, tym razem gdzieś daleko, w głębi lochów, przetoczyły się po korytarzu, przypominając jej o uciekającym czasie.

Przeklinając niewykorzystaną okazję, odwróciła się i pobiegła tą samą drogą, którą przyszła, w stronę swojego statku.

Nad głową cały czas słyszała wycie alarmów.

Bane miał nadzieję, że tym niespodziewanym manewrem zdoła zaskoczyć swoją uczennicę. Istniała nawet pewna szansa, że eksplozja ją zabije, grzebiąc pod lawiną kamieni. Gdy podniósł się jednak po wybuchu, wyczuł, że Zannah wciąż żyje. Chociaż próbowała go zabić, ta świadomość przyniosła mu pewną satysfakcję. Dobrze ją wyszkolił.

Głównym celem eksplozji nie było zresztą zabicie Zannah. Rozpaczliwy wybieg był w istocie ostatnią szansą Bane'a, żeby wyjść cało z walki, której nie mógł wygrać. I to mu się udało... chociaż jeśli miał przeżyć, musiał jeszcze wydostać się z więzienia, zanim wszystko się zawali.

Nie wiedział, w którym miejscu labiryntu lochów się znajduje. Zanim znalazła go Zannah, podążał za córką Caleba, pozwalając, żeby prowadziła go Moc, i nie zwracał zbytnej uwagi na to, dokąd zmierza.

Wyteżając umysł, wyczuł, że księżna zdążyła uciec. Ale podczas swojej ucieczki Bane wymordował ponad tuzin strażników; oni zaś musieli gdzieś zostawić swoje statki. Jeśli nawet nie wiedział, gdzie ich szukać, to rozumiał, że może zaufać Mocy.

Puścił się biegiem, skręcając to w lewo, to w prawo bez chwili wahania i ignorując nieustające wycie alarmów.

Przez całe jego życie, nawet zanim jeszcze dowiedział się, kim jest, prowadziła go Moc. Podczas jego kariery wojskowej pozwoliła mu przeprowadzić Wędrowców Mroku praktycznie bez szwanku przez najkrwawsze kampanie wojny. Wówczas sądził, że ma po prostu szczęście albo wyjątkowy instynkt.

Zarzuciło go na zakręcie, a buty straciły na moment przyczepność. Równocześnie poczuł wstrząsy potężnej eksplozji, dochodzące z pomieszczeń położonych gdzieś na samym dole. Z trudem zachował równowagę i przyspieszył, pokonując kolejny tunel.

Nie sposób było stwierdzić, czy biegnie we właściwym kierunku; proste kamienne ściany wyglądały wciąż tak samo. Poczuł wibracje jeszcze jednej odległej eksplozji, które przypominały mu o uciekającym czasie. Pochyłość korytarza prowadziła go w górę, co dodawało mu otuchy.

Dopiero kiedy rozpoczął szkolenie w Akademii Sithów na Korribanie, zrozumiał, że jego niewiarygodne szczęście było w istocie przejawem Mocy, która buzowała w nim, zanim jeszcze zdał sobie sprawę z jej potęgi.

Kierowała jego czynami i decyzjami, wpływając na wydarzenia w jego życiu.

I tylko dzięki temu, że nauczył się wykorzystywać tę potęgę - kierować swoim przeznaczeniem zamiast pozwalać, by ono kierowało nim - osiągnął swoją obecną pozycję. Moc stała się jego narzędziem; mógł rozporządzać jej potęgą i naginać ją do swojej woli.

Ale teraz, gdy od całkowitego unicestwienia dzieliły go tylko minuty, Bane pozwolił sobie na powrót do nawyków młodości. Poszukiwanie wyjścia wymagałoby znacznego wysiłku i koncentracji, a to by go tylko spowalniało. Nie miał czasu na myślenie i planowanie; musiał działać instynktownie i mieć nadzieję.

Minął kolejny narożnik, przemknął przez krótki korytarz i wybiegł na stalowy taras zawieszony ponad przestronną, wysoką komnatą. Zjawił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak wahadłowiec z królewskim herbem Doan wznosi się w powietrze i odlatuje. Przez chwilę sądził, że na pokładzie może być księżna, ale gdy sięgnął umysłem, wyczuł obecność kogoś zupełnie innego za sterami... kogoś o bardzo silnej więzi z Ciemną Stroną. Bane nie mógł jednak zajmować się tajemniczą postacią uciekającym wahadłowcem - miał znacznie poważniejszy problem.

Stojąc na tarasie, wyraźnie zobaczył Iktotchi, która kierowała atakiem na niego w jego rezydencji. Miała na sobie ten sam czarny płaszcz i stała przy czarno-czerwonym wahadłowcu.

Obserwowała uciekający statek, ale gdy zniknął, odwróciła się w stronę Bane'a. Na widok Lorda Sithów jej twarz rozjaśnił uśmiech zadowolenia.

– Czekałam na ciebie - powiedziała.

Kiedy ostatnim razem się spotkali, udało jej się go przechytryć; teraz był nieuzbrojony i wyczerpany walką z Zannah. A jednak był pewien, że zdoła pokonać Iktotchi. Bez elementu zaskoczenia i wsparcia dwudziestu najemników nie mogła się z nim mierzyć. A gdyby znowu próbowała ugodzić go swoim zatrutym ostrzem, był przygotowany, żeby wypalić toksyny, zanim opanują jego organizm.

Bane chwycił za barierkę tarasu i przeskoczył nad nią, nie zwracając uwagi na wstrząsy wywołane kolejną eksplozją wewnątrz kompleksu.

Gdy spadł na ziemię, nogi poniosły go od razu w kierunku nieprzyjaciela. Ku jego zaskoczeniu Iktotchi nie cofnęła się, widząc nacierającego wroga. Nie sięgnęła nawet po broń. Uklękła na jedno kolano i skłoniła głowę, wyciągając ręce przed siebie, jakby składała mu ofiarę.

Widząc to niespodziewane zachowanie, Bane zatrzymał się gwałtownie kilka metrów od niej. Z tej odległości widział wyraźnie, że Iktotchi trzyma w

rękach zakrzywioną rękojeść jego zagubionego miecza świetlnego i coś, co wyglądało na jego własny holocron.

– Przyjmij mój dar, panie - powiedziała, podnosząc głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Próbowałaś mnie zabić - odparł nieufnie Bane, nie spuszczać jej z oka:

– Zostałam wynajęta, żeby cię schwytać - sprostowała. - To było tylko zlecenie. Już zostało zrealizowane.

Bane wyciągnął rękę i wziął miecz z jej dłoni. Zaciśnął palce na znajomej wygiętej rękojeści i zapalił klingę. Iktotchi podniosła się, nie okazując strachu.

– Co tu jeszcze robisz? - spytał Bane.

– Wiedziałam, że się uwolnisz - wyjaśniła. - Miałam nadzieję, że uciekając, trafisz właśnie tu.

– Miałaś przecucie, że cię znajdem? - Bane wiedział o domniemanych zdolnościach prekognitywnych Iktotchi, ale miał dość mgliste pojęcie o tym, jak dalece wyraźne czy precyzyjne mogą być ich wizje.

– Co noc widziałam cię w moich wizjach - odpowiedziała. - Nasze losy są ze sobą splecione.

– A jeśli twoim przeznaczeniem jest zginąć z mojej ręki? - zapytał, unosząc klingę.

– Żadnemu z nas nie jest pisane zginąć w tym miejscu, mój panie.

Jakby na przekór jej słowom, komnata zatrzęsała się od kolejnej eksplozji w głębi kompleksu.

– Czego ode mnie chcesz?

– Pozwól mi się od ciebie uczyć - poprosiła, najwyraźniej nie zwracając uwagi na szybko narastające zagrożenie wybuchem. - Wprowadź mnie w arkana Ciemnej Strony. Zdradź mi tajniki Sithów.

– Zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz? - spytał Bane.

– Moje życie jest pozbawione celu - wytłumaczyła Iktotchi. - Ty możesz nadać mu sens. Możesz wskazać mi drogę do mojego przeznaczenia.

– A co ty możesz mi zaoferować?

– Lojalność. Oddanie. Wahadłowiec, który zabierze cię z tego więzienia, zanim się zawali. I córkę Caleba.

Kolejna eksplozja nastąpiła na tyle blisko, że usłyszeli, jak odbija się echem w korytarzu.

– Zgadzam się - powiedział Bane po chwili namysłu i zgasił miecz świetlny.

Niecałą minutę później byli już na pokładzie wahadłowca Iktotchi, zostawiając za sobą Kamienne Więzienie i jego agonalne wstrząsy.

Zannah wracała tą samą drogą, którą przyszła, kierując się w stronę niewielkiego hangaru, gdzie powinni na nią czekać Set i jej wahadłowiec. Całe jej ciało było nasycone Mocą, a nogi niosły ją tak szybko, że wiatr rozwiewał jej włosy.

Biegając, czuła wstrząsy unoszące się z głębi lochów, wywołane przez eksplozje, z których każda kolejna następowała trochę bliżej niż poprzednia. Wybuch spowodowany przez Bane'a był pojedynczym ładunkiem zdetonowanym przez jego trzeszczącą błyskawicę energii. Te eksplozje były o wiele silniejsze - osiem czy dziesięć ładunków rozmieszczonych w niewielkiej odległości wybuchało jednocześnie, powodując zawalenie całej sekcji kompleksu.

Zanim opuściła oświetlone korytarze otworzonej przez najemników części lochów i zapuściła się w ciemne tunele nieużywanego skrzydła, którym dostała się do środka, eksplozje były już na tyle bliskie, że słyszała je tak samo wyraźnie, jak czuła wibracje w podłodze. Następowały teraz po sobie w krótszych odstępach czasowych niż początkowe dziesięć sekund, wybijając równomierny rytm.

Zanurzyła się w mrok, nie zwracając sobie głowy prętem jarzeniowym. Oddech miała urywany i nieregularny, ale szła bardzo pewnie. Każdy mięsień i nerw jej ciała buzował potęgą Mocy, a zmysły wyostrzone były do niezwykłego poziomu. Nie musiała widzieć, żeby odnajdywać drogę - jak nietoperz słyszała echa alarmu, które odbijały się od ścian, podłogi i sufitu, pozwalając jej nakreślić dźwiękowy obraz otoczenia. Dudnienie detonowanych ładunków stanowiło kontrpunkt dla jednostajnego wycia alarmu.

Kiedy wpadła do hangaru, w którym czekał jej wahadłowiec, zaskoczyły ją dwie sprawy. Po pierwsze, światła jej statku niemal ją oślepiły po całkowitych ciemnościach podziemnych tuneli, którymi biegła. Drugą niespodzianką był brak Seta Hartha.

Zawsze podejrzewała, że Set może zwiać, ale nie potrafiła znaleźć powodu, dla którego miałby zniknąć, zostawiając jej wahadłowiec. Nie miała jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Usłyszała grzmot kolejnej eksplozji, tym razem na tyle blisko, że aż zatrzęsły się ściany hangaru.

Wskoczyła do wahadłowca i uruchomiła go w momencie, gdy następny wybuch zakołysał statkiem. Usiłując nie wypaść z fotela pilota, Zannah

pociągnęła za drążek i statek poderwał się z ziemi. Przechyliła go mocno i skierowała w stronę wylotu hangaru, po czym uderzeniem pięści odpaliła główne silniki.

„Zwycięstwo” skoczyło do przodu i wypadło z jaskini w chwili, gdy ostatni wybuch zdetonował ładunki umieszczone w ścianach hangaru, powodując zawalenie całej konstrukcji.

Gdy tylko znalazła się w bezpiecznej odległości, Zannah wprowadziła współrzędne lotu i włączyła autopilota. Teraz statek przesuwiał się nad powierzchnią Doana, podczas gdy ona osunęła się na fotel, próbując złapać oddech. Szaleńczy bieg do wolności wyczerpał ją zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Całe jej ciało pokrywał pot, a mięśnie ud i łydek drżały, grożąc skurczami.

Przeżyła, ale całą tę misję trudno było uznać za sukces. Pozwoliła Bane'owi wymknąć jej się z rąk i nie miała wątpliwości, że jej Mistrz zdołał wydostać się z Kamiennego Więzienia, tak samo jak ona. A na dodatek straciła ucznia.

Nie wiedziała, czy Set uciekł, czy zginął w wybuchu, i nie było prostego sposobu, żeby się o tym przekonać. Relacja, którą w ciągu dwudziestu lat stworzyła z Bane'em, była na tyle silna, że rozciągała się na całą galaktykę - czułaby jego śmierć niezależnie od tego, gdzie i kiedy by ona nastąpiła. Set był jej uczniem zaledwie od kilku dni. Wyczułaby go, gdyby znajdował się w pobliżu, tak samo jak każdego, kto miał bliską łączność z Mocą, ale nie było między nimi żadnej szczególnej więzi.

Jednak Set stanowił najmniejszy z jej problemów. Ważne, że Bane wciąż żył. Wiedziała, że gdy tylko odzyska swój miecz świetlny, będzie jej szukał... chyba że ona znajdzie go pierwsza.

Tyle że Zannah nie miała pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania.

ROZDZIAŁ 24

Kapsuła ratunkowa Kamiennego Więzienia była mała i pozbawiona luksusów prywatnego statku księżnej, ale wyposażono ją w hipernapęd piątej klasy i była dobrze przygotowana do międzygwiazdnych podróży. Teoretycznie istniało duże prawdopodobieństwo, że gdyby zaszła konieczność uruchomienia mechanizmu autodestrukcji lochów, prominentni członkowie rodziny królewskiej i ich służba będą musieli opuścić Doan.

W przypadku Serry rzeczywiście tak było. Mogła sobie wyobrazić, jakie polityczne reperkusje spowodowała. Kamienne Więzienie, zamknięte przez ojca obecnego króla, oficjalnie wciąż było nieczynne. Jego zniszczenie musiało wywołać wiele pytań o to, co się faktycznie działo w kompleksie pod rezydencją rodziny królewskiej. Oczywiście śledztwo nie przyniesie żadnych rezultatów - ładunki wybuchowe zostały tak rozmieszczone, żeby spowodować maksymalne zniszczenia w konstrukcji więzienia. Ewentualne prace rekonstrukcyjne okazałyby się zbyt kosztowne i nieefektywne. Wszelkie tajemnice, jakie skrywało Kamienne Więzienie, zostały pogrzebane na zawsze.

To nie powstrzyma jednak plotek i domysłów. Górnicy już przedtem byli nieufni wobec arystokracji; wiadomość, że niesławne lochy zostały znów otwarte - nawet jeśli tylko tymczasowo - na nowo rozjątrzy stare rany. Poparcie dla buntowników i ich liczebność wzrosnie.

Zniknięcie księżnej tylko powiększy zamęt, ale na dłuższą metę lepiej będzie, jak zniknie. Ślubowała lojalność doańskiej rodzinie królewskiej i zdradziła ją, sprowadzając kłopoty i nieszczęście na ród Gerrana. Jeśli król i wszyscy inni będą myśleli, że Serra nie żyje, pogrzebana pod tysiącami ton gruzu, łatwiej im będzie uporządkować ten bałagan, który po sobie zostawiła.

Nie mogąc powrócić do swojego domu na Doanie, obrała kurs na jedyne poza nim miejsce w galaktyce, w którym kiedykolwiek zaznała szczęścia. Gdy jednak wylądowała obok domostwa swojego ojca na Ambrii, nie czuła radości.

Miała poczucie, że przez te kilka krótkich miesięcy straciła wszystko.

Osamotniona, zagubiona i dręczona poczuciem winy, przyleciała tu w nadziei, że odnajdzie spokój... dla siebie i dla swojej przyjaciółki.

Był wczesny wieczór; ostatnie promienie słońca znikają za horyzontem, gdy wyciągnęła ciało Lucii. Położyła przyjaciółkę delikatnie na ziemi, po czym wróciła do kapsuły i znalazła małą łopatkę w schowku z zapasami.

Piaszczysta gleba była miękka, więc jej zadanie okazało się łatwiejsze, niż byłoby na większości planet. Mimo wszystko potrzebowała ponad godzinę wytrwałego kopania, zanim grób był gotowy. Starannie ułożyła ciało Lucii w wykopanym dole, wzięła znów łopatkę i zasypała przyjaciółkę.

Żar pustyni szybko przygasał wraz z zachodzącym słońcem i gdy Serra skończyła swoją pracę, chłód wieczoru przyprawił ją o dreszcze. Ale wysiłek fizyczny był oczyszczający. Odrętwienie, które opanowało jej myśli i uczucia, w końcu ustąpiło.

Poczuła lekki wietrzyk i znowu przeszedł ją dreszcz. Zamiast jednak wracać do kapsuły postanowiła poszukać schronienia w starej, opuszczonej chacie swojego ojca.

Skuliła się w kącie i zamknęła oczy. Wciąż czuła tutaj obecność Caleba. Mimo że jego już nie było, to miejsce przywoływało wspomnienia: jego twarz, jego głos. Czerpała z nich pociechę, jakby łagodna siła i mądrość ojca w jakiś sposób spływały na nią poprzez miejsce, w którym spędził prawie całe dorosłe życie.

Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo zblądziła. Caleb zawsze ostrzegał ją przed pokusami Ciemnej Strony, a jednak, gdy przyszło co do czego, zlekceważyła jego słowa. I wszystko, co poszło nie tak - cała ta krew, którą miała teraz na rękach - wzięło się z jej własnej nienawiści i żądzy zemsty.

Zaczęło się od śmierci Gerrana. Zamiast przeboleć okres żałoby i żyć dalej, ona kurczowo trzymała się swojego żalu, aż zmienił się w gorzki gniew, który trawił ją w każdej sekundzie życia. To dlatego Lucia w desperacji wynajęła zabójczynię, żeby dokonać zemsty w imieniu księżnej. Miała nadzieję, że to w jakiś sposób pozwoli jej przyjaciółce wyrwać się z mroku, który ją okrył. Tymczasem bezwiednie uruchomiła ciąg wydarzeń, który spowodował dalsze nieszczęścia.

Łowczyni zgładziła Rycerza Jedi, Medda Tandara. To pociągnęło za sobą wmieszanie w sprawę Rady Jedi i króla. Kiedy Lucia przyznała się do swojego czynu księżnej, Serra powinna być przerażona. Jej ojciec byłby wstrząśnięty. Powinna była powiedzieć królowi o zabójczym, nie wspominając imienia Lucii, żeby chronić przyjaciółkę. Mogła uniknąć tego całego cierpienia jednym prostym aktem uczciwości. Woląca jednak go

oszukać i zachować tajemnicę dla siebie, upajając się potworną zbrodnią popełnioną w jej imieniu.

To kłamstwo zaowocowało wyprawą na Coruscant, gdzie poznała los swojego ojca. Patrząc wstecz, nie miała wątpliwości, że Caleb wolał oddać życie, niż poddać się woli Ciemnej Strony. Zamiast jednak uszanować pamięć ojca i pójść za jego przykładem, pozwoliła, by żal wypaczył jej poczucie sprawiedliwości. Znowu dopuściła, żeby kierowały nią gniew i nienawiść, i wysłała Lucię, żeby po raz drugi wynajęła Łowczynię.

Kiedy mroczny człowiek z jej koszmarów został pojmany, Serra miała jeszcze jedną szansę, by cofnąć się znad przepaści. Mogła wydać go władzom, tymczasem postanowiła go uwięzić i torturować.

Wtedy zagłębiła się już tak bardzo w otchłań mroku, że nawet Lucia wyczuła jej deprawację. Przyjaciółka próbowała ją ostrzec, bo widziała, jak Serra się zmienia. Ale teraz Lucia także nie żyła.

Gniew, zemsta, kłamstwo, okrucieństwo, nienawiść - to były ścieżki Ciemnej Strony. Od śmierci Gerrana Serra pozwalała, żeby zapanowały nad jej życiem, wciągając ją coraz głębiej. Dopiero teraz, samotna i skulona w kącie chaty pośrodku pustyni, zrozumiała ich prawdziwą cenę.

Ciemna Strona niszczy. Nie może dać spokoju ani ukojenia; przynosi jedynie nieszczęście i śmierć.

Caleb to rozumiał. Próbował jej to wpoić, ale ona go zawiodła i kosztowało ją to utratę wszystkiego.

- Wybacz mi, ojczy - wyszeptła, podnosząc rękę, żeby otrzeć łzę. - Teraz rozumiem.

Tego, co się stało, nie można było już cofnąć. Będzie musiała żyć z brzemieniem swoich zbrodni. Już nigdy nie da się jednak omotać Ciemnej Stronie. Niezależnie od tego, jaki czekał ją los i jaka kara lub konsekwencje mogły ją spotkać, postanowiła przyjmować wszystko ze spokojem i łagodną siłą.

Wciąż jestem córką mojego ojca, uświadomiła sobie.

Bane dobrze wiedział, jak bliski był śmierci z rąk Zannah w Kamiennym Więzieniu. Jednak wciąż żył, dając świadectwo swojej niezmiennej siły i potęgi. Przybył tam jako więzień, ale wyszedł jeszcze potężniejszy niż przedtem. Holocron Andeddu został utracony, najprawdopodobniej pogrzebany na zawsze pod gruzami lochów, ale Bane zdążył posiąść jego najcenniejszy sekret - tajemnicę transferu esencji. I chociaż jego uczennica wciąż żyła, być może właśnie znalazł jej następczynię.

Obserwował uważnie Iktotchi, jak obsługuje przyrządy nawigacyjne wahadłowca, dokonując drobnych korekt kursu, odkąd opuścili spokojną próżnię kosmosu i zagłębili się w turbulencje atmosfery Ambrii.

Powiedziała mu, że nazywa się Łowczyni i że przez ostatnie pięć lat pracowała jako zabójca na zlecenie, doskonaląc umiejętność rozpoznawania i wykorzystywania słabości swoich ofiar. Trudno było zakwestionować efekty; podczas swoich krótkich spotkań z Bane'em zdążyła zademonstrować zarówno wyjątkową ambicję, jak i niewiarygodny potencjał. Jej osiągnięcia były tym bardziej imponujące, że nigdy nie przechodziła żadnego formalnego szkolenia w zakresie posługiwania się Mocą. Wszystko to były jej naturalne zdolności. Czysty instynkt. Surowa siła.

Umiejętność zaburzania Mocy u innych stanowiła dodatkowe świadectwo jej potęgi. Nigdy nie uczyła się tej rzadkiej i trudnej techniki; po prostu stosowała ją przeciw wrogom samą siłą woli - surową, ale skuteczną.

Jednak Mrocznego Lorda najbardziej zaintrygował inny jej talent.

– W jaki sposób odnalazłaś mnie na Ciutric? - spytał, gdy wahadłowiec zniżył się nad pustynną powierzchnię planety.

– Dzięki moim wizjom - wyjaśniła Łowczyni. - Kiedy się skoncentruję, ukazują mi się obrazy: ludzie, miejsca. Czasem widzę urywki przyszłości, chociaż nie zawsze się sprawdzają.

– Przyszłość nigdy nie jest statyczna - powiedział Bane. - Cały czas jest kształtowana przez Moc... i tych, którzy potrafią Mocą kierować.

– Czasami mam też wizje przeszłości. Wspomnień tego, co było. Widziałam cię tutaj, na Ambrii. Z młodą, jasnowłosą kobietą.

– To moja uczennica.

– Ona jeszcze żyje?

– Na razie.

Na horyzoncie dostrzegli pierwsze promienie słońca Ambrii, wyciągające się ku nim jak palce. Żłociste światło padło na dziób wahadłowca, gdy tymczasem Bane zastanawiał się, do jakiego stopnia Iktotchi mogłaby rozwinąć swoje zdolności, gdyby została odpowiednio wyszkolona i pokierowana.

Mądrość Bane'a pozwalała mu interpretować wydarzenia i przewidywać ich najbardziej prawdopodobne skutki, ale rzadko miewał prawdziwe wizje przyszłości. Potrafił manipulować otaczającą go galaktyką, popychając ją nieubłaganie ku chwili, w której wszyscy będą musieli ukorzyć się przed Sithami, jednak utrzymywanie wszystkiego na właściwym torze wymagało dużego wysiłku. Jego długofalowe plany eliminacji Jedi i zawładnięcia

galaktyką podlegały nieustannym zmianom, wynikającym z nieoczekiwanych i całkowicie nieprzewidywalnych wydarzeń, które wpływały na układ społeczny i polityczny.

Za każdym razem, gdy do tego dochodziło, Bane musiał wstrzymać realizację planów do czasu, aż był w stanie ocenić zmiany i właściwie na nie zareagować. Ale gdyby Łowczyni nauczyła się odpowiednio wykorzystywać swój dar, możliwości Sithów nie ograniczałyby się jedynie do reagowania na wydarzenia. Mogliby przewidywać losowe zmiany i przygotowywać się na nie na długo, zanim nastąpią.

Bane przeczuwał jeszcze większe możliwości. Wiedział, że niczyj los nie jest z góry ustalony. Istniało wiele potencjalnych przyszłości, a Łowczyni potrafiła zobaczyć dzięki Mocy jedynie różne wersje tego, co może się zdarzyć. Gdyby nauczyła się segregować swoje wizje, oddzielając od siebie osie czasu, czy mogłaby nimi także sterować? Czy zdołałaby kiedyś osiągnąć taką władzę, żeby wpływać na przyszłość, po prostu o niej myśląc? Czy mogłaby wykorzystywać potęgę Mocy, żeby kształtować samą strukturę istnienia i urzeczywistniać wybrane wizje?

– W hangarze powiedziałaś, że czekałaś na mnie - zauważył Bane, pragnąc lepiej zrozumieć jej dar. - Twoje wizje powiedziały ci, że przyjdę?

– Niezupełnie. Miałam przeczucie... ale niewyraźne. Czułam, że ta chwila jest ważna, chociaż nie wiedziałam, co się stanie. Mój instynkt podpowiedział mi, że będzie dla mnie lepiej, jeśli zaczekam.

Bane pokiwał głową.

– Twój instynkt czasem się myli?

– Rzadko.

– To dlatego przylecieliśmy na Ambrię? Twoje wizje, twój instynkt, powiedziały ci, że córka Caleba tu będzie?

– Księżna spotkała się tu ze mną, kiedy wynajmowała mnie, żebym cię odnalazła - odparła zabójczyni. - To miejsce ją przesiaduje. Nie potrzebowałam wizji, żeby wiedzieć, że właśnie tutaj przyleci.

Mroczny Lord się uśmiechnął. Była nie tylko potężna, ale i inteligentna.

Parę minut później wahadłowiec wylądował przy chacie Caleba, obok niewielkiej kapsuły ratunkowej.

Opuszczając statek, Bane przypomniał sobie o potędze ukrytej pod powierzchnią Ambrii. Moc spustoszyła niegdyś ten świat, zanim starożytny Mistrz Jedi uwięził ją w głębinach jeziora Natth. Teraz planeta była konglomeratem energii zarówno Ciemnej, jak i Jasnej Strony.

Bane zauważył świeżo usypany grób w odległości kilku metrów, ale nie

zatrzymał się, żeby mu się przyjrzeć. Zmarli nie mieli dla niego żadnego znaczenia.

Długimi, pewnymi krokami skierował się w stronę rozsypującej się chaty. Łowczyni podążała za nim krok w krok.

Zanim jeszcze dotarł do celu, księżna wyszła z chaty, żeby stawić mu czoło. Była sama i nieuzbrojona, ale, w przeciwieństwie do ich ostatniego spotkania w więziennej celi, teraz nie wyczuwał w niej strachu. Miała w sobie spokój i pogodę ducha, które przywiodły Bane'owi na myśl pierwsze spotkanie z jej ojcem.

Nastrój Bane'a także się zmienił. Nie kierowała nim już niepoohamowana żądza krwawej zemsty. W Kamiennym Więzieniu musiał czerpać ze swojego gniewu siłę, żeby przetrwać i pokonać wrogów. Tutaj jednak nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Pozwalając sobie na luksus dokładnego namysłu, doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby jej zabijać... jeśli tylko będzie mógł skorzystać z jej umiejętności.

Stali tak twarzą w twarz, przyglądając się sobie w milczeniu. Wreszcie Serra przerwała ciszę.

– Widziałeś grób po wylądowaniu? Pochowałam tam wczoraj Lucię.

Bane nie odpowiedział. Serra powolnym ruchem uniosła rękę i otarła z oka pojedynczą łzę, zanim odezwała się ponownie:

– Uratowała ci życie. Nie obchodzi cię, że nie żyje?

– Martwi nie mają żadnej wartości dla żywych - odpowiedział.

– Była twoją przyjaciółką.

– Czymkolwiek była, już jej nie ma. Teraz to tylko rozkładające się mięso i kości.

– Ona sobie na to nie zasłużyła. Jej śmierć była... bezsensowna.

– Śmierć twojego ojca była bezsensowna - powiedział Bane. - On miał cenne umiejętności; dwa razy ocalił mi życie, kiedy nikt inny nie potrafił mnie uzdrowić. Gdyby to ode mnie zależało, zostawiłbym go przy życiu na wypadek, gdybym potrzebował jego usług po raz trzeci.

– On nigdy by ci nie pomógł z własnej woli - odparła Serra. W jej głosie nie było złości, chociaż w jej słowach dźwięczała prawda.

– Ale jednak mi pomógł - przypomniał jej Bane. - Był użyteczny. Ty też możesz mi się przydać, jeśli odziedziczyłaś po nim talent.

– Mój ojciec nauczył mnie wszystkiego, co wiedział - przyznała. - Ale, tak samo jak on, nigdy bym nie pomogła takiemu potworowi jak ty.

Odwróciła się w stronę Iktotchi, która stała w milczeniu przy boku Bane'a.

– Jeśli przyłączysz się do tego człowieka, on cię zniszczy - ostrzegła ją. - Wiem, jaką zapłatę otrzymują ci, którzy kroczą ścieżką Ciemnej Strony.

– Ciemna Strona da mi siłę - odparła Łowczyni z pewnością siebie. - Poprowadzi mnie do mojego przeznaczenia.

– Tylko głupiec może w to wierzyć - odparowała księżna. - Spójrz na mnie. Poddalam się nienawiści. Pozwoliłam, żeby mnie strawiła. Moja żądza zemsty kosztowała mnie wszystko i wszystkich, na których mi zależało.

– Ciemna Strona pożera tych, którym brak siły, żeby nad nią zapanować - zgodził się Bane. - To gwałtowna burza emocji, która niszczy wszystko na swojej drodze. Obraca w popiół słabych i niegodnych, ale tych, którzy są dostatecznie silni, może wznieść na niezmierzone wyżyny. Dzięki niej mogą odkryć swój prawdziwy potencjał; mogą zrywać łańcuchy, które ich krępują; mogą dominować nad otaczającym ich światem. Tylko ci, którzy potrafią kontrolować Ciemną Stronę, mogą być prawdziwie wolni.

– Nieprawda - odparła Serra, kręcąc łagodnie głową. - Nie wierzę w to. Ciemna Strona jest zła. Ty jesteś zły. I nigdy nie będę ci służyć.

W jej słowach był spokojny upór i Bane poczuł, że nic, co powie i zrobi, nie zdoła jej przekonać. Przez krótką chwilę rozważał odprawienie teraz rytuału transferu esencji, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Rytuał strawiłby jego cielesną powłokę, a gdyby nie udało mu się zawładnąć jej ciałem, jego duch zostałby na zawsze uwięziony w próżni. Księżna miała wolę równie silną jak jej ojciec i Bane nie był pewien, czy uda mu się ją przewyciężyć.

Zresztą nie musiał tego robić teraz. Miał jeszcze kilka lat, zanim jego obecne ciało całkiem osłabnie. Lepiej było poczekać i poszukać specjalisty, który mógłby stworzyć ciało klona. Albo znaleźć kogoś młodszego i bardziej niewinnego.

– Nie będzie z niej żadnego pożytku, Mistrzu - zauważyła Iktotchi z żarliwym błyskiem w oku. - Czy mogę ją dla ciebie zabić?

Skinął głową i Łowczyni ruszyła powoli w stronę księżej. Bane wyczuł, że Iktotchi lubi delectować się samym aktem zabijania, upajać się strachem i bólem ofiary. Ale Serra nie zrobiła nic, żeby się bronić. Nie próbowała uciekać ani błagać o litość. Stała w całkowitym bezruchu, gotowa na przyjęcie swojego losu z niemą akceptacją.

Widząc, że córka Caleba nie da jej satysfakcji, zabójczyni zakończyła życie Serry.

ROZDZIAŁ 25

Zannah zawiesiła palec nad pulpitem nawigacyjnym „Zwycięstwa”, zastanawiając się nad kolejnym celem podróży. Od czasu ucieczki z Kamiennego Więzienia okrążała Doan, utrzymując wahadłowiec na niedużej wysokości.

Nie chciała wracać na Ciutric. Bane wciąż żył i musiała go znaleźć, ale nie sądziła, żeby Mistrz miał zamiar wrócić w najbliższym czasie do ich domu.

Przez pewien czas rozważała, czy nie udać się do rezydencji Seta na Nar Shaddaa. Jeśli nawet Set zginął, z pewnością nie miałby pretensji, gdyby wykorzystowała jego dom jako bazę wypadową podczas polowania na swojego Mistrza. A gdyby okazało się, że jest w domu - jeśli zdołał jakoś uciec przed zawaleniem się lochów - wówczas Zannah miałaby do niego mnóstwo pytań.

Im dłużej jednak myślała o spotkaniu z człowiekiem, którego wybrała na swojego ucznia, tym mniejszą miała na to ochotę. Z perspektywy czasu widać było wyraźnie, że Set to była pomyłka. Pragnąc jak najszybciej objąć rolę Mrocznego Lorda, przekonywała samą siebie, że jej wybór jest słuszny. Tak bardzo zależało jej na znalezieniu własnego ucznia, że ignorowała jego oczywiste wady.

Set był niebezpiecznym człowiekiem - i może będzie musiała się z nim kiedyś zmierzyć, jeśli okaże się, że przeżył - ale nie nadawał się na Sitha. Jego więź z Mocą była silna i odczłowieczył najbardziej egoistyczne aspekty Ciemnej Strony. Jednak brakowało mu dyscypliny. Pochłaniały go doczesne zachcianki i żądze, które przesłaniały mu szerszą wizję. A co najgorsze, zdecydowanie brakowało mu ambicji.

Zannah nakłoniła go, by jej służył, za pomocą kombinacji gróźb i obietnic potęgi. Ale zwodziła siebie tak samo, jak Seta. Nie ulegało wątpliwości, że nie zależało mu na władzy nad galaktyką. Był zadowolony ze swojego miejsca w życiu i nie miał ochoty na poświęcenia, konieczne, żeby stać się kimś więcej. A ona z jakichś powodów nie potrafiła tego dostrzec. Może bała się patrzeć. Może Set za bardzo przypominał jej ją samą.

W głowie cały czas dźwięczały jej słowa wypowiedziane przez Bane'a,

kiedy oskarżyła go o złamanie Zasady Dwóch:

„Czekałem latami, żebyś rzuciła mi wyzwanie. Ale ty wolałaś czaić się w moim cieniu”.

Czyżby miał rację? Czy to możliwe, że w jakimś sensie bała się przejąć obowiązki Mistrza Sithów? Nie. Przecież próbowała go zabić.

Próbowała, ale bezskutecznie, mimo że Bane nie miał miecza świetlnego. Czy to możliwe, że tak naprawdę wcale nie chciała go pokonać? Czy jakaś część jej podświadomości powstrzymywała ją, żeby Bane mógł przeżyć tak długo, aż będzie miał szansę uciec?

Nie. To tylko on chce, żebym właśnie tak myślała.

Słowa Bane'a to był wybieg. Chciał osłabić jej pewność siebie. Szukał jakiegoś punktu zaczepienia, który dałby mu szansę na przetrwanie, ale nie miał racji. Zannah naprawdę chciała go zabić w korytarzach więzienia. A jednak zdołał jakoś przeżyć.

Zannah musiała przyznać sama przed sobą, że jest jeszcze inna, bardziej niepokojąca możliwość. Czyżby Bane był po prostu od niej silniejszy? Jeśli nie potrafiła go pokonać, kiedy był nieuzbrojony, to jakie będzie miała szanse, kiedy on odzyska swój miecz świetlny?

To też nie miało sensu. Bane wprawdzie uszedł z życiem, ale nie wygrał tego pojedynku. Miecz świetlny dawał Zannah ogromną przewagę; pozwolił jej zepchnąć Bane'a do defensywy. Więc dlaczego nie potrafiła go wykończyć?

Z pewnością popełniła jakiś błąd taktyczny. Tylko jaki?

To pytanie nie dawało jej spokoju. Rozsiadła się wygodnie w fotelu i założyła ręce na piersi, gdy tymczasem komputer nawigacyjny wciąż czekał na współrzędne. Zagryzła w skupieniu wargi. Czowała, że odpowiedź jest tuż-tuż; musiała ją tylko odnaleźć.

Obracała w głowie ciągle ten sam scenariusz, analizując go z każdej strony. Była cierpliwa, ostrożna. Może zanadto? Dlatego jej Mistrz potrafił trzymać ją na dystans, pomimo jej przewagi. Ale gdyby walczyła bardziej agresywnie, naraziłaby się na potencjalnie zabójczy kontratak.

Czy to jest właśnie odpowiedź? Czy powinna była zaryzykować, żeby odnieść zwycięstwo?

Zannah pokręciła głową. Nie o to chodziło. Bane wpajał jej, że zawsze należy minimalizować ryzyko, ponieważ ono polega na szczęściu, a szczęście prędzej czy później musi się odwrócić, nawet jeśli ma się po swojej stronie Moc.

I wtedy ją olśniło. Próbowała go pokonać, używając zwierzęcej siły;

toczyła walkę na jego warunkach.

Nigdy nie dorówna Bane'owi siłą fizyczną. Zawsze będzie nad nią górował w sztukach walki. Więc dlaczego chciała pokonać go w walce na miecze świetlne, skoro jej prawdziwy talent tkwił gdzie indziej?

Dała mu się podejść. Udawał, że ma broń, wiedząc, że ona przejrzy jego blef. Bane chciał, żeby skupiła uwagę na jego brakującym mieczu. Podjudzał ją do walki.

Użycie miecza świetlnego do pokonania nieuzbrojonego przeciwnika było najprostszą, najbardziej oczywistą drogą do zwycięstwa... i Bane zręcznie ją na tę drogę skierował. Jednak najbardziej oczywista droga rzadko kiedy bywa najlepsza.

Bane nie bał się jej miecza. Zannah dysponowała tylko jedną rzeczą, której musiał się obawiać - magią Sithów. Używając Mocy, potrafiła robić rzeczy, o których Bane mógł tylko pomarzyć. Potrafiła zaatakować umysł przeciwnika, obracając jego myśli i sny przeciwko niemu.

Podczas szkolenia Bane zachęcał ją do zgłębiania arkanów magii. Podsuwał jej starożytne teksty pełne tajemnych rytuałów, namawiając ją do poszerzania wiedzy i rozwijania talentu. Pokierował jej nauką tak, aby mogła w pełni wykorzystać swój potencjał. Ale sam nie zdawał sobie sprawy, jak daleko zaszła.

Obok tomów, które przynosił jej Mistrz, Zannah przez lata na własną rękę wyszukiwała źródła ukrytej wiedzy Sithów. Ćwicząc w tajemnicy, czyniła postępy znacznie przerastające oczekiwania Bane'a; poznawała nowe zaklęcia, które pozwalały jej uwalniać potęgę Ciemnej Strony w sposób, jaki jemu nawet się nie śnił.

Gdy się spotkamy następnym razem, Mistrzu, przekonasz się, jak potężna się stałam.

Miała przeczucie, że to spotkanie wkrótce nastąpi. Bane gdzieś tam był. Knuł i planował ich kolejne starcie. Zannah wiedziała, że jeśli szybko go nie znajdzie, on znajdzie ją.

Zapadała już noc, kiedy Łowczyni wróciła do obozowiska. Bane rozkazał jej pochować Serre - nie z szacunku, ale żeby pozbyć się ciała, zanim zacznie się rozkładać i przyciągać padlinożerców. Iktotchi nie protestowała ani nie kwestionowała jego rozkazu - albo rozumiała taką konieczność, albo wierzyła w słuszność jego decyzji.

Pod jej nieobecność Bane przyniósł drewno ze stosu na tyłach chaty i rozпалиł ogień, żeby odegnać chłód. Iktotchi stała teraz przed nim, a blask

plamieni nadawał jej czerwonej skórze złowieszczy pomarańczowy odcień.

– Mówiłaś, że chcesz, żebym cię uczył - przypomniał, kucając, żeby rozniecić ogień patykiem. Trzymał go mocno w lewej ręce, żeby powstrzymać jej drzenie.

– Chcę poznać tajniki Sithów.

– Jeśli masz zostać moją uczennicą, musisz odrzucić łańcuchy swojego dotychczasowego życia. Musisz odciąć się od rodziny i przyjaciół.

– Nie mam rodziny ani przyjaciół.

– Nie będziesz mogła wrócić do swojego domu; musisz być gotowa porzucić cały swój doczesny dobytek.

– Bogactwo i dobra materialne nic dla mnie nie znaczą - odparła. - Pragnę tylko potęgi i celu. Potęga pozwala zdobyć wszystko, czego się chce. Cel nadaje życiu sens.

Bane pokiwał głową z aprobatą i pogrzebał znowu w ogniu.

– Jeśli zostaniesz moją uczennicą, twoje dotychczasowe wcielenie przestanie istnieć - ciągnął. - Musisz się odrodzić w Ciemnej Stronie.

– Jestem gotowa, mój panie. - Żarliwość w jej głosie nie pozostawiała wątpliwości.

– W takim razie wybierz sobie nowe imię jako symbol twojego nowego, wspaniałego życia.

– Cognus - powiedziała po chwili namysłu.

Bane był pod wrażeniem. Rozumiała, że jej potęga nie kryje się w ostrzach ani w żądy krwi, ale w wiedzy, mądrości i zdolności przewidywania przyszłości.

– Dobre imię - pochwalił. Odłożył patyk i wyprostował się. Iktotchi uklękła przed nim na jedno kolano i skłoniła głowę.

– Od tej chwili nazywasz się Darth Cognus - powiedział.

– Jestem gotowa rozpocząć szkolenie - odparła Cognus, wciąż przed nim klęcząc.

– Jeszcze nie - powiedział, przechodząc koło niej i kierując się w stronę stojących nieopodal statków. - Jest jeszcze jedna ważna sprawa do załatwienia.

Cognus poderwała się, żeby pójść za nim.

– Twoja dotychczasowa uczennica - odgadła. A może wcale nie zgadywała?

Bane zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Widziałaś, co się wydarzy między mną a moją uczennicą?

– Od kiedy przyleciałam na tę planetę, żeby spotkać się z księżną,

miewam sny o was obojgu - przyznała Cognus. - Ale ich znaczenie jest niejasne.

– Powiedz mi, co widziałaś - zażądał Bane.

– Szczegóły się zawsze zmieniają. Różne miejsca, różne światy, różne pory dnia i nocy. Czasem widzę ją martwą u twoich stóp, kiedy indziej to ona jest zwycięzcą. Staralam się coś z tego zrozumieć, ale za dużo jest tam sprzeczności.

– Przyszłość Sithów niebezpiecznie balansuje między Zannah a mną - wyjaśnił Bane. - Ten, kto wyjdzie zwycięsko z naszej konfrontacji, pokieruje losem Sithów, ale nasze siły są zbyt wyrównane, żebyś mogła przewidzieć wynik.

Iktotchi nie odpowiedziała. W milczeniu rozważała jego słowa.

Bane zostawił ją samą, żeby mogła przemyśleć swoją pierwszą lekcję, i poszedł w kierunku jej statku. Minął dwa bliźniacze groby, nie patrząc na nie.

Gdy znalazł się w kabinie wahadłowca, ustawił nadajnik na częstotliwość prywatnego statku Zannah i wysłał zakodowany sygnał alarmowy.

Zannah odpiływała w niespokojny sen, gdy nagle wybudził ją jednostajny dźwięk dobiegający z konsoli nawigacyjnej. Zbadala jego źródło i stwierdziła, że jest to długodystansowy sygnał alarmowy. Nie był jednak nadawany na ogólnodostępnych pasmach częstotliwości, tylko na prywatnym kanale „Zwycięstwa”. Tylko jedna osoba oprócz niej znała tę częstotliwość.

Zaciekawiona, odkodowała wiadomość. Zawierała ona tylko trzy słowa: „Ambria. Dom uzdrowiciela”.

W pierwszej chwili pomyślała, że Bane zastawił na nią pułapkę i próbuje ją zwabić. Jednak im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej prawdopodobne jej się to wydawało. To przecież oczywiste, kto nadał wiadomość. Gdyby chciał zastawić pułapkę, po co miałby się ujawniać w ten sposób, pozwalając jej się przygotować?

Może po prostu chciał to zakończyć? Zanim zmorzył ją sen, Zannah rozmyślała o tym, co jej powiedział przed walką w korytarzach Kamiennego Więzienia.

„Tylko najsilniejszy ma prawo stać na czele Sithów! Tytuł Mrocznego Lorda musi być wywalczony, wyrwany z wszechpotężnego uścisku Mistrza!”

Jeśli Bane wciąż wierzył w Zasadę Dwóch - jeśli wciąż był pewny, że jest to klucz do przetrwania i ostatecznej dominacji Sithów - to ta wiadomość

była wyzwaniem, zaproszeniem dla jego uczennicy, żeby przybyła na Ambrię dokończyć to, co zaczęli w Kamiennym Więzieniu.

Musiła przyznać, że to lepsze niż marnowanie lat na wzajemne pościgi po galaktyce, zastawianie pułapek i intrygi. Bane zreformował Sithów z myślą o tym, aby skupiali swoje wysiłki na walce z wrogami, a nie ze sobą nawzajem. Kiedy uczeń rzucał wyzwanie Mistrzowi, wszystko miało się rozstrzygnąć w pojedynczym starciu - szybkim, czystym i ostatecznym.

Teraz jednak Zakon był podzielony. Nie byli już Mistrzem i uczennicą, ale rywalami walczącymi o tytuł Lorda Sithów. Trwali w stanie wojny i tak długo, jak długo oboje żyli, Sithowie pozostaną podzieleni. Czy tak trudno uwierzyć, że dla dobra Zakonu Bane pragnął położyć temu kres pojedynkiem na Ambrii? Jeśli Bane w dalszym ciągu respektował zasadę, którą sam stworzył, jego wiadomość należało wziąć za dobrą monetę.

Ale co z holocronem Andeddu?

Początkowo sądziła, że Bane, chcąc poznać tajemnicę wiecznego życia, postępuje wbrew Zasadzie Dwóch. Teraz nie była już tego taka pewna. Czy nieśmiertelność oznaczałaby rzeczywiście naruszenie podstawowych założeń zasady? Sekrety holocronu mogły powstrzymać proces starzenia, ale Zannah wątpiła, żeby ochroniły Bane'a przed śmiercią w walce. Jeśli okaże się wystarczająco silna, żeby go pokonać, to wciąż może zostać Mistrzynią, tak jak zaplanował to Bane, kiedy znalazł ją jako małą dziewczynkę na Ruusanie.

Teraz zastanawiała się, czy holocron nie był tylko zabezpieczeniem mającym gwarantować, że Zakon pozostanie silny. Może Bane chciał uchronić w ten sposób Zakon przed sytuacją, w której niegodny kandydat mógłby objąć tron Sithów wyłącznie dzięki temu, że Mistrz stał się słaby i zniedołężniały z powodu wieku.

Zannah nachyliła się i wprowadziła współrzędne kursu na Ambrię, zastanawiając się, dlaczego Bane wybrał właśnie chatę uzdrowiciela na miejsce ich ostatecznego starcia.

Planeta była przesiąknięta energią Ciemnej Strony; Bane i Zannah mieszkali tam nad brzegiem jeziora Natth przez pierwsze dziesięć lat jej szkolenia. Bane jednak nie wzywał jej do ich dawnego domu; czekał na nią u Caleba.

Dwa razy Mroczny Lord był tam bliski śmierci. Czy miało to jakiś związek z takim wyborem miejsca? Czy też było jakieś inne wytłumaczenie?

Wciąż nie mogła wykluczyć, że wpadnie w pułapkę. Ambria była skąpo zaludnionym światem, co ułatwiłoby przygotowanie zasadzki bez zwracania

na siebie niepotrzebnej uwagi.

Jednak instynkt podpowiadał Zannah, że nie o to chodzi Bane'owi. A jeśli jej instynkt myli się w tak ważnej sprawie, oznacza to, że zasługuje na to, co ją czeka.

Tak czy inaczej - stwierdziła, gdy statek wykonał skok w nadprzestrzeń - wkrótce będzie po wszystkim.

Noc na Ambrii minęła, ustępując skwarowi dnia. Wraz ze wschodem słońca Bane i Cognus schronili się w chacie. Tam Mroczny Lord usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i pogrążył się w medytacji, zbierając siły w oczekiwaniu na przybycie Zannah.

– Pewnie pojawi się tutaj z całą armią - ostrzegła Iktotchi.

Bane pokręcił głową.

– Ona wie, że musi się ze mną zmierzyć sama.

– Nie rozumiem.

– Kiedyś Sithów było równie wielu, co Jedi. Jednak, w przeciwieństwie do Jedi, podwładni próbowali obalić swoich przywódców. Ich ambicja była czymś normalnym; taka jest natura Ciemnej Strony. Ona nas napędza, daje nam siłę, ale może nas też zniszczyć, jeśli wyniknie się spod kontroli. Dawniej było tak, że silny przywódca ulegał połączonym siłom licznych pomniejszych Sithów, którzy działali razem. To było nieuniknione; ten schemat wciąż się powtarzał. I za każdym razem Zakon jako całość stawał się słabszy. Najsilniejsi ginęli, a ci słabsi doprowadzali do rozbicia Sithów błahymi wojnami o sukcesję. Tymczasem Jedi pozostawali zjednoczeni, pewni, że ich wrogowie są zbyt zajęci walkami między sobą, żeby mogli ich kiedykolwiek pokonać.

– A ty znalazłeś sposób, żeby przerwać to błędne koło - wtrąciła Cognus.

– Teraz wszystko, co robimy, podyktowane jest Zasadą Dwóch - wyjaśnił Bane. - Jeden Mistrz, jeden uczeń. To gwarantuje, że Mistrz ustąpi jedynie godnemu następcy. Zannah wie, że jeśli ma mnie zastąpić, musi udowodnić, że jest silniejsza ode mnie, pokonując mnie w pojedynkę.

Cognus pokiwała głową.

– Rozumiem, Mistrzu. Nie będę się wtrącać, kiedy ona się zjawi.

Jak na zawołanie rozległ się ryk silników wahadłowca. Obydwoje wstali i wyszli na rozgrzane pustynne powietrze w chwili, gdy statek Zannah wylądował.

Po paru sekundach ukazała się ona. Tak jak przewidział Bane, była sama.

Ruszył jej na spotkanie; Cognus została przy wejściu do chaty. Zatrzymał

się pośrodku obejścia. Zannah stanęła w połowie drogi między statkami a Bane'em, zerkając podejrzliwie na stojącą za jego plecami Iktotchi.

– Ona nie będzie się wtrącać - zapewnił ją Bane.

– Kto to jest?

– Nowa uczennica.

– Przyrzekła ci posłuszeństwo?

– Jest lojalna wobec Sithów - wyjaśnił Bane.

– Chcę poznać tajniki Ciemnej Strony! - zawołała Cognus w stronę Zannah. - Chcę służyć prawdziwemu Mistrzowi Sithów. Jeżeli pokonasz Bane'a, przyrzeknę lojalność tobie.

Zannah przyjrzała się uważnie Iktotchi, po czym kiwnęła głową, przyjmując propozycję.

– Kto leży w tych grobach? - spytała, zwracając się ponownie do Bane'a.

– Córka Caleba i jej strażniczka - odparł. - To ona mnie uwięziła. Uciekła tutaj po zburzeniu Kamiennego Więzienia.

Nie widział potrzeby dalszych wyjaśnień. Zannah nie musiała wiedzieć, kim była Lucia i co ją łączyło z Bane'em.

– Zastanawiałam się, dlaczego wybrałeś to miejsce na spotkanie - mruknęła Zannah. - Pomyślałam, że może ma dla ciebie jakieś symboliczne znaczenie.

Bane pokręcił głową.

– Ostatnim razem, kiedy tu byliśmy, nie miałeś siły nawet stać - przypomniała mu jego uczennica. - Byłeś bezbronny i myślałeś, że wydałam cię Jedi. Powiedziałeś, że wolałbyś zginąć, niż spędzić resztę życia w niewoli. Chciałeś, żebym odebrała ci życie, a ja odmówiłam.

– Wiedziałaś, że mogę cię jeszcze wiele nauczyć - przypomniał sobie Bane. - Przyrzekłaś, że nie zabijesz mnie, dopóki nie poznasz wszystkich moich sekretów.

– Ten dzień nadszedł - oświadczyła Zannah, zapalając bliźniacze ostrza swojego miecza świetlnego.

W odpowiedzi Bane wyciągnął własną broń. Skrząca klinga wyrosła z zakrzywionej rękojeści z cichym szumem.

Dwoje rywali przyjęło postawy bojowe i zaczęło się wzajemnie okręzać.

– Przerosłam cię, Bane - ostrzegła go Zannah. - Teraz to ja jestem Mistrzem.

– Więc udowodnij to. - Rzucił się na nią i rozpoczęła się walka.

ROZDZIAŁ 26

Zannah spodziewała się, że Bane ruszy na nią agresywnie, ale furia jego ataku jednak ją zaskoczyła.

Rozpoczął serią ciosów wyprowadzanych oburącz znad głowy, wykorzystując swój imponujący wzrost, żeby nadać impet spadającej klindze. Zannah bez trudu parowała wszystkie uderzenia, ale były tak mocne, że zachwiała się i straciła równowagę.

Błyskawicznie się jednak pozbierała i uskoczyła przed niskim, okrężnym wymachem wymierzonym w jej kolana. Zrewanżowała się szybkim pchnięciem szpicem jednego z jej ostrzy w kierunku twarzy Bane'a, ale on odchylił głowę i odpowiedział zamaszystym cięciem na wysokości jej klatki piersiowej.

Zannah zatrzymała jego klingę jedną ze swoich - nachyliła broń tak, żeby skierować impet ataku Bane'a w dół, posyłając czubek jego miecza świetlnego w piasek. To powinno wystawić go na kontruderzenie, jednak on zdążył już zareagować na jej ruch i rzucił się całym ciałem do przodu, zanim ona zdołała unieść broń.

Wpadł na nią całym swoim ciężarem i równocześnie skierował gwałtownie głowę w przód. Zannah w ostatniej chwili odchyliła się do tyłu, dzięki czemu jego czaszka, zamiast zmiażdżyć jej twarz, prześlizgnęła się tylko po podbródku.

Z trudem zachowując równowagę, Zannah znów uniosła broń i zaczęła obracać rękojeścią, tworząc z wirujących ostrzy obronną zaporę, która odparła kolejne pół tuzina ciosów Bane'a.

Przez wszystkie lata nauki pod okiem Bane'a stoczyli setki walk sparingowych. W trakcie tych treningów zawsze wiedziała, że jej Mistrz trzyma coś w zanadrzu na ten dzień, w którym będą musieli walczyć naprawdę. Jednak dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak wiele przed nią ukrywał.

Był szybszy, niż przypuszczała; stosował nowe sekwencje i nieznane jej ruchy, których nigdy nie ujawniał w czasie ich sesji treningowych. Zdołała jednak przetrwać jakoś początkową nawałnicę i teraz wiedziała już, czego

się spodziewać.

Kolejne zwarcie miało bardziej znajomy przebieg. Bane nacierał, wykorzystując niszczycielskie, złożone kombinacje ataków, jednak Zannah potrafiła zatrzymać, sparować lub odbić każdą z nich. Jej defensywny styl był prosty, ale prawidłowo stosowany czynił ją niemal niepokonaną.

Widząc to, Bane cofnął się i zmienił taktykę. Zamiast wściekłego, nieustannego naporu, który miał ją zgnieść, ograniczył się do sekwencji fint i szybkich pchnięć, sondując i nękając jej obronę w poszukiwaniu słabego punktu. Przeciwnicy zaczęli długą walkę na wyczerpanie.

Zannah już raz z nim walczyła, kiedy jeszcze był zakuty w swoją zbroję z orbalisków. Pamiętała, że przypominało to walkę z siłami natury - chitynowe pasożyty pokrywające całe jego ciało były odporne na uderzenia miecza świetlnego, co pozwalało mu atakować z czystą zwierzęcą furią. Przeżyła ten pojedynek tylko dlatego, że udało jej się przekonać Bane'a, iż wcale go nie zdradziła; w końcu darował jej życie.

Wtedy jego styl był prosty i brutalny, choć niezaprzeczalnie skuteczny. Teraz jednak technika walki wydawała się bardziej zaawansowana. Nie miażdżył już bezmyślnie wszystkiego na swojej drodze, wypracował nieprzewidywalny, pozornie przypadkowy styl. Za każdym razem, kiedy zdawało jej się, że potrafi przewidzieć, skąd nadejdzie kolejny atak, on zmieniał strategię, zaburzając rytm walki i zmuszając Zannah do wycofania się.

Znalazła się w powolnym odwrocie. Zauważyła, że Bane spycha ją w stronę statków; liczył na to, że zdoła przyprzeć ją do metalowego kadłuba, odcinając drogę ucieczki. Zannah skwapliwie dostosowała się do jego planu. Stawiając szybkie, ostrożne kroki do tyłu na miękkim, piaszczystym terenie, jednocześnie zaczęła zbierać siły.

Kluczem do sukcesu była finezja. Nie mogła pozwolić, żeby Bane zorientował się w jej zamiarach, bo wtedy znów natarłby z dziką pasją i musiałaby poświęcić całą energię na utrzymanie dystansu. Postanowiła dać mu złudzenie, że kontroluje przebieg walki, podczas gdy w rzeczywistości tylko sekundy dzieliły Zannah od uwolnienia magii Ciemnej Strony, która miała rozerwać jego umysł na strzępy.

Bane okrążał ją szerokim łukiem, próbując zająć z lewej flanki. Zannah po prostu zmieniła tor swojego odwrotu i zrobiła jeszcze kilka kroków w tył, utrzymując bezpieczny dystans; przez ten czas wykonała parę symbolicznych sztychów i cięć.

Zaabsorbowana wrogiem, którego miała przed sobą, i zaklęciem, które

przygotowywała, Zannah nie zauważyła, jak bardzo zbliżyła się do świeżo wykopanych grobów. Cofając się, zahaczyła obcasem o ziemny pagórek, straciła równowagę i upadła niezdarnie na plecy.

Bane rzucił się na nią w mgnieniu oka. Jego miecz świetlny młócił wściekle powietrze, a ciężkie buty miażdżyły jej leżące ciało. Zannah wiała się na ziemi, wymachując rozpaczliwie mieczem świetlnym, żeby powstrzymać klingę Bane'a. Poczuła ostry ból, gdy czubek jego buta trafił ją w zebra, ale przetoczyła się, wykorzystując siłę uderzenia, i zdołała wstać.

Widziała wszystko jak przez mgłę, a ból przeszywał jej lewy bok, kiedy próbowała złapać oddech. Bane nie odpuszczał i ruszył na nią w kolejnym szaleńczym ataku. Następne parę sekund było jak niewyraźna plama. Zannah musiała polegać wyłącznie na swoim wyostrzonym w ciągu dwudziestu lat instynkcie, żeby powstrzymać falę ciosów i cudem uniknąć śmiertelnego trafienia.

Rzuciła się w tył i wykonała trzy salta jedno po drugim, żeby zwiększyć odległość między nią a Bane'em. Przed czwartym nagle się zatrzymała i przykucnęła, wystawiając miecz świetlny do przodu jak dzidę, żeby nadzieć na klingę szarżującego przeciwnika... tyle że Bane'a tam nie było.

Przewidział jej ruch i zatrzymał się parę metrów od niej.

Zannah wyprostowała się, zaciskając zęby z bólu, który powodowało złamane zebro. Bane jeszcze jej nie zabił, ale przetrwanie dużo ją kosztowało. Była już zmęczona. Rozpaczliwa ucieczka po upadku na grobie doprowadziła ją na skraj kompletnego wyczerpania. Czuła złamane zebro przy każdym oddechu i wiedziała, że ten uraz będzie utrudniał jej poruszanie, ograniczając efektywność manewrów obronnych.

Nie mogła dłużej czekać. Zamierzała zaskoczyć Bane'a - powoli zbierać siły, a potem uwolnić je, tak żeby nie mógł się skutecznie obronić. Ale wiedziała, że kolejnego starcia na miecze świetlne nie przeżyje.

Otwierając się na potęgę Ciemnej Strony, Zannah uwolniła myśli i dotknęła umysłu swojego Mistrza.

Bane przeczuwał atak i przygotowywał się na niego.

Zawsze zachęcał Zannah do zgłębiania magii Sithów, wiedząc, że pewnego dnia jego uczennica może jej użyć przeciwko niemu. Gdyby okazało się, że jest za słaby, by przeżyć, świadczyłoby to, że jest niegodny tytułu Mrocznego Lorda Sithów.

Nie znaczyło to jednak, że ma być nieprzygotowany. Magia Ciemnej Strony była bardzo złożona; atakowała umysł w sposób, który trudno było

wytłumaczyć, a jeszcze trudniej było się przed nim obronić. Bane nie miał do tego talentu, ale starał się jak najlepiej poznać technikę. Dowiedział się tyle, że jedyną prawdziwą obroną może być siła woli ofiary.

Atak Zannah zaczął się ostrym bólem w czaszce - zupełnie jakby ktoś wbił gorący nóż prosto w jego mózg, a potem rozciął obie półkule. Po chwili nóż eksplodował, rozsyłając miliony palących odłamków we wszystkich kierunkach. Każdy z nich zagłębił się w jego podświadomości, wyszukując ukryte lęki i koszmary, aby je uwolnić i wyciągnąć na powierzchnię.

Bane krzyknął i upadł na kolana. Kiedy wstał z trudem, niebo było ciemne od roju latających zjaw. Skrzydła miały wystrzępione, a z nagich kości zwisały pasy skóry. Ich ciała były małe i zdeformowane, a koślawe nogi zakończone długimi, ostrymi szponami. Skóra tych potworów miała niezdrowy żółty odcień - taki sam, jak twarze górników, którzy zginęli uwięzieni w wypełnionej gazem komorze na Apatrosie.

Ich rysy nie były ludzkie, ale płonące oczy wyglądały znajomo - każda ze zjaw patrzyła na niego nienawistnym wzrokiem jego okrutnego ojca. Nagle wszystkie naraz spadły na niego, a z ich ust wydobył się skrzeczący dźwięk, który brzmiał jak imię jego ojca: „hurst, hurst, hurst!”

Wymachując wściekle mieczem świetlnym, żeby odtrącić stado demonów, Bane skulił się nisko nad ziemią. Wolną ręką próbował zasłaniać twarz i odpychać szpony wydrapujące mu oczy. Przez otaczający go rój przelotnie ujrzał Zannah, stojącą kilka metrów od niego z twarzą zastygłą w wyrazie intensywnego skupienia.

Bane wiedział, że to sztuczka; bestie nie były prawdziwe. Były wytworem jego wyobraźni, zrodzonym z tłumionych wspomnień dzieciństwa, jego największymi lękami ucieleśnionymi w fizycznej postaci. Ale on pokonał te lęki dawno temu. Zamienił strach przed brutalnym ojcem w gniew i nienawiść - narzędzia, które pozwoliły mu przetrwać i ostatecznie uciec od życia na Apatrosie.

Wiedział, jak pokonać te demony, więc przeszedł do ataku. Z dzikim rykiem przekuł swój strach w czystą wściekłość i uwolnił potęgę Ciemnej Strony, która rozerwała rój demonów falą palącego fioletowego światła, całkowicie je unicestwiając.

Zannah patrzyła, jak Bane kuli się na ziemi, wymachując szaleńczo mieczem świetlnym na niewidzialne duchy, ale nie pozwoliła sobie na utratę koncentracji. Bane miał silny umysł; gdyby osłabła choćby na moment, mógłby się uwolnić od czaru.

Kiedy Bane wydał z siebie wrzask, pomyślała, że wygrała, ale wybuch energii, który za chwilę nastąpił, odrzucił ją do tyłu.

Gdy odzyskała równowagę, zobaczyła, że Bane znów stoi prosto. Już wiedziała, że przewyciężył czar. Miała jednak dla swojego Mistrza jeszcze jedną niespodziankę.

Znów otworzyła się na Ciemną Stronę, tym razem jednak nie zaatakowała Bane'a bezpośrednio. Pozwoliła, żeby przepłynęła przez nią energia Ciemnej Strony, którą czerpała z jądra samej Ambrii. Przywołała zakopaną od stuleci w ziemi potęgę, która wydostała się na powierzchnię w postaci wiotkich wici czarnego dymu, unoszących się z piasku.

Cienkie pasma pełzały po ziemi i łączyły się ze sobą, splatając w wijące się macki, długie na kilkanaście metrów.

W odpowiedzi na niewypowiedziany rozkaz macki uniosły się nagle i opadły na jej wroga.



Bane zobaczył dziwną czarną mgłę pełznącą po piasku i wiedział, że to nie jest złudzenie. W jakiś sposób Zannah nadała materialną formę Ciemnej Stronie, przekształcając ją w pół tuzina ciemnych węzowatych macek wyrastających z ziemi.

Wici spadły na niego nagle. Świsnął mieczem świetlnym, żeby rozciąć najbliższą z nich na pół, jednak klinga przeszła po prostu przez czarną mgłę bez żadnego efektu. Bane rzucił się w bok, ale czubek macki wciąż ocierał się o jego lewe ramię.

Fragment ubrania rozpląnął się, jakby zżarty przez kwas. Kawałek ciała pod nim po prostu się rozpuścił, a Bane zawył z bólu.

Kiedyś to orbaliski wrastały w jego ciało, wypełniając je palącym związkiem chemicznym o takiej sile, że doprowadzał go niemal do obłędu. Dziesięć lat temu zostały usunięte, a ciało Bane'a zostało przy okazji dosłownie ugotowane w wyniku porażenia jego własną fioletową błyskawicą. Podczas przesłuchania Serra wpompowała w niego truciznę, która zdawała się zżerać go żywcem od środka. Ale straszliwy ból wywołany samym dotykaniem macki napełnionej energią Ciemnej Strony nie dał się porównać z niczym, czego Bane wcześniej doświadczył.

Obrażenie nie było groźne dla życia, ale wprawiło Bane'a w stan szoku. Upadł na ziemię z opadającą szczęką i wywróconymi w górę oczami. Od tego krótkiego kontaktu zakręciło mu się w głowie. Ból promieniował na każdy nerw jego ciała, a w dodatku to, co czuł, wykraczało daleko poza czysto fizyczne doznania. Nie był to surowy żar Ciemnej Strony, raczej chłód próżni rozlewający się po jego ciele. Dotykał każdej synapsy w jego mózgu, wczepiał się w sam jego rdzeń. Dopiero teraz poczuł smak całkowitego unicestwienia i poznał prawdziwą groźbę absolutnej nicości.

W jakiś sposób zdołał zachować przytomność, kiedy więc nadciągnęła kolejna macka, udało mu się podźwignąć i uskoczyć jej z drogi.

W ramieniu czuł ciągle rwący ból, ale pustka mroku, która go przytłaczała, rozviała się. Teraz mógł już zignorować cierpienie.

Wici zbierały się do następnego ataku; poruszały się coraz szybciej, napędzane przez Zannah nieprzerwanym strumieniem energii. Bane wypuścił z palców fioletowe błyskawice, ale czarne pasma wchłonęły je bez żadnego widocznego efektu. Były zrobione z czystej energii Ciemnej Strony i nie mógł wyrzucić im żadnej krzywdy.

To oznaczało, że pozostawała mu tylko jedna możliwość - zabić Zannah, zanim macki zabiją jego.

Uwolnił kolejną falę energii skierowaną w jego uczennicę. Zatrzymała nadlatujące błyskawice mieczem świetlnym, unieszkodliwiając je. Jej reakcje były jednak odrobinę wolniejsze niż zwykle i Bane wiedział, że nie jest to tylko kwestia złamanego żebra. Wysilek konieczny do utrzymania wici w ruchu wyczerpywał jej zdolność do korzystania z Mocy, osłabiając ją na innych polach.

Bane ruszył na nią z mieczem świetlnym w dłoni. Wici pofrunęły, żeby go zatrzymać, ale on schylał się, skakał, robił uniki, przemykając pod nimi, nad nimi i obok nich, żeby uderzyć na Zannah.

Podniosła swój miecz świetlny, żeby odeprzeć jego atak, ale - pozbawione pełnej potęgi Mocy - jej ruchy były dziwnie nieporadne. Sparowała uderzenie, ale nie zdążyła zareagować, gdy Bane podciął jej nogi. Kiedy upadała, przekręcił rękojeść swojego miecza świetlnego w taki sposób, że zablokował jedną z jej kling i wyszarpnął rękojeść z dłoni Zannah, posyłając broń na drugi koniec obozowiska.

Mając bezbronno wroga u swoich stóp, Bane uniósł już miecz, żeby zadać śmiertelny cios, ale jego opadającą rękę zatrzymała jedna z wici Ciemnej Strony, owijając się wokół łokcia. Skóra, mięśnie, ścięgna i kości błyskawicznie się rozpuściły, oddzielając kończynę od ciała.

Odcięte przedramię Bane'a upadło na ziemię, a miecz świetlny sam się wyłączył, gdy rękojeść wysunęła się z pozbawionych nagle czucia palców. Mroczny Lord tym razem nie krzyczał; ból był tak silny, że odebrał mu mowę i powalił go na ziemię.

Wszystko spowiała ciemność. Ślepy i samotny, czuł, jak otacza go próżnia. W desperacji wyciągnął lewą rękę i chwycił leżącą obok niego Zannah za nadgarstek. Ostatnim wysiłkiem wezwał całą potęgę, jaka mu została, i wywołał rytuał transferu esencji.

Pracując z prędkością myśli, jego umysł zanurzył się w nurtach Mocy i zawładnął potęgą Ciemnej Strony, obracając, formując i wykrzywając ją według zawiłych wzorców, które wyrwał z holocronu Andeddu.

Zimny mrok, który go pochłaniał, ustąpił, wyparty przez palącą falę karmazynowego światła. Rytuał się rozpoczął. Bane zdawał sobie sprawę, że jego ciało zostało całkowicie strawione przez niewyobrażalny żar i w tysięcznej części sekundy zamienione w popiół. Ale on nie należał już do swojego ciała. Jego duch odrzucił je jak starą skorupę, by zastąpić ją nową.

Nagle Bane zyskał pełną świadomość otoczenia. Widział oczami Zannah, słyszał jej uszami. Czuł przez jej skórę intensywny, karmazynowy żar rytuału. Ale Zannah też tam była. Zdawała sobie sprawę z jego ataku; czuł jej przerażenie i konsternację, jakby należały do niego. A kiedy krzyknęła, on krzyczał razem z nią.

Koncentracja Zannah uległa zaburzeniu i czarne wici uleciały jak dym na wietrze. Ona jednak instynktownie przeciwstawiła się intruzowi. Bane czuł, jak go odpycha, próbując wypędzić ze swojego ciała, podczas gdy on starał się wdrzeć do środka i zakończyć jej egzystencję.

Ich starcie przerodziło się w bitwę woli. Dwie tożsamości zamknięte w umyśle Zannah walczyły o władzę nad jej ciałem, balansując na krawędzi otchłani. Bane usiłował wymazać wszelkie ślady jej tożsamości, podczas gdy ona próbowała zepchnąć go w próżnię.

Przez chwilę wydawało się, że ich siły są wyrównane i żadne z nich nie zdoła przechylić szali na swoją korzyść. I nagle nastąpił koniec.

ROZDZIAŁ 27

Z bezpiecznej odległości Iktotchi patrzyła, jak dwie postacie z jej snów toczą pojedynek. Była bezstronnym obserwatorem - było jej wszystko jedno, kto wyjdzie z tego starcia zwycięsko. Chciała jedynie służyć temu, kto okaże się silniejszy.

Walka była krótka, ale intensywna. Iktotchi z podziwem patrzyła na prędkość kling dwojga rywali - ich ruchy były tak szybkie, że z trudem nadążała za akcją. Czuła zapierającą dech potęgę Mocy, uwalnianą poprzez błyskawice energii i złowrogie wici, które unosiły się z ziemi. Drżała z niecierpliwości na myśl, że pewnego dnia ona także może osiąść taką potęgę.

Widziała, jak Bane powalił kobietę i wyrwał jej broń, by samemu stracić rękę pod wpływem dotyku jednej z czarnych macek. A potem nastąpił błysk tak jasny, że musiała zamknąć oczy i odwrócić głowę.

Kiedy spojrzała ponownie, Bane'a już nie było, a z jego ciała została kupka popiołu. Jasnowłosa kobieta leżała wciąż na ziemi, oszołomiona, ale żywa. Zabójczych wici nie było nigdzie widać.

Cognus podeszła ostrożnie. Odcięta ręka Bane'a leżała na ziemi, ale reszta jego ciała została strawiona przez karmazynowy błysk. Sekundę wcześniej, zanim odwróciła głowę, Iktotchi coś poczuła.

Nawet z daleka dotarł do niej nieprawdopodobny wybuch potęgi - tej samej potęgi, którą wyczuwała w samym Banie. Nie wiedziała, jak to możliwe, ale wydawało się niemal, jakby energia życiowa Mrocznego Lorda w jednej wspaniałej chwili wydostała się z jego cielesnej powłoki na świat. A potem, równie nagle jak się ujawniła, znikła, jakby zapadła się pod ziemię.

Wydawało się to absurdalne, ale Cognus przychodziło do głowy tylko jedno miejsce, gdzie mogła się podziąć.

Kobieta poruszyła się na ziemi i zamrugła oczami, a potem powoli się podniosła. Ruchy miała niezdarne i nie potrafiła ustać prosto, zupełnie jakby nie mogła oswoić się z własnymi mięśniami i kończynami... chociaż mógł to być po prostu efekt wyczerpania po walce.

Potrząsnęła głową i ten ruch najwyraźniej pomógł jej odzyskać zmysł

równowagi. Wyprostowana, odwróciła się i zmierzyła Iktotchi zimnym spojrzeniem.

Zdając sobie sprawę, jak niedorzecznie mogą zabrzmieć jej słowa, Cognus zawahała się przed ich wypowiedzeniem.

– Lordzie Bane?

– Bane'a nie ma - odpowiedziała kobieta mocnym, pewnym głosem. - Jestem Darth Zannah, Mroczna Lady Sithów i twoja nowa Mistrzyni.

Iktotchi uklękła na jedno kolano, składając ręce w błagalnym geście i schylając głowę.

– Wybacz, Mistrzyni.

– Jak ci na imię? - spytała Zannah.

– Jestem... Darth Cognus. - Omal nie powiedziała „Łowczyni", ale w porę ugryzła się w język. - Bane kazał mi wybrać imię symbolizujące moje nowe życie jako uczennicy Sitha.

– Zatem twoje szkolenie już się rozpoczęło - odparła Zannah. - Czy Bane wyjaśnił ci Zasadę Dwóch, którą kieruje się nasz Zakon?

– Zaczął, ale przed twoim przybyciem nie było czasu na prawdziwe lekcje - wyznała.

– Poznasz Zasadę Dwóch i tajniki Sithów - obiecała Zannah. - Z czasem wszystkiego cię nauczę. Powstań, Cognus - dodała.

Iktotchi wypełniła polecenie, a Zannah podeszła, żeby zabrać swój miecz świetlny z miejsca, w którym upadł na ziemię.

– Kiedyś skonstruujesz swój własny miecz świetlny - obiecała uczennicy, nie odwracając się w jej stronę. - Na razie weź ten, który należał do Dartha Bane'a.

Cognus podniosła z ziemi zakrzywioną rękojeść miecza świetlnego Bane'a, niespeszona makabrycznym widokiem odciętej ręki, leżącej zaledwie parę centymetrów dalej.

– Bane odrodził Sithów - tłumaczyła Zannah, stojąc plecami do swojej nowej uczennicy i wpatrując się w rozległą, pustą przestrzeń ambryjskiej pustyni. - My jesteśmy jego dziedzictwem; i chociaż jego już nie ma, to dziedzictwo będzie trwać. Teraz ja jestem Mistrzem, a ty moją następczynią. Pewnego dnia zmierzysz się ze mną, tak jak ja zmierzyłam się z Bane'em, i tylko jedna z nas przeżyje. Taki jest porządek naszego Zakonu. Jednostka może zginąć, ale Sithowie są wieczni.

– Tak, Mistrzyni - odpowiedziała Cognus.

Zauważyła, że Zannah nieustannie zaciska i rozluźnia palce lewej ręki.

EPILOG

Set Harth był zbyt sprytny, żeby wracać do swojej posiadłości na Nal Hutta. Jeśli Zannah przeżyła zniszczenie Kamiennego Więzienia, jedynie kwestią czasu było, kiedy zjawi się tam, szukając go, a on nie miał ochoty więcej jej widzieć na oczy.

Na szczęście Set podporządkował swoje życie nadrzędnej zasadzie, że w każdej chwili musi być gotowy do ucieczki. Miał inne rezydencje na innych planetach - od Nar Shaddaa aż po Coruscant - i co najmniej tuzin fałszywych tożsamości, które mógł przyjąć, jeżeli zechce zniknąć. Nie przejmował się Zannah - nie teraz, gdy miał w perspektywie coś znacznie bardziej interesującego.

Siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze wahadłowca, który ukradł z Kamiennego Więzienia, a kilka metrów od niego na niedużym stoliku spoczywał holocron Andeddu. Cała uwaga Seta była skupiona na małej holograficznej postaci wyświetlanej na szczycie czarnej piramidy.

- Przyswojenie lekcji, których muszę ci udzielić, zajmie całe lata - ostrzegł go strażnik z poważnym i surowym wyrazem kościstej twarzy. - Musisz udowodnić, że jesteś godny poznania rytuału transferu esencji.

- Oczywiście, Mistrzu - powiedział Mroczny Jedi, kiwając gorliwie głową. - Rozumiem.

Drażniła go nauka pod okiem Mistrza Obby i Jedi. Nie miał wcale ochoty zostać uczniem Zannah. Ale był więcej niż chętny, by spełnić każde żądanie strażnika.

Po pierwsze wiedział, że w przeciwieństwie do żywego Mistrza, przed strażnikiem musi odpowiadać tylko wtedy, gdy holocron jest aktywny. To Set decydował, gdzie i kiedy rozpocznie się kolejna lekcja.

Przed wszystkim jednak holocron oferował mu coś, czego Set naprawdę pragnął. Zannah usiłowała skusić go obietnicami potęgi oraz szansą zniszczenia Jedi i zawładnięcia galaktyką. Ale on miał już wystarczającą potęgę, żeby brać z życia to, czego potrzebował.

W dodatku jesteś czarujący, inteligentny i przystojny, mówił sobie. Czego chcesz więcej?

Ostatnią rzeczą, której pragnął, była władza nad galaktyką. Niech sobie Jedi i Sithowie toczą swoją odwieczną wojnę. Jej wynik nie miał dla niego żadnego znaczenia. Interesowało go tylko przetrwanie; chciał wieść długie i dostatnie życie. A jeśli uda mu się poznać tajemnicę transferu esencji, jego życie będzie naprawdę długie.

Oczywiście będzie musiał uważać. Nie wolno mu zwracać na siebie zbytnej uwagi. Nie może wchodzić w drogę Jedi ani potężnym ludziom, takim jak Zannah.

Żaden problem. Po prostu musi robić to, co do tej pory.

No i pilnować holocronu tak, jakby od tego zależało jego życie - bardzo długie życie.

– Czy jesteś gotowy na pierwszą lekcję? - spytał strażnik.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo, Mistrzu - odparł Set z drwiącym uśmiechem. - Nawet nie masz pojęcia.

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować *Shelly Shapiro* za wszystkie komentarze i uwagi do pierwszych szkiców. Nie była to książka łatwa do napisania, ale Shelly pomogła mi stworzyć godne zakończenie tej trylogii.

Chcę także podziękować wszystkim fanom, którzy towarzyszyli Desowi w jego drodze od prostego górnika do Mrocznego Lorda Sithów. Przyjmijcie potęgę Ciemnej Strony.

Spis Treści

BOHATEROWIE POWIEŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27
EPILOG
PODZIĘKOWANIA